Nowy wybór
prozy i poezyi polskiéj.

Sz. Regulska

36 Gimnaz.
138

Nowy wybór prozy i poezyi polskiéj

dla szkół gimnazyalnych i niższych

przez

I. Molińskiego i **S. Spychałowicza**

n. wyż. p. gim. ad St. Mar. M. w Poznaniu — n. gim. w Krotoszynie.

CZĘŚĆ I.

Dla seksty i kwinty.

W Poznaniu

M. Leitgeber i Spółka.

1878.

300 13

091259

SPIS RZECZY.

Sexta.

I. Bajki, powiastki i anegdoty.

A. Bajki.

		Strona
1.	Podróżny	3
2.	Pies pasterski	3
3.	Upartość	4
4.	Wrobel	4
5.	Nietoperz, ptaki i zwierzęta	4
6.	Jaskółka i inne ptaki	4
7.	Żaby proszą o króla	5
8.	Przyjaciele	5
9.	Wilk i brytan	6
10.	Lew przy zgonie	6
11.	Członki i żołądek	7
12.	Lis zawiedziony	7
13.	Żółw i orzeł	7
14.	Kret i jeż	8

B. Powiastki.

15.	Grzeczność	8
16.	Bogactwo	9

Strona

17. Najlepsza spuścizna 9
18. Kolenda 10
19. Słodycz pracy 11
20. Pies Byrona 12
21. Przezwyciężona pokusa 13
22. Powinność 13
23. Miłość synowska i braterska 14
24. Złota tabakierka 14
25. Odwaga dwóch chłopców 15
26. Mały generał 16
27. Lenistwo 17
28. Podwieczorek 18
29. Muchy i pająki 19
30. Bóg wszystko dobrze urządził na świecie . . 19

B. Anegdoty.

31. Pojętność 21
32. Mądry wyrok 21
33. Szklanka wody 22
34. Fryderyk Wielki 22
35. Przebiegłość 22
36. Dowcipny chłop 23
37. Przemądrzały 23
38. List polecający 23
39. Jakich ludzi najwięcéj na świecie 24
40. Trafiła kosa na kamień 24

II. Przypowieści. Bajki, klechdy i powieści ludowe. Legendy.

A. Przypowieści.

41. Rólnik siejący 26
42. Wschód słońca 26
43. Mgła 27

Strona

44. Szczyt góry 27
45. Bezbożny bogacz 27
46. Trzéj przyjaciele 28
47. Natura i sztuka 29
48. Dwie jabłonie 29
49. Gody królewskie 30
50. Ojciec wyprawiający syna w daleką podróż . 31
51. Brózda 32
52. Pusta wyspa 33
53. Głos sumienia 35

B. Baśnie, klechdy i podania ludowe.

54. Chłopek Roztropek 36
55. O starym wilku i o lisku filucie 37
56. O staruszku i staruszce i o złotéj rybce . . 39
57. Powietrze 42
58. Twardowski 43
59. Waligóra i Wyrwidąb 44
60. Pieczary w Czarnéj Górze 45

C. Legendy.

61. Miłość prawdy 48
62. Dzwon we Włościejewkach 49
63. Kamienie ostrowskie 49
64. Krówka Jaremy 50
65. Jałmużna 51

III. Powieści.

66. Psy na górze św. Bernarda 54
67. Koń Kościuszki 55
68. Turek pies, pobierający dożywotnią pensyą. . 56
69. Wdzięczność dzieci ku rodzicom 57
70. Wdzięczność niebu 57
71. Równość w obliczu prawa 59
72. Karól Chodkiewicz 60
73. Mądry wyrok 61

Strona

74. Beduena gorliwość i pokora 62
75. Dziedzic Jodłowa 63
76. Rozumny ojciec 64
77. Zegarek 65
78. Kominiarczyk królewski 68
79. A potém 69
80. Wakacye 70

VI. Opisy.

81. Nasza wiosna 72
82. Burza wśród lata 73
83. Zima 75
84. Wieś rodzinna 75
85. Wycieczka nad Wartę 76
86. Lawina w Szwajcaryi 78
87. Wieliczka 79
88. Trzęsienie ziemi w Caraccas 82
89. Odkrycie Ameryki 83
90. Człowiek 86
91. Lew 87
92. Niedźwiedź 89
93. Lis 92
94. Lipa 95
95. Połów pereł 96
96. Burza morska 98
97. Polowanie na panterę 101

POEZYA.

Bajki.

98. Kulawy i ślepy 104
99. Mądry i głupi 104
100. Skąpy 104
101. Człowiek i suknia 105
102. Wróbel 105

Strona

103. Skała i kropla 105
104. Żółw i mysz 105
105. Słowik i szczygieł 106
106. Wilk pokutujący 106
107. Wiewiórka i małpa 106
108. Osieł wystrojony 106
109. Wilczek 107
110. Wyżeł i brytan 107
111. Ziemia i potok 108
112. Wróble 108
113. Wilk i owce 108
114. Owieczka 109
115. Pszczółka i gołąbek 109
116. Gołębnik 110
117. Małpy 110

Powiastki i przypowieści.

118. Szuflada i głowa 111
119. Sknera 111
120. Chłopczyk i kamień na drodze . . . 111
121. Niemasz stracha 112
122. Karólek i słońce 112
123. Franuś i echo 113
124. Staś 113
125. Kolaska 114
126. Wieśniak 114

Legendy.

127. Legenda wstępna 115
128. Baszyna 115
129. Śmierć żołnierza 118

Balady.

130. Powrót Taty 118
131. Król dębów 120
132. Odważne dziewczę 121

Obrazy i pieśni.

		Strona
133.	Wiosna	122
134.	Lato	122
135.	Jesień	123
136.	Zima	123
137.	Wieś	123
138.	Dzionek na wsi	124
139.	Mały światek	125
140.	Ranne gospodarstwo staruszka	127
141.	Syn	127
142.	Domek rodzinny	128
144.	Pożegnanie wioski	129
145.	Do wiosny	129
146.	Skrzypki	129
147.	Do Jana	130
148.	Nadziei nie trzeba tracić	130
149.	Pieśń poranna	131
150.	Pieśń wieczorna	131
151.	O wielkości Boga	132

Quinta.

I. Bajki, powiastki i anegdoty.

A. Bajki.

		Strona.
1.	Platon	135
2.	Skarb	135
3.	Ojciec i dzieci	136
4.	Gospodarz i wróble	136
5.	Pustelnik i niedźwiedź	136

Strona

6. Kruk i lis 137
7. Paw i słowik 137
8. Puhacze 137
9. Próżność ukarana 138
10. Młynarz, syn jego i osieł 138
11. Tak świat płaci 139

B. Powiastki.

12. Wielkoduszność Araba 140
13. Poświęcenie 141
14. Z jakim się kto wdaje, takim się sam staje . 141
15. Moc zastanowienia 141
16. Wdzięczny lew 142
17. Pastuszek 143
18. Piszczałka 144
19. Jedynak 146
20 Gorąca chęć nauki 147
21. Bądź dla zwierząt litościwym 149
22. Kłosy czerwone 150
23. Trzy lipy 152
24. Ezop 153
25. Matka-ziemia 155
26. Język 156

C. Anegdoty.

27. Pierwszy czeladnik 157
28. Dobra odpowiedź 157
29. Przedaje skórę, a niedźwiedź w lesie . . 157
30. Mędrzec 158
31. Jeszcze mędrzec 158
32. Hiszpan 158
33. Filip z Konopi 158
34. Spadkobiercy 159
35. Strach ma duże oczy 159
36. Czarniecki 160

Strona

37. Odpowiedź Jana III. 160
38. Fryderyk Wielki i Krasicki 161
39. Wytrwałość 161
40. Jan Kochanowski 162
41. Jaje Kolumba 162
42. Lykurg i dwa psy 163
43. Brakujący guzik 163

II. Przypowieści. Baśnie, klechdy i podania ludowe. Legendy.

A. Przypowieści.

44. Kręte ścieżki 165
45. Praca odkładana 165
46. Wąż 166
47. Drzewo w jesieni 167
48. Sadzenie róż 167
49. Skarbonka biednych 168
50. Sen i śmierć 169
51. Sen Joba 169
52. Życie i podróż 170
53. Noc Nowego Roku 171
54. Wieniec laurowy 182
55. Pielgrzym 173

B. Podania bajeczne.

56. Córa Lecha 175
57. Pierwotni mieszkańcy w Grecyi 176
58. Herakles 177
59. Podróż dwojga dzieci na złotym baranie . . 180
60. Jazon 181
61. Tezeusz 181
62. Dedalus i Ikarus 183
63. Grecy w Aulis 184

Strona

64. Oblężenie Troi 184
65. Hektor zabity 185
66. Zdobycie Troi 187
67. Ulisses 189
68. Dwaj bracia 191
69. Śmierć Romulusa 195

C. Legendy.

70. Piast 197
71. Pierścień Kunegundy 199
72. Królowa Kinga 201
73. Biała lilia 202

III. Powieści.

74. Urszulka Kochanowska 204
75. Królowa Jadwiga 207
76. Przykład miłości bliźniego 207
77. Ubogi grajek 209
78. Miłujcie nieprzyjaciół waszych . . . 211
79. Bocian Janiczek 122
80. Szacunek prawego męstwa i honoru . . 215
81. Ostatni policzek 215
82. Piotr Sądek 216
83. Sól 218
84. Stok na rozdrożu 221
85. Dobra nauka 225
86. Nie tak dawniéj bywało 227
87. Pan Łowczy opowiada swoję historyą . . 231
88. Niedźwiednik 233

IV. Opisy.

89. Mgła poranna w górach 236
90. Góry ogniste czyli wulkany 237

Strona

91. Tatry 238
92. Burza w krajach zwrotnikowych . . . 241
93. Sahara 243
94. Wodospady, katarakty 247
95. Laponia 249
96. Kraków 251
97. Ratusz w Poznaniu 254
98. Wynalazek sztuki drukarskiéj 256
99. Słoń 258
100. Wielbłąd 259
101. Bóbr 260
102. Wieloryb 263
103. Szarańcza 265
104. Pożar w Rumianéj 267
105. Zdania moralne 271
106. Zdania filozofów 273
107. Przestrogi 274
108. Dziesięć prawideł życia 275

POEZYA.

Bajki.

109. Lis i osieł 276
110. Gęsi 276
111. Dudek 276
112. Mysz i kot 277
112. Młody dąb 277
114. Lis 277
115. Lis i kozieł 278
116. Żółw i zając 279
117. Czapla, ryby i rak 279
118. Kanarki 280
119. Pies i pszczoły 281
120. Dwa szczury i małpa 282

Powiastki, przypowieści i powieści.

		Strona
121.	Jedno nakrycie	283
122.	Trzy życzenia	284
133.	Wolność Tomku w swoim domku	285
124.	Skarb ukryty	285
125.	Chłopczyk wśród drogi	286
126.	Skoczek na linie	287
127.	Złe sumienie	287
128.	Kopiec	288
129.	Domejko i Dowejko	291
130.	Piast	293
131.	Piorun	294
132.	Ruth	295

Balady.

133.	Balada, jakich wiele	296
134.	Lubor	299
136.	Powitanie	300
135.	Łódź rybacka	302

Obrazki i pieśni.

137.	Wiosna	303
138.	Lato	304
139.	Jesień	304
140.	Zima	305
141.	Wieś	306
142.	Wieczór na wsi	207
143.	Kościół wiejski	307
144.	Dwór szlachecki	308
145.	Poświęcenie miecza	308
146.	Koncert myśliwski	309
147.	Litwa	310
148.	Puszcze litewskie	312

Strona

149. Górale w Tatrach 314
150. Kozak na stepie 315
151. Bitwa 316
152. Gołębie 316
153. Pieśń góralska 317
154. Oracz do skowronka 317
155. Sierota 318
156. Żal matki 319
157. Sosna 320
158. Treny na śmierć córki 321
159. Rozmowa wieczorna 322
160. O dobroci Boga 323
161. Hymn do Boga 323
162. Dobre rady 324

SEXTA.

I.

Bajki, powiastki i anegdoty.

A. Bajki.

1. Podróżny.

Arab jeden zbłąkawszy się wśród stepu, dwa dni był bez jadła. Głodny spostrzegł worek na drodze; podniósł go ucieszony bardzo, a chcąc przy blasku księżyca widzieć, coby w nim było, jęknął z boleści i rzekł: „jam rozumiał, że kasza, a to dyamenty.

(Z Popliñskiego „Wzory Prozy.“)

2. Pies pasterski.

Starego psa, który przez cały dzień strzegł pilnie trzody swego pana, opadły, gdy na wieczór do domu powracał, domowe pieski i wrzaskliwie na niego szczekały. Ale on biegł sobie prosto do domu, ani raz się nie obejrzawszy. Gdy przechodził obok jatek, rzekł mu pies rzeźniczy: „Jakże możesz znieść bezkarnie to szczekanie? Dla czegóż nie pochwycisz próżniaków za kudły i nie wytrzepiesz im porządnie skóry?“ „Na cóżby mi się to przydało?“ odpowiedział, „żadenci mnie nie kąsa, czemuż ja ich mam kąsać? Moje zęby potrzebne są na wilki, a oni niechże sobie szczekają, jeżeli ich to bawi; mnie to wcale nie szkodzi.“

3. Upartość.

Dwie kozy spotkały się na wąskim mostku, prowadzącym przez głęboki, bystry potok. Jedna się chciała na tę, druga na ową do stać stronę. —

„Zejdź mi z drogi!“ rzekła jedna.

„Wcale też tego potrzeba!“ odpowiedziała druga. „Wróć się ty i przepuść mnie, bom ja przecież pierwsza na moście stanęła.“

„Czyś ty oszalała?“ odrzekła pierwsza. „Jam starsza od ciebie i miałażbym ci ustąpić? Nie! moja kochana, z tego nic nie będzie.“

I tak uparłszy się obie, nie chciały sobie na żaden sposób ustąpić, lecz każda z nich chciała być pierwszą. Długo stały w miejscu, nie ruszywszy się wcale, aż od słówek przyszło do przymówek, a nareszcie i do bijatyki. Z wściekłością więc nacierając rogami, skoczyły do siebie; lecz w zbyt mocném starciu zgubiły równowagę i z wąskiéj deski wpadły obie w potok, z którego z wielką trudnością wydobyły się na brzeg.

Tak to bywa zawsze: uparty dwojako traci.

4. Wróbel.

Pstry wróbel ponieważ był sam jeden między swymi szarymi braćmi, ledwie się ziemi tykał, tak się pysznił; rozumiał bowiem, że już piękniejszego ptaka od niego nie masz na świecie. Gdy więc wszystkimi gardził, rzekł mu szpak: „Mój bracie! nie masz się z czego wynosić, bo kto pierwszy pomiędzy wróblami, nie jest jeszcze pomiędzy ptakami najpierwszy.“

(Popliński).

5. Nietoperz, ptaki i zwierzęta.

Ptaki prowadziły wojnę ze zwierzętami, i raz ta, drugi raz owa strona zwyciężała. Nietoperz chcąc uniknąć wątpliwego wypadku wojny, do téj strony się udawał, którą zwyciężającą widział, między ptakami za ptaka, między myszami za mysz uchodząc. Gdy przyszło do zawarcia pokoju, pokazała się jego zdrada. Ptaki i zwierzęta okryły zdrajcę hańbą i zakazały mu pod karą śmierci za dnia się pokazywać.

(Popliński).

6. Jaskółka i inne ptaki.

Jaskółka widząc rolnika siejącego konopie, przybiegła czemprędzéj ostrzedz inne ptaki. „Ta rzecz grozi nam niebezpieczeństwem,“

rzekła do nich. „Wiecie co? lećmy na pole i wyzbierajmy szkodliwy zasiew!“ Ale ptaki gardząc roztropną radą, wyśmiały ją jeszcze. Gdy już konopie zeszły, jaskółka znowu do ptaków: „ej! wyrwijmy to niebezpieczne zielsko!“ „To sobie rwij, marudo!“ rzekły ptaki; „my nie mamy czasu.“ — Nakoniec dojrzały konopie. Jaskółka jeszcze raz ostrzega ptaki: bo konopie już są [illegible]; komu życie miłe i wolność, niech się wynosi z téj okolicy, [illegible] chce schwytany trzepotać się w sieci.“ „Idź sobie do licha, niewczesna mistrzyni! Kiedyż przestaniesz psuć nam głowę? Mamy my tyle oleju w głowie co i ty.“ — Wtenczas roztropna jaskółka oddaliła się z ich towarzystwa, a co przepowiedziała, wszystko się ziściło. Rolnik wyrwał konopie, porobił z nich siatki i sidła, i wszystkie prawie ptaki połapał.

(Popiński).

7. Żaby proszą o króla.

Żabom uprzykrzyło się żyć w rzeczypospolitéj: „Jowiszu!“ wołały, „daj nam króla, któryby nami rządził.“ Bożek śmiał się z ich niebacznego życzenia. Nakoniec znudzony ustawicznym wrzaskiem, spuścił w staw z wielkim szelestem ogromny kloc drzewa. Przestraszone żaby pochowały się głęboko w bagnie. Po niejakim czasie wyjrzała najodważniejsza z wody i z razu obawiała się pod nieść oczu na króla. Ale gdy kloc martwy spokojnie po wodzie pływał, odważyła się bliżéj przystąpić. Wkrótce przypłynęły i inne żaby, a nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, skakały po drewnie i znowu się zaczęły Jowiszowi naprzykrzać o innego, lepszego króla. Bożek zesłał im nakoniec bociana, który w krótkim czasie wyłowił ich połowę. Nuż w krzyki znowu, aby ich uwolnić raczył od tego tyrana; ale rozgniewany bożek rzekł: „szalone! nie chciałyście dobrego króla, znoście teraz złego, żeby was jeszcze co gorszego nie spotkało.

(Popiński).

8. Przyjaciele.

Jeden młody zajączek bujał po polach i ogrodach, żyjąc sobie swobodnie, a ponieważ był grzeczny i rozkoszny, lubiony był od wszystkich zwierząt i miał dużo przyjaciół. Raz nadedniem, gdy sobie buja po murawie, słyszy przeraźliwe głosy trąbki, szczekanie psów i rozruch wielki w boru. Stanął, słucha, dziwi się; lecz gdy ów hałas coraz bardziéj się zbliżał, zając w nogi. Obejrzy się, aż tu dwa psy i strzelcy już nie daleko. Przestraszony wypadł przecie na drogę, a oddaliwszy się trochę od psów, spotkał konia i prosił go,

iżby się nad nim ulitował: „Weź mnie na grzbiet,“ rzekł do swego pierwszego przyjaciela, „i unieś!“ Koń odpowie: „Ja nie mogę, ale drudzy zapewne ci nie odmówią pomocy.“ Jakoż wół się nadarzył. „Ratuj, przyjacielu!“ odezwie się ścigany zając; a wół: „wszak wiesz, jak cię kocham, ale teraz właśnie mam pilny interes. Ukryj się na chwilkę w trawie, ja niedługo powrócę, a tymczasem masz oto kozła do pomocy.“ Kozieł odpowiedział: „żałuję cię, biedny zajączku! ale mój grzbiet twardy i niewygodny. Oto wełniasta owca niedaleko; będzie ci miękko siedzieć.“ Owca rzekła: „ja się nie wzbraniam, ale choć cię w manowce uniosę, psy nas dogonią i obu zagryzą. Udaj się tymczasem do cielęcia, które się tam pasie.“ „Jak ja ciebie mam wziąść na grzbiet.“ odezwało się cielę, „kiedy starsi tego nie uczynili?“ To mówiąc, zabeczało i uciekło. I tak wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

(Popliński).

9. Wilk i brytan.

Wychudły wilk spotkał raz tłustego brytana: „A zkądże to pyłeś tak walnie?“ rzekł do niego. „Ja będąc daleko mocniejszym od ciebie, umieram z głodu; patrz tylko na moje gnaty!“ Pies na to odpowie: „Mości wilku! możecie i wy podobnym cieszyć się losem, bylebyście umieli panu służyć“. „A to jak?“ „Oto w nocy być stróżem domu, a we dnie odźwiernym: straszyć złodziejów i nikogo obcego do domu nie wpuszczać!“ „Bardzo chętnie wilk odpowie; „nie trudna to dla mnie będzie praca“, „To proszę z sobą“, rzecze brytan. Gdy tak razem idą ku wsi, wilk postrzeże u psa szyję od łańcucha obtartą. „A to od czego?“ zapyta się. Pies nieco zmieszany: „To nic nie jest“, odpowie; „oto zbyt żwawy jestem, i dla tego we dnie wiążą mnie na łańcuchu, ale w nocy spuszczają i wtedy bujam, gdzie chcę, za co też obfitą dostaję strawę.“ Wilk ostrożny rzecze: „a wolnoż tobie tę służbę porzucić?“ — „Co tego to nie — już nie raz chciałem uciec, ale nadaremno.“ „Oho!“ wilk odpowie, „ciesz się brytanie z twego szczęścia; nie chcę być królem, jeżeli nie mam być panem méj woli.“

(Popliński).

10. Lew przy zgonie.

Stary jeden, niegdyś w sile swego wieku bardzo okrutny i napastliwy lew, leżał przed jaskinią, oczekując śmierci. Zwierzęta dawniéj drżące na jego widok, dziś stały przed nim bez bojaźni, ale też bez litości; bo któż zasmuci się śmiercią nieprzyjaciela, przed

którym nigdy nie było bezpieczeństwa? Cieszyły się raczéj, że go się wkrótce pozbędą.

Niektóre z nich, nie mogąc zapomnieć krzywd doznanych, chciały mu teraz przynajmniéj swój gniew i zemstę okazać. Chytry lis dopiekał mu uszczypliwymi wyrazami; wilk miotał na niego obelgi; wół bódł go rogami; dzik kłami go ranił; nawet leniwy osieł uderzył go kopytem. Jedynie szlachetny koń stał przy nim, nie czyniąc mu nic złego, chociaż lew matkę jego był rozszarpał. Czém zgorszony osieł, rzekł do niego: „Czy ten okrutnik żadnéj tobie nie wyrządził krzywdy, że stoisz spokojnie? czyliż nie najlepszą masz porę, aby się na nim pomścić?“ Ale koń odpowiedział z powagą: „Byłoby podłością mścić się na nieprzyjacielu, który jest bezbronny i szkodzić mi już nie może.“

11. Członki i żołądek.

Członki w ciele jedném zbuntowały się przeciw żołądkowi. „Po co mamy“, mówiły, „pracować na tego żarłoka, gdy on, nie przykładając się do niczego, trawi owoc naszych trudów?“ „Niech go licho weźmie!“ rzekły ręce, „nic mu odtąd nie podamy.“ „Tyle się już dla niego nachodziłyśmy“, mówiły nogi, „już się teraz nie ruszymy“. — Żołądek tym sposobem od wszystkich opuszczony, wkrótce zesłabł niezmiernie. Ale wnet i wszystkie członki uczuły niemoc, niezwłocznie więc dla własnego dobra do posłuszeństwa powróciły.

12. Lis zawiedziony.

Lis oświadczył kurom i kogutom, siedzącym wysoko na drzewie, że odtąd zawarty jest pokój między wszystkiemi zwierzętami na całéj ziemi, i że odtąd wilk z owcą a lis z kurami w wiecznéj zgodzie i przyjaźni żyć będą, Myślał lis, że tym sposobem zwabi kury z drzewa. Ale kogut rzekł: „to mnie bardzo cieszy“, i podniósł głowę do góry. „Czyli tam co widzisz?“ zapytał ciekawie lis. A kogut odpowiedział: „widzę myśliwego z psami.“ Na to lis: „a do licha! to muszę uciekać!“ Rzekł mu wtedy kogut: „poczekajże, aż psy nadejdą, a gdy zobaczymy, że ty z psami w przyjaźni, to i my zejdziem do ciebie“. „Nie będę mógł czekać,“ odpowie lis, „bo może psom o zawartym pokoju nikt jeszcze nie doniósł“. I zemknął coprędzéj, choć psów ani widnąć było..

13. Żółw i orzeł.

Żółw orła usilnie prosił, aby go latać nauczył. „Prosisz o rzecz“, odpowiedział orzeł, „naturze twojéj przeciwną. Jakże możesz latać,

kiedy skrzydeł nie masz?“ Żółw jednak nie przestał orłowi się naprzykrzać, aby go koniecznie wyniósł jak najwyżéj. Porwał go więc w szpony i wzbił się z nim pod obłoki. — „Jakże ci dziękuję!“ rzekł żółw do orła; to to teraz zdziwią się zwierzęta, widząc mnie tak wysoko, który przedtém po ziemi pełzałem.“ Wtém orzeł puścił ociężałego żółwia, aby sam po powietrzu bujał; lecz ten upadł na skałę i rozbił się w kawałki.

14. Kret i jeż.

Podczas srogiéj zimy prosił jeż kreta, aby go przyjął do swojéj jamy, obiecując mu za to dozgonną wdzięczność. Ulitował się kret i ustąpił jeżowi części swego skromnego kącika. Ale zaledwie jeż w jamie się rozgościł, rozpostarł swoje kolce i zaczął nimi kłuć kreta tak nielitościwie, że ten w końcu go prosił, aby z mieszkania wyszedł. „Co?“ zawołał jeż zuchwały, „mieszkanie to do mnie należy, a komu tu niewygodnie, niech stąd wychodzi.“ Kret musiał z wielkim żalem jamę opuścić, poznawszy, że nieoględna gościnność często jest szkodliwą.

B. Powiastki.

15. Grzeczność.

Katinat, marszałek francuski, był nieprzyjacielem form sztywnych, które trzeba umieć odróżnić od form prawdziwéj grzeczności i uprzejmości. Pierwszych ile mógł unikał, drugie zachował starannie. —

Raz będąc u siebie na wsi, przechadzał się pieszo skromnie ubrany po polu. Spotkał tam młodego Paryżanina, który bez pozwolenia na gruntach marszałka polował. Paryżanin widząc człowieka skromnie ubranego, który patrzał na niego z pewném zadziwieniem przystąpił do niego z nakrytą głową i zapytał: „cóż tak patrzysz na mnie? Jeźli znasz właściciela tych dóbr, powiedz mu, że pozwoliłem sobie po polach jego polować, bo mi się tak podobało“. Wieśniacy pracujący niedaleko na tę zuchwałość paryskiego panicza wybuchnęli głośnym śmiechem. Ten rozgniewany przystąpił do nich i zapytał, coby ich do wesołości pobudzało. „Śmiejemy się z zuchwałości i gburstwa pana“, odrzekli mu wieśniacy. „Zapewne pan nie wiesz, żeś rozmawiał z marszałkiem Katinatem?!“ Młodzieniec przestraszony pobiegł za marszałkiem i zaczął go przepraszać, tłómacząc się,

że nie miał zaszczytu znać go poprzednio. „Mój Boże!“ odpowiedział marszałek, „nie wiedziałem, że trzeba znać osobę, aby mówiąc do niéj, być grzecznym. Wszakże już sama przyzwoitość to nakazuje?!“

(Przyjaciel dzieci.)

16. Bogactwo.

Ubogi młodzieniec zszedłszy się raz z dawnym swym nauczycielem, gorżko przed nim narzekał, że mu się bardzo źle powodzi, dodając, że niejeden opływa w dostatki, kiedy on najczęściéj głód znosić musi. „Czyliż ty w saméj rzeczy jesteś tak ubogi?“ rzekł nauczyciel, przecież widzę cię w najlepszém zdrowiu! Cóż mówisz? dałżebyś sobie tę prawicę, tak zdatną do znoju i boju, odjąć za jakie tysiąc talarów?“ — Uchowaj mnie Boże! „odrzekł młodzieniec, „a jakżeby mnie taka myśl opanować miała!“ „A twoje oczy,“ mówił nauczyciel daléj, które tak jasno na ten świat Boży spoglądają, za ilebyś też tysięcy chciał odprzedać? A twój słuch zdrowy, przez który głos twych przyjaciół lub śpiew wesołych ptaszął do twéj wnika duszy, czybyś zamienił i za wszystkie skarby książąt lub królów?“ — „O! co nie, to nie!“ odpowiedział młodzieniec. „A więc tedy,“ rzekł nauczyciel, „nie narzekaj, iżeś ubogi, bo posiadasz skarby, które wszystkie przewyższają pieniądze; lecz pracuj i bądź poczciwym, to i tobie Pan Bóg dopomoże. Gdyż „„Kogo Pan Bóg stworzy, tego głodem nie umorzy““ mówi dawne przysłowie.

17. Najlepsza spuścizna.

Dwóch sąsiadów miało dużo dzieci. Pan Mikołaj był bogaty, ufał w grosz gotowy, w piękne gospodarskie budynki, w obfitość bydła i zboża, a mało dbał o to czy dzieci umieją czytać i pisać, czy wiedzą to, co człowiekowi dobrze wychowanemu wiedzieć potrzeba koniecznie. Drugi sąsiad natomiast, pan Szymon, szczupły miał majątek, ale za to dobre dzieci i w nauce pilne. Mawiał też zwyczajnie: „Majątku nie mogę wam, dziatki moje, zostawić; dużo się wyłożyło i wykłada grosza na waszę naukę i nabycie pożytecznych wiadomości. Bądźcie tylko zawsze pobożnemi i pracujcie, a Pan Bóg nie da wam umrzeć z głodu.“

Zdarzyło się, że po kilku latach na dom pana Mikołaja napadli złodzieje i zabrali, co było gotowego grosza. Pan Mikołaj darł sobie włosy i ręce łamał, a pan Szymon pocieszał go: „gdybym był tyle bogaty, mój sąsiedzie, pomógłbym ci, ale wszystko, co mam idzie na dzieci, które, gdy do lat przyjdą, o twoich dzieciach nie zapomną.“

Ale nieszczęście samo nigdy nie przychodzi, zawsze drugie gorsze po niém następuje. W kilka miesięcy spaliły się dom i gospodarskie budynki ze zbożem i bydłem panu Mikołajowi, który naraz tak podupadł, że musiał iść w służbę, a dzieci rozebrali litościwi sąsiedzi i krewni. Wtedy mówił pan Szymon do synów swoich: „dzieci moje! nie ufajcie ani w majątek, ani w pieniądze, albowiem to tylko jest naszą własnością, czegoście się nauczyli; tego jednego nie spali wam ogień, nie zabiorą złodzieje.“ To też synowie usłuchali świętych przestróg i napomnień ojcowskich i po jego śmierci każdy miał albo dobrą posadę przy jakim urzędzie, albo trudnił się zyskownem rzemiosłem, a pamiętając na przyjaźń ojców, nie raz jałmużną i inną pomocą wspierali dzieci pana Mikołaja, które się tylko włóczyły po żebraninie.

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

18. Kolenda.

Jeden rzemieślnik siedmiu czeladnikom i chłopcom swoim chciał w dzień Nowego Roku dać kolendę. Zwołał ich zatém, a zasiadłszy za stołem, na którym siedm książek i tyleż talarów leżało, tak im powiedział: Jesteście pracowici i posłuszni; przeznaczyłem wam przeto w nagrodę kolendę, i daję każdemu do wyboru, co woli, talara, czy książkę?“ — „Ja nie umiem czytać,“ powiedział pierwszy; „cóż mi po książce?“ — „Ja umiem czytać,“ rzekł drugi, „ale mi bótów potrzeba.“ — Jam dłużny krawcowi,“ powiedział trzeci. — „Ja książek nie lubię,“ szepnął czwarty. — „Ktoby tam miał czas do czytania!“ dodał piąty. — „Grosz najlepszy!“ mruknął szósty. I każdy z nich wziął talara: wszyscy książkami wzgardzili.

Został jeszcze siódmy. Był to chłopak lat 14 mający, rozgarniony i pracowity. Ten spoglądał raz na książkę, drugi raz na talara: — „A ty, Marcinku! co sobie wybierasz?“ spytał go rzemieślnik łagodnie. — „Ja sobie myślę,“ odpowiedział chłopak, „że talar dobry, ale podobno lepsza książka. Pieniądz się rozejdzie, a pismo zostanie. Mam też starą babkę, to jéj będę czytywał w święta,“ i to mówiąc, sięgnął po książkę. — „Kto ma rozsądek, ma i szczęście,“ rzekł gospodarz; „bierz, jakoś obrał, i patrz, coś wziął!“ Chłopiec otworzył książkę i znalazł w niéj trzydzieści złotych polskich papierami. Towarzysze jego spuścili teraz oczy, a pan ich powiedział: „nie moja w tém wina; w każdéj książce jest taki upominek. Wszyscy jednakowo byliście wezwani; żałuję mocno, że tylko jeden z was dobry wybór uczynił.“

19. Słodycz pracy.

Julek od najmłodszych lat zawsze był kwaśny i z niczego nie był zadowolony. Nic go nie mogło na dłuższy czas zabawić; zawsze się nudził, i cały dzień Boży chodził po domu, zawadzając i dokuczając każdemu. Rodzice się nim martwili, ale go bardzo kochali i dogadzali, jak mogli, kupując mu różne zabawki i książki z obrazkami. Julek wnet zabawki i książki w kąt cisnął i znowu nudził siebie i drugich. Nauczyciel napędzał go, jak mógł do pracy, już to dając mu stósowne przestrogi, już pokazując, jaki z nich pożytek odbierze; ale Julek na to odpowiadał: „ojciec mój bogaty, a słudzy mi powiadają, że kto bogaty, uczyć się nie ma potrzeby.“ I nic też się nie uczył. — Pewnego dnia w czasie lata rzekł do niego nauczyciel: „Julku! czas taki piękny; weź czapkę, pójdziemy w pole.“ Julek długo nie mógł znaleść czapki, bo mu się szukać nie chciało; nakoniec, kiedy ją służący odszukał, leniwo poszedł za nauczycielem.

Było to właśnie około żniw. Idąc drogą, spotkali drabiniaste wozy, naładowane snopami, koło których szli czerstwi parobcy, wyśpiewujący na całe gardło i pozdrawiający ich wesołą twarzą, jakby chcieli powiedzieć: „oto zebraliśmy owoc całorocznéj pracy.“ Julek patrzał na nich z podziwieniem, ale nic nie mówił, tylko szedł daléj z nauczycielem na łan pszenicy, gdzie dość znaczna liczba żeńców zbierała zboże. Usiadłszy na przewróconych snopkach, przypatrywali się ciężkiéj ich pracy. — Słońce popołudniowe potężnie dopiekało; kroplisty pot oblewał czoła żeńców, a robota szła coraz daléj nietylko bez skargi, bez narzekania, ale wśród wesołych śpiewów i żarcików z tych, co nie pospieszali za drugimi w robocie. W pół godziny może doszli do miedzy, i cały łan położył się w snopkach. Żeńce wetknąwszy za pas sierpy, zebrali się w kółko, usiedli, a dobywszy z kobiałek chleba i sera, smacznie zajadali, nie przestając zwyczajnych śmiechów i żarcików. — Julek jeszcze się bardziéj na ten widok zadziwił, a obracając się do nauczyciela, rzekł: proszę mi powiedzieć, dla czego ci ludzie tacy weseli? pracowali dzień cały w krwawym pocie, zgięci we dwoje, i teraz nie narzekają ani na ból krzyży, ani kładą się w łóżko? Zresztą nierozumiem, z czego się cieszą, bo przecież ten chleb z ościami i postne perki nie taka smaczna potrawa? Czemuż ja, co mam i piękny ubiór, co jadam wykwintne potrawy, co nic nie robię, bo na to są sługi, czemuż ja nigdy jak oni wesołym być nie mogę?“ Mój Julku!“ odrzekł uradowany nauczyciel, że chłopak pierwszy raz nad sobą pomyślał, „zaraz ci powiem przyczynę. Prawda, że wieśniacy ci są ubodzy w porównaniu do twego ojca, ale nauczeni przestawać na małém, mniéj aniżeli ty potrzebują. Pamiętaj bowiem sobie, że nie ten jest bo-

gaty, co ma najwięcéj pieniędzy, piękny dom, dużo sług, powozów, koni, ale ten, co najmniéj ma potrzeb. Zresztą ludzie ci lubią pracować, a po pracy słodki wypoczynek i myśli wesołe, bo po całodziennym trudzie cieszą się wieczór, że swoim obowiązkom uczynili zadość. Żebyś ty, Julku, poszedł za ich przykładem, byłbyś równie wesoły jak oni.“ — Utkwiło to mocno w głowie chłopczyny; przez drogę, gdy wracali do domu, ani słowa nie mówił, a zdawał się myślami jakiemiś zajęty.

Nazajutrz rano zdziwili się wszyscy, że Julek wstał wcześniéj niż zwykle, że przy ubieraniu się nie marudził. I nauczyciel także był zdziwiony i uradowany, gdy Julek z książkami pod pachą przyszedł doń i powiedział, że odtąd będzie się do nauki przykładał. Zasiedli więc zaraz do pracy. Gdy go na obiad wołali, zdziwił się i nie chciał wierzyć, żeby tak wcześnie dano do stołu. Po południu znowu wziął się do książki, a gdy wieczór nadszedł, skakał, śpiewał, we wszystkiém znachodził rozrywkę i nikomu się nie naprzykrzał „Oj prawdęś pan powiedział, mówił, ściskając nauczyciela, „bardzo mi teraz lekko i wesoło na sercu.“

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

20. Pies Byrona.

Sławny poeta angielski Byron przepędził dziecięce swe lata w Szkocyi. Lubił on całymi dniami chodzić po górach i wąwozach tego pięknego kraju. Na tych przechadzkach towarzyszył mu zawsze rosły i silny pies Ralf. Razu jednego potknął się Byron o krzak i wpadł do wąwozu. Wierny pies skoczył za nim. Noc nadeszła, a Byron nie wracał. Więc matka, słudzy i sąsiedzi szukali go przez noc całą i nazajutrz, ale napróżno. Tymczasem pies przybył do jakiegoś pasterza, który mu dał kawał chleba. Z tym chlebem szybko wróciło zwierzę, skąd przyszło. Na wieczór przybył Ralf do domu. Dano chleba, wołano i głaskano go, żeby się zatrzymał, ale on wpatrywał się matce Byrona w oczy i szczekał, niby wołając ją za sobą. W tém spostrzeżono u obroży na szyi jego kawałek papieru. Była to karteczka, na któréj Byron napisał ołówkiem, iż spadł we wąwóz, że się z niego wydobyć nie może, że go Ralf przez noc ogrzewał, a z rana odszedł i chleba mu przyniósł. Puszczono zatém psa naprzód. Matka z sługami szła za nim. Nakoniec przyprowadził ich Ralf na miejsce, gdzie był Byron. Sznurami wyciągnięto go z wąwozu.

(Estkowski „Szkółka dla dzieci.“)

21. Przezwyciężona pokusa.

Marcin, ubogi chłopak, nocował raz w młynie. Położywszy się na ławce w dolnéj izbie, zasnął twardo, do czego nie mało się przyczynił nieustanny turkot. O północy budzi się i słyszy nad głową lekkie tykotanie. Podniósłszy się spostrzegł przy świetle księżyca na ścianie srebrny zegarek. Wzięła go chęć, aby go sobie przywłaszczyć i uciec z nim przez okno. Ale sumienie mu mówiło: nie jesteś sam; Bóg jest przy tobie! Chciałżebyś zgrzeszyć przeciwko Niemu?“ Lecz żądza posiadania zegarka rosła coraz bardziéj, — i znowu już chciał sięgnąć i uciekać. Jednak szlachetne jego serce wzięło górę nad podszeptami złego ducha; albowiem bojąc się, aby nakoniec nie uległ pokusie, wyszedł przez okno i oddalił się z młyna. Uszedłszy kilkaset kroków, zaczął znowu żałować, że nie zabrał tak pięknego zegarka, i już miał się wrócić; ale sumienie przypomniało mu sprawiedliwego Boga. Głosu téż tego usłuchał i odszedł. W tém księżyc skrył się za gęste chmury, i nastąpiła gruba ciemność. Marcin zgubił drogę i zabłądził w bagna. Po długiém nareszcie chodzeniu dostał się na pagórek. Nie wiedząc, w którąby się stronę udać, postanowił zatrzymać się na onym pagórku aż do rana. Położył się więc pod mała krzewiną na trawie, a że był bardzo znużony, wnet zasnął i obudził się dopiero na drugi dzień rano. Ledwie otworzył oczy, posłyszał około siebie przeraźliwe krakanie wron i kruków. Podnosi głowę i patrzy — przeląkł się bardzo, albowiem leżał pod szubienicą, na któréj wisiał złoczyńca. Około niego krążyła gromada wrzaskliwego ptastwa. Zdawało mu się teraz, jakoby głos sumienia przemawiał do niego te słowa: „patrz! taki byłby i twój koniec, gdybyś się był na tę pierwszą odważył kradzież.“ — Ukląkł więc na kolana i podziękował Bogu, że go od téj pierwszéj ustrzegł pokusy, i przysiągł, iż od téj chwili zawsze będzie miał Boga w sercu, i przed oczyma, że na żadne złe nigdy nie zezwoli.

22. Powinność.

Dwóch podróżnych razem odbywało podróż. Pewnego dnia gdy dla wypoczynku zaszli do gospody, stojącéj pode wsią, usłyszeli nagle bicie w dzwony na gwałt. Wnet się rozległ po całéj wsi okrzyk: gore! Jeden z podróżnych, aczkolwiek długą drogą bardzo zmęczony, zerwał się na równe nogi, odrzucił tłomoczek i chciał biedz na ratunek. Wstrzymywał go towarzysz, mówiąc: „po co czas tracić? obejdzie się tam bez nas; wreszcie co nas obchodzą ludzie, których nie znamy?“ Ale zacny młodzieniec nie zważał na słowa

przyjaciela, poskoczył do palącego się domu; towarzysz szedł za nim z daleka.

Przed gorejącym budynkiem stała nieszczęśliwa matka, która załamując ręce, wołała żałośnie: „dzieci, moje dzieci w płomieniach!“ Słysząc to podróżny, rzucił się bez namysłu między palące się belki, i wnet go płomień ogarnął. „Zginął!“ wołali obok stojący. Lecz w téj chwili ukazuje się w oknie odważny młodzieniec z dwojgiem małych dzieci na ręku, wybija szyby, wyłamuje okno i już na ziemi. Uszczęśliwiona matka upadła mu do nóg, dziękując za ocalenie dzieci, które zdrowe i nienaruszone znalazła; ale on ją podniósł i wnet się oddalił. Tymczasem cały dom runął i zamienił się w stós gruzów. — Gdy szlachetny młodzieniec wracał do gospody, zbliżył się do niego towarzysz, który całemu zdarzeniu przypatrywał się obojętnie i rzekł: „osmoliłeś sobie włosy popaliłeś suknie, sam mógłeś życie stracić!“ Ale dopełniłem świętéj powinności,“ odrzekł młodzieniec, „a ta wszystkie względy przewyższa.“

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

23. Miłość synowska i braterska.

Okręt płynący do Indyi rozbił się na morzu. Jedna część ludzi dostała się do brzegów pobliskiéj wyspy, druga zaś puściła się znowu na morze statkiem, zbudowanym ze szczątków rozbitego okrętu. Wkrótce sternik widząc, że ów statek za bardzo jest obciążony, oznajmił kapitanowi, że wszystko zatonie, jeżeli część ludzi w morze wyrzucić nie każe. Rzucono losy, i padł pomiędzy innymi na żołnierza, którego brat młodszy mając pozostać na okręcie, schylił się kapitanowi do nóg i błagał, żeby jego zamiast brata w morze wepchnąć rozkazał. Ale żołnierz rzekł: „nie, mnie wyrzućcie! Mój brat potrafi wyżywić ojca, matkę i siostry, kiedy ja zniszczony służbą wojskową do niczego nie jestem zdatny; bez niego byliby rodzice w największéj nędzy.“ Kapitan dał się nakłonić i wypełnił żądanie drugiego, a raczéj zastósował się do wypadłego losu. Wrzucony tedy żołnierz pływał przez całe sześć godzin za statkiem, aż go doścignął. Rozrzewniony tém kapitan kazał go znowu przyjąć na statek. Tak więc i swoje i brata ocalił życie.

24. Złota tabakierka.

Pułkownik Sędzimir obiadując u siebie z kilkunastu zaproszonymi oficerami, dał im do obejrzenia prześliczną złotą tabakierkę, którą przed niewielu dniami kupił. Po niejakiéj chwili chciał zażyć tabaki; ale napróżno przetrząsał wszystkie kieszenie, czém niepo-

mału zdziwiony, zapytał: gdzie moja tabakierka? Panowie, bądźcie łaskawi zobaczyć, czy który z was przez roztargnienie nie włożył jéj do swojéj kieszeni!"... Natychmiast wszyscy biesiadnicy powstali i poprzewracali swoje kieszenie, ale tabakierki nie było. Jeden tylko z nich młody podchorąży, nie ruszył się z miejsca, a jego twarz okazywała widoczne pomieszanie. „Nie przewracam moich kieszeni." rzekł, „ale daję słowo honoru, że nie mam pańskiéj zguby." — Po obiedzie oficerowie rozeszli się, potrząsając znacząco głowami, bo każdy z nich miał porozumienie na młodego towarzysza.

Nazajutrz rano pułkownik wezwał go do siebie i rzekł: „znalazłem zgubę. Kieszeń moja była rozpruta, więc tabakierka wsunęła się między podszewkę i sukno munduru. Ale powiedz mi teraz, dla czego nie chciałeś przewrócić twoich kieszeni, kiedy każdy z obecnych uczynił to bez wahania?" „Panie pułkowniku!" odrzekł młodzieniec, „teraz, kiedy jesteśmy sami, powiem ci chętnie przyczynę. Otóż dowiedz się, że moi rodzice są biedni; oddaję im połowę żołdu, a przez oszczędność nie stołuję się w domu. Wczoraj, gdyś mi uczynił zaszczyt, zapraszając do siebie, miałem już mój skromny obiad przy sobie. Byłbym umarł ze wstydu, gdybym przewracając kieszeń, musiał pokazać kawałek czarnego chleba, który stanowi niemal codzienne moje pożywienie." — Te wyrazy mocno wzruszyły pułkownika. „Jesteś najlepszym synem!" zawołał, ściskając młodego żołnierza; „to też pragnąc ci dopomódz do wspierania rodziców, proszę, abyś codziennie przychodził do mnie na obiad." Podchorąży szczerze podziękował dobroczyńcy, który chcąc zupełnie rozproszyć krzywdzące go podejrzenia kolegów, zaprosił ich powtórnie na wielki obiad, ogłosił w obec wszystkich niewinność zacnego młodzieńca i na pamiątkę poważania ofiarował mu swoję złotą tabakierkę.

(Jan Chęciński.)

25 Odwaga dwóch chłopców.

W kraju węgierskim mieszkała we wsi, znacznie od miasta oddalonéj, uboga wdowa. Ciężką będąc złożona chorobą, wysłała dwóch swoich synków ze saneczkami do boru po drzewo. Jeden z chłopców nie miał jeszcze dwunastu, drugi liczył dopiéro lat dziewięć. Kiedy z saneczkami około kościoła przechodzili, rzekł młodszy do starszego: „Jasiu! dziwnie mi jakoś w duszy; zdaje mi się, jakoby nas nieszczęście jakie spotkać miało. Wstąpmy najpierw do kościoła!" „Bardzo chętnie," odpowiedział starszy. Zostawiwszy przy drzwiach kościelnych saneczki, weszli do świątyni i szczerze się modlili. Potém jechali wesoło daléj, choć często

w głębokie śniegu zaspy wpadali. Przybywszy do boru, znaleźli mnóstwo suchego drzewa. Właśnie kładli je na sanki, kiedy ujrzeli dwa wilki, które prosto ku nim biegły. Ucieczka była niepodobną; drzewa w pobliżu także nie było, gdyż w koło nich znajdowała się tylko krzewina. Starszy, pełen odwagi chłopiec, przykrywa młodszego sankami, mówiąc mu: „ani się rusz! ja się nie lękam niczego,“ sam zaś staje odważnie przy nim ze siekierą w ręku, i kiedy pierwszy wilk do niego dobiega, tak silnie tnie go w kark, że zwierz bez życia na ziemię upada. W téj chwili chwyta go drugi wilk za rękę i powala o ziemię. W porę jednakże wyskakuje młodszy chłopczyna z pod sanek, porywa za siekierę i tnie nią kilka razy wilka w plecy. Rozjuszony zwierz zwraca się na nowego nieprzyjaciela, i byłby go w kawałki rozszarpał, gdyby nie starszy brat, który lotem błyskawicy rzuciwszy się na niego, zadał mu siekierą kilka silnych cięć w głowę. W ten sposób dwaj słabi chłopcy zabili dwa okrutne drapieżne zwierzęta, nie odniósłszy nawet żadnéj znacznéj rany. Zdziwieni przypatrywali się owym zabitym zwierzom, które z otwartemi paszczami na ziemi leżały, a podziękowawszy Bogu za ocalenie, ruszyli z wesołemi twarzami do domu, wioząc na saneczkach suche drzewo, a na niém dwa zabite wilki.

26. Mały generał.

Ludwiś, jedynak u swoich rodziców, odebrał takie pieszczone wychowanie, że się lękał lada przymrozku, uciekał przed kroplą deszczu, a kiedy zima nadeszła ze śniegiem, lodem i wiatrami, to i piernikiem toruńskim nie wyciągnąłbyś go na podwórze z ciepłego pokoju; jeżeli zaś koniecznie wypadła potrzeba, musiano go od stóp do głowy zawinąć w futra i ciepłe chustki. A jednak kiedy go zapytywali rodzice i krewni, do czego ma ochotę, odpowiadał, nadąwszy się: „chcę być generałem.“ Ta odpowiedź często odbijała się o uszy jego nauczyciela, który tém zniecierpliwiony, tak się doń odezwał: „piękny mi to generał! Czyliż nie wiesz, mój Ludwisiu, że żołnierz musi znosić mróz, deszcz, upał, słoty i wszelkie niewygody? I tobież to zachciewa się być generałem? tobie, co nigdy z kataru i kaszlu nie wychodzisz, co potrzebujesz piernatów i poduszek, a nie możesz spać na twardéj ziemi, pod gołém niebem? Lada baba więcéj wytrzyma niż ty; bo przecież widzisz codzień, jak mimo niepogody i zimna pracują w polu. Mój kochanku, zdejm z serca pychę i nie myśl o generalstwie, jeżeli obyczajów z gruntu nie odmienisz!“ Ludwik usłyszawszy takie kazanie od nauczyciela, rozmyślał nad niém i przekonał się niebawem, że prawdę mówił. „Będę się hartował.“ ciągle powtarzał sobie, „będę żył jak żołnierz. Poczém pobiegł do

nauczyciela i opowiedział mu o mocném swojém postanowieniu. „Dobrze, mój Ludwisiu,“ odrzekł tenże, „dotrzymaj tylko słowa i zacznij od najłatwiejszéj rzeczy. Najprzód wyrzuć z pod siebie piernaty, śpij na twardym sienniku pod cienką kołdrą i nie szukaj w długim śnie przyjemności, ale o tyle go używaj, ile do zdrowia potrzeba. Daléj zrzuć z siebie flanelowe kaftaniki, nie noś ciągle futerka, nie obwięzuj szyi grubemi chustkami, a natomiast przywdzij lekkie suknie, chodź z gołą głową i co dzień od stóp do głowy umywaj się zimną wodą.“ Ludwiś poszedł za dobrą radą, porzucił piernaty, przezwyciężył wstręt do zimnéj wody, ubierał się lżéj, słowem: czynił to, co mu nauczyciel przykazał. — Po niejakim czasie mówił znowu tenże do Ludwisia: „kiedyś tyle na sobie dokazał, będziemy teraz czy to mróz, czy upał, czy śnieg, czy burza, przynajmniéj na godzinę wychodzić w pole, a przyzwyczaiwszy się do zmian powietrza i do trudów ciała, śmiało będziesz mógł mówić: „„chcę być generałem!““ a pewnie nikt cię za to nie wyśmieje. „Ludwiś zwyciężył i te trudności. Hartował zdrowie i siły, nie zważając na porę roku. Taki sposób życia dobry wywarł skutek, bo o ile pierwéj zawsze był blady, skwaszony, o tyle zyskał teraz na sile, dostał świeżych rumieńców i rokował, że na dzielnego wyrośnie męża. Jakoż sprawdziło się, gdyż wyrósł bardzo, a kiedy skończył nauki, wstąpił do wojska, prędko awansował, aż w końcu doszedł do stopnia generała.

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

27. Lenistwo.

Grzegórz pracowity wieśniak, kazał synowi swemu Szymkowi wykarczować i skopać kawał roli pod lasem. Pracę tę miał Szymek ukończyć w przeciągu jednego tygodnia. Szymkowi atoli zdawał się ten kawał za wielki do wykarczowania i skopania, a czas do tego za mały. Zaledwie oddalił się ojciec, synalek zaczął się smucić i wyrzekać, mówiąc: „jakto! jabym miał skopać ten cały kawał gruntu przez jeden tydzień? O! to nie podobna. Cztery nawet tygodnie nie wystarczyłyby na taką pracę.“ Po tych wyrazach obawiając się, że nie podoła pracy, z niechęcią odrzucił na bok rydel, położył się na murawie i pomyślał sobie: „jutro zacznę pracować!“ Tym sposobem zeszły mu dwa dni jeden po drugim; trzeciego dnia przybył ojciec. Jakże się zdziwił, nie widząc pracy najmniejszego śladu! Szymek zaczął się uskarzać przed ojcem, iż nie może sam podołać tak wielkiéj pracy. Ale ojciec odrzekł mu na to:

„Gdzie chęć dobra i ochota,
Tam nie trudna jest robota.“

Po chwili rozdzielił cały kawał roli na ośm małych cząstek i rzekł: „a taki kawałek ziemi potrafisz skopać przez pół dnia?“ „Dla czego nie! toć przecie nie tak wiele“, odrzekł Szymek i zaraz wziął się do pracy. Jakoż jeszcze przed wieczorem czwartego dnia skończył Szymek wszystkie ośm cząstek naznaczonego gruntu i wesół wrócił do domu.

28. Podwieczorek.

Zwykle po południu około czwartéj godziny dostawał Jasio kromeczkę chleba z masłem na podwieczorek. Bywało, że nigdy o więcéj nie prosił, bo i pocóż miał prosić, kiedy nie był głodny. Jednakże od pewnego czasu skoro dostał swój podwieczorek, zaraz gdzieś wybiegał, a powróciwszy po chwilce, znowu prosił matkę o drugą taką kromkę choćby suchego chleba. Zrazu nie zważała na to matka i dawała co chciał, myśląc sobie w duszy: „widać, że Jasio zdrów być musi, kiedy ma taki apetyt.“ Że zaś po wiele razy tak wracał i o chleb się naprzykrzał, zastanowiło matkę. Więc pewnego dnia umyśliła wypatrzeć, dokąd Jasio wybiegał ze swoim podwieczorkiem. Nic nie mówiąc, po cichu trop w trop poszła za nim i postrzegła, że wleciał do chaty ubogiego komornika. Domyśliwała się w części, lecz chcąc się naocznie przekonać, zajrzała przez okno i zobaczyła leżącego w izbie chorego chłopczyka, któremu Jaś położył swój podwieczorek na łóżku i nie czekając, aż mu chory podziękuje, prędko na dwór wyskoczył. Och! jakże szczęśliwéj matce biło serce, gdy się przekonała o miłosiernym uczynku swego dziecięcia! „Otóż teraz rozumiem“, myślała sobie, „skąd się w nim bierze taki apetyt! Poczciwy! sam na suchym kawałku chleba przestaje, a choremu oddaje kromkę z masłem. Boże! dochowaj mi go takim do późnéj starości!“ — Matka nie chcąc, aby ją Jasio zobaczył, obiegła inną stroną, a powróciwszy do domu, postanowiła wziąść go na próbę. Niebawem wbiegł Jasio swoim zwyczajem i domagał się o kawałek suchego chleba. Matka, jakby nic nie wiedząc, udała rozgniewaną i rzekła: „ruszaj precz! więcéj nie dostaniesz. Jedna kromka dość na ciebie, a obżarstwo jest grzechem.“ Jaś spuściwszy głowę, w milczeniu wychodził już za drzwi, kiedy matka nie mogąc już dłużéj wytrzymać zawołała nań ze łzami: „Jasiu, dziecię jedyne! pójdź do mnie, niech cię przycisnę do serca; tyś dobry, tyś poczciwy syn! dostaniesz chleba, ile zechcesz i kiedy zechcesz.“ Zmieszał się Jasio i zaczerwienił, gdy usłyszał z ust matki, że wie o jego miłosiernym uczynku. „Nie masz się czego wstydzić,“ rzekła, „jednakże, dziecię moje, trzeba mi było powiedzieć, komuś podwieczorek nosił.“ Na

to odpowiedział Jasio: „nie mógłem, kochana mamo, albowiem lewa ręka nie powinna wiedzieć, co daje prawa.

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

29. Muchy i pająki.

Młody jeden królewicz zwykł był mawiać: „na co też Pan Bóg stworzył muchy i pająki? Stworzenia te żadnego pożytku nie przynoszą człowiekowi. Żebym miał na to sposób, wszystkiebym wytępił.“ — Zdarzyło się, że sąsiedni król wyszedł z dużém wojskiem do kraju królewicza, pobił jego żołnierzy i jego samego zmusił do ucieczki. Nieszczęśliwy królewicz tułający się po lasach, gdy bardzo był zmordowany, rzucił się pod drzewo i usnął. Jeden z żołnierzy nieprzyjacielskich, którzy go ścigali, odkrył go, a poznawszy królewicza, dobył szabli i zamierzył się, aby go zabić. W tém mucha usiadła na twarzy królewicza i tak mocno ukłuła, że się natychmiast zbudził, a spostrzegłszy niebezpieczeństwo, dobył oręża i uderzył na przeciwnika, którego do ucieczki zmusił. Nie widząc się bezpiecznym w lesie, wynalazł ciemną jaskinię z ciasnym otworem i w niéj znalazł na noc spoczynek. Tymczasem w nocy przyszedł pająk i wnijście do jaskini zasnuł cieniutką siecią. Nad rankiem dwóch żołnierzy nieprzyjacielskich zatrzymało się przed jaskinią, taką między sobą prowadząc rozmowę, którą królewicz słyszał: „Założyłbym się,“ mówił jeden, wskazując na jaskinię, „że się tu schował.“ „Niepodobna,“ odpowiedział drugi, „bo wchodząc, byłby popsuł tę sieć pajęczą.“ I obadwaj żołnierze odeszli, królewicz zaś wnosząc ręce do nieba, zawołał: „Dzięki Ci, wszechmocny Boże! Wczoraj zachowałeś mi życie za pomocą muchy, a dziś siecią pajęczą zasłoniłeś mnie od nieprzyjaciół!“

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

30. Bóg wszystko dobrze urządził na świecie.

Adaś w zimie naślizgawszy się po lodzie, najeździwszy się sankami po polu, nabawiwszy się z drugimi śniegiem w ogrodzie, powrócił wesół do domu i rzekł do ojca: „Ach! mój ojcze, jakby to dobrze było, gdyby zima zawsze trwać mogła!“ — Ojciec słuchał go w milczeniu, potém rzekł do niego: „Mój synu! zrobiłbyś mi rzecz miłą, gdybyś mi to twoje życzenie potrafił napisać dla pamięci.“ Właśnie też Adaś chodził już do szkoły, umiał cokolwiek pisać i napisał, co ojciec żądał, ręką drżącą od zimna. — Wkrótce minęła zima, a nastąpiła wiosna. Adaś przechodził z ojcem po murawie, gdzie pełno było rozmaitych kwiatów; zapach był

przyjemny. Cieszyło go to niezmiernie, i nie mógł się wydziwić piękności świeżych, woniejących kwiatków.

Ojciec. „Wszakże wiosna te piękne kwiaty wydaje? Bawią one oko, ale nie są długotrwałe; wkrótce zwiędną i opadną.“

Adaś. „Jakby to dobrze było, gdyby wiosna zawsze trwała!“

Ojciec. „A nie napisałbyś mi także i tego, czego teraz żądasz?“

Adaś. „Chętnie, mój ojcze!“

Z wielką radością napisał znowu swoje żądanie. — Po wiośnie nadeszło lato niedługo. W lecie, gdy dzień był pogodny, poszedł Adaś z siostrami, braćmi i innymi chłopcami do wsi pobliskiéj. Po drodze widzieli zboże dojrzewające, którego kłosy wiatr lekki pochylał; zdawało im się, że patrzeli na wodę, kołyszącą się zwolna. Daléj ujrzeli mnóstwo żniwiarzy wyścigających się na zagonach i wesoło wyśpiewujących; daléj jeszcze liczne trzody rozbiegłe po polach. Najedli się wiśni, poziomek, malin i innych owoców, jakie lato wydaje. Gdy powrócili, zapytał ojciec syna: „A co? nieprawda, mój synu, że i lato sprawia ludziom przyjemności?“ „Prawda mój ojcze! radbym teraz, żeby się nigdy nie skończyło!“ — Na żądanie ojca napisał znowu to swoje życzenie. — Nakoniec nadeszła jesień. Cały dom poszedł zbierać jabłka, gruszki, śliwki, ogrodowiny. Już nie było tak gorąco, jak w lecie. Znowu nowa zabawa, nowe uciechy.

Ojciec. „Ten czas tak piękny wkrótce przeminie; zima zagląda do nas.

Adaś. „Wolałbym ja jesień, niż zimę, bo ciepléj na dworze, i owoców najeść się można.“

Ojciec. „Wolałbyś jesień niż zimę? Zobaczże, mój synu, coś sam napisał, i głośno przeczytaj!“

Adaś (czyta). „Ach! mój ojcze, jakby to dobrze było, gdyby zima zawsze trwać mogła!“

Ojciec. „Czytaj te kilka wierszy daléj!“

Adaś. (czyta). „Bodajby wiosna nigdy nie schodziła!“

Ojciec. „A to, co znaczy, coś tu napisał?“

Adaś (czyta). „Radbym, żeby lato nie kończyło się nigdy.“

Ojciec. „Czy znasz tę rękę, która to pisała?“

Adaś. „To moje pismo.“

Ojciec. „A jakież było ostatnie twoje życzenie?“

Adaś. „Aby jesień nie schodziła nigdy.“

Ojciec. „Uważ więc, że sam nie wiesz, czego chcesz; życzysz, żeby zawsze była zima, zawsze wiosna, zawsze lato, zawsze jesień. Możesz to być wszystko razem?“

Adaś. „Uznaję, mój ojcze, że wszystkie pory roku przynoszą nam korzyści i przyjemności.“

Ojciec. „Uznajże, mój synu, i to, że Bóg lepiéj zna, co nam jest potrzebne i pożyteczne, niżli my sami, że wszystko, co robi i dopuszcza, jest z dobrém naszém. Szczęśliwi jesteśmy, że nie jest w mocy naszéj odmieniać tego, co Bóg postanowił: to nawet, co nam się złe wydaje, wychodzi nam na dobre. Gdyby człowiek nigdy nie cierpiał w chorobie, nie umiałby szacować zdrowia; gdyby czasem nie uczuł głodu, nie miałby pociechy wtenczas, gdy na chleb pracuje. Gdyby za młodu nie znał przykrości w tém, że mu czego starsi odmówią, nie mógłby znieść napotém, gdy nie podług jego myśli co pójdzie, gdyby nie był za młodu ukarany za to, co złego zrobił sobie lub drugim, zawszeby źle robił i byłby nieszczęśliwy na całe życie. — Stądto pospolicie dobrze mówią: „Nie masz złego, coby na dobre nie wyszło.“

C. Anegdoty.

31. Pojętność.

Pewien bakałarz miał syna nadzwyczajnego nieuka. Przy każdym prawie examinie publicznym zmartwił on głupotą swoją biednego ojca. Raz tedy dniem przed popisem chciał go ojciec przygotować do rozwiązania zadać się mających pytań i rzekł: „słuchajno i uważaj! Noe miał trzech synów: jeden nazywał się Sem, drugi Ham, trzeci Jafet. Jakże się ich ojciec nazywał?“ Daremnie sobie godny synal suszył głowę; nie umiał na to trudne odpowiedzieć pytanie. Westchnął biedny ojciec i nową z nim rozpoczyna próbę, mówiąc: „Naprzykład nasz organista, pan Rzempała, ma również trzech synów: Maćka, Kubę i Antka; Któż jest ich ojcem?“ „Jużci nie kto inny, jak pan organista,“ odezwał się pojętny synalek. Przekonany ojciec, że chłopiec przecie pojął, o co szło, śmiało nazajutrz w czasie examinu to samo uczynił mu zapytanie. „Noe miał trzech synów, a ci byli: Sem, Ham i Jafet. Któż był ich ojcem?“ „Jużci nie kto inny, jak pan Rzempała, nasz organista,“ była jego odpowiedź.

32. Mądry wyrok.

Pewnemu wędrownemu rybakowi wypadł rak z kobieli w małém jedném miasteczku, gdzie wcale tego stworzenia nie znano. Zra-

lazło go dziecko burmistrza i gdy się nieostrożnie dziwacznéj jego postaci przypatrywało, rak schwycił chłopca za nos nożycami. Powstał krzyk przeraźliwy. Przybiegli rodzice, sąsiedzi. Nie wiedzieli długo, co czynić. Aż najśmielszy uzbroiwszy rękę rękawicą, ledwie to dziwne straszydło nie bez rany w nosie oderwał. Dopieroż sąd na winowajcę: jedni na gałąź, drudzy pod miecz, inni na ogień dekretowali. Przemogła jednak większość głosów, aby raka w sadzawce utopić.

(Popliński).

33. Szklanka wody.

Mówi pan do chłopca: „Przynieś mi szklankę wody dla tego gościa!“ Chłopiec wchodzi, trzymając szklankę w ręku. Pan na niego: „Wróć się, hultaju! przynieś przecież na talerzu!“ Chłopiec się wrócił, wylał wodę na talerz i niosąc, mówi do siebie: „Ciekawy jestem, jak ten gość tę wodę z talerza wypije?“

34. Fryderyk Wielki.

W chwili gdy Fryderyk Wielki przejeżdżał mimo jednéj szkoły berlińskiéj, wysypała się na ulicę ze zwykłą wrzawą dziatwa i przerwała myśl monarchy. „Do szkoły, próżniaki!“ rzekł król niecierpliwie. „Patrzajcie!“ zawołał jeden śmiałek za odjeżdżającym, „otóż on nie wie, że się skończyły lekcye, a zdaje się, że król!“

35. Przebiegłość.

Szedł sobie szlachcic we Warszawie w staropolskim stroju i w czerwonych bótach, ale tego nie wiem, czy w teraźniejszych, czy téż w dawnych czasach; dosyć, że się tam uwijali Kozacy. Dwóch takich brodaczy założyło się z szynkarzem, że szlachcicowi, którego zoczyli na ulicy, z nóg bóty zwarują. Cóż tedy robią? Oto idą za owym panem i umawiają się na głos, prawie kłócą się i niemal biją; jeden powtarza: „ma,“ a drugi: „nie ma.“ Uderzył ten wrzask szlachcica; obraca się do nich i pyta o przyczynę kłótni. „Oto,“ odzywa się jeden, „mój kamrat powiada, że pan masz słomę w bótach, a ja utrzymuję, że nie, i o to się kłócimy.“ „O! dla tego?“ zawołał szlachcic. „Nie mam, nie!“ „A myby chcieli zobaczyć“ rzekł drugi Kozak, „bośmy się oto założyli, a zakład znaczny.“ Na co szlachcic: „Ale gdzież! tu na ulicy przecież bóta nie zdejmę.“ „Nie na ulicy, nie, paniczku,“ rzekł znowu Kozak, „ale tam w tym domu, upraszamy bardzo.“ Szlachcic, poczciwa dusza, idzie do pierwszego lepszego domu i w sieni pozwala sobie zdjąć jeden bót, a po-

tém śmiejąc się, mówi; „No! widzicie, że nie ma słomy.“ „Tak, tak, w tym niema, ale w drugim może.“ „No, to ściągnijcie i drugi!“ Ściągnęli i uchwyciwszy oba, w nogi; a szlachcic został boso.

36. Dowcipny chłop.

Chłop jeden mając swemu adwokatowi dość grubą pakę aktów sądowych zapłacić, rzekł z westchnieniem: „Panie! toć tam bardzo rozwlekle pisane; a nie mogło to być trochę ściśléj? nie potrzebowałbym tak wiele płacić!“ „Tego wy, miły człeku, nie rozumiecie,“ odpowiedział adwokat; „to jest właśnie urzędowe pismo. Jeżeli zaś nie macie pieniędzy, mam ja rolę, to mi możecie za to zorać kilka mórg.“ Przystał chłop i orał, ale skiby na łokieć jedna od drugiej odległą. Co spostrzegłszy adwokat, zawołał: „Ej! ej! toć to jest nad podziwienie szeroko zorane!“ — „Tego pan nie zna,“ była odpowiedź chłopa, „bo to jest właśnie urzędowa órka.“

37. Przemądrzały.

Wieśniak jeden lubił wszystko ganić, z niczego nie był zadowolony. Gniewał się, kiedy padał deszcz, szemrał przeciw Bogu, kiedy mu latem dopiekało słońce, nie podobała mu się zima, nudziła go jesień. — Razu jednego przechodząc się po polu i ujrzawszy niedaleko siebie maleńką żołądź na ogromnym dębie a niezmierne banie na poziomej i wątłéj łodydze, rzekł sam do siebie: „jabym był lepiéj te rzeczy urządził: banie rodziłyby się na wysokiém drzewie, a żołądź na maleńkiéj łodydze.“ Ponieważ zaś było gorąco, i sen go nieco zmorzył, położył się w cieniu pod dębem i zasnął. W tém powstał wiatr dość silny. Strząśniona żołądź w sam nos śpiącego mądrala ugodziła i drasnęła trochę. Porwał się z bólu i dopiero wyznał, że Pan Bóg wszystko jak najlepiéj rozporządził, dodając: „coby się ze mną było stało, gdyby mi dynia na nos była upadła?“

38. List polecający.

Młody pewien człowiek licząc wielce na zasługi swego ojca, udał się do cesarza z prośbą, by przez wzgląd na ojca otrzymał jaką posadę, odpowiednią zajmowanéj kiedyś w państwie przez jego rodzica. Światły cesarz, widząc w nim próżność i zbytnie poleganie na zasługach nie swoich, dał mu list polecający do dyrektora szkoły normalnéj. Uradowany młodzieniec pobiegł co tchu wystarczyło do dyrektora, lecz jakież było ich zdziwienie, gdy tenże po odpieczęto-

waniu wyczytał następujące słowa: „Oddawca niniejszego listu pragnie się kształcić pod kierunkiem pańskim, by następnie miał prawo starania się o upragniony urząd.“

(Sarnecki „Gwiazdka Noworoczna“).

39. Jakich ludzi najwięcéj na świecie?

U jednego pana w Krakowie zagadnięto przy stole, jakich ludzi na świecie najwięcéj. Powiada jeden, że krawców; drugi szewców; inny rólników. Stańczyk, sławny trefniś króla Zygmunta, przysłuchując się temu, rzekł: „Ani krawców, ani szewców, ani rólników, ale lekarzy najwięcéj na świecie. Jeźli kto temu nie wierzy, przekonam go najdaléj w trzech dniach, pokazawszy mu w tem tu mieście ich więcéj kilku tysięcy.“ Wnet znalazł się pomiędzy obecnymi jeden pan, który poszedł z Stańczykiem o zakład. Trefniś podwiązał sobie zaraz gębę i chodził po mieście to do tego, to do owego. Pytają go, coby mu było; powiada, że mu twarz spuchła dla ciężkiego bólu zębów. Każdy litując się nad nim, wskok podawał lekarstwo, jakie wiedział, a Stańczyk to sobie w regestr wpisywał. Trzeciego dnia poszedł do tego samego pana, z którym zrobił zakład. Pan ten myśląc, że trefniś w saméj rzeczy cierpi na zęby, każe mu po piretrum posłać do apteki, a uwarzywszy chmiel w occie, lekarstwem tém płukać zęby. Zapisał go Stańczyk w regestr; a gdy potém zeszli się na obiad, pyta, czy mu wolno wyliczyć lekarzy. Powstaną wszyscy słuchać, a on najpierwéj wymienia tego pana, z którym poszedł o zakład. „A cóż ja mam robić między lekarzami?“ zapyta zdziwiony. „Wszakże leczyłeś mnie na zęby.“ odparł Stańczyk, „podobnie jak ci wszyscy, których tu spisałem?“ Śmiechu dosyć było; a wszyscy się przekonali, że Stańczyk zakład wygrał.

(Autor „Wieczorów w Ojcowie“).

40. Trafiła kosa na kamień.

August II taką miał siłę w rękach, że łamał najmocniejsze podkowy, a srebrne kielichy gniótł w palcach jak wosk nieprzymierzając. Nikt mu też długo nie mógł sprostać, aż raz przecie trafił na swego. Owoż to tak było:

Za prostego przebrany człowieka jechał sobie razu pewnego na koniu, a przyjechawszy do małéj wioski, zawołał kowala i kazał sobie konia podkuć, bo przez drogę zginęły mu dwie podkowy. „Tylko zrób mocno, żeby się prędko nie połamały!“ zawoła król na kowala „Oho! tego mi nie trzeba powiadać!“ rzecze kowal, chłop sążnisty nie poznawszy króla. „I sam djabeł nie rozłamie mojéj podkowy!“

„Zobaczymy!“ odrzekł August i uśmiechnął się tylko. Nie minęła godzina, kowal niesie już gotowe podkowy. „Są jak pieniądz!“ zawołał majster i brzęknął jedną w drugą. Król spojrzał i nic nie mówiąc, bierze za jednę — prach! — złamał. Więc huknie na kowala: „Cóż ty sobie myślisz, że mi takie podkowy dajesz! Róbże co prędzéj inne!“ Zdziwił się strasznie biedny kowal i poszedł do kuźni kuć inne podkowy, a nie wiele czasu minęło, sunie już ze świeżemi. Aż zsiniał nieborak od téj pracy, aby tylko były jak się patrzy i mocne i twarde. Ale król nie próbował już tą razą, tylko kazał co rychléj okuć konia. Wnet się téż sprawił kowal i przychodzi po zapłatę, a król sięgnie do kieszeni i wyjąwszy dwa talary, rzuci je na stół. Brzęknło srebro i zaświeciło. Kowal popatrzył na pieniądze, obejrzał, a wreszcie chwycił jeden — prach! — rozłamał; chwycił drugi — prach! — rozłamał i zawołał: „A jakież mi to dajecie talary, łaskawy panie?“ i nuże śmiać się z całego gardła. Pomiarkował się zaraz król, że trafił na swego. Rzucił więc kowalowi cały worek z pięknymi, bitymi talarami i odjechał; a majster śmiejąc się jeszcze głośniéj, brzęknął workiem i zawołał za odjeżdżającym: „Trafiła kosa na kamień.“

II.

Przypowieści.
Bajki, klechdy i powieści ludowe.
Legendy.

A. Przypowieści.

41. Rólnik siejący.

Wyszedł rólnik na pole siać ziarna, a gdy siał, padło jedno podle drogi; i podeptali je przechodnie, a ptacy podzióbali je niebiescy. Drugie padło na opokę, gdzie nie miało wiele ziemi, i natychmiast zeszło, gdyż ziemia głęboką nie była. Kiedy zaś słońce przygrzewać zaczęło, wygorzało; a ponieważ nie miało gdzie zapuścić korzeni, uschło. Inne znowu padło między ciernie i zeszło, ale równocześnie i ciernie urosło i zadusiło je tak, iż nie dało owocu. Inne wreszcie upadło na ziemię dobrą i urodzajną, a zszedłszy, wydało owoc bujny: bo jedno ziarno przyniosło trzydzieści ziarn, drugie sześćdziesiąt, a inne nawet i sto wydało.

Czyż w szkole choćby tylko nie sprawdza się słowo to ewanieliczne o rólniku, nasieniu i ziemi, na którą to nasienie pada?

42. Wschód słońca.

Mały Adaś nie widział był jeszcze nigdy wschodzącego słońca; ale w dzień Nowego Roku wstał, gdy jeszcze ciemno było, a idąc z matką do ogrodu, obaczył w całym blasku to codzienne, lecz zawsze

wspaniałe zjawisko natury. Kiedy uwielbiał piękność i przymioty słońca, powiedziała mu matka: „A wiesz, Adasiu, że ty do niego podobnym być możesz?“ „A to jakim sposobem?“ zapytał chłopczyk zdziwiony. — „Wszak słońce dobrze czyni, oświeca, rozwesela ziemię? Takie jego przeznaczenie. Podobném jest choć w inném znaczeniu powołanie człowieka. Ucz się, bądź dobry, braciom życzliwy, pracuj, a zarówno jak słońce spełnisz wolę Tego, który ciebie i słońce stworzył.“

43. Mgła.

„Ojcze!“ mówił mały Kostuś w dzień mglisty marcowy, patrząc z zadziwieniem w górę, — „jakież to dziwne zjawisko na niebie? Nie księżyc, bo on daleko większy! cóż to jest?“ „Nie poznajesz?“ odrzekł ojciec. „Przecież to słońce!“ — „Ale nie!“ odpowiedział chłopczyk; „słońce tak małe, tak blade bez żadnych promieni!“ „Czyż nie widzisz,“ rzekł ojciec, „téj grubéj mgły, która z ziemi wychodząc, pomimo południowéj pory ciemność nocy wróciłby rada? Ona to nam źródło światła zasłania i tak je przeistacza... O! bogdajby, mój synu, ani w życiu, ani w sercu twojém mgła téj podobna nigdy nie powstała! bogdajby ani błędy ludzkie, ani występek, nie zasłoniły nigdy przed tobą prawdziwego światła!“

(Tańska).

44. Szczyt góry.

„Kiedyż i kiedyż na tym szczycie staniemy!“ mówiły dzieci do ojca, wchodząc z trudnością na wysoką górę. „Kiedyż ujrzymy ów piękny widok, który nam obiecujesz od początku drogi?“ „Cierpliwość i wytrwanie!“ odpowiedział ojciec. „Postępujcie zwolna, ale ciągle; a jeźli podróż przykrą wam się wydaje, umilajcie ją wyobrażeniem radości, czekającéj was na końcu!“ Usłuchały dzieci i prędzéj niż się spodziewały, na szczycie góry stanęły. Tam widok rozległy i czarujący, który za jednym rzutem oka objęły, nagrodził im sowicie poniesione trudy. Zapomniały ich nawet, a z uczuciem wdzięczności mówiły do ojca: „dziękujemy ci.“

Tak i z nami będzie. Idziemy prawie wszyscy drogą trudną i często przykrą; ale — cierpliwość i wytrwanie! Prowadzi nas Opatrzność na wysoką górę: skoro na jéj szczycie staniemy, o trudach zapomnimy, a sama radość i wdzięczność zostanie.

(Tańska.)

45. Bezbożny bogacz.

Był jeden bogaty człowiek, któremu i rola obfite przynosiła korzyści i trzody znacznie pomnażały dochody. Ten tak rozmyślał sam

w sobie: „Cóż uczynię, kiedy już zabrakło mi miejsca, gdziebym urodzaje moje mógł pomieścić?“ I rzekł: „Otóż poniszczę gumna moje, a pobuduję większe i tam złożę wszystkie urodzaje ziemi mojéj i rzeknę duszy swojéj: Duszo! masz wiele dóbr zgotowanych na lat wiele, nie troszcz się już o nic więcéj, tylko odpoczywaj, jedz, pij i używaj wszelkich dostatków.“ Ale Bóg rzekł: „Szalony jeszcze téj nocy upomnę się duszy twojéj od ciebie, a coś nagromadził z dóbr ziemskich nic ze sobą nie zabierzesz. I na cóż ci się przydały owe wielkie skarby nędzny człowiecze?!“

Tak się powodzi wszystkim, co zbierają skarby tego świata, ale ubogimi są w dobre uczynki, których ani rdza nie zepsuje, ani złodziéj nie ukradnie, ani też ogień nie zniszczy. Kto dostatkami swymi nie dzieli się z biednym bratem, nie wart, aby mu Pan Bóg błogosławił.

46. Trzéj przyjaciele.

Człowiek jeden bogaty i znakomity, któremu monarcha dał do zarządzania piękne dobra koronne, miał trzech przyjaciół; dwóch z nich bardzo kochał, dla trzeciego był obojętnym, chociaż ten był najszczerzéj do niego przywiązany. W tych trzech przyjaciół kole przeżył bogacz szczęśliwie długie pasmo lat, używając dochodów z dóbr króla, które już zaczynał mieć za własne; gdy wtém wcale niespodzianie otrzymuje rozkaz stanąć na dworze króla i zdać rachunek z dóbr sobie powierzonych. Odurzony stał długo jak wryty. Gdy odzyskał przytomność, poznał całą okropność tego przykrego rozkazu. Przyzwyczajony do wszelkich wygód życia, miał natychmiast bez najmniejszego przygotowania pójść przed oblicze króla, a jeszcze na to, aby składać rachunek z zarządzenia włością, która już uważał za swoję. W rozpaczy przypomniał sobie przecie, że ma przyjaciół, i to wspomnienie było mu niejako pociechą. Będąc o sobie przekonany, że nie posiadał dość wymowy, aby się mógł bronić na dworze króla, udał się tedy do swych przyjaciół, będąc pewnym, że za nim przemówią przed królem. Zastał ich też wszystkich razem, a opowiedziawszy im ogólnie, o co chodzi, tak w końcu zapytał: „Który z was pójdzie ze mną, aby za mną świadczył, albowiem ciężko, jak widzicie, zostałem obwiniony, a król jest bardzo zagniewany?“ Ale pierwszy przyjaciel wymówił się, że z nim iść nie może, bo ma ważne zatrudnienia. Drugi chciał go odprowadzić aż do pałacu królewskiego, a stamtąd wróciwszy się do domu, pozostawić go własnéj obronie. Jedynie trzeci, na którego wcale nie liczył stroskany ów człowiek, poszedł z nim przed oblicze króla, przemówił za nim i oświadczył się

tak wymownie za jego niewinnością, że król nie znalazł w nim winy i do łaski swojéj na nowo go przyjął.

Trzech przyjaciół ma i człowiek każdy na tym świecie. Jakież ich jest postępowanie w godzinę śmierci, kiedy go Bóg przed sąd swój zapozwie?! Bogactwo jego najmilszy przyjaciel najpierw go opuszcza; krewni i przyjaciele towarzyszą mu aż do grobu, skąd wracają do domów swoich; trzecim przyjacielem, o którym w życiu zwykle zapominał, są dobre uczynki. One jedne towarzyszą mu do wieczności aż przed tron Najwyższego; one idą przed nim i znajdują miłosierdzie i łaskę.

47 Natura i sztuka.

Pewnego razu przechadzał się Staś z matką po ogrodzie i ujrzał ogrodnika, który od rana obcinał, oskrobywał i szczepił drzewa. „Mamo!“ rzekł Staś, dla czego ogrodnik zadaje sobie tyle pracy? Widziałem przecie w lesie tyle drzew rosnących swobodnie, a nikt ich ani nie obcina, ani szczepi, ani oskrobuje ani podlewa. „Prawda, mój synu!“ odpowiedziała matka, a jednakże między leśnemi a ogrodowemi drzewami wielka jest różnica.“ „Jakaż różnica?“ zapytał Staś. Matka zamiast odpowiedzi zerwała kwiatek z klątbu i owoc z drzewa i podała synowi. Staś skosztował owoc i powiedział, że słodki; powąchał kwiatek i przyznał mu woń przyjemną. Poczém poprowadziła go do pobliskiego lasu, zerwała kwiat polny i podjęła owoc leżący pod dziką jabłonką. Staś powąchał kwiat, lecz nie znalazł w nim woni; skosztował owoc i zaraz cisnął, powiadając, że cierpki i twardy. „Teraz przekonaj się, mój synu,“ rzekła matka, „i pamiętaj, że człowiek bez wychowania i nauki jest jak dzikie drzewo, jak kwiat polny. Kwiatek ten lubo piękny, woni niema, drzewo daje owoc, ale cierpki. Dobrze wychowany człowiek jest podobien szczepionemu drzewu, które słodki i smaczny wydaje owoc.

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

48. Dwie jabłonie.

Jeden ojciec miał dwóch synów; rok tylko między nimi było różnicy. W maju darował obydwom po śliczném drzewie jabłoni. Jednego wzrostu, jednego gatunku, jednéj czerstwości były oba te drzewa i lubo stały na dwóch końcach przeciwnych ogrodu, oba zarówno okryte były kwiatem. „Synowie moi!“ rzekł do nich, „daję wam piękne i jednakowe dary. Od was zależeć będzie piękność ich w jednakowym utrzymać stanie; ale ostrzegam, że bez pracy i starania tu się nie obejdzie.“ — Starszy uważny i pilny, szczęśliwy

z podarku ojca, umiał się z nim obchodzić. Obrał drzewa z robactwa, przywiązał je do pala, okopał w koło ziemię, żeby wilgoć łatwiéj dochodziła, słowem: prawdziwym był opiekunem jego. Młodszy, płochy i niedbały, zapomniał zupełnie o swojéj jabłoni i dopiéro w październiku, gdy w całym ogrodzie do zbierania owocu się wzięto, przypomniał ją sobie. Pobiegł do drzewa, ale ani jednego jabłka nie zastał; liszki część owocu jeszcze w zawiązkach zjadły, resztę wiatr strącił. Zasmucony poszedł obejrzeć jabłoń brata i zdumiał się na jéj widok. Drzewo znacznie się rozrosło, jabłka piękne i duże z daleka się czerwieniły. Rozgniewany i zazdrością zdjęty, pobiegł z żalem do ojca: „Tato!“ zawołał, „jak mógłeś dać memu bratu takie śliczne i rodzajne drzewo, a mnie brzydkie i niepłodne?!“ „Jednakowo was udarowałem,“ odpowiedział ojciec, „ale twój brat utrzymał i polepszył dar mój staraniem, a tyś zniweczył go niedbalstwem. Jaka praca, taki zysk.“ — Ileż to razy podobne w życiu trafiają się zdarzenia! Rodzice dają dzieciom jednakie wychowanie, jednaki majątek, a dzieci nie jednakowy pożytek z tych darów odnoszą. Lecz czyjaż w tém wina?

(Tańska).

49. Gody królewskie.

Razu pewnego zaprosił król wszystkich swych dworzan na gody wspaniałe, ale im nie powiedział, którego dnia i o któréj godzinie te gody się odbędą. Znaleźli się jednak między dworzanami ludzie roztropni, którzy tak sobie mówili: „Wprawdzie król nie powiedział, kiedy i o jakim czasie mamy się stawić na gody, lecz że w pałacu królewskim nigdy na niczem nie zbywa; więc uczta może być każdej godziny, i lada chwili może nas król powołać.“ Tak pomyślawszy, udali się zaraz do łaźni, przywdziali najkosztowniejsze szaty i czekali u podwoi pałacu. Inni przeciwnie mniéj roztropni i oględni, mówili do siebie: „Takie gody wspaniałe potrzebują zwykle wiele przygotowań. „Nie widać jeszcze, aby się krzątała służba i kucharze; żaden stół nie nakryty, żadna sala nie przygotowana. Chódźmy do swoich zatrudnień; będziemy mieli dość czasu, gdy zaczną stoły nakrywać.“ I każdy poszedł w swoję stronę. Aż w tém woźny królewski przy odgłosie trąb oznajmił, że uczta gotowa, iż czekają na zaproszonych gości. Roztropni dworzanie zaraz przyszli w wspaniałych szatach i dobrze byli przyjęci; drudzy zwlekali się powoli w niewykwintném ubraniu i przyjęci byli najgorzéj. „Wy, którzyście się przysposobili na moje gody,“ mówił król, „usiądźcie obok mnie; wy zaś, którzyście nie zważali na wezwanie moje, wyjdźcie precz! niech was oczy moje nie widzą.“

GŁÓWNA

Owoż król zapraszający na gody jest Pan Bóg; gody to życie wieczne, a dworzanie ludzie śmiertelni. Szaty ich to postępki nasze dobre lub złe na ziemi; woźny przedstawia anioła śmierci, wzywającego nas niespodzianie do innego życia. Ludzie cnotliwi są jak roztropni dworzanie. Przybrani w dobre uczynki, z tryumfem zostają przyjęci. Bezbożni atoli zajęci jedynie światowemi uciechami, są jak owi nierozsądni dworzanie, którym monarcha kazał z przed oczu ustąpić.

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

50. Ojciec wyprawiający syna w daleką podróż.

Pewien ojciec, którego syn miał wielką chęć do malarstwa, postanowił wysłać go za granicę, ażeby mu dać sposobność do wykształcenia się na artystę. Przed samym wyjazdem zaprowadził go do ogrodu. Tam dając mu ojcowskie rady i przestrogi, zaczął zarazem wyliczać znaczniejsze stolice i kraje, które młodzieniec miał zwiedzić. Matka, która obecną była rozmowie ojca z synem, uczuła w macierzyńskiém sercu wielką obawę, iż syn jéj odbywać ma tak odległą podróż. „Wielki Boże!“ zawołała, „któż będzie w tych dalekich krajach czuwać nad moim synem? któż mu przewodniczyć będzie w pośród obcych nieznajomych ludzi? O, mój Boże! jeszcze go w drodze spotka jakie nieszczęście!“ „Uspokój się, kochana żono,“ odpowiedział ojciec, „Bóg, który czuwa nad robaczkiem najdrobniejszym, nie opuści także i syna naszego; a syn nasz pomnąc zawsze na rodzicielskie rady i przestrogi, które za młodu odbierał, nie zboczy z drogi cnoty i wypełniać będzie powinności dobrego człowieka.“ Po tych wyrazach zbliżywszy się ojciec z matką i synem do jednego ze szklannych ulów, znajdujących się w ogrodzie, rzekł: „Przypatrzmy się tylko tym pszczółkom! Jakże skrzętnie pracują: kierują się one wewnętrznym instynktem, którym Bóg je obdarzył. Postępują zawsze za głosem natury i wypełniają przeznaczenie, jakie im Stwórca przekazał. Skrzętne pszczółki wesoło bujają po polu i dąbrowach, przylatują do kwiatków i ziół rozmaitych, słodki miód z nich zbierają, a potém do ula go znoszą. Tu one zachowują na czas zimowy miód, owoc swéj pracy, we woskowych komórkach, które misternie sobie budują. A któż pszczółki nauczył tego wszystkiego? Bóg obdarzył je zdolnością robienia miodu, On je też przeznaczył do wspólnéj pracy, ażeby sobie i ludziom były pożyteczne. Bóg wskazał im drogę, którą postępować mają, a drogę tę usłał dla nich wonnymi kwiatami, z których miód zbierają.“ Po chwili, zwracając mowę do matki młodziana, dodał: „Bóg, który bez ustanku czuwa nad stworzeniami, miałżeby zapomnieć o nas? Miałżeby mniéj czuwać nad człowiekiem, jedném z naj-

doskonalszych stworzeń swoich, aniżeli nad którąkolwiek z pracowitych pszczółek? Zresztą syn nasz posiada przecie wolną wolę i rozum. Zdrowe ziarno, które wczesnie zaszczepiliśmy w sercu jego, miałożby nie wydać z czasem dobrego plonu? Bóg jest dobrym, łagodnym ojcem. Miejmy tedy w Nim silną, niezachwianą ufność, nie lękajmy się o naszego jedynego syna!“ Wyrazy te uspokoiły serce troskliwéj, kochającéj matki.

51. Brózda.

Znowu nadeszła wiosna. Już dzikie gęsi, bociany, jaskółki wracały z ciepłych krain; śnieg tajał na polach, a roślinki, ogrzane promieniami słońca, wyrastały z ziemi. Rólnicy uprawiali pola, aby, gdy nadejdą żniwa, było co sprzątać. Tak też i poczciwy kmieć Stanisław, mieszkający niedaleko Gniezna, wyjechał z pługiem w pole. Był to śliczny wiosenny poranek. Słońce świeciło mile; pracowite pszczoły brzęczały, spiesząc do ula, obciążane słodkim miodem, niejako przykład człowiekowi dając, aby się nie lenił do pracy. Pięknie było na świecie. I serce Stanisława uczuło błogi pokój. Pełen też wdzięczności ku Bogu, wzniósł oczy ku niebu i zanucił powoli pieśń poranną: „Kiedy ranne wstają zorze“, potém jął się pracy. Pług parą koni ciągniony, krajał lemieszem ziemię, a skiby czarnéj roli odwracały się na bok. Ale Stanisław od czasu do czasu musiał odpoczywać, bo niedawno powstawszy z ciężkiéj choroby, jeszcze był słabym. Więc gdy zorał kawał pola, wtedy zmęczony nieco odpoczął. Siedząc na pługu, rozmyślał nad swém położeniem, a mianowicie nad złemi przygodami, których bardzo wiele na jego biedną zwaliło się głowę. Westchnął, opuścił głowę na piersi i tak mówił z cicha sam do siebie: „Ach! jakiż ze mnie nieszczęśliwy człowiek! Wszystko, czego się chwytam z ręki mi wypada; nic mi się nie wiedzie. Na polu nieurodzaj, w stajni i oborze pada dobytek, w domu i rodzinie panują śmierć i choroby. Zdaje się, jakoby wszystko było przeciw mnie: susza, ogień, deszcz, cierpienia, śmierć i inne nieszczęścia wciąż mnie prześladują. Jeszcze się jedna w sercu nie zagoi rana, a już otwiera się druga, daleko boleśniejsza. Ach! ta ostatnia, ta była nader smutna. Ona się tak prędko, a może nigdy nie zagoi. O droga żono, którą musiałem utracić! gdybym był raczéj z tobą legł w zimnéj mogile, byłbym daleko szczęśliwszym! Teraz samotny, jako liść na drzewie, pędzę smutny żywot, pełen cierni i głogów. I oto powstałem z ciężkiéj choroby, aby dłużéj znosić to brzemię nieszczęść, aby nowe bóle i cierpienia rozrywały biedne serce moje!“ Tu umilkł, a łzy kroplami spadały po zmarszczonéj twarzy na ziemię. Wypłakawszy się, uspokoił się nieco. Wtém spojrzał na twardą, w brózdy pooraną

ziemię i na ostry lemiesz, który ją rozdzierał, przez co stawała się rolą pulchną i uprawną. Po krótkim rozmyśle w te znowu odezwał się słowa: „Czemże byłabyś miła ziemio, żywicielko moja, gdybyś została nieuprawną, gdyby cię nigdy ostre żelazo nie rozrywało i nie krajało w skiby? Coby z ciebie było, gdyby nie te brózdy, które pług, ręką człowieka kierowany wyoruje? Czybyś nie zdziczała, czyby zamiast chlebodajnych kłosów nie obradzały się na tobie niepożyteczne zielska, chwasty, osty, ciernie i głogi? Czyż w takim razie, gdyby cię nie tknął pług roli, mogłoby wzrosnąć ziarno i wydać w czasie żniwa plon obfity? A cóżby na to rzekła moja stodoła?“ Tu nagle zabłysła szczęśliwa myśl w głowie Stanisława. „O zaprawdę!“ mówił daléj, „i moje serce to także kawałeczek pola, który porównać można z ziemią. I serce musi być uprawione, i na niém muszą być wyorane brózdy lemieszem nieszczęść, bólów i cierpień, boby inaczéj stwardniało jak kamień, a wtenczas nie cnoty, ale grzechy by w niém się pleniły. Ale jest wielki oracz, który serca ludzkie uprawia, aby ziarno słowa Bożego wyrosło w bujne kłosy, i aby było w czasie wielkiego żniwa nawiązać z czego snopów do téj tam stodoły w górze, zbudowanéj z samych gwiazd i gwiazdeczek. Tym oraczem to Bóg, lemieszem cierpienia i nieszczęścia, a kłosami dobre uczynki. O niechże tedy — zawołał daléj Stanisław, przyczém jego twarz i oczy zajaśniały weselem — niechże zawsze i wszędzie dzieje się wola Ojca naszego, który jest w niebiesiech.“ Padł na kolana Stanisław, modląc się szczerze, gorąco, serdecznie. I rozlał się w jego sercu niebiański pokój; już nie wątpił, nie biadał, nie rozpaczał. Stanisław po krótkiéj chwili jął się znowu pracy, orząc czarną ziemię w długie, głębokie brózdy.

(Tworzymir z Wielkopolski).

52. Pusta wyspa.

Człowiek jeden dobroczynny chcąc sługę swego uszczęśliwić, obdarzył go wolnością, dał mu okręt, a w nim towary, którymiby mógł handel prowadzić. Puścił się ów sługa na morze, a wkrótce taka powstała burza, iż zapędzony na skały okręt rozbił się w kawałki. Utonęły towary, i ledwo się sam na ląd dostał. Opłakiwał swój stan nędzny, siedząc na brzegu; gdy zaś wszedł na pagórek, spostrzegł z daleka miasto i zaraz się tam udał. Jeszcze był pół drogi nie uszedł, kiedy spotkał wielki tłum ludzi, którzy go z radosnymi okrzykami królem swoim głosząc, przybrali w kosztowne szaty i z czcią wielką ku miastu wiedli. Tam wprowadzono go do zamku i na tronie osadzono. Teraz wszyscy, zacząwszy od przedniejszych, przysięgli mu posłuszeństwo i wierność. Zrazu rozumiał ów człowiek,

iż to sen; ale gdy po uroczystych obrządkach nastąpiła uczta, i za ustąpieniem innych w pośrodku sług swoich i dworzan się obaczył, potém na wspaniałém łożu odpoczął, postanowił o nic się nie pytać, ale w cichości korzystać z szczęścia, którego nie pojmował. W dalszym czasie poznał, iż wszystko było na jawie. Niecierpliwością jednak, a bardziéj roztropną uwagą wiedziony, gdy upatrzył we wezyrze swoim niepospolitą oględność i roztropność, ośmielił go się spytać, coby znaczyło to, co się z nim dzieje; skąd to przyszło, i jakie tego dalsze skutki być mogą. „Wiedz o tém, miłościwy panie!“ rzekł wezyr, „iż tutejsi mieszkańcy innego są usposobienia niż ludzie, że uprosili sobie przecież od władz niebieskich, ażeby zawsze jeden z synów Adamowych nimi władał. Jakoż co rok jeden z nich, tak jak ty teraz, bywa zesłany, którego tak, jak ciebie przyjęli, za pana przyjmują. Gdy atoli rok się kończy, zrzucają go z tronu, odzierają z niego królewskie szaty i z zelżywością zaprowadziwszy go na brzeg morski, wsadzają na okręt, który go na dziką wyspę przewozi, gdzie ogołocony ze wszystkiego, nędzne życie prowadzić musi. Natychmiast potém nowy rządzca przybywa, i po upływie roku dzieje się z nim to samo, co i z pierwszym.“ „A byli oni przestrzeżeni wprzódy o tém, tak jak ja teraz?“ zapytał król. „Byli,“ mówił wezyr, „ale każdy z nich zbyt ujęty słodyczą stanu swojego, nie dał sobie czasu zastanowić się nad tém, czego późniéj miał doznać.“ Te słowa na wskroś przejęły króla. Tak więc odezwał się zaraz do wezyra: „Otworzyłeś mi oczy powieścią swoją; proszę teraz, daj mi radę, co mam czynić, kiedy ta koléj na mnie przyjdzie, abym, jeżli odwrócić nie mogę, przynajmniéj ulżył srogości przyszłego losu mojego!“ „Pamiętaj,“ rzekł na to wezyr, i wiedz, że jakeś tu wszedł, tak i wynijdziesz. Jeden ci tylko sposób do zapobieżenia złemu zostaje. Póki masz jeszcze sposobność, przesélaj na tę pustą wyspę, dokąd cię zawiozą, żywności dostatkiem i tyle, ile będziesz mógł dostać, rzemieślników i pomocników, którzy ci tymczasem dom zbudują, w żywność opatrzą i grunt uprawią, a naówczas gdy tam przyjdziesz, wszystko nietylko co do potrzeby, ale i co do wygody i dostatku znajdziesz.“ — Stało się tak, a kiedy wszystko na wyspie było w pogotowiu, ów król, zamiast iżby się końca panowania swego lękał, czekał niecierpliwie owéj chwili, która mu przygotowanych dostatków stale używać dozwoli. Gdy wreszcie nadszedł dzień, iż króla związano i na pusty brzeg wyspy wywieziono, biegli ze wszystkich stron robotnicy mu naprzeciw, ukazując dobrze uprawne role, zielone łąki i piękne błonia, na których dobrane trzody się pasły, a prowadząc go daléj w głąb wyspy, ukazali mu już zdala piękny pałac, śród kwitnących ogrodów stojący. Tu więc żył król o wiele szczęśliwiéj, niż w dawniejszém królestwie.

Owo miasto w tém podobieństwie opisane oznacza świat, na którym nowonarodzonego człowieka i usługa i wygoda oczekuje. Pochlebcy królewscy są to pokusy do grzechu nas wiodące. Wezyrem to rozum, uczący nas, co czynić a czego się wystrzegać mamy i co nas oczekuje. Daléj pusta wyspa to przyszłość wcześnie usposobiona, wreszcie żywność i sługi to nasze dobre uczynki.

(Ignacy Krasicki).

53. Głos sumienia.

Onego czasu żył bogaty człowiek, imieniem Chryzes, a był on mąż chciwy i twardego serca. I rozkazał sługom swym wypędzić z jednego z swych domów ubogą wdowę z dziećmi, albowiem nie mogła zapłacić rocznego czynszu. Gdy tedy słudzy przyszli, rzekła biedna niewiasta: „Poczekajcie jeszcze chwilkę! może się zmiłuje pan wasz nademną, Pójdę doń i błagać go będę.“ I poszła biedna wdowa do bogatego człowieka z czworgiem małych dziatek; bowiem jedno było chore, a wszystkie żebrały miłosierdzia. Lecz Chryzes rzekł: „Nie odmienię słowa mego, chyba iż zapłacicie cały czynsz; inaczéj stanie się według rozkazu.“ A matka płakała gorzkiemi łzami i mówiła: „Małe moje dziecię leży w domu w niemocy wielkiéj, a jakżeż mogłam iść na zarobek, a opuścić je?“ I biedne sieroty błagały ze łkaniem, by ich nie wypędzał z matką. Lecz Chryzes, człowiek bogaty, odwrócił od nich oblicze i poszedł do swego chłodnika i siadł na wezgłowiu, by odpoczywać, jako był zwyczaj jego po wszystkie dni. Obok chłodnika płynął strumyk. Dzień był parny, a była cichość jak przed burzą. I Chryzes słyszał, jak szeleściała trzcina nad strumieniem, a zdało mu się, iż leży na brzegu morza, którego fale zaczynają coraz groźniéj szumieć, i zadrżał w swym chłodniku. Słuchał znowu, aż tu zagrzmiało zdala, a on usłyszał w tym grzmocie głos sądu. Wtenczas zerwał się, pospieszył do domu i rozkazał sługom swoim otworzyć znowu dom wdowie i sierotom. Ale ona była już poszła z niemi do lasu, a nigdzie nie znaleźli jéj słudzy. Tymczasem nadeszła burza, i pioruny biły, i deszcz lał się w potokach. Chryzes zaś zasmucił się w swém sercu i chodził niespokojny. Nazajutrz donieśli mu słudzy, iż chore niemowlę znaleźli umarłe w lesie, a matki z drugiemi znaleść nie mogli. Na on czas zbrzydł mu ogród jego i chłodnik i wezgłowie, a żył w niepokoju i udręczeniu. Niedługo potém zapadł w ciężką niemoc, a w swéj gorączce słyszał jeszcze szelest trzciny, szum potoku i głuche bicie gromu. I tak skończył.

„Bądźcie miłosierni, jako Ojciec wasz w niebiesiech miłosierny jest.“

B. Baśnie, klechdy i podania ludowe.

54. Chłopek Roztropek.

Około południa przybywszy do nieznajomej wioski pewien chłopek, którego Roztropkiem nazywano, widzi tłum zebranego ludu. Wójt, dziesiętnicy i starcy żywo coś ze sobą rozmawiają, a przed nimi wrzaskliwie przedkładają swe skargi dwie przeciwne strony: zaczepna i odporna, żałująca się i obżałowana. „O co tu chodzi?“ zapytał Roztropek. „Tu widzę spór jakiś; może się przydam na co!“ „Chodzi o to,“ odpowiedział jeden z obecnych, „że ci dwaj trzymający się za konia, oskarżają siebie nawzajem o ukradzenie tegoż. Cała rzecz tak się ma: Nasz sąsiad kupił na wczorajszym kiermaszu w pobliskiém miasteczku tego konia, a dziś złapał na nim w swéj stajni tego cygana, który dowodzi, że koń jego jest własnością domowéj hodowli, że go miał przez sześć lat blisko, że mu go skradli przed tygodniem, że wreszcie dzisiaj poznawszy go w stajni naszego sąsiada, wziął jako swą własność i sąsiada o kradzież nawet pomawia. Z któréjże tu strony kłamstwo, a z któréj prawda?“ „Szydło w worku nie utai się, — zaraz prawda jak oliwa na wierzch wyjdzie!“ odpowiedział Roztropek, a zakrywając połą swéj siermięgi głowę konia, rzekł: „No! cyganie, co? poznałeś swego konia w cudzéj stajni? Jeżeli on jest twojéj domowéj hodowli i przez sześć lat był u ciebie, powiedz, ale tylko prędko i bez namysłu: na które oko jest kosy?“ „Na które oko, panie miłościwy?“ „Tak, mów natychmiast, bo kiedy nie powiesz, koń nie twój!“ „Jakżebym, panie miłościwy, nie miał powiedzieć, ale bo koń mój tylko trochę kosooki, widzi jednak dobrze!“ „Mniejsza czy trochę, czy wiele. Mów tylko na które oko i nie zająkaj się, bo przegrasz!“ „Na prawe, panie miłościwy!“ Roztropek ukazawszy z pod poły prawe oko konia, wszystkich obecnych przekonał, że wcale nie jest kose. „Ach, panie miłościwy, pomyliłem się!“ zawołał cygan, machnąwszy ręką i cisnąwszy czapkę o ziemę, „pomyliłem się!... ale koń ma cztery nogi, a potknie się. Cóż więc dziwnego, że czasem język nie tak powie, jak głowa pomyśli! Koń ten kosy jest na lewe oko, tak na lewe!“ Roztropek całkiem odkrył głowę konia i zawołał: „Kłamiesz, cyganie! bezczelnie kłamiesz! Koń jest własnością tego kmiotka, a ty skraść go chciałeś!.. Patrzcie wszyscy! Oto koń oba oczy ma zwyczajne, żadne nie jest kose!“

— Cygan widząc swą przegraną, chciał nieborak drapnąć; ale go dopędzili i związali; Roztropka zaś uczęstowawszy i ugościwszy, jeszcze na drogę opatrzyli.

(Gliński).

55. O starym wilku i o lisku filucie.

Przed laty było na świecie wszystko inaczéj niż dzisiaj. Spytać tylko starych ludzi, a oni nam dziwy powiedzą o owych dawnych czasach. Nasłuchałem ja się nieraz takich powiastek od mego nieboszczyka dziada, który był wielkim myśliwym. Pewnego wieczora opowiadał mi téż następującą historyą o wilku i lisie:

Była raz zima, Mosanie, co to ha! Para na powietrzu marzła, a pod nogami śnieg skrzypiał jak zardzewiałe zawiasy w piwnicy. Takiéj tedy zimy chodziło sobie stare wilczysko po lesie i wołało: anu! anu! Wtém spotyka go lisek hultaj i rzecze: „Bracie wilku, dla czego to tak smutno?“ „Nie ma być smutno!“ odpowiada wilk z pokorą, „kiedy w brzuchu pustki, a tu się też i zębów przyjadło i pazury tępe!“ Ulitował się lis nad jego niedolą i zaprosił go z sobą na śniadanie do wsi, w któréj kmiotek Strogarz wyprawiał córce wesele. „Oj! będziemy mieli stypę,“ rzekł lis do wilka; „są tam połcie na poddaszu, trzeba nam ich skosztować.“ I wdrapali się pod zapolem na górę; ale miasto połci znaleźli tylko placki pszenne, które wilkowi nie bardzo smakowały; więc z wielkiéj rozpaczy zawołał: anu! anu! Usłyszawszy to gospodyni Strogarka, daléj na górę, a za nią reszta gości z kijami i cepami. Lisek zwąchnął, co się święci, wyskoczył na dach i nakrył się ogonem, że go ani widnąć. Ale wilk niezgraba uwiązł w dziurze. Nuż tedy po nim łupu, cupu, łupu, cupu, aż w niebie było słychać. O mało, że nie zginął pod takimi razami. Strach przypomniał mu jednak dawną odwagę i siłę; rzucił się więc na przebój, powalił kilku parobczaków o ziemię i prysnął. Lisek tymczasem zlazł cichutko po drabi do sadu, ze sadu bróżdą za płot, a potém ku kniei, pod którą napotkał wilka, wylizującego sobie cięgi ze skóry, i zaczął go przepraszać i użalał się nad nim. Cóż jednak po żalach, kiedy złe nie da się naprawić. Więc téż wilk rozgniewany zawołał: „Com dostał, tom dostał, ale poczekaj jeno ty lisie! Jeżeli mi się nie wystarasz o śniadanie, nauczę cię po kościele gwizdać.“ Oj źle! myśli sobie lis filut; łasi się wilkowi i mówi: „Mięsa ci dać nie mogę, braciszku, ale téż dzisiaj post na mięso. Pójdźmy lepiéj na ryby; są tu w jeziorze karpie jak woły.“ Udobruchawszy tym sposobem wilka, prowadzi go z sobą na jezioro, w którém przed chwilą wyrąbano przerębel, i rzecze: „A wiesz ty, jak ja ryby łowię?... Oto wpuszczę mój ogon we wodę, to mi się

u niego ryb nauwiesza jak mrówek. Zarazbym ci to pokazał, ale szelmy rybki tak już mój ogon poznały, że z daleka od niego uciekają. Twój ogon tęższy, braciszku, tyś też silniejszy odemnię, to więcéj potrafisz wyciągnąć. A więc daléj wpuść ogon w przerębel, ja ci zaś powiem, rychło będzie czas wydobyć.“ Poczciwe wilczysko uwierzyło. Siada tedy sobie na lodzie i zapuszcza ogon we wodę. A był wtedy mróz trzaskający: gwiazdy się na niebie jaskrawo iskrzyły, jezioro hukało straszliwie. Nie dziw, że wilka coś w ogon uziębia. Ledwo też usiadł, pyta się: „A co, są tam już?“ „Jeszcze nie,“ odpowiada lisek, „ale będą zaraz.“ Wilk siedzi, siedzi, i coraz mu zimniéj; więc znowu pyta: „A co, są tam już?“ „Oj są, braciszku, ale się nie rusz, bo uciekną.“ Jeszcze chwilkę wilk siedzi spokojnie. Kiedy już dłużéj wytrzymać nie może, chce powstać, ale nie może. Próbuje zwolna raz jeszcze, ale i tą razą nie może. Jak się więc odsadzi, jak szarpnie, aż mu w krzyżach trzasło, a ogona nie wyciągnął. Drugi raz tedy poszarpnął, aż mu oczy na wierzch wyszły; nie wyciągnął przecież ogona, który porządnie przymarzł do lodu. Wilk tymczasem myślał, że to taka siła ryb u niego wisi, i woła lisa na pomoc. Lis jednak heł, heł, ku kniei, jak oparzony umykał. Dopiero wilczysko poznaje, że go oszukano i wyje w rozpaczy straszliwie. Tém wyciem obudzeni wieśniacy, wypadli z widłami i zakłuli go na jeziorze.

Taki był koniec starego wilka. Teraz opowiem, co się stało późniéj z lisem.

Lis, jak wiadomo, jest drapieżny. Orzeł jest także drapieżny. Obaj polują na słabsze zwierzęta i żywią się niemi; swój swego zwąchnie od razu. Więc też orzeł poznał się z lisem i zaprosił go na chrzciny swego syna. Było na tych chrzcinach wielu innych gości: był tam wilczek młody, był kot szary, był i pies. Wszyscy się wybornie bawili, a rozweseliwszy się trochę, opowiadali, jak który poluje. Orzeł tedy swoje polowanie najbardziéj przechwalał, mówiąc do lisa: „Co mi tam wy! kmotrze; chodzicie jak żółw po ziemi. Że mnie to mi to myśliwy! Kiedy sobie podletę ku chmurom, widzę całą ziemię naraz, każdego ptaszka w gniazdku, każdego zajączka w kotlinie i wybiorę co najtłuściejsze.“ Spodobało się to lisowi, i rzekł: „Prawda, kmotrze! jabym też tak chciał polować, ale nie każdy umie latać!“ „Czemu nie każdy?“ zawołał orzeł zdziwiony; „a cóż w świecie łatwiejszego niż latać? Ja was zaraz, kmotrze, nauczę.“ Ręczę, żeby lis temu nie był uwierzył, gdyby był trzeźwy, ale podchmielony porządnie, przystał na wezwanie orła, który go bierze w swe szpony, a podleciawszy wysoko, puszcza i mówi: „No! teraz sami lećcie, ale na ukos, kmotrze, na ukos, bobyście kark skręcili.“ Lis pewno tego nie rozumiał, bo leciał na dół jak

kula, a spadł jak kamień na ziemię. Raz tylko drgnął, przewrócił się brzuchem do góry i wyszczerzył zęby. Widząc to orzeł z góry, zapytał się: „Cóż wam to tak śmieszno, kmotrze?“ Kto chce wiedzieć, co na to lisek odpowiedział, niech go się sam zapyta.

(Z „Przyjaciela ludu“).

56. O staruszku i staruszce i o złotéj rybce.

Nad brzegiem morza stała chatka, a w téj chatce czasem w zgodzie, częściéj w zwadzie żyli sobie staruszkowie. Starzec, rybak zawołany, był z dobroci serca znany; jego żona była wprawdzie pracowita, ale zwykle zła kobieta: mściwa, chciwa, świegotliwa, a tak w gniewie popędliwa, że mąż czyściec cierpiał od niéj.

Raz staruszek na połów ryb poszedł. Zarzucił pierwszy raz sieci, wyciągnął pełne gleju: zarzucił raz drugi, wyciągnął pełne trawy; zarzucił raz trzeci, złotą rybkę złowił. „Ach! rybaku nad rybaki,“ odezwała się doń złota rybka, „nie gub mnie biednéj rybeczki, a co zażądasz, bez sprzeczki dam ci za siebie w okupie. Tylko mnie puść!“ Staruszek zdziwił się i zląkł się nieco. Przez trzydzieści przeszło lat bawił się rybołowstwem na morzu, a pierwszy raz zdarzyło mu się słyszeć, żeby ryba ludzką mowę miała. „Pan Bóg z tobą, złota rybko; nie chcę okupu za ciebie. Płyń sobie gdzie ci się podoba, używaj drogiéj ci swobody!“ Rybak tak rzekł do złotéj rybki, wyjął ją potém z sieci i puścił w morze; ale ona czynem rybaka zdziwiona obróciła się ku niemu i rzecze: „Bóg ci zapłać za twą litość! pomnij jednakże, staruszku, żem ci moje winna życie. W każdéj więc nagłéj potrzebie przychódź na te brzegi śmiało i gdy tak a tak zawołasz, na każde takie wezwanie złota rybka wnet tu stanie i spełni twoje żądanie.“ Rybka go nauczyła, jak ją miał wywoływać, i popłynęła, a staruszek postał, popatrzył i do domu poszedł. W domu zaczął zdarzenie to opowiadać. „Złapałem był dzisiaj rybkę, ale rybkę nie lada, bo złotą i jak człek gada, a tak czule mnie błagała, bym ją puścił, obiecując za to wszystko, co tylko zechcę, żem się wreszcie ulitował, gubić biedną pożałował i puściłem.“ „Ach ty taki, ty owaki!“ zawołała staruszka z gniewem. „Dać się rybce oszukać?!... Czemuż było nie wziąść okupu? Choćbyś wziął od niéj koryto, bo nasze całkiem się rozszczepiło, i nie będzie w czém wieprzom zamieszać.“ Staruszka wrzeszczy a wrzeszczy; staruszek zaś nasunąwszy czapkę na uszy, wyszedł milczkiem z domu. Przychodzi na brzeg morza i westchnąwszy, zawołał:

„O złota rybko! płyń ku mnie szybko.
Bo moja żona tak oburzona

Na mnie biednego, żem bez żadnego
Powrócił łupu. — Chcę więc okupu
Żądać od ciebie!“

Z lekka poruszyło się morze, i z małych falek wyjrzawszy złota rybka, pyta: „Czegoż więc żądasz, staruszku?“ Staruszek nisko rybce się pokłonił i rzekł: „Zmiłuj się, pani rybko! Wyłajała mnie moja staruszka i nie daje mi więcéj pokoju. Potrzebuje koniecznie nowego koryta, gdyż stare rozszczepiło się całkiém.“ „Nie smuć się, staruszku!“ złota rybka odpowiedziała. „Idź sobie z Bogiem, a nowe koryto mieć będziesz.“ — Powróciwszy starzec do domu, znalazł już nowe koryto; ale stojąca nad niém staruszka rozwrzeszczała się jeszcze bardziéj. „Oj ty głowo do pozłoty! Cóżeś to u złotéj rybki wyprosił? koryto? to mi łaska, co i trzech groszy nie warta! Idź znowu do rybki, pokłoń się i poproś, niech nam da nowy domek.“ Poszedł starzec nad morze, poskrobał się w głowę, westchnął i zawołał:

„O złota rybko! płyń ku mnie szybko,
Bo moja żona tak oburzona
Na mnie biednego, że już innego
Chce żądać daru!“

Zaszumiało morze, i ze spienionéj fali ukazała sie złota rybka i rzecze: „Czegoż żądasz, staruszku?“ Staruszek nisko się pokłonił i mówi: „Zmiłuj się, pani rybko! Staruszka moja jeszcze bardziéj gniewa się na mnie i niedaje pokoju. Zachciało jéj się domku nowego.“ „Nie smuć się, staruszku,“ rybka odrzekła, „tylko idź sobie z Bogiem, a nowy domek będzie!“ Powraca tedy starzec do siebie i patrzy zdziwiony: starego domu niema ani śladu, a na jego miejscu stoi nowy na podmurowaniu z białym kominem, ze świetlicą, z kaflanym piecem. Ale staruszka patrząc przez okno, krzyczy, co ma siły, na starca: „Ach ty starcze nic dobrego! Miał o co prosić! — o domek! Wróć się gapiu do rybki i powiedz, że nie chcę być chłopką, ale zostać panią!“ Idzie tedy staruszek nad morze, poskrobał się w głowę, westchnął i zawołał:

„O złota rybko! płyń ku mnie szybko,
Bo moja żona tak oburzona
Na mnie biednego, że znów innego
Chce żądać daru!“

Zahuczało wzburzone morze; z mętnéj wody wyjrzała złota rybka i rzekła: „Czegoż żądasz, staruszku?“ „Zlituj się, pani rybko!“ odpowiedział staruszek. „Baba moja okropnie się gniewa i nie daje pokoju. Nie chce być chłopką, chce zostać panią.“ „Nie smuć się, staruszku, i ruszaj sobie z Bogiem!“ — Powraca starzec do staruszki i patrzy — co u licha? taka złość i taka pycha!... Na

miejscu domku stoi dwór pański, a na ganku siedzi jego staruszka w jedwabnéj sukni, w aksamitnym ze wstęgami kapeluszu, z perłowymi na szyi paciorkami, ze złotymi na palcach pierścieniami. Przed nią stoją pokorni słudzy, a ona ich palantuje i chwyciwszy oburącz za włosy, wściekle targa. „Jak się masz? jaśnie wielmożna pani!“ przemówił do rozdąsanéj baby starzec. „Jesteśże teraz rada?“ „Czym ja rada, czy nie rada, tobie, chłopie, nie wypada tak poufale odzywać się do mnie!... Idź precz do stajni, doglądaj mych koni!“ — Upływa tydzień i drugi. Staruszka wzięła na rozum, przywołuje ze stajni starca i mówi: „Idź mi natychmiast do złotéj rybki, pokłoń się jéj i powiedz, że nie chcę być tylko panią, chcę królową zostać!“ Usłyszawszy to żądanie, biedny starzec przeląkł się i sądząc, czy nie dostała obłąkania czasem, zawołał: „Cóż to babo, oszalałaś? czyś się blekotu objadła? Cóż ci się zdaje być królową? Ani stąpić, ani się odezwać po ludzku nie umiesz; tylkobyś siebie na śmiech wystawiła.“ Zaczerwieniła się baba jak upiór, potém pęc staruszka w policzek i krzyknie: „Jak śmiesz, chamie! przeciwić się takiéj damie? Idź do rybki! mówię ci wyraźnie, a jeźli nie słowa, to kija wnet posłuchasz!“ Poszedł staruszek nad morze, poskrobał się w głowę, westchnął i zawołał:

„O złota rybko! płyń ku mnie szybko,
Bo moja żona tak oburzona
Na mnie biednego, że znów innego
Chce żądać daru!“

Wzdęło się morze spienione, rozhukały się mętne fale, z poza których złota rybka wyjrzała i rzekła: „Czegoż jeszcze żądasz, staruszku?“ „Zlituj się, pani rybko!“ odpowiedział staruszek. „Baba moja szaleje i nie daje mi pokoju. Nie chce już być panią, chce zostać królową.“ „Dobrze!“ odpowie rybka. „Nie smuć się, starcze! idź z Bogiem sobie, a staruszka twoja królową będzie.“ — Starzec powraca do staruszki i widzi dziw nad dziwy: przed nim stoi pałac królewski, a w nim na srebrnym tronie w dyamentowéj koronie ze złotém berłem siedzi jego staruszka. Senatorom rozkazy wydaje, a pazowie i dworzanie na skinienie jéj usługują: kielichy z winem podają, wiwaty wykrzykują, muzyce grać każą. Królowa winko zapija, pozłociste pierniki zajada i prawie w taniec iść gotowa. Skoro to spostrzegł staruszek, aż mrówie po skórce mu przeszło. Ledwo pospiał czapkę schwycić z głowy, do saméj ziemi się pokłonił staruszce — królowéj i rzekł z pokorą: „Pozdrawiam cię, groźna królowo! O! teraz pewnie nie posiadasz się z radości!“ Królowa nań ani spojrzała, tylko ręką wskazała, żeby go za drzwi wyrzucić. Dworzanie wnet poskoczyli, jak złoczyńcę pochwycili i w ręce straży oddali. Straż go zewsząd obskoczyła, na ganek wyprowadziła, wyszturchała i tak

go ze schodów pchnęła, że zmięty i rozczochrany, jak strach w konopiach ubrany, wpadł nagle w pośród tłum ludu i nie bez razów i trudu wydostał się stamtąd w pole i w świat poszedł. — Mija tydzień i drugi. Staruszka — królowa zapragnęła czegoś więcéj niż królestwa. Posyła więc swego męża. Wyszukano go, przyprowadzono, a królowa rzecze do niego: „Słuchaj starcze! Idź do złotéj rybki, oświadcz jéj nasz ukłon królewski i powiedz, że nie chcę być starą królową kraju; żądam zostać młodą królową morza i złotą rybkę mieć na swe usługi!“ Starzec nie śmiał już ani pisnąć, pokłonił się tylko nisko i wyszedł. Rad, nie rad, poczesując często głowę, idzie ku morzu. Stanął nad brzegiem, westchnął głęboko, odkaszlnął i zawołał:

O złota rybko! płyń ku mnie szybko,
Bo moja żona tak oburzona
Na mnie biednego, że znów innego
Chce żądać daru!“

Morze zaszumiało, zaryczało, spienione fale piętrzyć się zaczęły. Ukazała się złota rybka i rzekła: „Czegoż jeszcze żądasz starcze?“ Starzec pokłonił się nisko i odpowiada: „Zlituj się, pani rybko! Co mam począć z babą?... Już jéj mało być starą królową kraju, chce zostać młodą królową morza i ciebie, złota rybko, mieć na swe usługi.“ Złota rybka nic nie odpowiedziała, tylko ogonem plusnęła i już na zawsze zniknęła. —

Stojąc nad brzegiem morza, długo staruszek na odpowiedź czekał, a nie doczekawszy się, do staruszki powraca. Ale cóż widzi? Oto przed nim dawna jego stara chatka, na progu przerażona jego staruszka siedzi, a przed nią rozczepione koryto stoi.

(A. J. Gliński „Bajarz polski.“)

57. Powietrze.

Siedział Rusin pod modrzewiem. Słońce piekło jakby ogień. Patrzy zdala, że coś idzie; patrzy znowu — to niewiasta! Cała płachtą obwiniona, na wysokich nogach chodzi. Zląkł się z razu, chciał uciekać; ale widmo długą ręką zatrzymało, zlęknionego. „Znasz powietrze? Ja to jestem! Weźże mnie na barki twoje i obnoś po całéj Rusi: nie pomijaj wioski, miasta, bo wszędzie zawitać muszę. Ty się nie lękaj niczego! zdrowy będziesz wśród umarłych.“ I długie ręce przewiesza na szyję biednego kmiecia. Szedł więc rusin, lecz zdziwiony, że ciężaru nic nie czuje, spojrzy za się, a tu widzi, że na barkach siedzi widmo. — Przyniósł najprzód do miasteczka. Po gospodach tańcowano; wesołość na każdéj twarzy. Ledwie zatrzymał się w rynku, niewiasta powiała płachtą.

Wnet ustały rzeźwe tany, i wesołość znikła z twarzy. Kędy spojrzy wystraszony, niosą trumny, w dzwony dzwonią. Cały cmentarz napełniony. Nie ma już gdzie grzebać ludzi! Na rynku stósami trupy leżą niegrzebione. Poszedł daléj. Gdzie wieś przyjdzie, tam zastaną puste domy. Z bladém licem, drżąc z bojaźni, uciekają zewsząd ludzie, a po drogach, lasach, polach konający w bólach krzyczą. — Na wysokim wzgórzu stała wioska jego, kędy mieszkał wieśniak, co nosił powietrze; tam miał żonę, drobne dzieci i stare rodzice swoje. Zakrwawiło mu się serce. Więc okrąża wioskę swoję. Silnie pochwycił niewiastę, by mu z barków nie uciekła. Spojrzy: widzi Prut niebieski, za nim wszędy coraz wyższe stoją góry zielonawe, daléj czarne, aż najwyższe białe śniegiem. Spieszy prosto więc do rzeki; skacze, cały się zanurza, chcąc utopić i niewiastę, by ochronił od pomoru i od klęski ruską ziemię. Sam utonął, lecz powietrze, co niesione nie ciężyło, i utonąć téż nie mogło, przestraszone tą odwagą, uciekło w lasy na góry. — Tak ocalił swoję wioskę, rodzice, żonę i dziatki i resztę téj ruskiéj ziemi, gdzie nie poniósł złéj niewiasty.

(K. Wł. Wojcicki).

58. Twardowski.

Twardowski, co całe życie pracował nad tém, aby wynaleść środek oparcia się śmierci, wynalazł wreszcie sposób pewny. Na kilka lat przed porwaniem swojém zaufanemu uczniowi kazał się posiekać w kawałki i przepisał mu, jak daléj ma postępować. Uczeń rozgłosił śmierć Twardowskiego. Jakoż znikł czarnoksiężnik, a uczeń tymczasem krajał jego ciało, siekał, gotował zioła i maście. Tak posiekawszy, maścią nasmarował, zlał sokami roślin i złożył napowrót ciało, jak należy. Nie pochowano go jednak na cmentarzu, ale pod murem otaczającym cmentarz w koło. Twardowski polecił, aby przez trzy lata, siedm miesięcy, siedm dni i siedm godzin leżało ciało nieodkrywane. Wierny uczeń dotrzymał sumiennie przepisu i czasu odkopania grobu. O północy w pełni księżyca sam z rydlem, zapaliwszy siedm świec z tłustości trupiéj, wziął się do roboty, zrzucił ziemię, oderwał nadgniłe wieko. Jakiż podziw! Zwłoki Twardowskiego znikły; w miejscu wiorów, na których leżały, kwitły wonne fiołki i macierzanka. Na téj to murawie spoczywało snem ujęte nadobne dzieciątko, zachowawszy w zdrobniałych rysach oblicze Twardowskiego. Wziął to dziecię, zaniósł do domu; przez noc urosło, by przez rok. Za siedm dni już mówiło tak o wszystkiém, jak Twardowski w czarnoksięstwie. Wynagrodził Twardowski

sowicie wiernego ucznia. Wszakże zaraz, żeby tajemnica odrodzenia nie wyszła na jaw, zaklął go w pająka, trzymał w swojéj komnacie, mając o nim czułe staranie.

(K. Wł. Wojcicki).

59. Waligóra i Wyrwidąb.

Żona jednego myśliwca zbierając w lesie jagody, umarła, zostawiwszy dwa niemowlęta równego wieku. Dzieciątka te były chłopcy. Nie karmiła ich żadna z niewiast, ale jednego żywiła wilczyca, a drugiego niedźwiedzica. Pierwszy nazywał się Waligóra, drugi Wyrwidąb; pierwszy siłą walił góry, drugi jakby kłosy zboża najtęższe wyrywał dęby. Kochali się wzajemnie i udali się na wędrówkę, by obchodzić świat szeroki. Razu jednego idą przez puszczę ciemną dzień jeden i drugi. W trzecim dniu się zatrzymali, bo drogę zaparła góra i skalista i wysoka. „Co zrobimy teraz, bracie?“ Wyrwidąb smutnie zawoła. „Nie troskaj się, bracie miły! Ja tę górę precz odrzucę, by nam droga wolną była.“ I podpiera ją plecami i przewraca górę z trzaskiem; odsunął ją na pół mili. Poszli zatém sobie daléj. Idą prosto, aż dąb wielki stoi na środku drogi i zatrzymuje ich w pochodzie. Wyrwidąb więc naprzód idzie, obejmuje go rękoma, wyrywa z całym korzeniem i rzuca na bliską rzekę. Ale chociaż tacy mocni, nogi przecież utrudzili; więc pod lasem odpoczęli. Jeszcze sen nie skleił powiek, patrzą, aż mały człowiek leci ku nim, lecz tak prędko, że ptak żaden, ni zwierz żaden, nie potrafiłby go zgonić. Zdziwieni stają na nogi, gdy on człeczek w ptaszym locie, zatrzymuje się przed nimi. „Jak się macie, parobczaki!“ rzekł wesoło i radośnie. „Widzę, żeście utrudzeni. Jeżeli wola wasza będzie, w jednéj chwili was zaniosę tam, gdzie tylko zażądacie.“ Rozwinął piękny kobierzec. „No, siadajcie społy zemną!“ Wyrwidąb więc z Waligórą usiedli wygodnie na nim. Człeczek klasnął, a kobierzec niesie ich by ptak na skrzydłach. „Zapewne was to dziwiło,“ człeczek mały znowu rzeknie, „żem tak prędko biegł po ziemi? Widzicie oto trzewiki, com dostał od czarownika; kiedy wdzieję, wtedy biegnę co krok, to mila; co skoczę, to dwie.“ Waligóra prosi tedy, Wyrwidąb łączy swe prośby, by dał po jednym trzewiku, bo chociaż są tacy mocni, jednak droga nogi trudzi. Poruszony człek prośbami, podarował im trzewiki. — Gdy nie mało ulecieli, zsadził ich pod wielkiém miastem, a w tém mieście był smok wielki, który co dzień ludzi zjadał. Król ogłosił: „Kto się znajdzie, że tego smoka zabije, dwie mam córy do wyboru, jednę oddam mu za żonę i po śmierci tron swój oddam.“ Stają więc bracia przed królem, oświadczają swą gotowość, że zabiją tego

smoka. Pokazano im jaskinią, gdzie ten potwor zamieszkiwał. Idą śmiało: na pół drogi znów się mały człeczek zjawia. „Jak się macie, przyjaciele! wiem, gdzie kres jest waszéj drogi; lecz posłuchajcie méj rady: włóż każdy na nogę trzewik, bo smok, jak wyskoczy nagle, nie da nawet machnąć ręką.“ Posłuchali mądréj rady. Wyrwidąb stanął przed jamą. Wzniósł z zamachem dąb ogromny, by jak tylko łeb ukaże, jednym ciosem smoka zabił. Waligóra zaszedł z tyłu i jaskinią z szczeréj skały trzęsie, jakby snopem żyta. Smok wypada z jamy nagle, a Wyrwidąb przestraszony zapomniawszy i o kłodzie, co ją trzymał w obu rękach, szczęściem, że wdział dany trzewik, uskoczył wnet na dwie mile. Smok nie mogąc go dogonić, zwrócił się na Waligórę. Ten z przestrachu skałę podniósł i z zamachem silnie rzucił, a głaz świszcząc padł na ziemię i przycisnął ogon smoka. Waligóra choć tak mocny w tył uskoczył na dwie mile i zobaczył brata swego. „Idźmy teraz, bracie, razem! Smok się z miejsca nie poruszy. Ty go uderz kłodą z dębu, a ja go przywalę górą.“ Idą naprzód więcéj śmiało; jeden w ręku niesie górę, a drugi dębem wywija. Zawył smok jak stado wilków, widząc obu przeciwników. Chciał się rzucić, lecz daremnie; ogon ciężki głaz przyciska. Wyrwidąb uderza silnie i rozgniata łeb na miazgę, a brat jego rzuca górę i zakrywa całe ścierwo. — Król już czekał. Przyjął obu i dał im po jednéj córce; a kiedy niedługo umarł, król stwem się podzielili i szczęśliwie sobie żyli.

(K. Wł. Wojcicki).

69. Pieczary w Czarnéj Górze.

Koło Czarnéj Góry (w Kołomyskim obwodzie w Galicyi) jak tylko słońce zajdzie, słychać szum i brzęk łańcuchów, a wśród nocy widać przy księżycu widma rozbójników czyli opryszków, którzy tu przed wiekami gościli i mordy i pożogi stalowymi toporkami po przyległych osadach szerzyli, obdzierając podróżnych, zabierając skarby z kościołów, zgromadzając je do pieczar i tam zagrzebując. Skarby tych rozbójników leżą do dziś dnia jeszcze w beczkach; lecz rzadko komu się zdarzy namacać drzwi do nich prowadzące.

Razu jednego widział biedny wieśniak, który za zalomem skały drzewo ściąć zamyślał, zwolna przez las postępującego pustelnika, i aby od niego nie był spostrzeżony, schował się za grube drzewo. Pustelnik przeszedł koło niego i wszedł w opokę. Wieśniak zwolna szedł za nim i ujrzał, jak tenże przy małych drzwiczkach zatrzymał się, których nikt dotąd z sioła nie uważał. Pustelnik zakołatał z cicha i wyrzekł: „Fórtko, otwórz się!“ a drzwi odskoczyły; na drugi rozkaz: „fórtko, zawrzyj się!“ znowu się zawarły. Wieśniak

drżał, jak listek osicowy, jednak pomimowolnie gałązkami to miejsce naznaczył. Od tego czasu wciąż go coś ciągnęło, aby się dowiedzieć, coby w tych pieczarach było. Pościł więc w najbliższą sobotę, a z wschodzącém słońcem, w niedzielę, opatrzony święconą kredą, udał się w oznaczone miejsce. Z dreszczem i zębami dzwoniąc, przystąpił ku drzwiom i długo podsłuchiwał, lecz nic nie słyszał. Nakoniec zakołatał na pół bez pamięci w drzwiczki: „fórtko, otwórz się!“ wyrzekł słabym i cichym głosem. Odskoczyły drzwiczki, a on ujrzał się w ciemnéj pieczarze, a głębiéj obaczył obszerną i jasną izbę. Tutaj stały w wielkich kadziach białe talary i czerwone złote, tam leżało skrzyneczek bez liku z perłami i drogimi kamieniami; szczerozłote krzyże, obrazy świętych to leżały, to stały po kątach izby na srebrnych stołach. Żegnał się wieśniak i wolałby był być sto mil od zaczarowanego miejsca oddalonym, nie mógł się jednakowoż wstrzymać, aby cokolwiek z tych skarbów nie wziął na przyodziewek dla swéj żony i ośmiorga dzieci, które prawie nago chodziły. Przeżegnał się, z bojaźnią sięgnął ręką do kadzi i wziął sobie garść tych białych pieniędzy. Zaraz potém uchwycił się za głowę, lecz ta jeszcze na swojém stała miejscu. Nieco ośmielony wziął jeszcze drugą garść białych drobnych pieniędzy i udał się ku drzwiom. „Przyjdź znowu!“ odezwał się gruby głos z głębi pieczary. Wszystko teraz koło niego krążyło; zaćmiło mu się w oczach i ledwo mógł: „fórtko, otwórz się!“ wyrzec. Drzwi odskoczyły. Głośniejszym już i weselszym głosem krzyknął: „fórtko, zamknij się!“ a drzwi się zawarły. Spiesznie powrócił do domu, lecz nie powiedział o tém nikomu, że znalazł skarby; poszedł do kościoła i dał dwie dziesiąte tego, co wziął, na ubogich. Nazajutrz poszedł do miasta, kupił co najpotrzebniejszego żonie i dzieciom i mówił, że zaśniedziały talar ten i stare złotówki znalazł pod korzeniem ściętego drzewa.

Następującéj niedzieli poszedł z mniejszą bojaźnią, a odważniejszym krokiem ku drzwiom opoki, postąpił sobie jak dawniéj i nabrał miernie do kieszeni. „Przyjdź znowu!“ odezwał się gruby głos a on przyszedł znowu trzeciéj niedzieli i napełnił jak pierwéj swoje kieszenie. Teraz był już sobie bogatym gospodarzem, i nie wiedząc, co miał robić z owém wielkiém bogactwem, rozdał na ubogich dwie dziesięciny tego wszystkiego, co posiadał, a co się pozostało, postanowił w piwnicy zakopać, aby z téj gotowizny w przypadku mógł sobie po łódz. Jednakże chciał wprzódy pieniądze swoje przemierzyć, bo się za młodu rachować nie nauczył. Poszedł tedy pożyczyć miarki od sąsiada, wielkiego bogacza, który przy swojém bogactwie głód cierpiał, z lichwą żytem kupczył, robotnikom zarobek umniejszał, płacy nie dawał, wdowom i sierotom należytości nie wracał, pienią-

dze na fanty dawał, — dzieci nie miał żadnych. Ale w miarze były duże szpary, przez które, jak żyto ubogim robotnikom sprzedawał, strząsane ziarna wylatywały a które on znowu zgarniał na swoję kupę. Między te szpary zaroniło się kilka białych małych pieniędzy, których wieśniak nie wytrząsł, a które nie uszły baczności sokolego oka chciwego sąsiada. Udał się więc do wieśniaka, zapytując się, coby mierzył miarką. „Leśne nasienie i laskowe orzechy," odpowiedział tenże z zająknieniem. Wstrząsając głową, pokazał mu lichwiarz srebrne pieniądze, groził sądem i mękami. I tak powoli wyłudził z niego tajemnicę.

Cały tydzień przemyśliwał nad tem bogacz, jakby zaraz cały skarb z pieczary wydostać; a jakby już cały skarb miał u siebie, przedstawiał sobie, jak go będzie liczył, pomału jeden łan po drugim jednę niwę po drugiéj od swych sąsiadów na wpół darmo skupował, albo procesował, lub krzywemi skargami zarabiał. A jakby takim sposobem całą wieś zakupił, wyobrażał sobie, jak jedno sioło po drugiém, zamek za zamkiem nabywać będzie, aż wreszcie książęciem zostanie.

Wieśniakowi tymczasem nie było po myśli, że się jego sąsiad zawistny do pieczar wybiera. Prosił go, aby zaniechał tego przedsięwzięcia, przestrzegał go, wystawiał niebezpieczeństwa i opowiadał tysiąc powieści o marném zginieniu tych, którzy pieniądze kopali. — Lecz któż zdoła odwieść skąpca od rozwiązanego worku z czerwonymi złotymi? Przez różne wreszcie groźby i prożby dał się wieśniak użyć, aby z nim jeszcze raz do drzwi pieczar szedł, a tam miał on wory, które lichwiarz napełni, odbierać. Tém to mieli się podzielić, dziesięcinę dać na ubogich i prócz tego nowe suknie posprawiać. Tak mówił skąpiec, lecz w sercu swém postanowił wieśniaka wtrącić w najgłębszą przepaść, skoro go już nie będzie potrzebował.

Następnéj tedy niedzieli wybrał się skąpiec z wieśniakiem przed wschodem słońca do pieczar w Czarnéj Górze. Dźwigał na plecach wór potężny, w którym znowu do sto mniejszych było woreczków. Wieśniak napominał go jeszcze raz ostatni, aby poprzestał chciwości, ale wszystko darmo. Klnąc i strzygąc zębami, szedł daléj skąpiec. Już byli przyszli do drzwiczek. Wieśniak, któremu się już niedobrze robiło, przeczuwał bowiem nieszczęście, został przed otworem dla odbierania podawanych worków. „Fórtko, otwórz się!" krzyknął grubym i tęgim głosem lichwiarz. Drzwi się otwarły. Wlazłszy, rzekł spiesznie, zapewne, aby mu nikt nie przeszkadzał: „fórtko, zamknij się!" a drzwi się zawarły. Ledwie tylko wszedł i przerzucił pożerającemi oczyma wszystkie kadzie, beczki i skrzyneczki ze złotem, srebrem, perłami i drogiemi kamieniami, wyjął drżącą ręką worki i woreczki aby je napełnić. W tém wyszedł z głębi pieczary wielki czar-

ny brytan z błyszczącemi oczyma i położył się na pieniędzach. Przestraszonemu lichwiarzowi zawróciło się w głowie; upuścił worki, a wielki czarny brytan pokazał mu zęby i zawył: „Po coś tu przyszedł nie nasycony lichwiarzu?“ Dreszczem przejęty, upadł na ziemię i popełzał na raka ku drzwiom, aż w strachu zapomniał jakie miał hasło. „Drzwiczki, otwórzcie się! bramo, otwórz się!“ krzyczał raz po raz, a fórtka była zamknięta.

Długo czekał na niego wieśniak z drżącém sercem. Wreszcie przystąpił bliżéj ku drzwiom. Tu usłyszał głuchy ryk i jęk pomięszany z złowieszczém wyciem psa; potém wszystko ucichło. Pomodliwszy się krótko, z lekka zapukał do drzwi, mówiąc: „fórtko, otwórz się!“ Drzwiczki się odemkły. Ale co za okropność? — Leżało krwią zbroczone ciało nędznego sąsiada, rozciągnione na worach, — a kadzie, beczki i skrzynie ze złotem, srebrem, perłami i drogimi kamieniami zapadały się zwolna w ziemię przed jego oczyma.

(Popliński).

C. Legendy.

61. Miłość prawdy.

Jan Kanty wracając pewnego razu do domu od choréj staruszki, szedł do cichego swego schronienia, odmawiając pacierze. Wieczór się zbliżał, kiedy znużony drogą, zboczył do lasu, aby odpocząć. Alić zaledwie znikł mu z oczu gościniec, gdy kilku zbójców wypadłszy z gęstwiny, otoczyło Kantego, domagając się pieniędzy i grożąc mu śmiercią, jeżeli dobrowolnie nie odda im wszystkiego, co ma przy sobie. „Śmierci się nie boję,“ odrzekł Jan spokojnie, „bo ta jest w ręku Najwyższego; lecz aby was od zbrodni zabójstwa wstrzymać, oddaję chętnie wszystko, co posiadam.“

„Przysiąż nam, że nie masz nic więcéj przy sobie!“ zawołali zbójcy.

„Bóg mi świadkiem, że to ostatek tego, co miałem,“ odrzekł pobożny Kanty. I szedł daléj drogą do domu, dziękując Stwórcy, że go wyrwał z niebezpieczeństwa, gdy — nagle sięgnąwszy ręką do kieszeni, spostrzega z przerażeniem, że w niéj jeszcze jeden pieniądz został. Strwożony, że mimowolnie kłamstwo popełnił, wraca spiesznie w stronę, w którą odbiegli zbójcy, i po długiém szukaniu, znalazłszy miejsce ich schronienia, rzecze do zdziwionych powrotem jego:

„Darujcie! skłamałem mimo chęci. Oto jeden jeszcze pieniądz pozostał mi w kieszeni, weźcie go!“

Złoczyńcy zdziwieni taką miłością prawdy, padli na kolana przed nim i wracając mu zabraną sumkę, prosili by ją między ubogich rozdzielił.

62. Dzwon we Włościejewkach.

W powiecie śremskim leży wieś Włościejewki z murowanym na wzgórzu kościołem. Mieszkańcy téj wioski opowiadają sobie, że na miejscu dzisiajszego jeziora stało niegdyś miasto Włościejewice. O dzwonach zaś włościejewskiego kościoła utrzymuje się między ludem taka legenda.

Lat temu wiele, mieszkała we Włościejewkach uboga dziewczyna, sierota opuszczona od ojca i matki. Zdarzyło się, że gdy według zwyczaju przyszła z konwiami po wodę nad jezioro, wynurzyły się z niego trzy dzwony. Jeden z nich uwiesił się dziewczynie u nosideł, a tak przyniosła go sierota do wsi. Powieszono go obok innych w dzwonnicy.

Nie długo potém umarła dziewczyna, a umarła w takiém ubóstwie, że nie było jéj za co pochować. Kiedy spuszczano ciało biednéj sieroty do grobu, nikt nawet w dzwony nie uderzył. Wtedy dzwon, który zmarła dziewczyna z wody wyniosła, sam bez dołożenia ręki ludzkiéj się odezwał i tak długo dzwonił, aż nie pękł.

(Podług Estkowskiego).

63. Kamienie ostrowskie.

Przed laty kiedy w Gostyniu dzisiajszy kościół farny zaczęto budować, znalazł się onego czasu pewien dziadek, który chcąc się przyczynić do wzniesienia świątyni, a żadnych bogactw po temu nie mając, w pokorze serca poślubił na fundamenta owego domu Bożego kwestować i znosić z całéj okolicy kamienie. Ale skoro pierwsze takie brzemię dźwignął i dla ulżenia sobie tego zbytniego ciężaru wyjąć musiał z torby kilka kamieni, by je zostawić na drodze, ujrzał zdziwiony, że jakąś osobliwszą mocą poruszone, same po ziemi toczyły się za nim. Przejęty z tego powodu większą otuchą, szedł daléj a daléj od wioski do wioski. Ludzie widząc gromady kamieni, idące za nim, niby trzody owiec za swoim pasterzem, przyjmowali go wszędzie i użyczali w daninie wszystkich kamieni z pól swoich. Wreszcie zaszedł dziadek nad łąki i strugi obrzańskie do leżącéj na górze wioski Ostrowa, gdzie naówczas mieszkał jakiś nieużyty dziedzic. Ten ofuknąwszy srodze dziadka i z jego kwesty natrząsając się jeszcze,

kiedy go precz ze swych granic wypędza i nie pozwala zabrać ani małego kamyczka, doznaje wnet ciężkiéj i zasłużonéj za to kary. Owo bowiem wielkie mnóstwo wędrujących za dziadkiem kamieni odstąpiwszy naraz swego przewodnika, rozkulnęło się po niwach téj wioski i zaległy na nich; a dziadek nową otuchą natchniony, szedł znowu daléj a daléj po kweście; zebrał ich téż jeszcze więcéj w okolicy i do Gostynia przyprowadził. —

Od tego czasu stanęła fara gostyńska, a do dziś dnia jeszcze we wszystkich okolicznych wioskach nie widać podobno tyle kamieni, ile ich jest dotąd na owéj jednéj górze ostrowskiéj.

64. Krówka Jaremy.

Żył w wiosce jednéj Jarema, młodzieniec wesoły, swywolny, jak zwykle są młodzi. Szedł on wieczorem z miasta, gdzie był na targu, a droga przez las mu wypadała. Pod lasem spotkał jakąś krówkę, która sama z pola do domu wracała. Zdjęła go swywola; wziął pręta i nuż ją popędzać tak długo, aż zagnał ją do lasu. Sam poszedł, gdzie zdążał, a krówka została w lesie.

Nazajutrz rankiem znowu idzie do miasta. O krówce i na myśl mu nie przyszło. Wtem spotkał ubogo ubraną kobietę, która załamując ręce, rzewnemi łzami płakała. Litością zdjęty, zatrzymał się i pyta:

„Cóż wam to, dobra kobieto, że tak narzekacie?“

„Zwierz jakiś,“ odrzekła, „zjadł mi krówkę jedyną, gdy się wczoraj w lesie zabłąkała, wracając do domu wieczorem. Biedna ja! bo krówka żywiła mnie wdowę z pięciorgiem dziatek, a teraz nam przyjdzie z głodu zginąć.“

„A jakiéj maści była wasza krowa?“ zapytał Jarema.

„Płowa z białą łysiną,“ odpowiedziała kobieta.

Tu poznał młodzieniec, że on stał się przyczyną nieszczęścia téj wdowy; pobladł i zamilkł, bo odezwała się w jego sercu zgryzota. Opuścił wdowę i nigdy jéj więcéj nie widział.

Od tego zdarzenia upłynęło lat kilkadziesiąt. Z czasem wszystko się zapomina; zapomniał téż i Jarema zupełnie o wdowie i jéj krówce.

Już podstarzały idzie razu jednego i zbłąkał się w drodze. Idzie dzień i noc przez puszczę, gdzie ani chaty ani człowieka, ani gospody napotkać, i tylko las i niebo ma przed sobą. Nigdzie nic nie słyszy, chyba czasem drzewa zaszumią, albo ptak nocny zajęczy. Smutno mu w duszy, aż mrówie go przechodzi i strach go ogarnia. Wreszcie bardzo strudzony, poczyna się modlić, a potém i narzekać.

Wtém zdala błysło światełko; wstąpiła w niego otucha. Dobył sił ostatnich, zdążając ku niemu. Gdy przyszedł już blisko, patrzy, a tu w około ognia siedzą ponachylani ludzie dzikiéj twarzy, uzbrojeni w strzelby; w kotle jedzenie się warzy. Pomyślał zaraz, że to rozbójnicy być muszą. Strach go przejął na nowo: ale czyż ubogi potrzebuje zbójców się lękać? Odmówił tedy modlitwę, a tak zmęczony i głodem i drogą, w pokornéj postawie przystąpił do strasznych tych ludzi i prosił, aby go na nocleg przyjęli, opowiedziawszy wpierw po krótce swoje przygody. Zbójcy zdjęci litością, nie odmówili mu téj łaski, a nawet go do wieczerzy zaprosili. Strudzony Jarema usnął po wieczerzy na murawie. Ale nie długo budzi go hałas; patrzy, — nie widzi żadnego zbójcy, tylko żołnierzy, którzy go wiążą, szarpią i biorą ze sobą.

Właśnie bowiem wtedy rząd uwiadomiony o miejscu, gdzie szajka owych rozbójników się ukrywała, wysłał potajemnie wojsko, aby ich pochwytać; ale złoczyńcy pouciekali, tylko niewinny Jarema został jak zbójca schwytany. Przyprowadzony przed sędziów, tłómaczy się, przysięga, płacze, ale nic nie pomaga; biją go, męczą, biorą na tortury: bo taki był zwyczaj wtedy, że więźniowi różne męki zadawano, aby się przyznał. Lecz do czegoż miał się przyznać Jarema, kiedy był niewinny?

Tak więc rok cały przesiedział we więzieniu. Wynędzniały bardzo, narzekał: „Boże mój! Boże! za cóż niewinny cierpieć muszę?“ W tém razu jednego pojawia mu się we śnie starzec i tak rzecze do niego:

„Czegoż narzekasz na Boga i mówisz, że cierpisz niewinnie? Czy zapomniałeś o krówce biednéj wdowy? Wiedz, że łzy cudze własnemi łzami opłacić trzeba! Bóg nie skory, lecz w sądzie surowy! Dość już teraz wycierpiałeś, wrócisz téż wkrótce do żony i dzieci.“

Poznał dopiéro teraz Jarema, że słusznie cierpiał za dawną swywolę.

Niedługo potém zbójców pochwytano, którzy zeznali o niewinności Jaremy, tak iż został na wolność puszczony.

(Z „Dzwonka).“

65. Jałmużna.

Szedł sobie ubogi dziad po kweście i wstąpił do chaty Błażeja. Ale Błażejowa taka była skąpa i chciwa, że kawałka suchego chleba nie dawszy dziadkowi, jeszcze go ofuknęła, z izby wypędziła, nie oddawszy mu nawet na drogę dobrego słowa, aby go Pan Bóg opatrzył. Dziad nic niepowiedziawszy, szedł sobie daléj od chaty

do chaty i zaszedł do chatki Jana. Janowa była bardzo dobra i miłosierna kobieta. Gdy tylko ujrzała ubogiego dziadka, zaraz ostatnie dwa kawałki chleba, dopiero co dla dzieci masłem posmarowane, od ust im odjęła i dziadkowi dała, dodając: „Niech was Pan Bóg czém lepszém opatrzy, gdyż sama biedną jestem i nie mam nic więcéj w chałupie.“ „Bóg zapłać, miłosierna kobieto! Oby cię Bóg w dziesięcioro obdarzył, obyś twoje nagie ogarnęła dzieci i sama była szczęśliwą, a jak co zaczniesz dzisiaj robić, daj ci Bóg, abyś do zachodu słońca ledwie skończyła!“ Tak mówił wychodząc dziadek. Ale Janowa nie uważała na wszystko, co dziadek mówił, ani téż nie rozumiała dobrze tego.

Było to już po południu. Dzieci Janowéj nie jadły jeszcze obiadu, ani na wieczerzę nic dla nich nie miała: nasza Janowa bowiem żywiła dwoje swych dziatek z ciężkiego wyrobku, a będąc po niedawnéj stracie męża jeszcze od smutku i zmartwienia zbolałą, nie mogła wiele pracować. — Na wiosnę dostała była od swéj bogatéj sąsiadki Błażejowéj trzy zagony lnu, za które ciężko pracować musiała. Len się udał. Zebrała go sobie, zmoczyła, wyczesała, sprzędła i dała do tkacza, który jéj z niego zrobił coć około dwadzieścia łokci płótna. To chowała na zimę na koszule dla dzieci i dla siebie.

Kiedy po odejściu dziadka dzieciom z głodu aż na płacz się zbierało, przyszło jéj na myśl zanieść na sprzedaż do karczmarza z kilka łokci płótna i kupić chleba i soli. Wzięła się więc do mierzenia swego płótna. Dzieci się uspokoiły, a ona mierzy i mierzy: co wyciągnie na łokieć, płótno ciągnie się bez końca. Mierzy i mierzy; i tak trwało mierzenie aż do zachodu słońca. Ze swoich dwudziestu, tysiąc łokci płótna namierzyła. Uradowana tym wypadkiem, sprzedała kilka łokci, posiliła dzieci i siebie. Na drugi dzień poszła ze swojém płótnem do miasteczka na jarmak, a że było gęste i gładkie, sprzedała dobrze, nakupiła przeróżnych rzeczy i wróciła jeszcze ze sporym workiem pieniędzy do domu. Nie zadługo sprowadziła sobie dwie krowy, nabyła kawałek pola i łączkę, przyjęła czeladkę, pracowała i była szczęśliwą.

To szczęście Janowéj kłuło w oczy Błażejową, a choć z sobą teraz często jadły i piły, a nawet się pokumały, Błażejowa nie była Janowéj szczerą. Jednego razu dopytywała się Błażejowa sąsiadki, jakim sposobem przyszła do swéj chudoby i czeladki? Janowa nie ukrywając nic, wszystko jéj wiernie opowiedziała. Wysłuchawszy to Błażejowa, rzekła: „O, moja kochana kumo! żebyście wiedzieli, jaka téż to czasem i u mnie bieda! Bo to i ja mam dzieci, a choć oboje z mężem ciężko pracujemy, wszystkiego przecież tylko tyle, ile się zje. O, moja kumo, jeżeli ten dziadek do was kiedy zajdzie, po-

wiedzcie mu też, niech i do mnie wstąpi.“ Janowa wszystkim życzliwa, obiecała to uczynić. W niespełna tydzień potém znowu ten sam dziadek przez wieś przechodził i do Janowéj wstąpił. Nie wiedziała kobiecina, gdzie go posadzić; dziękowała mu, raczyła go i obdarzyła, a gdy wychodził, prosiła go, aby jéj sąsiady nie minął. Dziadek obiecał, wracając z drugiego końca wioski, do niéj wstąpić.

Gdy go Błażejowa z daleka przez okno widziała, nasmarowała swoim dzieciom po kawałku chleba, a kiedy dziad we drzwi wstąpił, czém prędzéj odebrała im chleb od ust i dziadkowi dała.

„Bóg zapłać!“ rzekł dziadek; obyś zacząwszy coś robić, do zachodu słońca ledwie skończyła! To rzekłszy, wyszedł. Błażejowa mając naszykowane do mierzerzenia płótno, już wyciągnęła z kąta łokieć i już mierzyć miała, kiedy dzieciom pić się zachciało, i jéj saméj wielkie pragnienie dokuczać poczęło. Aby nie stracić wiele czasu, na jednéj nodze pobiegła do zdroju z konewką po wodę; ale gdy przyniosła jednę konewkę, coś ją ciągnęło pobiegnąć po drugą; daléj przyniosła trzecią, czwartą, dziesiątą i tak do zachodu słońca bez potrzeby wodę nosiła.

(Powieść gminna przez K. Balińskiego).

III.

Powieści.

66. Psy na górze św. Bernarda.

Jest kraj, na południe od nas położony, który się Szwajcaryą nazywa. Są tam góry tak wysokie, że obłoki i chmury pod niemi idą. Na wierzchołkach tych gór wielkie wciąż trwa zimno, a latem i zimą leżą tam wiekuiste śniegi. Drogi więc po tych górach bardzo są przykre, i w śnieżnych zawiejach nie raz tam giną podróżni. Dla tego na jednéj takiéj bardzo wysokiéj górze, zwaną górą św. Bernarda stoi klasztór, w którym miłosierni zakonnicy mieszkają na to tylko, aby zbłąkanych podróżnych przyjmować w gospodę i ratować zmarzłych po drogach. Do szukania zaś zmarzłych i śniegiem zawianych ludzi trzymają sobie psy — osobliwe tego rodzaju zwierzęta. Codziennie wysełają owi zakonnicy dwa takie psy, przywiązawszy jednemu do szyi płaszcz ciepły, a drugiemu koszyk z pożywieniem. I te litościwe zwierzęta sprowadzają zbłąkanych i osłabionych podróżnych na drogę do klasztoru, odgrzebują zasypanych śniegiem i własném ciałem ogrzewają znalezionych, a wyciem dają znać swym panom, aby przyszli ratować nieszczęśliwych. Zakonnicy zaś idąc za głosem swych psów, biorą zmartwiałych podróżnych, zanoszą do klasztoru, pielęgnują ich i starają się do życia ich przyprowadzić; a gdy wszelki ich starunek nic już nie pomoże, składają takie ciała w osobném do tego miejscu, gdzie dla ustawicznego mrozu nieporuszone zostają, aby od krewnych albo znajomych po kilku nawet latach poznane były.

Przed kilkunastu laty szło drogą przez górę św. Bernarda kilku podróżnych, a z nimi niewiasta z dwoma dziećmi. Straszliwa zawieja

śnieżna zasypała drogę, a nieszczęsna matka zabłądziwszy, została z dziećmi swemi w śniegu. Mróz trzaskający przejmował ich srodze, i niewinne dzieciaki cisnęły się do matki, wołając napróżno ratunku. I tak biedna nieboga skostniała w śniegu z małém dziecięciem, a starszy chłopczyk snem zmorzony, leżał jeszcze żywy. Aż tu nadszedł taki pies z klasztoru, który zwietrzył podróżnych, wygrzebał ich ze śniegu i ogrzewał sam swojém ciałem; ale napróżno. Chłopczyk tylko przyszedł do siebie, a zwierz uradowany tak mu się łasił, tak mu się przymilał, że go zmusił wsieść na swój grzbiet, i przyniósł do drzwi klasztoru. Skoro w klasztorze chłopczyka odebrali, poczciwe psisko póty wyło i wracało się na drogę, skąd było przyszło, że zakonnicy zmiarkowali, czego chce. Opatrzywszy się w potrzebne do ratunku rzeczy, poszli za nim do pozostałéj matki i małego dzieciątka. Ale już na żaden sposób tych dwojga dotrzeźwić się nie mogli. Wzięli tylko martwe ciało, które na tę pamiątkę do dziś dnia przechowują w owym klasztorze. Nazwisko tego osobliwego psa jest Bary. Przeszło czterdziestu ludziom życie uratował, Już teraz sam nie żyje. Obywatele miasta Bern skórę jego wypchać i w muzeum kazali postawić.

67. Koń Kościuszki.

Jak niektóre zwierzęta domowe przy dobrém się z niemi obchodzeniu dają baczność na czyny człowieka, dowodzi następujące zdarzenie.

Kościuszko, był bardzo dobroczynny, dzieląc wszystko z ubogimi, co tylko posiadał. Dnia jednego nie mógł sam, jako zwykle czynił, odwiedzić pewnéj ubogiéj rodziny, mieszkającéj w pobliżu, a wiedząc, że biedni ci ludzie z utęsknieniem oczekiwać będą wsparcia jego, nie chciał, aby go daremnie wyglądali. Poprosił więc jednego wieśniaka, żeby przeznaczoną sumkę wręczył owéj ubogiéj familii. Aby zaś prędzéj drogę tę mógł odprawić, dał owemu wieśniakowi nawet konia swego, na którym zwykł był jeździć. Przychylny wieśniak wypełnił wiernie, co miał polecone; powrócił jednak bardzo późno i tak się przed Kościuszką tłómaczył: „Przepraszam ja was, panie generale! ale na tego konia już w życiu mojém nie wsiądę, jeżeli mi razem i worka swego z pieniędzmi nie dacie! Kościuszko zdziwił się i zapytał wieśniaka o przyczynę. Wieśniak tak mu odpowiedział: „Ile razy mnie jaki ubogi człowiek napotkał i kapelusz zdjęty trzymał, a o jałmużnę prosił, to koń zawsze stanął, i nie można go było z miejsca ruszyć, dopókim ubogiemu jałmużny nie dał. A miałem przy sobie tylko kilka groszy, które wydawszy, musiałem potém ze wstydem udawać, jakobym ubo-

giemu do kapelusza co wrzucił, byle tylko zaspokoić tego miłosiernego konia.“

Przyzwyczajenie to stąd poszło: Kościuszko często wyjeżdżał konno. Skoro spostrzegł gdzie ubogiego, nie minął go, ale stanął i dał każdemu jałmużnę, po którą wszyscy doń wyciągali rękę. Koń‘ wierny sługa jego, stawał też sam, jakby miał ludzki rozum i ludzkie serce, przed każdym żebrakiem, którego tylko na drodze zobaczył.

68. Turek pies, pobierający dożywotnią pensyą.

Psy wrodzony mają instynkt do czynienia dobrze. Oto nowy przykład na poparcie tego twierdzenia.

Pewien rybak mieszkający w Paryżu, miał dużego brytana, którego bardzo lubił. Gdy rybak pracował na rzece, Turek (tak się ten pies nazywał) pilnował rzeczy swego pana. Patrząc na to, co się koło niego działo, widział nieraz, że wpadali we wodę i tonęli kąpiący się, albo ci, którzy z rozpaczy chcieli sami sobie życie odebrać. Turek wówczas rzucał się w rzekę i ratował tonących niekiedy z niemałym trudem i własném niebezpieczeństwem. Był nawet równie troskliwy o rzeczy i częstokroć ocaliwszy życie człowieka, znowu skakał do wody i ocalał mu jego szczupły majątek.

Coraz głośniéj zaczęto gadać o dobrych uczynkach Turka. Radni miasta Paryża zawołali nawet jego pana, powinszowali mu, że tak użytecznego psa posiada, i podziękowali mu, że go do tego ułożył. „On sam się nauczył,“ odpowiedział rybak, „z własnéj ochoty i instynktu.“ „Kiedy tak,“ „trzeba cię skłonić, ażebyś miał pilne staranie o tak szacownem zwierzęciu. Od dnia dzisiajszego miasto naznacza mu pensyi dożywotniéj 350 liwrów około (560 złp.). W terminach wypłaty przyprowadzisz psa ze sobą do kasy, ażebyśmy mieli świadectwo o jego życiu.“

Tomasz, rybak, dla którego ta pensya była wielką pomocą do utrzymania siebie i licznéj rodziny, podziękował radnym i pospieszył do żony, aby jéj opowiedzieć to szczęśliwe zdarzenie.

Turek nie okazał się niewdzięcznym. Nie było dnia, w którymby nie uratował tonącego człowieka. — Już był bardzo stary, gdy siedząc podług zwyczaju nad brzegiem wody, postrzegł, iż żołnierz w podeszłym już wieku przeprawiając się w małém czołenku przez Sekwanę, wpadł w wodę razem ze swojém zawiniątkiem. Turek widząc niebezpieczeństwo tego człowieka, rzucił się w rzekę i schwycił żołnierza w téj właśnie chwili, kiedy go już woda porywała na dno. Pęd w tém miejscu był bardzo bystry, i biednemu Turkowi ciężko było dopłynąć do brzegu. Jednakże nie puścił żołnierza; zziajany i bez sił prawie wyciągnął go zemdlonego na miejsce bezpieczne. Ura-

dowany, że mu się tak udało, mniemał, że jeszcze wszystkiego nie zrobił. Zawiniątko zostało w wodzie. Turek puszcza się znowu, daje nurka, szuka i znalazłszy je, z trudnością ciągnie do brzegu. Już mu sił zabrakło; ostatnie czyni wysilenie, dostaje się do brzegu i wyciąga zawiniątko, a kładąc je przy żołnierzu, kona, spojrzawszy na swego pana wzrokiem wdzięczności i pożegnania.

(Popliński).

69. Wdzięczność dzieci ku rodzicom.

August II, przejeżdżając razu jednego konno przez pole, spotkał przy uprawie roli pilnego, wesoło wyśpiewującego chłopka. Wszedł z nim w rozmowę król i po kilku zapytaniach dowiedział się, że rola, którą uprawiał chłopek, nie była jego własnością, lecz że tylko jako najemnik pracował, pobierając za to 15 polskich groszy. Przyzwyczajony do ogromnych zbiorów i wydatków, nie mógł pojąć król, jak może żyć człowiek przy tak szczupłym dochodzie, a do tego jeszcze być wesołym, i okazał wręcz swoje zadziwienie. Poczciwy chłopek tak odpowiedział: „Byłoby to jeszcze niezgorzéj, gdybym ja sam na siebie ten zarobek miał obrócić, ale ja go dzielę na trzy części: jednę potrzebuję dla siebie, drugiéj używam na zapłacenie długów, trzecią zaś składam na kapitał, bym w starości mógł żyć z procentów.“ To było dla króla nową zagadką. Prosił tedy chłopka, aby mu ją wytłómaczył. Wesoły ów człowiek rzekł: „Dzielę mój zarobek najpierw z rodzicami, którzy już pracować nie mogą, przez co spłacam dług od nich w mojéj młodości zaciągniony; powtóre dzielę go z dziećmi mojemi, w których pokładam nadzieję, że mnie także w starości nieopuszczą, — a to jest ów kapitał, z którego procentów późniéj żyć myślę.“

Podziwiał król roztropność poczciwego wieśniaka, ale daleko więcéj uwielbiał jego szlachetność i przywiązanie do rodziców. Przetoż wynagrodził mu tę miłość, wziąwszy synów jego pod swą opiekę, a jemu dawszy spory kawał roli na własność. Tak błogosławieństwo umierających rodziców zjednało mu na starość u wdzięcznych dzieci miłość i troskliwe staranie.

70. Wdzięczność niebu.

Młody August w dzieciństwie utracił był rodziców. Strawiwszy długi czas nie napróżno w szkołach, przyszedł nareszcie do pełnoletności i znaczny objął majątek. Wkrótce potém ciężko zachorował. Długo ciągnęła się ta choroba; długo o życiu jego wątpiono, ale przecie niespodzianie odzyskał zdrowie.

Było to w czasie wiosny, kiedy pierwszy raz wyszedł do ogrodu i spojrzał na nowe życie przyrody. Kiedy po tak długiém zamknięciu w pokoju nieustannéj potrzebując opieki i pomocy, ujrzał się pod gołém niebem sam bez cierpienia, myślał i on, że nowe rozpoczyna życie, a w radości swojéj, serce i oczy podnosząc ku Dawcy wszelkiego dobra, zawołał: „O wielki Boże! czemuż Ci Twych dobrodziejstw zapłacić nie mogę? Jakżebym chętnie cały majątek poświęcił na wywdzięczenie się Tobie?“

August lubo już pełnoletni, miał jeszcze przy sobie dawnego nauczyciela. Był to człowiek w latach i pełen cnoty. Ktokolwiek patrzył na przywiązanie i troskliwość jego względem Augusta, na uszanowanie i uległość młodzieńca, łatwo mógł się pomylić, uważając jednego za ojca, a drugiego za syna. Nawet w czasie téj pierwszéj wychowańca przechadzki czuwał nad nim troskliwy opiekun i usłyszał te słowa, które w swém uniesieniu głośno był wyrzekł młodzieniec. Zbliżył się ku niemu, a August obaczywszy go, toż samo powtórzył. „O jak mnie to cieszy,“ powiedział nauczyciel, „że w tym zapale złożyłeś życzenie, które spełnić możesz! Jutro, jeżeli siły twoje pozwolą, podam ci sposób pewny zadosyć uczynienia twym chęciom.“ „Czy to być może?“ zawołał August. „Ach! jakżem tego jutra ciekawy!“

Nadeszło, a młodzieniec coraz silniejszy naglił sędziwego przyjaciela, żeby dopełnił obietnicy. Wzięli się przeto za ręce i wyszli z pałacu już nie do ogrodu, jak wczoraj, ale na wieś.

Długo bez pana zostająca wioska nie była w kwitnącym stanie. Waliły się domy wieśniaków, ogrodzenia były popsute, nie zieleniło się ani jedno drzewko. Dzieci w podartych koszulach uciekały jak dzikie. Ten widok smutkiem okrył bladą twarz Augusta.

„Gdzież mnie zaprowadziłeś, przyjacielu?“ wyrzekł z lekką wymówką.

„Chciałem ci wskazać ołtarz na składanie tych ofiar,“ odpowiedział mąż sędziwy. „Wczoraj unosząc się wdzięcznością ku Panu, który ci zdrowie przywrócił, całym majątkiem to dobrodziejstwo opłacić pragnąłeś; poświęć część tylko, odbuduj te upadające domy, wysadź drzewami drogi, wspomóż zubożałych włościan twoich, a przedewszystkiém załóż szkółkę dla tych dziatek, doglądaj jéj sam, ażeby ten zbawienny zakład nie upadł, lecz przyniósł tak pożądany dla kraju pożytek; a wtenczas sowicie wypłacisz się niebu.“

Podobały się te słowa skłonnemu do czynienia dobrze Augustowi, który téż usłuchał rady przyjaciela. — W rok potém o téjże saméj porze przechadzał się znowu August po wiosce swojéj, lecz tą razą widok jéj już nie smutkiem, ale radością okrył świeżą twarz jego. Stały już bowiem porządne domy, ogrodzone żywymi płotami;

w tyle każdego był założony sad mały, i topólki nade drogą już się zieleniły; kilkoro dzieci dostatecznie ubranych szło do szkoły, a skłoniły się wszystkie młodemu panu, pochwaliwszy Pana Boga uprzejmie.

Szczęśliwy takim widokiem August, ścisnął rękę przyjaciela, który mu powiedział: „podobnie postępuj zawsze! Niech za każdém dobrodziejstwem nieba wdzięczne oko twoje w górę się wzniesie, ale potém spuść je na braci twoich mniéj od ciebie szczęśliwych, aby i oni wspólnie cieszyli się z tobą, bo czyniąc dobrze dzieciom, najlepiéj wywdzięczysz się ich Ojcu.“

(Tańska).

71. Równość w obliczu prawa.

Fryderyk II miał ośm godzin drogi od Berlina piękny pałac dla rozrywki. Byłby on w tym pałacu najmiléj przebywał, gdyby nie młyn pobliski, który nieustannem turkotaniem i kołataniem przerywał mu spokojność. Przytém pałac królewski a młyn nie bardzo obok siebie się wydają, choć ciastka, kiedy młyn pięknie zmiele, a piec dobrze upiecze, i na zamkach królewskich nie źle smakują. Zdarzało się też często, że kiedy król w najgłębszém dumaniu o sąsiedzie zapominał, i młynarz także o swoim sąsiedzie nie myślał, naraz młyn puszczono, który niemiłosiernie turkotać zaczął. Myśli królewskie nie przeszkadzały kołom młyna, ale kołatanie kół często zawadzało myślom króla.

Może niejeden pomyśli: przecież król ma pieniędzy co niemiara, czemuż nie kupi młyna od sąsiada, a zapłaciwszy dobrze, znieść go nie każe? Wtedyby naraz pozbył się łoskotu. Ale król wiedział, czemu tego nie mógł uczynić. Jednego dnia bowiem kazał młynarza zawołać do siebie i rzekł: „Pewnie sam to przyznasz, że obaj jeden przy drugim mieszkać nie możemy; koniecznie musi z nas jeden drugiemu ustąpić. Cóż mi dajesz za pałac?“ Młynarz rzekł: „Jakaż jest jego cena? najjaśniejszy panie sąsiedzie!“ Król mu na to: „Dziwny człowieku! tyle pieniędzy nie masz, żebyś odemnie zamek mógł kupić. Ja ci chciałem przez to dać do zrozumienia, że chcę odkupić twój młyn. Jakże go drogo więc czynisz?“ Na to młynarz: „Najjaśniejszy panie! i wasza królewska mość nie posiada tyle pieniędzy, żeby mi mógł mój młyn zapłacić, bo on nie jest wcale do sprzedania.“ — Król podawał pierwszą, drugą i trzecią bardzo wysoką cenę; ale sąsiad obstawał przy swojém, że go wcale nie myśli sprzedać. „Jam się w nim urodził,“ rzekł, „i chcę w nim umrzeć; a jak mi go mój ojciec zachował, tak i ja z błogosławieństwem przodków oddam go memu potomstwu.“ Tu zaczął król surowiéj i rzekł: „Czy ty nie wiesz, dobry człowiecze, że z tobą wcale

nie potrzebuję wiele rozmawiać? Każę ci twój młyn oszacować, znieść i kwita; potém będzie ci wolno brać pieniądze lub nie.“ Uśmiechając się odpowiedział nieustraszony młynarz: „Nic z tego nie będzie, najjaśniejszy panie! Alboż to niemasz sądu w Berlinie?“ — Fryderyk Wielki był sprawiedliwym i łaskawym panem, światłość téj mowy podobała mu się bardzo, i dla tego żył z młynarzem w spokojném sąsiedztwie.

72. Karól Chodkiewicz.

Uroczystym był dzień dla uczniów wileńskiego kolegium, w którym król Stefan Batory, znakomity wojownik i polityk, osobiście w towarzystwie Jana Zamojskiego i innych wysokich panów przybywał w mury szkólne, ażeby zwiedzić je i obecnością swoją do nauk i pilności młodzież zachęcić.

Z dobrocią nieraz odzywający się do powstałych na jego przybycie młodzieńców spoglądał Batory na te niedorosłe szczepy, na których przyszłe państwa spoczywały nadzieje. Przypatrując się tym twarzom świeżym i wesołością tchnącym, z rysów ich i z blasku spojrzenia starał się król odgadnąć przyszłość niejednego z tych na pół jeszcze dzieci.

W ten sposób przechodząc, zatrzymał się Stefan przed młodzieńcem, którego otwarte oblicze i wysokie czoło wykazywały wielki, przedsiębiorczy umysł, a żywe, przenikliwe spojrzenie zdawało się tchnąć geniuszem. Chwilę z zajęciem spoglądał nań król, potém z ojcowską pieczołowitością opierając rękę na jego ramieniu, rzekł: „Jak się nazywasz chłopcze?“ — „Karól Chodkiewicz,“ odpowiedział niezmięszany młodzian. — „Podobałeś się nam,“ — rzekł daléj Batory. „Ucz się, bądź pilnym, a zrobimy cię człowiekiem.“

Uradowany łaskawością monarchy Chodkiewicz, nie umiał słowa odpowiedzieć i podaną mu przez króla rękę przycisnął do ust i z żywém uczuciem po kilkakroć ucałował.

„Bądź zdrów!“ dodał, oddalając się król, „a pamiętaj o radzie naszéj!“

Kiedy zaś tyle odsunął się od Chodkiewicza, iż go usłyszeć nie mógł, raz jeszcze zwracając się ku niemu, rzekł do Zamojskiego: — „Zobaczysz hetmanie, że ten chłopiec kiedyś znakomitym mężem i wielkim rycerzem będzie. „I spełniły się wieszcze słowa Stefana Batorego: Karól Chodkiewicz po opuszczeniu szkół, odznaczając się bystrością umysłu i odważném sercem, przebiegłszy w ciągu lat kilkunastu niższe wojskowe stopnie, został nakoniec żmudzkim starostą. W roku 1604 mianowany hetmanem litewskim, w tymże roku Karóla, króla szwedzkiego, poraził i miasto Dorpat z rąk jego odzyskał.

Kiedy zaś Szwedzi oblegli Rygę, wtedy Chodkiewicz, tylko z 4,000 rycerstwa spiesząc na odsiecz miastu, pod Kircholmem spotyka Karóla, który w 18 tysięcy wojska zaszedł mu drogę i bitwę rozpoczął. Nie uląkł się tak licznego nieprzyjaciela i tak dzielnie ze Szwedem się spotkał, iż 9000 trupem na placu położył, resztę wraz z Karólem, mocno ranionym, do ucieczki zmusił.

73. Mądry wyrok.

Że nie wszystko, co się dzieje na wschodzie, jest złém, dużo mamy na to dowodów. I następujące zdarzenie potwierdzić to może.

Jeden bogaty człowiek zgubił znaczną sumę pieniędzy, które miał zawinięte w chustce. Jak to w takich razach bywa, kazał ogłosić swoję zgubę publicznie i przyrzekł temu, kto ją znajdzie, sto piastrów nagrody, czyli tak zwanego znaleźnego. Wkrótce potém przychodzi do niego zacny i poczciwy człowiek, który z wypogodzoną twarzą a czystém sumieniem tak mówi: „Znalazłem pieniądze twoje, odbierz je! „I bogacz rozweselił się także, lecz tylko dla tego, że zgubione pieniądze znowu na powrót dostały mu się w ręce; albowiem jakim on był co do charakteru, dowiemy się zaraz. Licząc przyniesioną sumę, przemyśliwał nad tém, jakby wiernemu oddawcy zaprzeczyć obiecanéj nagrody, i w końcu rzekł: „Mój przyjacielu! w téj chustce było właściwie ośm set piastrów, a znajduję siedm set tylko. Niezawodnie nagrodę swoję sam sobie wyjąłeś! Dobrześ uczynił, bardzo ci dziękuję. — Takie postępowanie ze strony bogacza było oburzające. Nie tu przecież koniec tego zdarzenia. Poczciwością najdaléj zajdziesz, mówią starzy, a niepoczciwy zwykle sam sobie szkodzi. Tak się téż stało. Rzetelny oddawca, któremu nie chodziło tyle o nagrodę, ile o dobre imię swoje, upewniał uroczyście, że, co znalazł, oddał. Kiedy jednak bogacz obstawał przy swojém, sprawa ta wytoczyła się przed sąd. Tutaj jeden twierdził, że w chustce znajdywało się ośm set piastrów, drugi zaś, że tylko tyle znalazł, ile oddał, i że sam dla siebie nic nie odebrał. Zachodziła więc przy rozstrzygnieniu téj sprawy trudność nie mała. Roztropny sędzia, znając niepośladowany charakter jednego, a zły sposób myślenia drugiego, tak sobie postąpił: Kazał każdemu z nich zeznanie jakie uczynili, uroczyście i pod przysięgą powtórzyć, a potém następujący wydał wyrok: „Ponieważ jeden ośm set piastrów zgubił, drugi tylko siedm set znalazł, nie może być jedna i ta sama paczka. Dla tego odbierz, poczciwy człowieku, który ją znalazłeś, pieniądze napowrót i zachowaj je u siebie, aż zgłosi się taki, co tylko siedm set piastrów zgubił; dla ciebie zaś, przyjacielu, nie mam innéj rady, jak

tę, abyś czekał za twoją zgubą tak długo, dopóki nie znajdzie się taki, który twoje ośm set piastrów znalazł.“ Jak zawyrokował, tak się też stało.

74. Boduena gorliwość i pokora.

Brzmiała Warszawa zbytkami, a wśród rozpusty głuche było jęczenie ubóstwa i sierót. Słyszał je tylko ubogi kapłan Boduę i po raz pierwszy uczuł swój niedostatek, bo widział dzieci rodziców, którzy nie pomarli, ale w rozpustach zatwardzili swe serca. Dom więc jego był domem sierót, lecz zamożność nie odpowiadała cnotliwym chęciom. Ośmielił się zatém wyjść na miasto i błagać litości. Mijał bogate pałace, bo tam tylko wesoły głos znajdował posłuchanie; żebrał między uboższymi, od których według możności był przyjmowany. Ale widział, że ci skromnie i potem czoła własne żywili, dziatki:

„Ci już (mówił) dopełniają miłéj powinności dla dzieci i płacą smutne daniny dla zbytkujących.“ — Wziąwszy więc Boga na pomoc, zaczął chodzić po pałacach, znosząc pogardę i żarty dowcipnych dworzan.

I widzi przed jednym gmachem pyszne pojazdy, hajduków i złotem strojnych pachołków: goreją w oknach rzęsiste światła, brzmią okrzyki i wesoła muzyka. Wchodzi, pomija tłumy zabawą zajęte i widzi na jednéj sali stoliki pełne złota, które los karty z rąk do rąk przeznacza, i rzekł w sercu swojém: „O biedne, biedne sieroty moje!“ I zbliża się do tego, przed którym najwięcéj złota; ale nie wiedział, że karta nieszczęśliwa połowę tego złota ujęła. Ze drżeniem przemawia pokorne słowo, ale nie był słyszany. Mówi powtóre, ale widzi, że nie chciano go słyszeć. — Małą cząstkę dla sierót!“ ozwał się głośniéj. Tu zapamiętały gniew ogarnął grającego, który policzkiem znieważył cnotliwego człowieka. Boduę rzekł: „To dla mnie, a cóż dla sierót?“ Dopiero znieważony wyższym teraz był nad wszystkich. Zdumieli się gracze i z miejsc powstali. Na to rzuca się pobożnemu kapłanowi na szyję ten, co go tak ciężko obraził i srebrną tacę ze wszystkiém złotem oddaje: za nim inni dorzucają swe złoto. Ze czcią odprowadzony opiekun sierót, niesie im skarb, oblewając go łzami radości. I był Boduę we wielkiéj czci u wszystkich. Znosili mu też dary tak liczne, że wystawił wspaniały dom sierót, który dziś jeszcze temu celowi służy. — Działo się to za panowania Augusta III-go.

(Z Brodzińskiego).

75. Dziedzic Jodłowa.

W pięknéj włości Jodłowa żył sędziwy dziedzic Mirosław. Kochali go włościanie i błogosławili mu wszyscy, bo był miłosierny i sprawiedliwy. Ale niespodzianie wybiła jego ostatnia godzina; opuścił jedynego syna i włościan, którzy do niego jak do ojca się przywiązali. —

Stryjowi oddało prawo opiekę nad małym Władysławem i rządy nad włością; ale jako mróz przeciw majowéj rosie, tak ten był przeciw zmarłemu bratu. Uciskał włościan, krzywdził sierotę na majątku, a co więcéj, na wychowaniu. W pięknych latach błąkał się zaniedbany Władysław po włości, jedynie próżniactwu i nieprzystojnym oddany zabawom. Niewiasty, ciężko odrabiające pańszczyznę, płakały, widząc biedną sierotę po dobrym panu; płakały i na swoje uciski.

Dnia jednego zebrali się starsi tego sioła i radzili o krzywdach, jakich doznawali. Tu najstarszy z nich powiedział: „Koń bez cugli póty pustoszy łąkę, póki nie spędzi go ten, kto jéj dziedzicem; nam zaś cierpieć przystoi, bo jeden Bóg, co sądzi sprawy nasze, dał nam dobrego i złego pana. Ale ciężko jest patrzeć na krzywdę sieroty. Źle to jest, sąsiedzi, że dziecię pańskie z pasterzami się bawi i pójdzie na łaskę ludzi, gdy nieprawy pan tak będzie nasze dzieci jak nas wszystkich uciskał.“

Do serc wszystkich trafiła mowa wójta; i zebrali się powtórnie u niego starsi i o sierocie radzili. Aż wójt z najstarszymi włościanami zaprzęgli wóz kowany, zwabili z pola swawolące dziecię i nakłonili, aby trochę z nimi jechało. Jadą tedy daléj przez pola i lasy i jeszcze za lasy, aż stanęli przed wielkim gmachem, gdzie mieściła się wyższa szkoła. Wpuszczeni do przewodniczącego zakładowi, tak mu mówili: „Oto jest dziecię zmarłego pana naszego, które nie ma opieki, a przez miłość ku ojcu tego chłopięcia nie chcemy, aby tak jak my prości bez nauk, na niewolnika urosło. Składamy talary od gromady zabrane i prosimy, nauczcie go, panie, i Bogu służyć i nami rządzić. Niech ma pańskie potrawy i cienkie szaty; damy na wszystko, a niech wam Bóg dopomaga, byście go nauczyli o swoje się upomnieć i być sprawiedliwym.“

Tak wychował się Władysław, kształcąc serce i rozum. — Tymczasem stryj chytry ogłosił zgubę młodzieńca, którą dawno zamierzał, stał się panem włości i uciskał dobroczyńców sieroty. Cierpliwi na wszystko, aby tylko dziedzictwo prawemu panu zachować, chodzili latem i zimą do owego zakładu, w którym uczył się przyszły ich pan, na zwiady. Władysław rósł pięknie, błogosławiony od Boga

i chwalony od ludzi. Ściskał ze łzami poddanych swoich jak ojców, a im daléj postępował w rozumie, tém więcéj myślał, jak być wdzięcznym i sprawiedliwym.

Gdy szkoły ukończył, powieźli go starsi włości do sędziów i wszystko opowiedzieli. Sąd uznał Władysława prawym włości dziedzicem, i ustąpił ten, pod którym tyle cierpieli. — I nie było lepszych włościan i lepszego pana nad pana i włościan Jodłowa.

(Z Brodzińskiego).

76. Rozumny ojciec.

Franciszek Karpiński, pisarz i autor wielu pieśni, opowiadał o sobie, że kiedy jeszcze był małém dziecięciem w domu swoich rodziców, nie bogatych wprawdzie ale nadzwyczajnie uczciwych i zacnych ludzi, lubił czasem coś cudzego, co mu się podobało, wziąść i schować. Nie mogło mu się to często przytrafić, bo surowego ojca bał się jak ognia, a dobréj i czułéj matki nauki pięknie szły do serca chłopięcia. Miał jednak skrycie tę skłonność.

Pewnego razu gdy młocki w stodole ojcowskiéj młocili, zobaczył u jednego z nich ładny nożyk, który mu się bardzo podobał, bo zdałby się do rozmaitego chłopięcego majsterstwa. Zła ochota zdjęła go do owego nożyka. Czatował téż na niego, i gdy młocek coś koło cepa robiąc, położył go na progu stodoły, mały Franciszek ukradkiem go schwytał i niebawem odszedł. Czy to który z młocków podpatrzył, czy kto z rodzeństwa u niego ów nożyk zobaczył, dosyć że ojciec o całéj téj historyi się dowiedział. Jaki był strach chłopca, trudno opisać, bo był przekonany, że ojciec ukarze go za takie wykroczenie surowo. Nie śmiał też ani słowa wyrzec, wiedząc, że nie ma nic na obronę swoję, ale padł plackiem rodzicowi do nóg i drżąc, z cichutkim płaczem przyrzekał poprawę. Ojciec nie łajał, nie unosił się, tylko z powagą i smutkiem wypowiedział w krótkich słowach chłopcu, że skłonność jego do najszkaradniejszego grzechu może go doprowadzić do hańby, do nieszczęścia, i że kradzież, którą popełnił, zasługuje na karę. Chłopiec czuł już sam, że winien jest kary. Ojciec zaprowadził go do stodoły, kazał jemu samemu oddać nożyk wieśniakowi, przeprosić go, że go usunięciem nożyka zmartwił, a potém wymierzył mu sam rózgi za wstyd swój, jaki przez podobne wykroczenie dziecka na niego spadał. Nie dość na tém — zawiózł go wkrótce do miasteczka i zaprowadził na miejsce, gdzie wiele ludzi się zeszło i czegoś ciekawie wyglądali. Miano wieszać złoczyńcę. Szubienica już stała, i wóz z winowajcą przyjechał. Strasznie biło chłopięciu serce, a gdy nieszczęśliwego pociągnięto,

mały Karpiński ukrył twarz na łonie ojca i o mało nie zemdlał, bo był tkliwego i łagodnego charakteru.

„Patrz! ten winowajca był złodziejem; z początku, za młodu, zaczynał od drobnych rzeczy, aż skończył na wielkich zbrodniach i zginął na szubienicy. Los ten i ciebie spotkać może, jeżeli na zawsze nie wykorzenisz w sobie złéj skłonności, póki jeszcze jesteś młody!“

Franciszek nie zapomniał nigdy w życiu téj nauki i tego widoku. Nigdy téż od tego czasu obcéj nie dotknął się rzeczy. Wdzięczny ojcu do śmierci za przestrogi i nauki, czcił jego świętą pamięć osobliwym sposobem i został godnym, zacnym człowiekiem.

(Z Karpińskiego Pamiętników.)

77. Zegarek.

Piętnastoletni Boleś dostał od dziadunia na imieniny ładny, srebrny zegarek wraz z piękną przestrogą, jak to ją dziadunio powiedzieć umie: „Mój kochany Bolesiu!“ mówił, „odbierając ten zegarek, przyjmujesz na siebie obowiązek, żebyś każdą godzinę cenił, żadnéj nie zmarnował i każdéj dobrze użył, bo z każdéj będziesz zdawał rachunek przed Bogiem.“

Boleś słuchał z uszanowaniem, ale pilno mu było pochwalić się przed szkólnymi kolegami z świecącego klejnotu. Wyszedł więc na ulicę z minką poważną, wywiesił łańcuszek, a skoro którego z starszych uczniów postrzegł, wydobywał zegarek z kieszeni, niby to dla zobaczenia, która godzina. Wybiła pierwsza. Boleś posłuszny skazówce, pospieszył na obiad, żeby gorącego obiadu nie uchybił, i rozpływał się w téj myśli, jak to odtąd nie ujmie ani jednéj minuty zabawie, przychodząc zarychło do szkoły. „Wszystko,“ powtarzał, „pójdzie teraz u mnie podług zegarka,“ i trzymając się téj zasady sumiennie, leżał w łóżku, dopóki skazówka szóstéj godziny z rana nie przekroczyła, z ostatniém uderzeniem zegaru wchodził do szkoły, pierwszy wybiegał na rekreacyą, niecierpliwił się, gdy podwieczorek lub obiad cokolwiek się spóźnił, a nauczycieli swoich sumiennie ostrzegał, że godzina nauki upłynęła, jeżeli który chciał wynagrodzić dłuższym pobytem mimowolne opóźnienie; każdą bowiem minutę przysporzoną zabawie uważał Boleś za prawdziwy zarobek czasu. I tak kontent z siebie, bo niby to żadnego obowiązku nie uchybił, doczekał się upragnionych wakacyi.

W piękne poobiedzie miesiąca lipca zajechała bryczka przed żółtą kamienicę na Rycerskiéj ulicy w Poznaniu. Mały woźnica podcinał żwawo dwa siwe koniki i wesoło trzaskał z bicza. Boleś wyciągnął na środek pokoju dawno już przygotowany kuferek, do-

rzucił do niego kilka książek i zeszytów, zamknął, zniósł prędko ze schodów i wskoczył do bryczki. Ruszyli.

Jeszcze koła tętniały po bruku, a już Boleś zaczął ożywioną rozmowę z masztalerkiem. Myślicie zapewne, że go się wypytywał o matkę i ojca, o małą Zosinkę, o starego Wróblewskiego, który go na rękach wypiastował. Prawda, że Boleś serdecznie kochał rodziców i czule ściskał siostrzyczkę, kiedy klaskając w dłonie, naprzeciw niemu wybiegła; ale przyznać muszę, że tym razem pierwsze zapytania były o gniadego konika, na którym zazwyczaj jeździł, o charty ojca i o flintę pojedynkę, którą w domu zostawił, a bardzo się lękał, czy jéj zaś strzelec nie używał do polowania.

Już słońce zachodziło, kiedy do domu przyjechał. Rodzice przyjęli go czule, Zosia z szaloną radością. Po pierwszych przywitaniach obiegł jeszcze tego samego wieczora wszystkie pokoje i zakątki ukochanego domu, był i na górze i w sklepach; wszędzie się cieszył, że te same przedmioty zastawał, i starannie się wypytywał o przyczynę najmniejszéj odmiany. Nazajutrz ledwo słońce weszło, już był na nogach i z kolei zwiedził stajnią, psiarnią, obory itp. Już dawno na niego kawa czekała w jadalnym pokoju, kiedy wrócił do domu. Ojciec już był u gospodarstwa, matka uczyła Zosię; pospiesznie więc tylko ucałował jéj ręce i wrócił do stajni dosiąść gniadosza. Jak upłynęło rano, znowu poobiedzie konie i flinta zajęły czas do wieczora. Matce trochę było markotno, że Boleś tak mało dbał o nacieszenie się z rodzicami, ale mówiła sobie; „w szkole wiele pracował i siedział, potrzebuje ruchu; niech jeszcze przez kilka dni wyhasa się na koniu, nacieszy się flintą.“—

Tymczasem dzień po dniu mijał, już i jeden tydzień i drugi i trzeci upłynął, a Boleś ani wspomniał, że z pomiędzy tylu godzin na zabawie przepędzonych ani jednéj nie poświęcił nauce. Zapomniał zupełnie o przestrodze dziadunia, aby gdziekolwiek znajdować się będzie, dzień swój uporządkował i żadnego bez użytecznego zatrudnienia nie przebył; przestał nawet zupełnie nakręcać zegarek i pod pozorem, żeby się nie popsuł, schował go do swego kuferka. Spotkał się tedy mimowolnie z natrętnemi książkami i zeszytami i z długim spisem zadanych wypracowań; ale szybko je na bok usunął, a kilkakrotne napomnienia matki, aby codzień nieco czasu pracy poświęcił, a jeszcze mu wiele godzin do zabawy zostanie, zbywał zapewnieniem, że jeszcze ma dwa tygodnie przed sobą i ostatnich dni wszystko odrobi. Tymczasem postępował równym trybem życia z tą tylko różnicą, że co z początku wstawał nieledwie ze wschodem słońca, to teraz wylegiwał do ósméj! co z początku był żwawy i wesoły, to teraz przeciągał się często, marudził w godzi-

nach, które czasami w domu przepędzał, a Zosia, która z taką radością go witała, tak nadskakiwała braciszkowi, teraz z nieśmiałością tylko do niego się zbliżała.

I tak jeszcze upłynęły dwa tygodnie, gdy już wkrótce przed ukończeniem wakacyi przyjechał niespodzianie dziadunio. Nazajutrz było święto Matki boskiéj. Od dziesiątéj z rana zajechały przed dom powozy i bryczki; każdy się zabierał do kościoła jak mógł, a Bolesia jeszcze widać nie było. „Może naprzód konno pojechał,“ mówiła matka, a że już z pobliskiego kościoła słychać było dzwonienie, wszyscy spiesznie ruszyli. Wchodzą do kościoła, — Bolesia jeszcze nie było. Odprawia się i kończy nabożeństwo, a Bolesia jak niema, tak niema. Matka zalewa się łzami, lękając się, czy jedynaka jakie nieszczęście nie spotkało. Wracają nareszcie, a pierwsza osoba, którą napotkali przed domem, był Boleś zdrów zupełnie, ale trochę zawstydzony. „Jeździłem konno i spóźniłem się,“ odpowiedział nieśmiało na troskliwe zapytania matki. Dziadunio zaś żałośnie spojrzawszy na niego, rzekł surowo: „Musiałeś się bardzo z czasem pomylić, kiedyś nawet o swych powinnościach względem Boga zapomniał. Zapewne już nie nakręcasz zagarka?“ — „Bałem go się zepsuć, nosząc na wsi,“ odrzekł, spuszczając oczy, Boleś. — „Nie to, chłopcze! ale bałeś się, aby ci zegarek nie wyrzucał twego marnowania czasu. Daléj, zdaj mi sprawę, jakeś wakacyi użył! Pokaż mi twe wypracowania, opowiedz, w czem ojcu lub matce pomocnym byłeś?“ — Boleś jeszcze bardziéj się zawstydził, ale że brzydził się kłamstwem, przyznał się do wszystkiego i pobiegłszy do swego pokoju po zegarek, oddał go dziadusiowi, mówiąc: że nie jest godzień takiego podarku.

Dziadunia rozczulił żal serdeczny Bolesia, i powiedział mu łagodnie: „I owszem, moje dziecko, zachowaj go na pamiątkę dnia dzisiajszego! Niech ci będzie ciągłą przestrogą i nauką, żebyś żadnego obowiązku nie uchybił, a ile razy wieczorem nakręcać go będziesz, spytaj sam siebie, czyś dnia dobrze użył!“

Boleś ucałował kolana dziadunia, a potém poszedł do swego pokoju, rozłożył książki i zeszyty i gorliwie pracować począł. Ale czas stracony nie tak łatwo powetować się daje. We wilią odjazdu jeszcze połowa wypracowań ukończoną nie była, i Boleś z wielką nieśmiałością do szkół powrócił, ale z mocném postanowieniem, aby nadal wszystkie obowiązki swoje wiernie i sumiennie wypełniać. Nie chwalił się już z posiadania zegarka przed drugimi współuczniami, ale radził go się często i zawsze przypominał sobie nauki dziadunia.

78. Kominiarczyk królewski.

Stanisław August Poniatowski zwykle po obiedzie godzinę sypiał, a miał po temu za szklannym parawanem łoże wygodne, gdzie niewidziany od nikogo mógł się spokojnie oddać spoczynkowi. Kiedy się zabierał do téj drzémki, zdejmował pierścienie z palców, zegarki, których dwa nosił wedle ówczesnego zwyczaju, tabakierkę i inne drobiazgi, i składał to wszystko na małym stoliczku przy marmurowym kominie.

W dniu jesiennym, pochmurnym, już się król po obiedzie położył i zaczął drzémać, kiedy usłyszał jakiś łoskot ponad sufitem pokoju. Łoskot ten coraz więcéj się zbliżał i stawał wyraźniejszym, głośniejszym. Król podnosi głowę, a słysząc jakieś pukanie w samym pokoju, zerwał się, usiadł na sofie i patrzy z za szklannego parawanu, co to być mogło.

Nagle w marmurowym kominie coś zaszeleściło, i z czeluści jego wyskoczył mały, zawalany kominiarczyk dziecina, mająca może siedm lub ośm lat najwięcéj. Skoro chłopczyk przetarł oczy z sadzy, ujrzawszy tak pięknie pokój przystrojony, zdjął najprzód czapkę, potém się przeżegnał, myśląc, że to kaplica jaka. Króla sen odbiegł; z uśmiechem poglądał, co będzie dalej robił kominiarczyk. Ten oswoiwszy się nieco z miejscem, obejrzał się śmieléj, a nie widząc nikogo; bo króla dobrze parawan zastawił, ujrzał nagle pierścienie, zegarki i łańcuch złoty na stole. Powkładał więc sobie pierścienie na palce, zawiesił łańcuch na szyi, włożył zegarki za koszulę i tak wystrojony stanął sobie przed wielkiém zwierciadłem. Kiedy się przejrzał, tak był rad, że się sam sobie ukłonił, poczem zaczął z lekka świstać i tańczyć. Król tłumił śmiech w sobie i patrzał z zajęciem na koniec tego widowiska. Niedługo chłopak zmęczony, zdjął po chwili wypoczynku pierścienie, łańcuch i zegarki, wszystko na dawném miejscu ułożył, a gdy się opatrzył, że nic przy nim nie zostało, znikł w kominie.

Króla wielce ubawiła ta scena. Kazał się téż zaraz dowiedzieć o chłopcu i do siebie go przyprowadzić. Wyszukano kominiarczyka, umyto go i ubrano czysto. Z pod czarnéj sadzy wejrzała twarzyczka czerstwa i wesoła z rozumném spojrzeniem. Król go się spytał, czy to on przebierał się w pierścienie i złote łańcuchy, a kiedy chłopczyna z trwogą przyznał się dobrowolnie do téj winy, Stanisław August pogłaskał go po zbladłéj ze strachu twarzy, dał mu piękny podarunek i kazał go uczyć w szkołach; bo ośmielony łaską monarszą chłopczyk, oświadczył był wielką chęć do nauk.

Odtąd nazywano go kominiarczykiem królewskim; nawet w szkołach nosił ten tytuł i wcale go się nie wstydził, owszem za chlubę

sobie poczytywał. W kilkanaście lat potém wszedł do wojska i zginął, celując działo, od kuli armatniéj.

Król dowiedziawszy się o śmierci kominiarczyka królewskiego, wielce go żałował, bo z tego małego chłopczyny wyrósł żołnierz równie zdatny jak waleczny.

79. A potém?

Większa połowa ludzi na świecie nie troszczy się nigdy o jutro, tylko żyje z dnia na dzień. Nie myślą oni, co ich czeka na przyszłość, a tém mniéj, co ich czeka po śmierci, byle życie wesoło i wygodnie spędzić. Są tacy, którzy zapominają, że życie nie jest wieczne, że przyjdzie chwila, w któréj trzeba się będzie pożegnać z tym światem. Ci dbają o wszystko, co do ziemskiego należy życia, ale nie troszczą się o wieczność, o duszę swą nieśmiertelną. A tymczasem śmierć ich zaskoczy nieprzygotowanych i schodzą z téj ziemi bez cnót, bez dobrych uczynków.

W pewném mieście żyło uczciwe małżeństwo z synem jedynakiem. Syn ten był studentem we wyższych szkołach i uczył się bardzo pilnie i dobrze. Ale rodziców nie ze wszystkiém to cieszyło, bo widzieli, że syn ich myśli tylko o honorach i dostojeństwach, że popada w wielką dumę i dla honoru zapomina o karmi duszy, o uszlachetnieniu serca, o obowiązkach względem Boga i ludzkości. — Dowiedział się o tém przyjaciel od serca rodziców, roztropny a cnotliwy staruszek, i razu jednego zaprosił do siebie zarozumiałego studenta na rozmowę.

„Co teraz czynić zamyślasz?“ zapytał staruszek.

„Ukończę szkoły“, odpowiada student.

„A potém?“ pyta daléj starzec.

„Wstąpię do urzędu.“

„A potém?“

„Potém będę zadziwiał ludzi moim rozumem i zdolnościami i pozyskam sobie sławę!“

„A potém?“

„Potém dadzą mi wysoki urząd, i będę wielkim panem i dostojnikiem.“

„A potém?“

„Potém zebrawszy honory i pieniądze, będę żył spokojnie i wygodnie w starości.“

„A potém?“ pyta daléj staruszek.

„Potém ... potém“ — począł się jąkać student, „Potém umrę.“

„A potém?“

Młodzieniec nic na to odpowiedzieć nie umiał, ale to słowo „a potém?“ przejęło go do głębi serca. Zamyślił się i pojął, że

człowiek nie tylko o byt doczesny, ale i wieczny dbać powinien, i że ani nauka, ani zaszczyty nie powinny człowieka wbijać w dumę. Od tego czasu poprawił się ów student, — uczył się także pilnie jak wprzódy, ale serce jego było skromniejsze. Nie żałował też tego, bo go w życiu nie minęły ani zaszczyty, ani szczęście prawdziwe.

(Wypisy polskie, wydane we Lwowie)

80. Wakacye.

Jeszcze pamiętacie o tym Bolesiu, który tak źle wakacyi używał; dziś opiszę wam zupełnie przeciwne postępowanie Władysia. Wiedział on bardzo dobrze, że wakacye nie tylko dla wytchnięcia i rozrywki uczniów są ustanowione, ale jeszcze i na to, aby się przekonać, jak potrafią użyć udzielonéj wolności.

Władysiowi bardzo chodziło o to, żeby rodzicom okazać, iż zasługuje na ich zaufanie i niedługo sam sobą rządzić potrafi. To też, ile razy był w domu, stawał się czynniejszym, oraz milszym, rozmowniejszym niż kiedy. „Tak mało mam sposobności,“ mawiał, „wysługiwać się moim rodzicom, rozmawiać z nimi, niech aby ten krótki czas wakacyi z nimi się ucieszę.“ Ale jeźli ten czas krótkim mu się zdawał, umiał go bardzo dobrze użyć. Już to najprzód codziennie odkładał dwie godziny dla odrobienia zadań i przypomnienia sobie szkólnych nauk, potém czytywał z matką dobre książki polskie, lub historyczne dzieła w obcych językach, do czego w szkołach przy zwykłym a przepisanym trybie nauk mało miał czasu. Matka, rozsądna, nawet światła kobieta, prostowała nieraz zdania jego, wskazywała mu prawdziwego ducha dziejów, a w trudniejszych wątpliwościach wzywała pomocy ojca, który aczkolwiek cały dzień bardzo zatrudniony, często wypytywał syna o to, czego się uczył, i sam mu zadawał i poprawiał jakie ćwiczenia.

Gdy tak ochoczą pracą Władysław zapełniał zwykły brak szkólnego wychowania, starał się w domu być równie użytecznym jak miłym. Siostry czekały na jego przybycie z wyprawą na grzyby do lasu, młodsi bracia z ujeżdżaniem małego konika. Ojciec używał go do prowadzenia rachunków i lubił brać z sobą w pole, bo w częstych rozmowach radował się zdrowym, a skromnym sądom jego; matka zaś, któréj pomagał w uczeniu młodszego rodzeństwa, rozpływała się, uważając, o ile za każdém przybyciem do domu, umysł jego zdawał się bardziéj rozwiniętym, ułożenie przyzwoitsze i grzeczniejsze.

Ojciec nawzajem uprzyjemniał wakacye ukochanego syna, sprasząjąc mu kolegów szkólnych z okolicy, ucząc ich strzelać do tarczy, rzucać do mety, i rozmaite wymyślając im zabawy. Uczeń niegdyś w szkołach rydzyńskich, pamiętał jeszcze, jakie tamtejsza młodzież

sobie wyprawiała turnieje: jakto, obrawszy kogo ze starszych na wodza, rozdzieliła się na dwa wrzkomo nieprzyjacielskie obozy, sypała szańce, udawała napad i odsiecz miasta, itp. Każdy wódz usiłował drugiego zażyć sztuką, szybkością lub fortelem, i był to obraz małéj wojny prócz zaciętości i krwi rozlewu. Pan Ciesielski obiecał swym małym gościom odnowić dla nich te zabawy. W tym celu zaprosił swego sąsiada, niegdyś inżyniera, dziś gospodarza, i obaj odmładzając się dla swych dzieci, objęli dowództwo nad wesołą rzeszą. Na małym wzgórku pod laskiem tuż za ogrodem obrali plac boju. Tutaj dawny wojskowy z całém zamiłowaniem przypomnienia kazał sypać szańce, kopać rowy, stawiać palisady itp. Młodzież ochoczo pracowała, a siostry nie mniéj wesoło im pomagały, lub na wyścigi szyły chorągiewki. Gdy po dniach kilku stanął gotowy okop, rozdzielili się na dwa oddziały: starsi pod dowództwem pana Ciesielskiego utworzyli wojsko zaczepne, młodsi z panem Pulskim na czele zostali w obronie fortecy. Widok chorągwi, odgłos bębna rozkołysał wyobrażenia i odwagę młodych ludzi. Wszyscy też z prawdziwie wojskowym zapałem wypełniali nakazane im zwroty: to się podsuwali z cicha, to znów napadali z hałasem. Oblężeni nie ustępowali im w odwadze i czujności; ale ponieważ zdaniem ludzi świadomych żadna forteca w teraźniejszych czasach nie jest niezdobyta; więc i nasza forteca poddać się nakoniec musiała.

Już słońce zachodziło, kiedy zwycięzcy z rozwiniętemi chorągwiami przy odgłosie bębna wprowadzili jeńców do ogrodu. Matka Władysia z kilku sąsiadkami i ich córkami czekała już na nich pod wielką lipą, gdzie stało parę stołów suto zastawionych wyśmienitą wiejską wieczerzą. Były tam między innemi i kurczęta ze śmietaną i kawa z ciastami i owoce i wiele innych łakoci. „Tutaj,“ zawołała wesoło pani Ciesielska, „kończy się wojna; witam mile zwycięzców, ale proszę o wolność dla niewolników. A teraz bądźcie łaskawi posilić się!“ Wesoła a zgłodniała młodzież nie czekała powtórnego wezwania, ale rzuciła się chciwie na przygotowaną wieczerzę, a gdy już znikły stosy potraw i przysmaczków, zaczęły się dopiero opowiadania i przechwałki. Kilku z młodych zaczęło się gniewać, panienki szeptać i śmiać się; ale pan Ciesielski surowo i jednych i drugie zgromił, zaręczając, że tam psuje się każda zabawa, gdzie między towarzyszami niema pobłażania i miłości. Matki ze swojéj strony ostrzegły córki, że niewczesne śmiechy więcéj nieraz obrazy i zwady spowodowały, niż rzeczywiście ostre słówko. Panienki zaczerwieniły się, młodzi podali sobie ręce i na zabawach i tańcach przepędzili resztę wieczora.

Nazajutrz rozjechali się do szkół, bo już był koniec wakacyi.

IV.

Opisy.

81. Nasza wiosna.

Co rok wraca wiosna do nas, a jednak każdego roku tak się na nią cieszymy, jakby pierwszy raz do nas przychodziła. Cieszą się i dzieci i starsi, cieszy się nawet staruszek siwy, kiedy po smutnéj zimie przyleci do nas pierwszy posłaniec wiosny, szary skowronek, a latając od wsi do wsi, wdzięcznym śpiewem zwiastuje ludziom, że wiosna powraca. Wnet też lecą pliszki z ciepłych krajów, ciągną sznury gęsi, żórawi i wrzaskliwych kaczek. I bocian spieszy z dalekich cieplic do nas na miłą wiosnę, a za nim rusza się wszelkie ptastwo: lecą czajki, czyżyki, drozdy, kosy, żołny, jaskółki, kukułki, przepiórki, a wszystko się cieszy, wyśpiewuje, wykrzykując, że aż gwar w lasach i powietrzu.

Ziemia martwa wypoczywała przez długą zimę, mrozem skuta, okryta śniegiem, jak człowiek po pracy spoczynku zażywając. Gdy jasne, ciepłe słońce skruszyło lody, stopiło śniegi, odkryła się naga, czarna ziemia. Ukryte w niéj korzonki traw, ziół, kwiatów i wszelkich roślin, rozgrzane promieniami słonecznymi, puszczają z ziemi kiełki, wystrzelają listkami, aby dobroczynną a nagą swą matkę pokryć najpiękniejszą zieloną suknią. Kiedy już wszędzie u nas zielono, pięknie i wesoło, kiedy już sady i gaje rozlegają się gwarem ptastwa; wtedy nakoniec przylatuje do nas pierwszy artysta między ptakami, najdzielniejszy śpiewak, słowik ukochany. Z początku pilnie się kryje po krzakach i milczy, jakby się przysłuchiwał, czy mu który pierwszeństwa nie odbierze. Słucha słowik śpiewu innych ptaszyn, a gdzie się odezwie, kiedy pocznie silny swój głos też podnosić, to spuszczać, to przeciągać, nasłuchać go

się nie może człowiek w cichą, spokojną noc majową. — O! miła, wdzięczna wiosno! śliczny maj! rozkoszna młodość! A jakże piękne są poranki wiosenne! Najpierw wstaje wspaniała jutrzenka, na całe niebo rozpuszcza świetne promienie, leje światło na ziemię, aż jasno na ziemi i niebie. Potém zwolna zaczyna świtać, i zapala się na firmamencie czerwona zorza. — Któżby jéj piękność wysłowił? Całe niebo się rumieni, jasność coraz większa; budzą się ptaki z uśpienia i poczynają rannym śpiewem chwalić swego Stwórcę. Nakoniec słońce wychyla z rumianéj zorzy wielką swą twarz pałającą i zagląda okienkiem do każdéj chatki, budząc pracowitych ludzi ze snu, wkrada się sparami do obór i chlewików; budzi zwierzęta domowe.

Wstają pracowici ludzie, krzątają się po domach, wyglądają oknem na świat odmłodzony, witają piękny dzionek, a umywszy świeżą wodą twarz i ręce, spieszą w pole do pracy. Jakże miło jest rólnikowi w wiosenny poranek na polu! Uciszone drzewa, sady i lasy jakby w milczeniu śpiewom ptastwa się przysłuchiwały, uroczysty spokój w naturze; tylko woda mruczy w strumyku i skowronki dzwonią nad głową rólnika, który pługiem rolę krając, wykrzykuje: wio, wio wołki moje! —

Słońce spuszcza się ku zachodowi. Błyśnie raz jeszcze wśród drzew i gałęzi, wreszcie zapada do głębi, zachodzi za lasy i góry, czyli zaczyna innym krajom świecić. Rumieni się tylko czerwona na niebie zorza. Rozlewa się miły chłód w powietrzu, cichy wietrzyk listkami szeleści. Spracowany rolnik po całodziennym znoju wraca do swéj chatki, bo zaczyna spadać wieczorna rosa. Teraz i krzykliwe ptastwo ucisza swe głosy, sam tylko jeszcze skowronek, który wstał najrychléj i dzień cały prześpiewał, nuci wysoko w powietrzu pieśń wieczorną. Tymczasem komary igrają tłumami, chrabąszcze brzęczą, siadając na drzewach, żaby rechcą wesoło we wodzie. Zmrok zapada, cichość na ziemi; chłopcy i parobcy linią wierzbowe piszczałki, siadają na murawach przed domami i wygrywają wdzięczne, nadobne piosenki, aż się po wsi rozlega. Dzieci bawią się po drodze, goniąc się, ścigając, pląsając. Wreszcie i człowiek smacznie zasypia. Cisza w około. Na niebo występuje jakoby stróż ludzki blady księżyc, prowadząc wojsko swe za sobą — gwiazdy.

(Ew. Estkowski (w skróceniu).

82. Burza wśród lata.

Czasem w lecie nieznośny upał dokucza; żarem płonie niebo, spiekła ziemia pęka, powiędłe roślinki chylą się omdlałe ku ziemi;

od rozpalonego, parnego powietrza pot leje się żniwiarzom z czoła; gzi się bydło niespokojne, ptastwo ziaje. Wszyscy oczekują burzy. Wreszcie na gorącém, jasnem niebie pokazuje się mała chmurka, która im więcéj się przybliża, tém większą, gęstszą i ciemniejszą się staje. Już całe niebo ciężkiemi chmurami pokryte, jakby grubymi kłębami dymu. W powietrzu parno jak w piecu. Nagle zrywa się wiatr, szum i wicher, porywa zboże z garści, piasek pod obłoki unosi. Przerażone bydło ucieka do zagród, gęsi gęgają, polne ptaszki piszczą żałośnie, szukając schronienia przed burzą; jaskółki szybują w powietrzu pod chmurami lub skrzydełkami wodę muszczą. Żniwiarze chronią się, jak mogą, przed grożącą nawałnicą; fornale spieszą ze zbożem do stodół. Wicher coraz potężniéj się sroży, rwie słomę z dachów, ugina drzewa, odłamuje gałęzie. W chmurach szumi i wre, jakby w kotle. Zabłysło, zagrzmiało, rozrywają się chmury, lunął kroplisty deszcz. Migają na krzyż błyskawice jak wstęgi ogniste, jak latawce, aż wzrok rażą; zdaje się czasem, że Bóg skinieniem swém ciemności rozprasza i niebo roztwiera. Ciężkie grzmoty ryczą w ciemnych chmurach, drżą okna i ziemia. Długimi smugami leje się woda z obłoków na ziemię, jakby niebo ziemię zalać chciało; gwałtowna ulewa wypełnia rowy, zalewa pola i łąki: woda wezbrana rycząc, rozrywa zagony, zabiera zboże i siano, albo też sypie się grad biały, który tłucze szyby okien, zabija młode ptastwo, ścina zboże nieskoszone. Ognie niebieskie coraz gęstsze, grzmoty coraz przeraźliwsze. Czasem nagle błyśnie i huknie, jakby się niebo rozpękło, wypadnie piorun z chmury i z ogromnym łoskotem wpada w wodę, lub rozpruwa wysokie drzewo od wierzchołka do ziemi i w jednéj chwili obcina gałęzie.

Wylały się nakoniec wody z chmur na spragnioną ziemię, ucichły grzmoty, ustały błyskawice, chmury się przecierają i rozchodzą po niebie, ukazuje się jasne słońce i rzuca znowu ciepłe promienie na odświeżoną ziemię. Młode kłosy jęczmieniów i kiście owsów, obciążone kroplami perlistemi, chylą się ku ziemi; roślinki główki podnoszą; łąki i drzewa, obmyte z kurzu, niby w nowych strojnych ukazują się szatach. Grzmot i deszcz oczyściły powietrze. Żniwiarze orzeźwieni, wesołém spoglądają okiem na piękny, odrodzony świat; powietrze świeże i wonne jak oddech kwiatów owionęło ich ciało. Skowrónki ku niebu wzlatują i śpiewają; muszki brzęczą, a komary igrają w miłém powietrzu; orzeźwioną trawę je smacznie bydło i skubią gęsi; żaby po łąkach skaczą, glisty czołgają się po ziemi. Dzieci wybiegają z domów, brodzą po wodzie, kąpią się w wonném powietrzu. Kobiety z nożami i koszykami spieszą do boru, aby zbierać grzyby, co po deszczu z ziemi się wychyliły;

starsze dzieci biegną na jagody, zbierają poziomki, które niby szczygiełki główki z zielonéj wytykają trawy.

Przyjemne jest po burzy lato!

83. Zima.

Zima zaczyna się 22go grudnia, kiedy jesień się kończy, i kiedy dni są najkrótsze, a noce najdłuższe. Latem słońce wschodziło o czwartéj godzinie, teraz wschodzi o ósméj; latem zachodziło po ósméj na wieczór, teraz zachodzi przed czwartą; latem o dziewiątéj na wieczór jeszcze widno było, zimą o piątéj już ciemno. Minęła rozkoszna wiosna, ciepłe lato i przyjemna jesień, a przyszła blada zima.—Bociany, słowiki, skowronki, jaskółki z inném ptastwem już do ciepłych odleciały krajów, gdzie niema mrozów i śniegów; bydło już przestało chodzić na pastwiska: na polach i łąkach trawy powiędły; drzewa stoją nagie, bo liście opadło, a niedługo biały śroń je pokryje, jak człowieka siwy włos na starość; woły pracowite sprowadziły zboże do stodół; pajęczyna przestała spadać na ziemię długimi białymi sznurami; słońce rzadko świeci, mgły ziemię otaczają, deszcze często przepadują, a po drogach błoto.

Niezadługo spadną gęste śniegi, okryją pola i ogrody, zasypią drogi, przyodzieją białym płaszczem niskie chaty. Zające i kuropatwy kryć się będą pod krzaki, ptastwo cisnąć się będzie do wsi, wróble chować się w słomiane dachy.—Już to ptaszynki cisną się do stodół, by podnieść ukruszone ziarnko i głód swój zaspokoić. Ludzie brną po kolana w śniegu. Mieszczanin w ciepłéj czapce kroczy po ulicy, wąsy śron mu okrywa; konie parskając, biegną z saniami po utartym śniegu; dzieci wożą się na saneczkach, ślizgają na lodzie, chłopcy gonią się na łyżwach.

Mróz się zwiększa, słońce bystro świeci, śnieg ćmi oczy, gwiazdki śniegu skrzą się w powietrzu, para na szybach zamarza.

Długie są zimowe wieczory. Często na dworze zawierucha, łuczywo jasno świeci. Komin w domku obsiadła cała rodzina; wszystko do niego się tuli, bo na dworze mróz, zimno. Rychło udaje się wszystko na spoczynek, nie tak jak w lecie.

84. Wieś rodzinna.

Wieś rodzinna jest nam najmilsza, bo w niéj najpierw świat ujrzeliśmy, w niéj raz pierwszy widzieliśmy kwitnące drzewa, zielone łąki, płynącą wodę,, wesołe zwierzęta, jasne słońce, pogodne niebo, iskrzące się gwiazdy i wszystkie inne cudne stworzenia boskie. Tu znamy każde drzewo i drzewko, każdą murawę, każdy kącik, każdą

ścieżkę przez pole, każdą miedzę w roli. Nie raz staliśmy i bawiliśmy się nad strugą, w któréj od naszego urodzenia woda płynie a płynie, przypatrywaliśmy się rybkom w niéj migającym, żabom skakającym po trawie nad brzegiem. W tym stawku, co w nim woda cicho stoi, często przeglądaliśmy się i widzieliśmy w nim niebo i drzewa. W wiosce rodzinnéj patrzyliśmy i patrzymy co dzień latem, jak pod wieczór owce z pola wracają, a owczarek im przygrywa, jak najedzone bydełko ciągnie z pastwiska do domu, jak rólnicy spieszą po pracy do swoich zagród, jak jasne słońce spuszcza się za góry, za lasy, za wieś, jak się zorza pięknie pali, jakby niebo ogniem płonęło, a chrabąszcze brzęczą, komary latają, słowik w sadku śpiewa piosenkę. Wszystko nam we wsi rodzinnéj bardzo znajome, bardzo miłe. Miły nam drewniany kościółek, w którym się modlimy; miłe drzewa na cmentarzu i te stare lipy, dęby, kasztany i wierzby; miły dzwonek na wieży, co zwołuje ludzi na nabożeństwo a pod wieczór na modlitwę wzywa i na pogrzeb dzwoni. Miłe nam daléj sadki zielone, ślicznym kwiatem na wiosnę strojne. Wszakże to w nich chatka wiejska się kryje! Miłe nam łąki, na których wonne rosną kwiaty, motyle latają, pszczoły brzęczą i dojne krowy przy wesołym pastuszku się pasą. Miłe nam role, na których pracowity rolnik orze i skowronek przyśpiewuje, i miły nam nasz bocian, co na każdą do nas wraca wiosnę, naprawia gniazdo, klekoce i na wieś patrzy. We wsi rodzinnéj wszystko nam drogie; wszystko od dzieciństwa znamy i kochamy. To téż i siwemu staruszkowi najmiléj we wsi rodzinnéj; tu, a nie gdzie indziéj oczy zamknąć i kości złożyć pragnie, bo tu spoczywają także prochy ojca, dziada i pradziada jego.

(Góralczyk. Zbiórek ku zabawie.)

85. Wycieczka nad Wartę.

Byłto posępny ranek, kiedyśmy z Słupcy wyjechali. Szare niebo zewsząd zalegało błękit dnia wczorajszego, mgliste chmury tedy owedy z południa się tocząc, chwilowym deszczem zieleniejącą się ziemię i nas podróżnych rosiły. Mijaliśmy wioski. Tymczasem silny wiatr zadął, chmury zaczęły się przerzedzać i pierzchać, deszcz ustawał, i odsłoniły nam się piękne i dalekie widoki. Okolica urozmaicona milsze sprawiała wrażenie; już bory na poziomie ciemnieją, już wzgórza przerywają płaszczyznę, a tam daleko we mgle sterczą wieże kościoła lędzkiego, jakoby na górze panującéj nad okolicą. Jedziemy zwolna pod górkę; czarna ziemia i glina ustępują, zaczynają się piaski i sosny. Jest to pasmo piasczyste, towarzyszące biegowi Warty na prawym brzegu, które jużto oddalone od koryta

obszerne smugi i łąki obejmuje, jużto blisko do rzeki przypierając, ścieśnia ją i prąd jéj wartkim czyni. Miłe wspomnienia te wzgórza w pamięci obudziły. I Wisły wybrzeża zalegają z jednéj strony niziny i żuławy, z drugiéj osepy piaszczyste, borem wieńczone, ale wielkie, wysokie, odpowiadające rozmiarowi wspaniałej rzeki. I tam niskie macierzanki w różnych kępkach śliczną barwą zakrywają nagość piasków, miłą wonią napawają powietrze; i tam tysiące pstrych kamyków i barwnego rumowiska zwracają na siebie oko, szczególnie dziecięce, które w nich się kocha, jak bogunki wodne w perłach i muszlach porozsypywanych w głębinach wód przejrzystych.

Zerwawszy kiść macierzanki, ruszyliśmy daléj. Wspaniałe wielkie drzewa z doliny wyrastają — to Ciążyń. Wjeżdżajmy. Droga przez wieś nadzwyczajnie szeroka, w każdém miejscu nawrócisz choćby szóstką; domy porządne, drzewa wszędzie, a tam na końcu kościół ukryty pod gęstém liściem topoli. Długi ogród ciągnie się po lewéj stronie aż za wieś i kończy się gaikiem; za drzewami nade drogą widać chmielnik, a daléj niziny, łęgi i łąki aż do Warty.

Nie zatrzymawszy się w Ciążyniu, wyjechaliśmy ze wsi pod górę ku Pyzdrom, milę stamtąd odległym. Droga piaszczystém idzie wzgórzem aż do Ostrowa. Już tu widać bieg Warty, która daleko w dole jak wąż długiemi krętaniny się wije pomiędzy smugami w szerokiéj dolinie, za dawnych czasów zapewne całkiem zalanéj. Inne to wrażenie sprawia widok rzeki, inne jeziora. Kiedy z góry na rozległe jezioro patrzymy, ta myśl mimowolnie budzi się w duszy, że wody te obszerne i głębokie jednak mają gdzieś koniec swój i brzegi naokoło. Chociaż wiatr zamąci powierzchnie wód, to pozorne tylko ruchy, bo w głębinie sen śmiertelny. — Inny widok jest rzeki! Swobodne tam wody całe życie pędzą bez odpoczynku daléj a daléj, nie pytając o góry i przepaści, bo żadna moc nie jest zdolna wstrzymać je w obranym biegu. Z siłą młodzieńca rzeka zrodzona na skałach górskich, rzuca się w doliny, przeskakuje głazy i progi skaliste i ryje sobie tór według własnéj woli. Gdzie ją ścieśniają brzegi, tam gniewny podnosząc szum, pieni się i burzy i rośnie w górę, nie cierpiąc więzów. Rozlana w równinę, wije się swobodnie i buja wolniejszym pędem po łąkach i żuławach. Urosła w siłę i wiek, wzmocniona innemi wodami, toczy się wolniéj a wolniéj ku morzu, niosąc na sobie okręty z bogactwami téj ziemi. Patrząc na te jéj wody uciekające, na każdą jéj falę, co się tak spieszy i nigdzie nie zatrzymuje, czujemy dziwne wrażenie niespokojności, tęsknoty za czémś dalekiém, za jakimś światem, do którego dusza chciałaby lecieć, tak jak wody w dalekie strony świata. Przemijające przed oczyma wody napomykają znikomość ziemską,

ulatujące życia ludzkiego chwile i nieznany nam kres wypoczynku od prac i mozołów życia, i skończenie tego wszystkiego, za czem gonimy tak spiesznie, jak wody bieżące.

(Dr. N. z Przyjaciela ludu).

86. Lawina w Szwajcaryi.

Już jesteśmy na pograniczu Włoch i Szwajcaryi. Jadę dyliżansem z kilku młodymi wesołymi ludźmi, których pędziła po świecie chciwość wrażeń i zysku materyalnego. Nie będąc obecnie do rozmowy dość usposobiony, zasiadam pomimo dotkliwego zimna samotne miejsce na wierzchu naszego ciężkiego powozu. — Jedziemy wolno, ale wolno, tak jak się podróżuje w górzystych krajach. Pniemy się ku źródłom rzeki Tessino, już przebyliśmy Airolo, jesteśmy u stóp góry św. Gotthardа i po spadzistych na dziesięć piętr połamanych drogach dążymy na szczyt góry. Z każdym krokiem większe zimno, rozpaczliwsza dzikość, straszliwsza pustynia i okropniejsze chaos. Przybywamy nareszcie pode drzwi starego hospicium. Ogromny to, do zamku podobny gmach, zawierający w sobie kościół, pokoje gościnne i kilku braci zakonnych, gotowych na usługi ludzkości.

Ruszamy z miejsca; wjeżdżamy pomiędzy labirynt niebotycznych gór. Grożą nam przepaści do tysiąca i więcéj stóp głębokie, a tak przepadziste i obszerne, że całe miasta z domami pochłonąćby mogły.

Rzeka Reuss toczy swe wściekłe nurty pomiędzy temi górami, raz się strącając jak szalona z wysokich skał w przepaści, to znów głębiéj wytryskując jak więziony gajzer z łona ziemi i obryzgując wszystko w koło siebie gęstą pianą.

Wichry rozhukały się po górach i wznoszą tumany śniegu w powietrze, rzucając je jak swawolne chłopaki z góry na górę.

Z zachwyceniem patrzyłem na te widoki natury, nigdy jeszcze nie widzianéj piękności i całkiém zajęty, czarującą rzeczywistością, nie mniemałem, żebyśmy byli tak bliscy najstraszniejszéj sceny, jaka kiedy w tych górach przez rozdąsaną przyrodę odegraną została.

Naraz bowiem wszystkie szczyty gór zatlały mocnym purpurowym ogniem, jak gdyby odbłyskiem jutrzenki; straszliwy świst i jęki jak gdyby miliona wyjących Eołów dały się słyszeć z tych wszystkich szczytów, a mianowicie z góry Windgelle, téj piramidy na 6000 stóp wysokiéj, u któréj podnóża właśnie pięliśmy się ponad straszliwą przepaścią.

Teraz cała ściana téj piramidy zadrżała w swych skalistych podstawach, i przeraźliwe mruczenie rozniosło się po wszystkich echach.

„Boże! zmiłuj się nademną!“ krzyknie woźnica, wznosząc ręce do góry. W téj saméj chwili wicher zrywa dyliżans, konie i woźnicę i o kilkanaście kroków rzuca nas wszystkich jednym zamachem tuż ponad przepaść.

Konie padają, woźnica nie odstępuje ich, ja jeden chronię się pod ogromną opokę. Teraz dopiero zbliża się lawina: głazy prawie tak duże, jak nasz dyliżans, spadają na niego i gruchocą go razem z podróżnymi, z końmi i woźnicą na najdrobniejszą miazgę. Nadchodzi lawina z rykiem miliona dział. Jest to bryła śniegu, wielka jak dom trzypiętrowy; obwija na około siebie całą warstwę śniegu od szczytu góry aż do jéj podnóża, zabiera dyliżans, konie i podruzgotanych ludzi, i stacza się jak wściekła w przepaść trzy tysiące stóp głęboką, roznosząc echo swojego przejścia na mil trzydzieści w około.

Ja leżę pod głazem z potrzaskaną nogą prawą i ręką lewą strasznie nadwerężoną. Jestem pokryty wysoką warstwą na szczęście miałkiego śniegu.

Krzyczę, co mam głosu.

Dopiero w dziesięć godzin potém wydobyto mnie na pół zmarzłego i prawie nieżywego. Z dyliżansu, z koni, z towarzyszów podróży, z woźnicy, z pakunków najmniejszego nigdzie nie pozostało śladu: wszystko na wieki pochowane w niezgruntowanéj przepaści, która w swych otchłaniach zawiera kości niejednego człowieka.

(Księga świata K. Wł. Wojcickiego).

87. Wieliczka.

W przyjemném z pięciu osób złożoném towarzystwie, otrzymawszy od dyrekcyi górniczéj pozwolenie i przewodnika, poszliśmy do otworu kopalni, miejsca, które na szopę wygląda; w środku jest otwór w kształcie ogromnéj studni, i nim zstępują robotnicy i ciekawi. Kiedy się zajrzy w tę ciemną głębiznę, którą się ma przebyć, mimowolny dreszcz przechodzi; pióro podane do zapisania nazwiska swego w księdze ku temu sporządzonéj, drzy z lekka w ręku, a długie płócienne koszule, służące podróżnym do oszczędzenia sukien, zdają się być przypomnieniem ostatniego śmiertelnych ubioru. Jednak przemaga ciekawość, i każdy mówi śmiało: „Już ja spuścić się muszę.“ Ledwie tameczni zabierają się do pracy, konie, których nie widać, obracają wielkie koło; za tą pomocą okręca się gruba lina w około walca, i wychodzi z otworu napowietrzny powóz, w który wsieść trzeba. Są to szelki z powrozów, zaczepione u węzłów liny w niejakiéj od siebie odległości, po trzy lub cztery w jednym rzędzie. Powóz ten staje; zasłaniają otwór studni

deskami, siadają najprzód chłopcy ze światłem, przy nich górnik z laską w ręku dla utrzymania równego kierunku, a w wyższych rzędach podróżni. Siedzenie bardzo wygodne i pewne, zwłaszcza że każdy trzyma się liny rękami. Gdy wszyscy usadowieni, rozsuwają się deski; dają znak, żeby konie ruszyły, i lina się spuszcza. Nie można opisać miłego uczucia w czasie téj podróży. Jest w niém coś w podobieństwie do onych snów przyjemnych, kiedy się marzy, iż szybkim jednym lotem powietrze porzemy; ani przyjdzie myśl jakiéj bojaźni, żalu tylko się doznaje, czując, że już popęd wolnieje, że już grunt blisko, i wysiadać trzeba. Bo tylko do pierwszego piętra na linie spuszczać się można, do dwóch drugich schodami albo po drabinach iść trzeba; należy zaś wiedzieć, że tu wszystko przeciwnie, jak na ziemi. Najwyższe piętro pierwszém się zowie, najniższe ostatniém. Stanąwszy i wysiadłszy bez szkody, zabraliśmy się do pierwszéj podróży. Znikło wnet słabe światło dzienne, które przez otwór trochę widać było, i uczułam, że już zupełnie jestem pod ziemią, że inném oddycham powietrzem, na innym jestem świecie. Jakoż prawdziwie wszystko tu odmienne, a wszystko jednostajne; natura wszędzie tak rozmaita, w tém miejscu zawsze ta sama. Światło słońca nigdy tu niedochodzi, pory nigdy się nie zmieniają, czy na ziemi jasno, czy noc ponura, czy wiosna lubym tchem wieje, czy skwar słoneczny dopieka, czy dżdże jesieni wskroś przejmują, czy mróz ściął wszystko — tu zawsze głębokie ciemności, światłem tylko lamp i kagańców rozjaśnione; tu ciągle powietrze czyste, chłodne, jednakowe. Wszystko, co widzisz, czego się dotykasz, na czém stąpasz nawet, jest solą; bo ściany ogromne tych długich ulic, te filary wspaniałe, te schody niezliczone, te stósy bałwanów czyli beczek, te góry okruchów, wszystko to jednego rodzaju, jednego koloru; wszystko z soli. Ludzie tu także zupełnie inaczéj wyglądają: najprzód migające się światło lamp i kagańców inną barwę, czy wyraz ostrzejszy im daje, głębokie cienie rzucając; powtóre postać robotników jest niezwyczajna; koszula całą ich odzieżą, nogi, ramiona i piersi nagie, a to żeby soli gdzie chować nie mieli; ta ich postać, te kagańce wszędzie poprzyczepiane, nawet do taczek, któremi sól wożą, wszystko jakąś nową zupełnie krainę wystawia. Tymczasem idzie się ciągle, idzie godzinę, drugą, trzecią i szóstą, to wąską, to szeroką galeryą, to wygodnemi schodami, to na dół, to w górę; zdaje się, że to królestwo nocy granic nie ma. O jakże dobroczynnym darem Opatrzności wydaje się tu światło! samo kieruje, prowadzi w téj otchłani, a na myśl o wygaśnieniu jego, włosy na głowie powstają. Największego doznaje umysł zdziwienia w miejscu, a raczéj w otchłani „Klaską“ zwanéj. — Tam stanąwszy na moście, gdy spojrzysz w górę, dojrzéć nie możesz

szczytu téj niezmierzonéj wysokości; gdy oczy spuścisz na dół, lękasz się na widok bezdennéj przepaści, a kiedy przewodnicy twoi rozbiegną się, jeden stanie przy tobie, drugi wyjdzie do góry, trzeci na dół się spuści, rozpalą nowe ognie i rozświecą swe pochodnie, dziwisz się, że coraz więcéj, daléj, wyżéj przestrzeni spostrzegasz, a jednak w bajkach wróżek wydaje ci się, że rośnie przed tobą świat czarnoksięski, że już końca jego nie ma.

Podobnie dziwnego uczucia się doznaje, zobaczywszy w tém podziemném państwie, lecz nie na samym dole, dość obszerną sadzawkę; jeziorem ją zowią i dają jéj przydomek szczególny Przykos. Złożona jest z wód, które przesączając się ponikami, z powierzchni ziemi przez pokłady piasku i gliny sprowadzone są w to miejsce kanałami dla ochrony robót górniczych. To jezioro więcéj jest głębokie niż obszerne, woda jego brunatna i słona; zwykle w dość wygodnym promie wożą po niém podróżnych.

Piękna jest także sala, Łętów zwana, gdzie zwykle iluminacye, nawet i bale bywają; bo kiedy osoby z rzędu panujących zwiedzają te kopalnie, wszystkie galerye, sale, kurytarze, Kloska, są rzęsisto oświetlone. Odgłos muzyki rozlega się po ogromnych sklepieniach, i obecni są zachwyceni. — Godną widzenia jest jeszcze kaplica, nie daleko głównego wchodu będąca, opiece św. Antoniego oddana, jak wszystko z soli wykuta: posągi świętych, filary, kazalnica, wszystko z soli. Jest tu również posąg Augusta II z jednéj bryły urobiony; ale przez długi napływ wilgotnego z wewnątrz powietrza nikną we wszystkich twarzach znaczniejsze rysy i z osób robią się słupy.

Dotąd w kopalniach Wieliczki trzy są piętra, lecz może z czasem i czwarte wykują; natura bowiem ich jest taka, że im głębiéj posuwają górnicy swe prace, tém czystszą sól znajdują, a nigdzie jeszcze od spodu nie pokazała się woda prócz kilku niewielkich źródeł. Te kopalnie śmiało najsuchszemi nazwać można, zwłaszcza że im głębiéj, tém mniéj wilgoci.

Czy te kopalnie doczekają skończenia świata, czy też zawalą się wkrótce, tego sami uczeni powiedzieć nie umieją; powtarzają jednak wszyscy, że tu wielkiéj baczności potrzeba, ażeby dobrze podpierać wiszące sklepienie. Z dawnych szybów już niektóre się zapadły; teraz zdaniem znawców lepiéj sobie radzą niźli przed tém.

Lecz czyste powietrze kopalni apetyt wzbudza; nie można tam bawić nad pięć lub sześć godzin. Zabraliśmy się do powrotu. Dobrze, że są przewodnicy, bo nic łatwiejszego jak zbłądzić w tym labiryncie; i mówiono nam (czemu snadno uwierzyć), że lat kilka do tych sklepień uczęszczać trzeba, chcąc się z niemi obeznać zupełnie.

Doszedłszy do otworu, wsiedliśmy znowu w napowietrzny powóz. Do samego końca wszystko tu przeciwnie jak na ziemi: daleko miléj iść na dół niż w górę; zupełnie przykrego doznałam uczucia, jak nas zaczęli wywyższać. Ależ zato jakaż była radość, kiedyśmy wysiedli, kiedy nas ogarnęło ciepłe, żywotne powietrze, kiedy jasność dnia w oczy uderzyła, ludzie w zwyczajnéj ukazali się postaci i barwie!

(Tańska.)

88. Trzęsienie ziemi w Caraccas.

Wielkie czasem klęski na naród ludzki sprowadzają trzęsienia ziemi, które się zdarzają najczęściéj w krajach nadmorskich. W Ameryce, roku 1812, miasto Caraccas trzęsieniem ziemi okropnie spustoszoném zostało. Pewien podróżny tak opisuje to zdarzenie przerażające:

Był to dzień nader ciepły i parny dwudziestego szóstego marca, powietrze spokojne i niebo czyste. Jako we Wielki Czwartek cały lud po licznych kościołach był na nabożeństwie. Siedm minut po czwartéj godzinie we wieczór pierwsze drzenia ziemi dały się we znaki, ale tak silnie, iż dzwony same się ozwały. Trwało to przez sześć sekund. Zaraz i drugie drzenie nastąpiło, i ziemia zdawała się być w takim ruchu, jakby płyn wrzący, lub woda kamieniem wpadającym zburzona. Już sobie każdy tuszył, że minęło niebezpieczeństwo, aż tu podziemnym grzmotem ziemia zatętniała. Po grzmocie nastąpiło wstrząśnienie pionowe i inne poziome, wężykowe, ale w przeciwnym kierunku: jedno od północy ku południowi, drugie od wschodu ku zachodowi. Rozmaite a przeciwne i krzyżujące się te ruchy gdy razem na powierzchnią ziemi działać poczęły, nie było żadnego gmachu, żadnego muru dosyć mocnego, aby dał opór stateczny owéj sile niszczącéj. Całe miasto, wszystkie domy, kościoły powywracały się i gruzami zasypały tysiące mieszkańców nieszczęśliwych. Dwa kościoły do 150 stóp wysokie a podparte słupami na dwanaście stóp grubymi, w jednę górę gruzów zamieniły się tak, iż z owych słupów drobne tylko szczątki się pozostały. Do 10,000 trupów liczono prócz tych, co odniosłszy ciężkie rany albo wycieńczeni głodem i nieopatrzeni w swém kalectwie, nieco późniéj bolesną zginęli śmiercią. Okropny widok, okropna scena to była w tychże dniach, w których chrześciaństwo obchodzić zwykło mękę i śmierć Zbawiciela. Tumany kurzu, które były powstały z zgruchotanego i walącego się miasta, nazajutrz znikły, drzenia ziemi ustały, i pogodna, spokojna noc znów jak dawniéj rozpięła ciemny swój baldach, tysiącem gwiazd błyszczący; i księżyc w pełni czaro-

wnym swym blaskiem srebrzystym maluje góry pobliskie i spogląda twarzą spokojną na ziemię, na ludzi. A ziemia jakiż obraz przedstawia? Zniknęły pyszne gmachy, świątynie i wieże; runęły domy, strojne kwiecistymi ogrodami i napełnione wesołym ludem; runęły kościoły, mieszczące w sobie pobożnych u stóp ołtarzy modlących się chrześcian. Już miasto nie wznosi się wśród cienistych sadów! Gruzy tylko, same gruzy jak mogiły olbrzymiego narodu pokazały białawe swe szczyty, a w koło ziemia trupami zasłana, i krwią ludzką zbryzgane głazy; a jęki, westchnienia, płacz i rozpacz wznoszą się przeraźliwie do nieba o litość, o zmiłowanie nad nędzą, nad mękami ofiar nieszczęśliwych. I wybladłe, strachem zdjęte postaci jak cienie po grobach swojego szczęścia się błąkają, szukając tych, co z zdruzgotanemi kośćmi pod ciężarem kamieni i gruzów leżą. I matki biegają, wyciągając z pod cegieł i marmurów martwe swych dzieci ciała, i ojcowie szukają synów, dzieci błędne płaczą i tęsknią za rodzicami. I przyjaciele i krewni i nieznajomi w ogólnem nieszczęściu wszyscy stali się braćmi i pomagali jeden drugiemu ratować, opatrywać rannych, odgrzebywać zasypanych, chować trupów, krzepić łaknących. Do 2,000 żywcem wywleczono z gruzów, a bez narzędzi prawie; każdy kto mógł odgrzebywał rękami gruzy i głazy, aby brata ocalić. Rannych zaniesiono nad brzegi rzeki, gdzie tylko pod cienistemi drzewami schronienie mieli. — W pierwszych dniach na wszystkiém zbywało; nie było pokarmu, nawet wody w mieście zabrakło, bo trzęsienia popsuły po części rury studzień i wodociągów, a źródła, ziemią zasypane, wody nie wydawały.

89. Odkrycie Ameryki.

Wiek piętnasty, i tak już obfity we wielkie wypadki, miał jeszcze ku swemu schyłkowi odznaczyć się wielkiém odkryciem, które bardzo zmieniło stósunki życia i wyobrażenia naukowe o ziemi. Drogę temu odkryciu utarli Portugalczykowie, którzy wydoskonaliwszy żeglugę, dosięgli końca Afryki, a nawet Indyi wschodnich drogą morską, dotąd nigdy nie nieużytą.

Pewien żeglarz, rodem z Genui, nazwiskiem Kolumb, wpadł na myśl, że do Indyi wschodnich możnaby zapłynąć, płynąc nie ku wschodowi, jak to Portugalczykowie czynili, lecz ku zachodowi. Ziemia jest okrągła, mówił do siebie, a ostatnie kraje Azyi powinny leżeć niedaleko od zachodniéj Europy za oceanem Atlantyckim. —

Najprzód udał się Kolumb do króla portugalskiego, który był wówczas podróżami do Indyi wschodnich nadto zajęty. Stąd udał się do Hiszpanii i zwierzył się ze swego planu królowi Ferdynan-

dowi i królowéj Izabelli. Po ośmiu latach czekania dano mu trzy małe okręty i 120 ludzi.

Trzeciego sierpnia roku 1492 wypłynął śmiały żeglarz z małego portu Palos niedaleko Kadyxu. Na wyspach Kanaryjskich opatrzył się we wodę, potém puścił się śmiało na pełne, nigdy dotąd niezwiedzone morze. Lecz z każdym dniem długo trwającéj żeglugi niknęła nadzieja, a niecierpliwość majtków rosła, gdy już 400 mil zrobili. Nadto rozmaite niewidziane zjawiska odjęły im zupełnie ducha i napełniły bojaźnią. Morze bowiem zaczęło im się wydawać podobne do łąki, cała powierzchnia tak gęstą trawą była zarosła, że się okręty w biegu wstrzymywały. Robili mu najprzykrzejsze wyrzuty majtkowie i grozili śmiercią, gdyby się nie wrócił. Kolumb atoli był spokojny i niewzruszony; gniewających się łagodził nadzieją i tyle dokazał, że go jeszcze trzy dni słuchać przyobiecali. — Tymczasem dały się postrzegać znaki lądu: głębokość morza się zmniejszała, trzcina płynęła ku nim i gałęzie z czerwonemi jagodami; postrzegano ptaki lądowe na masztach. Słońce zaszło, a jeszcze ziemi widać nie było; lecz Kolumb kazał żagle zwinąć, aby w nocy o skały nie uderzyć. Około północy spostrzeżono w odległości ogień, i nagle zabrzmiał z kosza majtkowego okrzyk radosny: ląd! ląd! Wszyscy się rozpłakali z radości i na klęczkach przepraszali Kolumba. Potém zaśpiewali pieśń nabożną i wkrótce ujrzeli piękną, zieloną wyspę, oświeconą promieniami wschodzącego słońca. Przy odgłosie muzyki brzmiącéj, z chorągwiami rozwiniętemi płynęli ku lądowi, a wstąpiwszy na brzeg, upadli na kolana i całowali ziemię. Wkrótce otoczyli ich zdumieni mieszkańcy téj wyspy, którzy się zbiegli nad brzeg, ponieważ nigdy takich ludzi i okrętów nie widzieli. I towarzysze Kolumba dziwili się tamecznym mieszkańcom. Prawie całkiem byli nadzy, miedzianego koloru; wielu miało złote blaszki w nosie i uszach. Z początku uciekali przed Hiszpanami, lecz zwolna powzięli do nich zaufanie i znosili im ryby, ptaki i korzonki. Dzielili się na małe pokolenia i mieli osobnych książąt, kacykami zwanych. Hiszpanie dawali dzikim różne drobnostki, jako: szklanne korale, igły, dzwonki, za co złota dużo dostawali.

Kolumb w tém mniemaniu, że w istocie dojechał do Indyi wschodnich, zebrawszy nieco złota i osobliwości krajowych, życzył sobie powrócić do Europy, aby swemu królowi przynieść nowinę o szczęśliwych swych odkryciach. Lecz jeden mu tylko okręt pozostał; albowiem drugi rozbił się przy Hajti, z trzecim zaś dowódzca potajemnie się oddalił. Umyślił tedy niektórych z swych ludzi na wyspie pozostawić. Przed odjazdem więc chciał mieszkańcom wyspy wysokie dać mniemanie o potędze i sile Hiszpan.

Kazał ludziom swym odbywać ćwiczenia wojskowe, a gdy Indjanie temu widowisku ze zdumieniem się przypatrywali, strzelali Hiszpanie ze swych fuzyi. Dzicy bardzo się przestraszyli i z trwogą padali na ziemię, zwłaszcza gdy z małéj armaty wystrzelono. Kula przebiła jednę ścianę zgruchotanego okrętu. Dzicy pojąć nie mogli, jak armata, która była na lądzie, mogła dziurę zrobić w okręcie, który był na morzu. Odtąd uważali cudzoziemców za niebieskie istoty, co grzmot i błyskawice sprawić mogą.

Napomniawszy Kolumb trzydziestu dziewięciu ludzi, którzy tam pozostać mieli, do łagodnego obchodzenia się z mieszkańcami, puścił się w drogę. Spotkała go tedy wielka burza, która mu zgubą groziła, lecz Opatrzność zachowała go przy życiu. Burza uspokoiła się. Kolumb płynął szczęśliwie daléj, a czternastego marca 1493 roku wśród huku dział, bicia dzwonów i okrzyków zgromadzonego ludu zawinął do portu Palos. Stąd udał się zaraz do Barcelony, gdzie król przebywał, i odprawił wjazd uroczysty, przy którym różne osobliwości i dwunastu Indyan ze sobą zabranych, pokazywano. Ferdynand przyjął go na tronie z oznakami czci, a po całéj Hiszpanii rozbiegła się wieść o nowoodkrytych krainach.

Wkrótce zebrało się 1,500 ochotników, którzy z Kolumbem w drugą podróż puścić się chcieli; skierowana zaś była do kraju w złoto bogatego. Król uzbroił siedemnaście okrętów, dał rzemieślników i górników, podczas kiedy Kolumb zabrał ze sobą europejskie zwierzęta i rośliny, spodziewając się, że się przyjmą i rozmnożą na owych pięknych wyspach. Tą razą udał się więcéj ku południowi i odkrył wyspy Karaibskie, Portoriko i inne. — Choć na wszystkich tych wyspach przyroda bardzo była miła, mieszkańcy jednak żyli w dzikości. Panował u nich okrutny zwyczaj pożerania ludzi, a zwłaszcza wziętych w niewolę nieprzyjaciół. Na jednéj wyspie widziano ich właśnie przy takiéj uczcie, a często znajdywano pokrwawione i objedzone kości ludzkie.

Potém odpłynął Kolumb do Hajti, chcąc zobaczyć, co się dzieje z małą jego osadą. Lecz przeląkł się niezmiernie, kiedy najmniejszego śladu po niéj nie znalazł. Hiszpanie mimo jego napomnień udali się w głąb wyspy, a łupiąc i krzywdząc mieszkańców, wszyscy zginęli. Założył tam Kolumb nową osadę; potém odkrył wyspę Jamaikę, zawsze myśląc, że jest w Indyach wschodnich. Następnie udał się do Hiszpanii. Późniéj dwa razy jeszcze puszczał się na odkrycia, a w trzeciéj podróży udało mu się dotrzeć do stałego lądu południowéj Ameryki. Kolumb umarł, mając lat 59, zmartwiony wielu prześladowaniami.

Inni żeglarze i wojownicy wsławili się potém przez odkrycie różnych części Ameryki, która niemal cała dostała się pod pano-

wanie Hiszpan i Portugalczyków. Później założyli tam także Anglicy i Francuzi swoje osady. Nazwisko Ameryki nie pochodzi od Kolumba, lecz od pewnego uczonego i podróżnika Amerigo Vespucci, który o téj nowéj części ziemi pierwszy podał dokładniejsze wiadomości.

Najwięcéj wsławili się w tym kierunku później Cabral, Cortez, Magellan i Pizarro.

90. Człowiek.

Człowiek jest stworzeniem, którém Bóg ukoronował dzieła rąk swoich. Mając te same co i zwierzęta potrzeby, różni się od nich duszą nieśmiertelną, rozumem i mową. Gdy mu jest miłe ciepło, a zimno przykre, gdy głód czując, stara się o pożywienie, gdy snu dla spoczmienia potrzebuje, widzi, że te jego potrzeby wspólne są zwierzętom; ale gdy myśli, gdy się zastanawia i gdy się nieśmiertelnego życia spodziewa, widzi istotę swoję wywyższoną nad wszystkie stworzenia i przybliżoną do natury tych duchów, którymi Wszechmocny swój niebieski majestat otoczył.

Maleńka mucha, skoro się wylęgnie, umie latać i umie pożywienie swoje wynaleść. Kurczęta zaraz po wylężeniu biegają i znają te ziarna, które im natura za pokarm przeznaczyła. Tymczasem człowiek przychodzi na świat w stanie zupełnego niedołęstwa; nie umie starać się o pokarm i nie byłby zdolny najmniejszego niebezpieczeństwa uniknąć. Muszą go pielęgnować dojrzali ludzie, dopóki nie nabędzie sił znpełnych i nie udoskonali rozumu swojego. To nas przekonywa, że do towarzyskiego życia stworzeni jesteśmy i że w każdéj czynności jedni drugich wspierać winniśmy.

Pierwszy człowiek stworzony został w takim kraju, w którym mu dobroczynna ziemia bez przymusu wszystko wydawała, a ciągle łagodne powietrze nie wzywało do obowiązku starania się o ciepłą odzież i pomieszkanie bezpieczne. Nie zaraz przeto ludzie zaczęli tworzyć wsi i miasta i tak prowadzić życie, jak my je dzisiaj prowadzimy. Dopiero kiedy przeszli w zimne okolice ziemi, skłoniła ich potrzeba do poddania się większym trudom i przemysłowi ich szybszy popęd nadała. Równie jak dzieci ograniczonych wiadomości swoich nie pewni początku, rozszerzali je potém coraz nowemi postrzeżeniami; a co z razu potrzeba tylko po nich wymagała, to później sztuki i zbytku przedmiotem się stało.

Najpierwsi ludzie w Azyi mieszkając, byli wszyscy twarzy śniadéj, to jest tacy, jakimi są dzisiaj Arabowie, Turcy, Persowie, Chińczycy. Ci, którzy Europę zaludnili, stali się z czasem tak białymi, jak my jesteśmy. Ci, którzy przeszli do Afryki, stali się zu-

pełnie czarnymi, jak to na Murzynach widzimy. Amerykanie są podobni do Murzynów, czarność ich nie jest jednak tak mocna, jak u Afrykańczyków, bo wpada nieco w czerwoność, co miedzianym kolorem zowiemy. W najpóźniéj odkrytéj części świata mieszkają ludzie, zielonawy czyli oliwkowy kolor mający.

Właściwie jeden tylko człowiek pomiędzy stworzeniami ma zupełnie prostą postawę ciała, i jak już dawniéj poganie wnosili, gdy wszystkie zwierzęta mają głowę pochyloną ku ziemi, człowieka oblicze wzniesione jest ku niebu, jakby w tym celu, ażeby nigdy nie utracał z pamięci myśli, że jest źródło najwyższéj Mądrości, z którego i on początek swój odebrał.

Lubo jedni ludzie są wyższego, drudzy niższego wzrostu; różnica ta nie jest jednak bardzo znaczna, a średnia miara człowieka zwykle pięciu stóp dochodzi. Jednakże niektórych krajów mieszkańcy mocno od téj miary odstępują. I tak narody lodowatych, blisko bieguna północnego krajów są bardzo niskiego wzrostu, bo ledwie trzech stóp dochodzą; a przeciwnie mieszkańcy południowego brzegu Ameryki z kraju Patagonów bywają stopą od nas wyżsi. Tamtych możnaby nazwać karłami, tych olbrzymami.

Niżeli się przekonano, że ogromne żebra i inne kości, które po wielu krajach z gór i skał wykopują, są kościami wielkich gatunków zwierząt, uważano je powszechnie za kości olbrzymów, czyli niezmiernie wysokich ludzi, którzy całych sosien za laski do podpierania się używali. Podobnie utrzymywano i o karłach; zmyślono całe narody, z niezmiernie małych ludzi złożone (kraśnoludy, Pigmejczyki), i powiadano, że do tych narodów zlatują corocznie żórawie i z nimi bój staczają. Ale tak dziecinnym powieściom wtenczas tylko wierzono, gdy mało kto był zdolny zatrudnić się dokładném poznawaniem rzeczy.

91. Lew.

Lew mieszka w całéj Afryce, począwszy od północnego pobrzeża aż do przylądku Dobréj Nadziei; przytém znaleść go można w niektórych krajach Azyi z Afryką pogranicznych. W Europie go dziś nie znajdziemy, chociaż niegdyś w Turcyi był bardzo pospolitym. Zwykle przebywa po lasach i zaroślach, gdzie dzień w jaskiniach przepędza, a nocną porą na obłów wychodzi. Nie mając bystrego węchu, zdobycz swą upatruje okiem i przyczajony, z zasadzki na nią napada. Na raz jeden wiele pożerając, nasycony, kilka dni bez pokarmu wytrzymać może; napoju jednak częściéj potrzebuje. Głos jego donośny i przeraźliwy tak dalece jest straszny,

iż ryk lwa posłyszawszy, wszystkie inne zwierzęta milkną i truchleją.

Pomimo jednak wielkiéj jego siły i potęgi, przed którą drży całe żyjące stworzenie, lew ma groźnego nieprzyjaciela, który go widocznie przetrzebił, a w niektórych krajach całkiem wygubił. Tym nieprzyjacielem jest człowiek, co lwa potężnego siłę pokonał potężniejszą władzą rozumu. Nim to wytropi on lwa w pustyni, wyśledzi w jaskiniach, a zawsze na to, aby go pokonał lub nawet pod panowanie swe podbił; albowiem lew ujęty w dole, tak się staje bojaźliwym, iż wszystko prawie, co się podoba, zrobić z nim można. Młodo złowiony dość łatwo się oswaja, a nawet powolnym i łagodnym się staje. Jednakże przezorny człowiek nigdy zbytecznie zawierzać mu nie powinien, zwłaszcza że skuteczną broń na jego pohamowanie posiada. Tą bronią jest wzrok ludzki, z którego przezierająca dusza nieśmiertelna tak mocną trwogą bezrozumne przejmuje zwierzęta, iż te zapomniawszy o swéj sile, mimowolnie wyższość człowieka uznają, poddając się jego rozkazom.

Z wielu wypadków o téj prawdzie świadczących przywodzimy następny.

Pewien z osadników na przylądku Dobréj Nadziei, Gert nazwiskiem, oddawszy broń palną towarzyszowi swojemu, szedł do ukrytego w krzakach źródła, aby w niém ugasić pragnienie. W tém gdy się przez gęstwinę przedziera, wypada lew ogromny i chwyta go za ramię lewe. Chociaż osadnik był przelękniony, jednak zachowuje całą przytomność umysłu; nie ruszając się z miejsca, wlepia wzrok nieruchomy prosto w oczy zwierza. Lew teraz z kolei strwożony, w jednéj stanąwszy postawie, pazurami i zębami trzyma za ramię swą zdobycz. Gert tak dalece był przytomny, iż nieznacznie dał znak towarzyszowi swojemu, aby wystrzałem uwolnił go z tak okropnego położenia; lecz tamten z bojaźni uciekł. Lew stoi ciągle nieporuszony, niby przykuty wzrokiem swego przeciwnika. Kto wie, możeby nawet zdobycz swoję był wypuścił, gdyby Gert w tak wątpliwéj chwili nie stracił był cierpliwości. Zamierzywszy bowiem wydobyć się przemocą fizyczną, prawą ręką wydobywa z pochwy nóż wielki, jaki mieszkańcy tamtejsi mają zwyczaj zawsze nosić przy sobie i wraża go nieprzyjacielowi w piersi. Rana wprawdzie była śmiertelna, lecz lew tyle miał jeszcze mocy, iż się pomścił na przeciwniku, szarpiąc Gerta tak okropnie, iż ten trzeciego dnia życie zakończył.

Podobne do poprzedzającego zdarzenia przytrafiło się innemu strzelcowi, który, polując na kaczki, niespodzianie z lwem się spotkał. Stanęli obaj nieruchomi, mierząc siebie oczyma. Po kilku sekundach lew odwrócił głowę i oddalił się powoli; ale zaledwie uszedł

kilkanaście kroków, zatrzymał się znowu i znowu powrócił. Zastał na miejscu nieruchomego strzelca, spotkał się z nim znowu oko w oko i nakoniec, jak gdyby uznając wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł.

Głośny w ostatnich czasach pogromca dzikich zwierząt, van Amburgh, Amerykanin, przy którego nogach leżały lwy i tygrysy, ze ślepém posłuszeństwem poddając się skinieniom jego oka, całą swą władzę był winien wzrokowi, którym najdrapieżniejsze pokonywał zwierzęta.

(Antoni Żyszkiewicz.)

92. Niedźwiedź.

Niedźwiedź zamieszkuje wysokie góry i okolice leśne w całéj Europie, w części Azyą i Afrykę. Długość jego dochodzi siedmiu stóp, wysokość różna, równie jak kolor pokrycia. Czoło powyżéj oczu wypukłe, pysk ku końcowi cieńciejszy, tępo się kończy. Futro nieco wełniste, jest pospolicie brunatne, lecz niekiedy brunatnoświetne z odbiciem prawie srebrzystém. Są także niedźwiedzie płowe lub jasno-żółtawe, a czasem zupełnie białe.

Niedźwiedź brunatny znany jest w całéj Europie. Do jego upowszechnienia wielce się przyczyniają niedźwiednicy, oprowadzają po naszych miasteczkach młodo złowione i oswojone niedźwiedzie, wyuczone doskonale chodzić na tylnych łapach, a nawet tańczyć przy odgłosie piszczałek i bębna. Jakkolwiek tak oswojone niedźwiedzie posłuszne są swym panom, zawsze przecież wykonują rozkazy, mrucząc z wyraźném oburzeniem; dla tego téż zwykle im nie dowierzają i kładą na pysk kaganiec. Niedźwiedzie żyją w lasach pojedyńczo, wychodzą z nich tylko głodem przyciśnione. Legowiska swe zakładają w jaskiniach skał albo częściéj we wydrążeniach starych drzew. W nich to przepędza niedźwiedź dni całe na spoczynku, oczekując nocy, w czasie której wychodzi szukać pożywienia.

W braku wygodnego miejsca w starych drzewach lub skałach, niedźwiedź buduje sobie szałas ze starych gałęzi. Jakkolwiek postawa jego jest ciężka i niezgrabna, przecież okazuje niekiedy wiele przezorności. Gdy drapie się na drzewo już to dla szukania owoców na pożywienie, już aby dostać się do swéj jamy, czepia się przedniemi łapami gałęzi, a pień drzewa obejmuje tylnemi: niekiedy na wzór człowieka puszcza się na drzewo, obejmując pień przedniemi i tylnemi nogami, a zawsze czyni to z wielką przezornością i nigdy nie stąpi na gałąź jedną nogą, jeżeli trzech innych wygodnie nie będzie mógł oprzeć.

Lubo niedźwiedź ostrymi zębami jest uzbrojony, nie jest wszakże drapieżnym zwierzem i tylko głodem przyciśniony lub w obronie życia swego śmiało napada na żywe zwierzęta. Pospolicie żywi się buczyną, jagodami, ziarnem różnych roślin i korzeniami, a jagody jarzębiny, berberysu i w ogólności owoce kwaskowate przekłada nad inne. W braku tego pożywienia opuszcza lasy, udaje się w pola i wielkie robi w zasiewach owsa i kukurydzy szkody. W końcu zimy, gdy już jest bardzo zgłodniały, wychodzi ze swego schronienia, a nie znalazłszy jeszcze pokarmu na ziemi śniegiem okrytéj, rzuca się na trzody zwierząt. Pewną jest wszakże rzeczą, że nigdy nie jest dla ludzi niebezpiecznym, wyjąwszy w tym przypadku, kiedy jest zaczepiony. Wtenczas okazuje się nieustraszonym; ufny w swą siłę, nie ucieka, lecz zapala się gniewem. Na widok zbrojnego strzelca nie zwraca się nawet, przechodzi mimo, rzucając nań dziki wzrok, jak gdyby chciał pokazać nieukontentowanie, że śmiał w jego cichych lasach mieszać samotne jego życie; śmiałkowi, jeżeli się odważy nać natrzeć, nie będąc pewnym, że jednym razem śmierć mu zadać może, gotuje zgubę. Zraniony lub tylko rozgniewany staje się strasznym, a walka rozpoczęta kończy się zawsze śmiercią jednego lub drugiego, jeżeli nie obydwóch razem. Bez wahania się napada na przeciwnika z wściekłością, mrucząc, z ogniem w oku, z paszczą ziejącą; wzniósłszy się na tylnych łapach, rzuca się na niego, gniecie własnym ciężarem, porywa w potężne pazury, dusi strasznemi szczękami i gruchoce mu głowę. Szczwany dzielnymi psami, za którymi widzi licznych strzelców, zwraca się, lecz nie ucieka. Zwolna szuka bezpiecznego schronienia, oglądając się niekiedy na swoich nieprzyjaciół; wreszcie znużony, śmiertelnie raniony kulami, prawie konający, przygotowuje się do opłacenia drogo za odniesione nad sobą zwycięstwo. Wyprostowany, wsparty grzbietem o pień drzewa lub skałę, oczekuje napastnika, a jeżeli się znajdzie dość lekkomyślny i zbliży się do niego, padnie ofiarą wściekłości zwierza, rozszarpie on go swą łapą lub zgruchoce zębami.

W Europie polują na niedźwiedzie z bronią palną i psami. Robią też na nie, jak na wilki, obławy.

Niedźwiedź lubi samotność, unika wszelkiego towarzystwa nawet istót podobnych; nie troszczy się wcale o swe młode dzieci, a nawet pożera je, jeżeli przypadkiem odkryje ich gniazdo, z suchych liści i mchu zrobione. Samica przeciwnie wielkie do nich okazuje przywiązanie, i dopiero kiedy są dosyć silne i same obronić się mogą, opuszcza je na zawsze. W niebezpieczeństwie odważnie ich broni i raczéj daje się na miejscu zabić, a młodych nie opuści; z wielką przeto trudnością można dostać młodych niedźwiedzi.

Podczas zimy niedźwiedzie nie zostają w letargu, jak niektórzy sądzili, lecz śpią przez kilka miesięcy. Jeżeli w jesieni niedźwiedź miał dosyć żywności, jest dosyć tłusty na początku zimy, wystarcza mu to do utrzymania się przez zimę przy życiu. Zdaje się, że taki spoczynek i post nie trwa dłużéj niż czterdzieści dni; budzi się on w tym czasie, wychodzi ze swego schronienia, szuka pokarmu w nasionach i korzeniach roślin, a jeżeli śniegi pokrywają ziemię, zbliża się do mieszkań ludzkich i napada domowe zwierzęta.

Mimo niezgrabnego kształtu, ociężałéj postawy, niedźwiedź nie jest jednak tak głupkowatym, jakby sądzić wypadało; przeciwnie okazuje wiele zmyślności i przebiegłości i rzadko wpada w zastawione nań zasadzki. Wszelki nowy przedmiot wzbudza w nim nieufność, z uwagą się przypatruje, za nim się do niego zbliży, idzie pod wiatr dla przekonania się zmysłem powonienia, który ma we wysokim stopniu, podchodzi zwolna, porusza go i obraca na wszystkie strony; jeżeli widzi, że przedmiot na nic mu się nie przyda, odchodzi. Tym sposobem postępuje, znalazłszy nieżywe zwierzęta lub człowieka.

Zmysły wzroku, słuchu, dotykania są w niedźwiedziu wydoskonalone, pomimo to, że oczy ma małe, uszy krótkie, a skórę grubą i gęstym okrytą włosem.

Oprócz brunatnego niedźwiedzia, znajdującego się w lasach litewskich i Karpatach, żyje jeszcze niedźwiedź czarny i pyrenejski; w innych częściach świata są: niedźwiedź syberyjski, tybetański, wargowiec, żyjący w górach Hindostanu, niedźwiedź czarny amerykański i niedźwiedź biały czyli polarny. Ten ostatni jest mieszkańcem okolic północnego bieguna, brzegów Grenlandyi, Szpicbergu, jedném słowem: najzimniejszych stron ziemi. Ma on obyczaje odpowiednie ostremu klimatowi; w którym żyje, i odszczególnia się tylko wielką głupowatością od innych swego rodzaju zwierząt.

W niedawnych czasach wszakże pospolitym był w Europie, a nasza ziemia, dawniéj więcéj lesista, obfitowała szczególniéj we wielkie mnóstwo tego zwierza. Mianowicie przechowywał się u nas mniejszy gatunek niedźwiedzi, zwanych „bartnikami“, który szczególniéj barci pszczół dzikich niszczył, wyszukując je troskliwie jako osobliwszy przysmaczek. Przynosiło wtenczas i polowanie na tego zwierza większe korzyści, gdyż dostarczał futer i tłuszczu, którego zawsze ma poddostatkiem, a któremu łatwowierni przodkowie nasi przypisywali osobliwsze własności leczenia reumatyzmu i mnóstwa innych chorób. W Smorgonii, mieście książąt Radziwiłłów, w powiecie oszmiańskim, w dawném województwie wileńskiém, znachodziła się nawet za dawnych czasów szkoła niedźwiedzi. Edukowano w niéj zwierzę to dziwnym sposobem:

Młody niedźwiadek, mając drewniane trzewiki na tylnych łapach, puszczony na gorącą posadzkę, uczył się chodzić dwunożnie, kłaniać się grzecznie i skakać z kijem. Ze Smorgonii rozchodziły się też uczone niedźwiedzie po całéj Polsce, a tych którzy chodzili z nimi po miastach, dworach, mając z tego zarobek niemały, zwano „Skomorochami.“ Ze szkoły téj niedzwiedziéj zachowała się podziśdzień tylko sława i przysłowia: „Akademia smorgońska; Uczeń ze smorgońskiéj szkoły; Gagatek smorgoński;“ — które nie zawierają żadnéj pochwały i dla tego przystósowane bywają do osoby lub rzeczy na pochwałę niezasługującéj.

Również więcéj lubowano się u nas dawniéj w uczonych niedźwiedziach. Po dworach możniejszych panów trzymano na łańcuszkach dzikie niedźwiedzie lub oswojone, które wolno puszczane, swobodnie się po dziedzińcu przechadzały. W niektórych dworach uzbrojone w grube pałki; trzymały straż na ganku, w sieni i u wielkich podwoi. U Radziwiłłów i u Sołłohubów i wielu innych panów na Litwie i na Rusi pospolicie dwanaście przyswojonych niedźwiedzi miało legowisko w ogromnéj sieni; kij był ich orężem. Były one tak wyuczone, że przed właścicielem lub przed znakomitym gościem stawały na tylnych łapach i drągami, które miały, jak gdyby bronią wojskowe czyniły obroty, nie bez przerażenia swoją postawą, liczbą, poruszeniem i rykiem tych, którzy o podobnéj straży nadwornéj nie wiedzieli i pierwszy raz ją postrzegli. Trafiały się często z ich przyczyny ciekawe przypadki.

I tak opowiadają o jednym z Radziwiłłów, iż, chcąc bojaźliwego Włocha ustraszyć, rozkazał oswojonego niedźwiedzia wpuścić, ażeby roznosił potrawy. Kosmaty hajduk trzymając zręcznie w dwóch łapach półmisek, stanął z tyłu i podał Włochowi potrawę. Kiedy ten sięgając po nią, zamiast służącego ujrzał olbrzymiego niedźwiedzia, upadł ze strachu i zemdlał.

(K. Wł. Wojcicki).

93. Lis.

Sposób życia i obyczaje lisa pokazują, że należy do rzędu zwierząt drapieżnych, które w potrzebie rzucają się na inne zwierzęta i wyłącznie lub po części mięsem się żywią. Postacią i całym składem ciała podobny jest do psa, owego w rzędzie zwierząt drapieżnych bardzo licznego w gatunki rodzaju; do niego téż wraz z wilkami i szakalami liczy się u naturalistów.

Znaki w składzie ciała, wspólne wszystkim należącym do rodzaju psa zwierzętom, są te: że u nóg przednich mają po pięć, a u tylnych po sześć palców, i na palcach chodzą, że pazury ich

nie cofają się ani kryją pod skórą, jak u kotów. Język mają gładki, a zębów ogółem po czterdzieści dwa, t. j. po sześć przednich w każdéj szczęce, cztery kły, a czternaście zębów trzonowych; pysk mniéj więcéj ostry, koniec nosa wystający, zaokrąglony. Lecz lisy różnią się od psów i wilków tém, że są raczéi nocne niż dzienne zwierzęta, że źrenice mają podłużne, wąskie, usposobione do widzenia w nocy; zęby przednie nieznacznie wyrzynane, ogon kudłaty jak u wilka zwisły, lekki, kiedy u psa zawsze bywa zakręcony; pysk bardziéj niż u psa lub wilka kończasty. Lisy po największéj części wydają woń nieprzyjemną, dostarczają jednak szacownych futer. Kopią w ziemi głębokie kryjówki, jamy, w których zwykle dzień przepędzają; żyją w różnych częściach świata, wyjąwszy Nową Hollandyą, gdzie ich dotąd jeszcze nie widziano. Ciekawszą jest jednakowoż historya obyczajów lisa.

Niemasz zwierzęcia, któreby miało na pogotowiu tyle, co lis, środków i sposobów obrotu; żadne niema tak wielkiéj na wszelkie przypadki zmyślności. Do cierpliwości bowiem czapli łączy lis zwinność i zręczność kota. Sama to jest przebiegłość, chytrość, przezorność i roztropność. Przypatrzmy się mu, kiedy od psów gończych wytropiony, unika ile możności miejsc otwartych, bo tam mógłby być na oko ścigany lub przez strzelca ugodzony; zawsze więc największemi biegnie gęstwinami i nawet drogi pomija, mianowicie utorowane. Nawzajem ścigając swą zdobycz, okazuje właściwą sobie wielką roztropność i zmyślność, używając sposobów różnych wedle gatunków zwierzyny. Kiedy spostrzeże stado kuropatw lub gdy je zwietrzy węchem, usiłuje podejść je niepostrzeżony, zbliża się, czołgając na brzuchu jak kot, kryje się za wszystko, co napotka dogodnego swym zamiarom; a jeżeli kuropatwy spostrzegłszy jego zamysł, zerwą się na skrzydła, pędzi jak strzała w tym samym, co one, kierunku, pewny, że niedaleko podleciawszy, koniecznie upadną. Zwykle też przybywa z niemi prawie równocześnie i znowu je podejść usiłuje, zawsze czołgając się i kryjąc, iżby go widzieć nie mogły. Téj napaści nie przestaje dopóty, aż zmęczy biedne kuropatwy i zmusi je do rozłączenia się; wtedy zaczyna ścigać jednę z nich, która też rzadko kiedy ujdzie jego napaści. Lecz kuropatwy unikają zwykle drugiéj pogoni, już to daleko odlatując, już za rzekę uciekając.

Polując znowu na zające, króliki (których niszczy wiele w krajach, gdzie się dziko chowają), wcale innych używa fortelów. Wtedy już nie ściga lub bardzo rzadko; raczéj czeka cierpliwie i postępuje wedle dobrze wprzód obmyślonego planu.

Rzeczą jest też pewną, że pamięta o niebezpieczeństwie lis, w jakiém się kiedyś znajdował, i wtedy nie ufa i wystrzega się

uważnie wszystkiego, co mu owo niebezpieczeństwo przypomina. Zastawione nań łapki, muszą być bardzo starannie ukryte, i najmniejszy ślad ręki ludzkiéj pozostać na nich nie powinien. Głód swój zaspokoiwszy, resztę zdobyczy zakopuje w ziemię, w którym to celu grzebie jamę odpowiednią. Rzecz osobliwsza, że tymi pozostałymi szczątkami bywają zwykle wnętrzności. Zdaje się, że zachowywa reszty, aby mu w potrzebie posłużyły do nasycenia głodu. Z tém wszystkiém, ile razy zdarzyło się komu znaleść je, zawsze były tak zepsute, iż nie podobna, aby przypadły do smaku wybrednego w tym względzie lisa. Nie można wierzyć temu, co wielu utrzymuje, aby lis miał władzę czarowania kur, tak iżby mu do paszczy same z grzędy spadać miały. Polując na kury, bierze się do nich tak samo, jak polując na kuropatwy, i też same zachowuje ostrożności. Skrada się i krąży w nocy około folwarków, osad, podsuwa się pod ściany i chwyta, co mu się zdarzy. Gdy może, zakrada się do kurników i w brak kur zjada jaja. Upodobania do jaj nigdy nie traci, nawet gdy jest w niewoli, lub gdy przyswojony i między ludźmi chowany. Wiadomo zresztą, że lisy niszczą bardzo wiele jaj kuropatwich. Napadają również, gdzie mogą, na ule pszczół dla miodu. W krajach winorodnych lubią zjadać winogrona; jedzą także ryby, raki, chrząszcze, szarańcze. Pilnie wyszukują ułowionéj zwierzyny i zjadają ją; szczególniéj zaś lubią jagody gatunku jałowcu.

Dotąd liczą kilkanaście gatunków lisów, rozmaicie upstrzonych i ubarwionych, więcéj lub mniéj drapieżnych. Wszystkie jednakowoż są dla drobiu bardzo niebezpieczne; dla tego téż mieszkańcy wszędzie lisa zawzięcie ścigają.

Ale nie tylko dla ochrony zwierząt domowych poluje człowiek na lisa; zręczność, z jaką się bronić umie, jest wielką podnietą do tych łowów; nie łatwo bowiem można upolować lisa, i żadne inne łowy nie przynoszą myśliwemu większéj radości i chluby. Nie zawsze ścigają go na otwartém polu; częstokroć nie pozwalają zwierzęciu rozwinąć wszelkich sposobów ratunku. I tak dymem go duszą w głębi jamy, zapuszczają w nią jamniki, zmuszają go do wyjścia, a przy otworze jamy czekają na niego sieci i koły; rozkopują jego najskrytsze tajniki, nareszcie chwytają go w zastawiane żelaza. Przeciw tym podstępnym napaściom lis broni się tylko długiém przewidywaniem i ciągłą czujnością. Dla tego kopie nory pod skałami, pod korzeniami drzew, ażeby motyką nie można ich uszkodzić, pomnaża ich zakręty, ażeby nie wiedziano, gdzie go szukać; a gdy jaka okoliczność obudzi jego podejrzenie, idzie wtedy jak najostrożniéj, nie wychyla się z jamy, gdyż się domyśla, że go w niéj oblężono, i na wszystkich drogach rozstawiono zasadzki. W tym ostat-

nim przypadku nie odstępują od jamy ani na chwilę, i dopiero po kilkunastu dniach lis wyczerpawszy wszelkie zapasy, zwyciężony głodem, wypada z jamy z całą szybkością i mocą, na jaką się jeszcze zdobyć może. Kiedy już nadejdzie jego ostatnia godzina, broni się wtedy z osobliwszą odwagą i przytomnością umysłu. Jeżeli go złapią za nogę w zastawione żelaża, nie wacha się odciąć zębami części uchwyconéj; jamnikom stawia zacięty opór i nieraz zniewala do ustąpienia z jamy. Jeżeli go ścigają dymem ucieka do najniższéj nory; a gdy go wreszcie schwytają, kąsa wszystko, co tylko może pochwycić. Lecz są to pospolicie uciechy wieśniaków gajowych i leśnych; myśliwi prawdziwi trudniejszego szukają zwycięstwa.

W Anglii uważają polowanie na lisa za publiczne zdarzenie, o którém dla wzbudzenia większéj ciekawości gazety piszą. Ale i u nas polowanie na lisów, urządzone przez prawdziwych myśliwych, nie jest zbyt łatwe, a mniéj zwyczajne.

(Wł. Wojcicki,)

94. Lipa.

Między wielu drzewami lipa, jako najwięcéj u nas upodobana, zdaje się pierwsze zajmować miejsce. Kiedy stały nie wyniszczone toporem, nieprzemierzone jeszcze, nieprzejrzane bory, lasy lipowe roznosiły woń i pożywienie rojom pszczół dzikich. Do dworów szlachty droga była ozdobiona gęsto z obu stron lipami, w ogrodach one stanowiły najpiękniejsze szpalery. Prawie nie było wsi, dworu, gdzieby nie rozpościerały cienistych konarów lipy. Każda wieś miała na ustroniu swoję lipę, gdzie się starsi schodzili z gromadą na sądy, a młódź do zabawy i skoków. Stąd w przysłowiach ludzi i pieśniach tyle wspomnień znalazła: stąd w nich widzimy tyle mostów lipowych, kołysek, a nad każdą wodą, na każdém popodworzu stoi zawsze lipa.

W pieśniach całéj Słowiańszczyzny i w przysłowiach lipa również jak u nas często zachodzi. I nie dziw; może żadne drzewo tyle użytku nie przynosiło w dawnych wiekach. Kwiat żywił tysiące rojów pszczół dzikich i pasiecznych, służył za lekarstwo, równie jak młode gałązki, które rozgniecione i przyłożone do rany zapalenia wszelkie wyciągały i goiły. Z łyka czyli kory pletli sobie chodaki, stąd przysłowia: „odarliby lipę,“ kiedy się łyka drą, wtedy je drzeć.“ — Samego drzewa lipy używano nie tylko do opału, ale do naczyń rozmaitych gospodarczych i domowych, jako: na drzwi, stoły, ławki, łyżki i warzęchwie; sanki lipowe dla lekkości miały swoję cenę w XIVym wieku. Nie dziwota, że tyle wspomnień o lipie zachowano, bo lipa była świętém drzewem u Słowian

w przedchrześciańskich czasach. Stąd nietylko jak u nas przybrał nazwę siódmy miesiąc roku, Lipiec, i miód lipowy, ale w całéj Słowiańszczyźnie mnóstwo wsi, miast i grodów od lipy przybrało nazwanie. Słowaki we Węgrzech i teraz szczególniéj lipę miłują. W każdéj osadzie, czy w środku miasta, sioła, albo w pobliżu wioski, widać stare, rosłe i wysokie lipy.

Szpalery lipowe w dawnych ogrodach naszych były szczególniéj ulubione; wysadzono nimi i drogi, a ten chów pięknego drzewa pomagał do krzewienia się licznych pasiek.

Wedle starych podań djabła tylko łykami lipowemi związać można. O lipowych mostach bardzo często wspominają pieśni ludu. Na krzyże grobowe używano lipowego drzewa.

(Z „Przyjaciela ludu“).

95. Połów pereł.

Wyspa Cejlon, wydając wszystkie prawie płody indyjskie, posiada nadto obfite ławice perłowych muszli, których gdzie indziéj nie dostaje. Rząd angielski nie pozwala nikomu z prywatnych łowić pereł, zachowując to dla siebie. Chciwość gubernatorów o mało nie wyniszczyła do szczętu ławic perłowych, i dopiero uczeni naturaliści, wziąwszy je z polecenia rządu pod opiekę, zabezpieczyli od zagłady.

Właśnie podczas pobytu statku Nowarry w Cejlon nadeszła pora połowu. Co roku na początku lutego rozpoczyna się łowienie i trwa przez trzy tygodnie. Jest to niejako uroczystość ludowa, na którą zjeżdżają się ze wszystkich stron wyspy zamożniejsi mieszkańcy.

Najbogatsze ławice znajdują się na zachodniém wybrzeżu, zwaném Kondacza, gdzie leżą liche miasteczka Aripo i Manaz. Wybrzeże to skwarne, przez większą część roku zamieszkałe jedynie przez roje dokuczliwych komarów, zatrute niezdrowymi wyziewami, ożywia się niezmiernie podczas połowu. W ówczas jakby za skinieniem laski czarnoksięskiéj wyrasta nieprzejrzane mnóstwo chat bambusowych, pokrytych liściami palmowymi, niezmierna liczba kramów z rozmaitymi towarami; przystań statkami się zapełnia rozmaitéj wielkości, a sto tysięcy ludzi obiera tu sobie dwudziestodniowy pobyt.

Ponieważ nurkowanie należy do bardzo uciążliwych zatrudnień, przeto od dawna starano się zastąpić je dzwonami nurkowymi; lecz przekonano się, że żadna machina nie zdolna wyręczyć wprawnego nurka, który zwykle jako wynagrodzenie otrzymuje czwartą część złowionych muszli perłowych.

Kilka set statków wypływa na morze, rozstawiając się opodal od siebie. Na każdym znajduje się dziesięciu nurków i tyluż assy-

stentów. Zanim nurki zaczną się spuszczać w morze, występuje zaklinacz morskich potworów, który wykrzywiając się, macha rękami i wymawia różne formuły czarodziejskie, mające odstraszyć ludojady i zabezpieczyć nurków od pożarcia. Rząd musi oszustów takich opłacać, a otrzymują zwykle po dziesięć muszli od każdéj łodzi.

Zresztą nie tak znów wielkie niebezpieczeństwo zagraża nurkom od ludojadów; zgiełk panujący w przystani, tysiące zanurzających się ludzi odstrasza te żarłoczne ryby, a nawet, jak twierdzą Indyanie, ciemny kolor ich skóry odstrasza potwory, i dla tego niektórzy czernią sobie ciało, aby jeszcze bardziéj ludojadów przerazić.

Nurek, wiąwszy torbę siatkową, wiąże do nóg kamień około 25 funtów ważący, spuszcza się na dno, a odwiązawszy kamień, który natychmiast wyciągają, rzuca się na ziemię i pełza, trzymając się silnie dna. Tym sposobem w ciągu minuty bawienia pod wodą zabiera wszystkie muszle perłowe, jakie natrafi, a kiedy da znak wstrząśnięciem liny, wyciągają go napowrot.

Jeżeli nurek zapuści się głębiéj aniżeli na czterdzieści stóp pod wodę, rzuca mu się krew nosem i uszami. Zwykle bawią 50 do 60 sekund; lecz są tacy, co potrafią wytrzymać 80 do 84 sekund w przepaściach morskich. W ciągu sześciu godzin połowu dziesięciu nurków zanurzając się kolejno, dostarczają po 1,000 do 4,000 muszli na osobę. Jeżeli się natrafi na miejsce obfitujące w muszle, to ich naraz do 150 zabrać może, w płonnych za to zaledwie ich 10 do 15 wydobędzie. Po ukończonym dziennym połowie statki przybijają do brzegu; muszle rozdzielają się na cztery części: jednę zbiorą nurki, reszta zaś układa się w kupki po 1,000 sztuk i sprzedaje przez publiczną licytacyą płacącemu najwięcéj.

Jest to rodzaj loteryi, ślepe igrzysko losu; zdarza się bowiem, że czasami jedna muszla zawiera 30 do 40, a nawet więcéj pereł, z których część na miejscu można sprzedać po parę dukatów za sztukę, gdy tymczasem niekiedy trafia się, że w kilkuset muszlach nie znajdzie się i jednéj perełki. Drobniuchne jak piasek perły składają się osobno, a przemysłowcy palą je na wapno, zupełnie zwyczajnemu podobne. Że zaś nigdzie nie brakuje głupców, lubiących zbytkować i pieniądze za okno wyrzucać, przeto i tutaj znajdują się tacy, którzy zakupują po wysokich cenach to wapno, aby je potém żuć z pieprzem pomieszanym z orzechem, i przechwalać się z tém przed innymi.

Perły pozbawione połysku dają Cejlończycy połykać kurom, w których wnętrzu wkrótce nabierają pięknego blasku. Następnie kury zarzynają się, a wydobyte z nich perły idą na sprzedaż.

Muszle wydające perły są podłużne i mają około 10 cali obwodu. Wyławiają je corocznie po kilkanaście milionów.

Rzadkość i kosztowność pereł naprowadziła ludzi do próbowania, czy się nie uda tworzyć sztucznych. Zaczęto wpuszczać ziarnka piasku do muszli pomiędzy skorupę a oponę, i te z czasem pokrywały się masą perłową. Chińczycy biorą się najzręczniéj do tego: w pobliżu miasta Hou-Tschu istnieją zakłady znaczne wytwarzania sztucznych pereł. Synowie państwa niebieskiego, jak się Chińczycy nazywają, nie poprzestają na perłach okrągłych, ale wyrzynają nadzwyczaj drobne figureczki, najczęściéj przedstawiające Buddę, proroka chińskiego, w postawie siedzącéj. Płyn perłowy postacie te oblewa, ścina się na nich i tworzy odpowiednie drobnostki.

(Wł. L. Anczyc „Opisy i przygody i t. d.“).

96. Burza morska.

Statek strażniczy ściga bez wytchnienia bryg (rodaj statku), gdyż osada niemal jest pewną, że na nim znajdują się zbiegli zbrodniarze.

„Człowiek w morzu!“ zawołała straż w chwili, kiedy rozbójnicy wrzucili do wody Wiliama.

„Prędzéj! prędzéj!“ krzyknął porucznik, dowodzący statkiem rządowym; „może jeszcze zdołamy tonącego ocalić!“

Usiłowania majtków powiodły się. Wkrótce dopłynięto do miejsca, gdzie Wiliam tonął, i w chwili, kiedy miał się po raz drugi zanurzyć; wydobyto go szczęśliwie na pokład. Natychmiast wzięli się do nacierania ciała Wiliama, nie dającego najmniejszego znaku życia.

„To nie jest zbrodniarz!“ zawołał kapral. „Ubiór wprawdzie podobny do ubioru majtka, ale ręce tak białe i delikatne, że niezawodnie musi być podróżnym.“

Wkrótce lekkie westchnienie objawiło, że życie wraca. W parę minut późniéj otworzył oczy, lecz dopiero w pół godziny potém odzyskał tyle sił, że mógł porucznikowi opowiedzieć, co zaszło na brygu.

„Cóż teraz zrobimy, panie poruczniku?“ zapytał kapral. „Czy uderzymy na tych łotrów? Jest nas dziesięciu przeciwko siedmiu, i niema wątpliwości, że im damy radę.“

„Gdyby ich można zmusić do zatrzymania się, dalibyśmy im radę niezawodnie; lecz bitwa podczas pogoni mogłaby wypaść niekorzystnie.“

„Do tego nie przyjdzie,“ zawołał jeden z majtków. „Wicher się zrywa, i zdaje się, że najrozumniéjby było dostać się do brzegu.“

W téj chwili wiatr zadął tak gwałtownie, że osada statku gończego musiała zaniechać dalszego ścigania i myśleć o własném bezpieczeństwie. W krótce powiodło się im zarzucić kotwicę w przystani zasłoniętéj wyniosłą skałą. Porucznik kazawszy przymocować statek, rozkazał swym ludziom wysiąść na ląd. Rozpalono ogień, a żołnierze i majtkowie zmęczeni kilkugodzinną pracą, pokładli się koło niego.

Tymczasem major z córkami i sternik, uwięzieni w kajucie, zastanawiali się nad swojém położeniem.

„Rzecz niezawodna,“ rzekł major, „że to są zbrodniarze; uszli z karnéj kolonii i chcą teraz na naszym statku uciec z téj części świata.“

„Najoczewiściéj, że tak jest,“ odrzekł sternik. „Teraz dopiero pojmuję, dla czego ten łotr, mniemany pilot, nie chciał wpłynąć w kanał, ale upierał się wydostać na pełne morze. A napadli nas tak zdradziecko! żebym przynajmniéj miał chociaż nóż, tobym mu nie tak łatwo sprzedał życie. O mój Boże! jakże się ten biedny statek rzuca! Te ziemne krety nie umieją sobie dać z nim rady.“

W téj chwili zapukano do drzwi, i jakiś głos zawołał:

„Héj! słuchać tam uważnie!“

„Czego chcesz?“ zapytał sternik z gniewem.

„Kapitan chce mówić z majorem.“

„Panie majorze!“ odezwał się przeze drzwi Brandon, herszt zbiegłych zbrodniarzy, a obecnie pan statku, który majorowi podstępnym sposobem był wydarł: „okręt znajduje się w niebezpieczeństwie, a pan i córki zginiecie, jeżeli ktoś nie obejmie kierunku statku. Uwolnię pana i wspólnemi siłami będziemy się ratować, jeżeli mi dasz słowo, że nic nie przedsięweźmiesz przeciwko mnie i moim ludziom.“

„A moje córki?“ zagadnął major.

„Bądź pan spokojnym! Niech zostaną w kajucie; będziemy się z niemi obchodzić z jak największym szacunkiem. Chcemy się tylko wydostać z téj przeklętéj ziemi, ale bynajmniéj nie mamy zamiaru wyrządzić wam najmniejszéj przykrości.“

Gdy major po krótkiéj naradzie dał słowo żądane, otworzyły się drzwi kajuty, a Nortland, sternik i sługa majora, wspólnie z nim w kajucie więziony, poskoczył do steru, szczęściem zdążywszy na czas; albowiem za chwilę wiatr byłby statek pogruchotał o nadbrzeżne skały. Grzmiały rozkazy dzielnego sternika, lecz nadaremnie, bo zbiegi nieoswojeni z morzem i nie mający najmniejszego

wyobrażenia o sztuce żeglarskiéj, potracili zupełnie głowy i nie wiedzieli, jak się brać do lin i żagli. Naprożno Nortland zachęcał ich swoim przykładem: nie posiadali ani męstwa, ani zręczności, ażeby je wykonać.

„Jeżeli nie uwolnisz majtków, okręt zatonie!“ krzyknął sternik na Brandona.

Ten widząc, że niema innego sposobu, kazał skrępowanych rozwiązać. Natychmiast marynarze wzięli się do pracy, lecz nie było to łatwe zadanie.

„Czy uratujesz statek?“ spytał major sternika.

„Ciężko, bardzo ciężko!“ odrzekł tamten. „Wicher pędzi nas prosto na skały. Jeżeli zdołamy wydostać się na cichszą wodę, można mieć nadzieję ratunku, ale to rzecz prawie niepodobna.“

„Czy nie lepiéj byłoby przesiąść się do czołna?“ zagadnął stroskany ojciec.

„Już je dawno fale porwały, a choćby i było, na cóżby się przydało wśród takiéj burzy?“

W téj chwili zawył straszliwy wicher i popędził wprost statek na skalistą ścianę. Zguba zdawała się nieuchronną, gdy w tém Nortland ujrzał osobliwsze łamanie się fal pomiędzy skałami, a po za tém spokojne wody małéj zatoki, zasłoniętéj od wiatru i bałwanów wysoką górą. Zręcznem poruszeniem steru popchnął statek w tę stronę, który przebywszy cudem prawie niebezpieczne przejście, wkrótce potém kołysał się na spokojnych wodach przystani.

Niezmierna radość opanowała wszystkich, gdy się wydostali z niebezpieczeństwa. Ale Brandon wnet spostrzegł, że na wzgórzu żołnierze z gończego statku palą ogień i na odgłos pierwszego strzału pospieszą na pomoc majorowi. Niechciał on ani rozpoczynać bójki z ludźmi majora, ani też opuszczać statku, zbliżył się więc do majora i rzekł:

„Panie! wiesz dobrze, że tym tylko sposobem możemy ocalić życie, jeżeli nam się uda opuścić Nową Hollandyą. Bez twego statku uczynić tego nie mogę; jeżeli pan zechcesz się bić z nami, narazisz twe córki na śmierć, bo moi towarzysze dla ocalenia życia chwycą się ostateczności. Jesteście liczniejsi, to prawda, lecz my lepiéj uzbrojeni i rozpaczliwém położeniem zagrzani, niezawodnie was pokonamy. Otoż proponuję, abyś nam dobrowolnie ustąpił brygu, za co nie tylko was wszystkich uwolnię, wysadziwszy na ląd, ale i pozwolę zabrać ze statku tyle broni i żywności, ile zechcesz. Decyduj się, panie majorze, prędko, gdyż sam widzisz, że nie mamy czasu do stracenia.“

przekonać, co się ze mną dzieje. Widząc mnie pokrytego tylu ranami i tak zbroczonego krwią, odprowadzają mnie zaraz do domu.

Nazajutrz poszli Arabowie za tropem pantery, lecz ślad jéj zginął im w pobliskiéj gęstwinie. W kilka dni potém znaleziono ją nieżywą i prawie już na pół pożartą od hyen i szakalów. Z walki téj wyniósłem cztery rany w głowie, dziesięć ran na twarzy, ośm na ramieniu, pięć ran na lewéj ręce i oprócz tego straciłem jeszcze pięć zębów.

(„Wycieczki w świat daleki").

Poezya.

Bajki.

98. Kulawy i ślepy.

Niósł ślepy kulawego; dobrze im się działo.
Ale że to ślepemu nieznośnie się zdało,
Iż musiał zawsze słuchać co kulawy prawi,
Wziął kij w rękę. Ten rzecze, z szwanku nas wybawi.
Idą; a w tém kulawy krzyknie: umknij w lewo;
Ślepy wprost: i choć z kijem, uderzył łbem w drzewo.
Idą daléj. Kulawy przestrzega od wody,
Ślepy w bród, sakwy zmaczał: nie wyszli bez szkody.
Nakoniec przestrzeżony, gdy nie mijał dołu,
I ślepy i kulawy zginęli pospołu.
I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzył.
I ten, co bezpieczeństwo ślepemu powierzył.

(Ign. Krasicki).

99. Mądry i głupi.

Nie nowina, że głupi mądrego przegadał;
Kontent więc, iż uczony nic nie odpowiadał.
Tém bardziéj jeszcze krzyczeć przeraźliwie począł.
Nakoniec zmordowany, gdy sobie odpoczął,
Rzekł mądry, iżby nie był w odpowiedzi dłużny:
Wiesz, dla czego dzwon głośny? — bo wewnątrz jest próżny.

(Ign. Krasicki).

100. Skąpy.

Chciał się skąpy obwiesić, że talara stracił.
Żeby jednak za powróz dwóch groszy nie płacił,

Ukradł go pokryjomu. Postrzegli sąsiedzi.
Kiedy więc osądzony na śmierć w jamie siedzi,
Rzekł, gdy jedni żałują, a drudzy go cieszą:
„To szczęście, że mnie przecież bez kosztu powieszą.“

(Ign. Krasicki).

101. Człowiek i suknia.

Brał się pewien do pręta, chcąc wytrzepać suknię.
Ta widząc się w złym razie, żwawie go ofuknie:
„A takaż to jest pamięć na usługi!“ rzecze,
„Bijesz tę, co cię zdobi, niewdzięczny człowiecze!“
Rzekł człowiek: „ja nie biję, lecz otrząsam z prochu.
Zakurzyłaś się wczoraj, dziś trzepię po trochu.
Wybacz! z przykrych sposobów, kto musi, korzysta;
Gdybyś nie była bita, nie byłabyś czysta.“

(Ign. Krasicki).

102. Wróbel.

Wróbel pstry, iż był jeden pomiędzy szarymi,
Ledwo się tykał ziemi,
Tak był shardział; rozumiał bowiem, iż nad niego
Piękniejszego
Natura wydać nie zdoła
Nie tylko wróbla, ale i sokoła.
Gdy więc wszystkimi gardził, rzekł mu jeden z szpaków:
„Kto jest pierwszym wśród wróbli, nie jest pierwszym z ptaków.“

(Ign. Krasicki).

103. Skała i kropla.

„Jakież zamiary zuchwałe!
Ty, miękka kroplo, chcesz wydrążyć skałę?“
Rzekła twarda opoka i dumnie spojrzała
Na kroplę, co spadała.
Kropla nic nie odpowiada,
Ale jak pada, tak pada;
I stałością dokazała
Że wydrążyła się skała.

(St. Jachowicz).

104. Żółw i mysz.

Że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział,
Żałowała mysz żółwia. Żółw jéj odpowiedział,
„Miéj ty sobie pałace, ja mój domek ciasny;
Prawda! nie jest wspaniały: szczupły, ale własny.“

(Ign. Krasicki).

105. Słowik i szczygieł.

Rzekł szczygieł do słowika, który cicho siedział:
„Szkoda, że krótko śpiewasz.“ Słowik odpowiedział:
„Co mi dała natura, wypełniam to wiernie.“
Lepiéj krótko, a dobrze, niż długo, a miernie.

(Ign. Krasicki).

106. Wilk pokutujący.

Wzięły wilka skrupuły; wiódł łotrowskie życie;
Więc ażeby pokutę zaczął należycie,
Zrzekł się mięsa. Jarzyną żyjąc przez dni kilka,
Znalazł na polowaniu znajomego wilka.
Trzeba pomódz bliźniemu; za pracę usłużną
Zjadł kawał mięsa; gardzić niemożna jałmużną.
Spotkał jagnię nazajutrz, samopas idący,
Chciał napomnieć, nastraszyć, zabił je niechcący.
Nazajutrz widząc cielę, że z krową nie chodzi,
Zabił je; takich grzechów cierpieć się niegodzi.
Nazajutrz gdy się pasły z krowami pospołu,
Niech się dłużéj nie męczy, zjadł starego wołu.
I tak cierpiąc przykładne z dóbr świata wyzucie,
Chudy, gdy był grzesznikiem, utył na pokucie.

(Ign. Krasicki).

107. Wiewiórka i małpa.

Jeszcze w zielonéj skórce
Dostał się orzech wiewiórce.
Ledwie go dotknie drobnymi ząbkami,
„Jakże mnie,“ rzecze, „moja mama mami!
Nieraz mi to powiadała,
Że orzeszek potrawa arcydoskonała.
Dziękuję za nią.“ Wtém rzuci orzechem;
Podjęła go małpa z uśmiechem.
Bierze w łapki, rozłupywa,
Słodkie ziarnko wydobywa,
I gdy go zajada sama,
Rzecze wiewiórce: „Dobrze mówi mama:
„„„Dobry orzeszek,““ lecz trzeba zgryść wprzody,
Trzeba wprzód popracować, kto chce mieć wygody.“

(Stan. Jachowicz).

108. Osieł wystrojony.

„Wy! coście mnie wyśmiewali,
Cóż teraz powiecie?
Cóż, czyż żaden nie pochwali?
Stroju-ż nie widzicie?
Szczególniéj ty, mój rumaku!
Co tam ciągniesz bronę —

Żal mi ciebie, nieboraku!
Patrz-no się w tę stronę.“ —
„Próżności nad próżnościami,“
Koń na to odpowie,
„Osłem jesteś i z strojami
Przy swéj głupiéj głowie.“
Oj, nie suknia nas ozdobi.
Ale mądre zdanie:
Ubiór osła nie przerobi,
Mój szanowny panie!

(Stan. Jachowicz.)

109. Wilczek.

Wilczek chowany zrobił się grzecznym,
Bezpiecznym.
Jegomość pieścił, Jejmość pasła,
Przywykł do mleka i masła.
Hoży, dogodny,
Wilczek był modny.
Nieszczęściem kurczę zaszło mu drogę,
Chęć — zjem to kurczę: skrupuł — nie mogę.
Więc chciwy, trwożny, a czuły,
Gdy się biedził ze skrupuły,
Jakoś w téj walce gorącéj
Zjadło się kurczę niechcący;
Po kurczęciu kogutek, po kogucie kura,
Przemogła w nim natura.
Zresztą poszedł do lasu, a wpadłszy w manowce,
Ów wilczek stał się wilkiem, gryzł gęsi i owce;
Aż go nakoniec w jamie dostali.
Najciężéj zacząć, pójdzie się daléj!

(Ign. Krasicki.)

110. Wyżeł i brytan.

Wyżeł, czołgacz pochlebny, zdrajca skryty w duchu,
Chcąc się panu przymilić, stawał na podsłuchu
I nosił raz w raz plotki; układny i tajny,
Jakto jemu podobnych zdrajców kunszt zwyczajny.
Wtém złodziéj, co na dobrą porę w nocy czekał,
Nakarmił wyżła skrycie, i wyżeł nie szczekał;
A gdy i brytanowi przysmaczku użyczył,
Rzucił wierny pieczenią, złodzieja skaleczył.
Uciekł ten; wyżeł pobiegł tymczasem do pana,
Dzikim, wściekłym zabójcą mianował brytana.
I wypchnięto go z domu: a złodziéj skradł w nocy.
Poznał pan po niewczasie, jak był ku pomocy
Ów, którego wypędził; więc nazad powrócił.
A wyżeł zdrajca, co się lizał, bałamucił,
Gdy na nowo zamyślał, jak kogo uwięzi,
Zyskał, czego był godzien: uwiązł na gałęzi.

(Ign. Krasicki.)

111. Ziemia i potok.

Potok nagle wezbrany, z szumem się zapieniał,
A gdy groblę przerywał, drzewa wykorzeniał,
Zalewał pola,
Wzmogła się rola.
Po hałasie
W krótkim czasie,
Kiedy mu wody coraz ubywało,
Z rzeki stał się strużką małą.
I ów, co huczał,
Mruczał,
I wymawiał niewdzięczność z siebie sprawnéj roli,
Iż go nie żałowała w tak srogiéj niedoli.
„Prawda, żeś mnie zasilił, kiedym była spiekła,“
Rzekła,
„Lecz przypadkiem wspomogłeś, rwąc brzegi twą wodą.
Nie jest to dobrodziejstwem, co jest cudzą szkodą.“

(Ign. Krasicki.)

112. Wróble.

Siedząc w stadzie wróble szare,
Wiodły uczoną rozmowę;
W każdém stworzeniu przywarę.
„Dudek,“ mówiły, „ma czubatą głowę;
Kraska mniema, że nadobna;
Wilga doprawdy do drozda podobna;
Gołąb, to niby skromny, a wysoko leci;
Kukawka drugim narzuca swe dzieci;
Gil tam osiada, gdzie największe drzewa;
Szczygieł rozumie, że on pięknie śpiewa;
Pliszka to czysty waryat: jak nastanie dzionek,
Lata po wszystkich kątach, zadarłszy ogonek.“
„A cóż to mi za wróble sami byli jacy,
Że wszystkich brali na nice?“
Byli to sobie próżniacy,
Co jedli chłopków pszenicę.

(Ant. Górecki).

113. Wilk i owce.

Choć przykro, trzeba cierpieć; choć boli, wybaczyć,
Skoro tylko kto umie rzecz dobrze tłómaczyć.
Wszedł wilk w traktat z owcami: o co? o ich skórę.
Szło o rzecz. Widząc owce dobrą konjunkturę,
Tak go dobrze ujęły, tak go opisały,
Iż już się odtąd więcéj o siebie nie bały.
W kilka dni ten, co owczéj skóry zawsze pragnie,
Widocznie wśród południa zjadł na polu jagnię.
Owce w krzyk... a wilk na to: „Pocóż narzekacie?
Wszak nie masz o jagniętach i wzmianki w traktacie?“
Udusił potém owce: krzyk na wilka ...

Wilk rzecze: „Ona sama przyszła do połowu.“
Niezabawem krzyk znowu i skargi na wilka,
Wprzód jednę, teraz razem zabił owiec kilka.
„Drudzy rwali,“ wilk rzecze; „jam tylko pomagał.“
I tak, kiedy się coraz większy hałas wzmagał,
Czyli szedł wstępnym bojem, czy się cicho skradał,
Zawsze się wytłómaczył, ... a owce pozjadał.

(Ignacy Krasicki).

114. Owieczka.

„Nie oddalaj się, kochanko, od trzody!“
Mówiła stara owca do owieczki młodéj;
„Zobaczysz, porwą cię wilki!
Na to dosyć jednéj chwilki!“
Młoda zamruknęła sobie: „Ot! Bóg wie, co plecie,
A wilków niema na świecie.
Nie dziś żyję, żadnegom jeszcze nie widziała;
U starszych, aby burczeć, to na tém rzecz cała.“
Tak sobie rozumiejąc, została się w tyle,
Pędzi po krzakach motyle,
To liść z drzewa skubnie wśród parowu,
To się zatrzyma, to podskoczy znowu.
Wtém razem strasznie zawoła:
„Ach! ratuj mnie, mamuniu! wilki już dokoła!
Mamuniu dobrodziejko! mamusiu kochana!“
Biegną co tchu pasterze, krzyczą na brytana;
Lecz już zapóźno. Oddała już owieczka ducha.
Takto bywa, dziateczki, kto starszych nie słucha.

(Stan. Jachowicz).

115. Pszczółka i gołąbek.

Wpadła w strumyk pszczółka mała,
Skrzydełkami trzepotała;
Już w nich siłę utraciła,
O w jakimże strachu była!
Gołąbeczek śnieżno-pióry,
Na ratunek bliźnich skory,
Spuszcza listek.... Pszczółka rada,
Na zieloną łódkę siada.
Skrzydła siłę odzyskały,
I uleciał owad mały.
Nikt o swém nieszczęściu nie wie:
Jakoś wkrótce gołąb siadł sobie na drzewie,
Spokojny, szczęśliwy,
Aż tu myśliwy
Wymierza strzelbę, chce go zgładzić z świata.
Pszczółka przylata,
Utnie go żądłem w rękę. Strzał ptaszynę mija;
Ocalona, swobodnie w powietrze się wzbija.

Tak zawsze dobroczynność wdzięcznością się płaci.
Nieśmy pomoc w nieszczęściu dla naszych współbraci.

Stan. Jachowicz).

116. Gołębnik.

W starym się gołębniku gołębie gnieździły;
Choć niekształtny i szczupły, był im jednak miły,
Bo tam ich karmiły matki,
Tam im się rodziły dziatki. —
Właścicielowi przyszło coś do głowy
Wystawić gołębnik nowy.
Gustownie go wybudował.
Zwierzchu i wewnątrz nawet pomalował,
Nasypał ziarna do téj budowy wspaniałéj;
Gołębie do starego jednak uciekały.
Właściciel kazał stary gołębnik rozrzucić:
Zaczęły się bardzo smucić;
Lecz na zwaliskach jeszcze się gnieździły,
Bo im ten kątek miły!
To wzruszyło ich pana. Zebrał dawne szczątki,
I dla lubéj im pamiątki
W tém samém miejscu i takiéj budowy
Ze starego zrobił nowy.
Poznał on, że i w ptakach są uczucia tkliwe,
I że nie wszędzie mogą być szczęśliwe.

(Stan. Jachowicz.)

117. Małpy.

Małpa, wielki samochwał, co człeka udaje,
Zwiedziła cudze kraje,
Bo była z lasu wyszła i wlazła pod strzechę.
Wielką pociechę
Przyniosła za powrotem i siostrom i braci.
Koligaci,
Krewni i przyjaciele, tak świeżi jak przeszli,
Wszyscy się zeszli.
A ta każdemu, co słucha,
To w głos, to do ucha
Opowiada.
Jedno łże, drugie zgada.
Zgoła, aż słuchać miło,
Jakto pięknie pod strzechą i zabawnie było!
Przyszło spać, nie masz strzechy; a jak spać bez dachu?
Małpy w strachu.
Więc w pośpiechy
Szukać strzechy,
I znalazły.
Pod dach wlazły.
Słysząc szelest gospodarz, szedł z świecą na górę.
Małpy w nogi; ... zatkał dziurę.

Ledwo jedna,
Zbita biedna,
Skąd przyszła, chyżo do lasu uciekła
A gdy pytana, gdzie są drugie? rzekła:
„Pięknieć tam, prawda, lecz straszy i więzi;
Kiedyśmy małpy, śpijmy na gałęzi.“

(Ign. Krasicki.)

Powiastki i przypowieści.

118. Szuflada i głowa.

Pewien uczony,
Bardzo wsławiony,
Pokazywał mi szufladę.
— „Patrz, co to ja w te papiery
Przez lat trzydzieści i cztery
Rozumu, nauki kładę!“
— „Ach!“ ktoś na to z boku doda,
„Cóż to za wielka szkoda,
Moi mili panowie,
Że rozum i nauka.
Której każdy w głowie szuka,
U tego pana w szufladzie — nie w głowie!“

(J. I. Kraszewski.)

119. Sknera.

Sknera, sług wypędziwszy swém sknerstwem bez miary,
Został się sam przy skrzyni, — przy bramie pies stary,
Wierny, bo na łańcuchu, zażarty bo głodny,
Był straszny dla hultajów, dla pana dogodny;
Lecz gdy pan zawsze pościł, jak i teraz pości,
A pies już nie dostawał ni chleba, ni kości,
Wychudł, — nareszcie skonał jednego wieczora,
A w nim razem i sługa i straży podpora.
Wtedy to nasz pan kutwa, tając śmierć brytana,
Właził w wieczór do budy i szczekał do rana;
Lecz choć dobrze udawał brysia nieboszczyka,
Łotr jakiś z lepszym węchem do domu się wmyka;
A gdy sknera aż chrypnie, tak wyje i szczeka,
Złodziéj z jego pieniędzmi szczęśliwie ucieka.

(A. Żółkowski.)

120. Chłopczyk i kamień na drodze.

Jakże słodko, kto w wieku sędziwego porze
Piękne czyny młodzieńcze wspomnieć sobie może!

Słodziéj jednak pomówić w pamięci wiek miły,
Kiedy w dziecinném sercu cnoty się budziły.
Te myśli mi nasunął niegdyś widok błogi,
Gdy maleńki chłopczyna staczał kamień z drogi.
Przy niezwykłéj robocie ujrzawszy dziecinę,
Pytam się o przyczynę.
Z prostotą odpowiada: Uderzyłem nogą,
Boli mnie; ten przypadek i inni mieć mogą.
Dobrze czynić drugiemu rodzice mnie uczą.
Już te brzydkie kamienie ludziom nie dokuczą!
Odsunę je daleko!“ O kochane dziecię!
Zachowaj tę naukę na całe twe życie:
Ona wspaniałe cnoty w przyszłości rozwinie,
Serce dziś tak szlachetne, ludzkością zasłynie!

(Stan. Jachowicz.)

121. Niemasz stracha.

Piotruś żwawy, dzielny, śmiały,
Choć mu wiele piastunki o strachach gadały,
Śmiał się tylko z ich prostoty,
Bo wiedział, co są ludzie, co wyższe istoty.
Patrzcie, co może wyobraźni siła!
Raz gdy noc ciemnością już ziemię okryła,
Spostrzega coś białego wśród czarnego zmroku:
Nie wierzy oku.
Coraz się mocniéj o tém przekonywa;
Białe okrycie po ramieniu spływa.
Postać blada, wysoka, przybliżać się zdaje
I znowu staje.
Już żwawy chłopiec wytrzymać nie może:
Porzuci łoże
I pędzi śmiało;
Aż tu się pokazuje, że płótno wisiało.
Gdyby się nie przekonał i przytomność stracił,
Byłby to życiem przypłacił. —

(Stan. Jachowicz).

122. Karólek i słońce.

Czasem dobrze życzących nie lubimy ludzi.
Raniutko wstało słońce — i Karólka budzi. —
„Ale dajże mi pokój! „rzecze rozgniewany.
„O nie!“ odpowie słońce, „wstawaj, mój kochany!“
„Tylko się chwilkę zdrzymnę, bo to bardzo miło!“
„Przezwyciężyć lenistwo miléj by ci było!“
„Ach! jakżeś uprzykrzone!“ — A słońce się śmiało
I w oczy mu zaglądało. —
Rad nie rad, musiał wstawać. — Ale cóż za zmiana?
Biegnie zaraz chłopczyna do ogródka z rana: —
Ogródek miłą wonią napełniony cały;
Tu się kwiatki krzewiły, tam ptaszki śpiewały,

Pracował i oszczędzał przy pomocy boskiéj.
Niezadługo założył gospodarstwo nowe;
Znowu ma: owce, konia, chałupkę i krowę.

(Stan. Jachowicz).

Legendy.

127. Legenda wstępna.

W czasach grabieży i niepokoju
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju
Przechował w garnku w popiele.
Lecz się nie zwierzył w nagłém skonaniu
Ani przed żoną, lub dzieckiem;
I długo, długo tak w zaniedbaniu
Ten garnek stał pod przypieckiem.
Jednego razu wszedł do téj chaty
Biedny zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłemi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.
Choć gospodyni w pośród rodziny
Przy jadle była za stołem,
Lecz bez litości, jakby na drwiny,
Dała mu garnek z popiołem.
Żebrak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjąwszy datek z ochotą;
Bóg za pokorę dał mu zapłatę,
Bo znalazł w popiele złoto.
Tak doświadczenie prawdy żywota
Złożyło w prostéj legendzie:
Niech pyszny rozum szyderstwem miota,
Pokora prawdy dobędzie.

(I. Hołowiński).

128. Baszyna.

Jest wioska Baszyna.
Tam na górze dwór,
Za dworem leszczyna,
Daléj głuchy bór.
W tym borze zamczysko,
Wkoło wielki wał:
Tam dawniéj siedlisko
Dzielny rycerz miał.

I wpadli pohańce,
A wszystko strach zdjął;
Wbiegł rycerz na szańce,
Głowę baszy ściął.
Stąd wioskę Baszyną
Nazwał rycerz sam,
Dziś zamek ruiną.
A strach mieszka tam.
Nie wielka osada.
Co otacza dwór;
Jak z pieca tam spada
Ścieżka z wielkich gór.
Po błoni na dole
Horyń wije bieg,
A srebrne topole
Wieńczą jego brzeg.
W téj niegdyś wsi byli
Sławni Prot i Jan,
Przyjaźnią zażyli,
A możny ich stan.
A wszystko łączyło
Tych przyjaciół dwóch:
Jedno serce było,
I jeden był duch.
W zamczysku na górze
Jest kaplicy szczęt;
Kamienny krzyż w murze
Był jéj cały sprzęt.
Kto przysiągł tam krzywo,
Wnet go karał Bóg,
Bo nie wyszedł żywo
Za kamienny próg.
Tak o téj świątnicy
Zdawna chodzi słuch,
Do strasznéj kaplicy
Szło przyjaciół dwóch.
Przysięgli zwyczajem
Starodawnych lat,
Kochać się nawzajem
Jako brata brat.
Gdy przyszła na Jana
Kolej żegnać świat,
Miał syna Stefana
Jeszcze pięciu lat.
Część mienia rozdziela
Na kościół i lud,
A na przyjaciela
Za opieki trud.
„Przysięgły“, rzekł, „bracie!
Moim synem rządź
I po ojca stracie
Ojcem jemu bądź.
Grosz mój pozostały
W twoim ręku masz,

Jak dojdzie lat mały.
Wtedy jemu dasz!“
Już Stefan sierota
Lat szesnaście miał,
Pragnął wziąść u Prota
Ojcowizny dział.
Chciwość szatana
Prot w swéj duszy czcił.
Zaparł się, że Jana
Skarb u niego był.
„Gdy ci nędza cięży,
To ojcowski szał:
Na biednych, na księży
Dał wszystko, co miał.
Niech ojca jałmużny
Wróci niebios Pan;
On tobie jest dłużny,
Mnie nic nie dał Jan.“
Rzekł Stefan ze łzami:
„Gdyś sumienie struł,
Nie puść mnie z torbami,
Daj choć skarbu pół.“
Część trzecią i piątą
Choć się zgadzał brać,
A nawet dziesiątą,
Lecz Prot nie chciał dać.
„Chcesz w podłym mieć zysku,“
Rzekł Stefan, „coś wziął?
Chódź, przysiąż w zamczysku,
Gdzieś ojcu się klął!“
Poszli, i gromada
Poszła z nimi wraz.
Prot przysięgę składa,
Gdzie był krzyża głaz;
Lecz gdy się przybliża
Uczcić męki znak,
Jakaś moc od krzyża
Odpycha go w spak.
Padł na wstecz i krzyczy:
— „Ach! ratujcie mnie!
Ten czartom w zdobyczy,
Kto się w fałszu klnie.
Jam z biednym sierotą
Tak nieludzki był;
Weźcie sobie złoto,
Com w komorze skrył!“
A w tém go oniemi,
Oczy poszły w słup;
Chcą podnieść go z ziemi,
Ale już był trup.
Wszystkich przeszło mrowie,
Spieszą pod swój dach.
Odtąd w téj budowie
Jakiś mieszka strach;

Bo słychać tam w nocy
Jak łańcuchów brzęk,
Coś wzywa pomocy,
Coś zawodzi jęk.

(I. Hołowiński.)

129. Śmierć żołnierza.

Hanka podlewa w swym ogródku róże,
Aż tu przybiega konik na podwórze:
Koń białonogi, oko ma sokole,
Świetną maść gniadą i gwiazdę na czole.
Patrzy się Hanka: to konik Stefana.
„Gdzieżeś koniku podział swego pana,
Mojego brata z jasnemi oczami,
Co miesiąc temu, jak się żegnał z nami
Pośród łez rzewnych, pośród broni szczęku,
W rycerskim stroju, z choragiewką w ręku?
Ty to pamiętasz, koniku, Stefana!
Lecz gdzieżeś, gdzieżeś podział swego pana?“
Ale kasztanek smutnie zwiesił głowę,
Jakby pojmował tkliwa Hanki mowę;
Bił nogą w ziemię, jakby mówić żądał
I wciąż za siebie z żałością poglądał.
Przyjrzy się Hanka, aż on krwią zbroczony.
Tu już żalowi wytrzymać nie może
I zacznie wołać: „Nielitośny Boże!
Więc mi zabrałeś, com najdroższe miała,
To, com po Tobie najwięcéj kochała!
Więc i mnie zabierz w jasne progi Twoje,
Bo się na ziemi dłużéj nie ostoję.“
Nie długo potém przy księżyca blasku
Grzebali mężnych na raszyńskim piasku;
A w pięknéj wiosce, kędy Hanka żyła,
Świeża mogiła w cmentarzu przybyła.

Balady.

130. Powrót Taty.

„Pójdźcie o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórek.
Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze.

Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
I pełno zbójców na drodze!“ —
Słysząc to dziatki, biegną wszystkie razem
Za miasto pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciorek.
Całują ziemię, potém w imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pozdrowiona przenajświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego.
Potém Ojcze nasz i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i Koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.
I litanią do najświętszéj Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem
„Najświętsza Matko!“ przyśpiewują dziatki,
„Zmiłuj się, zmiłuj nad tatą!“
W tém słychać turkot: wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie.
Skoczyły dziatki i krzyknąc jak mogą:
„Tato! ach tato nasz jedzie!“
Obaczył kupiec; łzy radosne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
„Ha! jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tatą?“
Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot, rozynki w koszyku!“
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi;
Pełno radości i krzyku.
„Ruszajcie!“ kupiec na sługi zawoła,
„Ja z dziećmi pójdę ku miastu.“
Idzie . . . aż zbójcy obskoczą do koła,
A zbójców było dwunastu.
Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.
Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie.
„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dziatek
I młodéj małżonki wdową!
Nie słucha zgraja: ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi
Pieniędzy krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.
Wtém „Stójcie! stójcie!“ krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
„Idźcie,“ rzekł, daléj bez trwogi!“

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj! wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twéj głowie
Gdyby nie dziatek pacierze.
Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem:
Im więc podziękuj za to, co się stało!
A jak się stało opowiem.
Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty
Tutaj za miastem przy wzgórku u słupca
Zasiadaliśmy na czaty.
Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham, z początku porwał mnie śmiech pusty,
A potém litość i trwoga.
Słucham — ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
„Ach, ja mam żonę! i u mojéj żony
Jest synek taki maleńki.
Kupcze, jedź w miasto! ja do lasu muszę;
Wy dziatki na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moję duszę
Zmówcie też czasem paciórek!“

(Adam Mickiewicz).

131. Król dębów.

Któż konno w północnéj pospiesza zamieci?
To ojciec z swém dzieckiem pospiesza i leci,
I ujął chłopczynę w przesilne ramiona
I trzyma go mocno i tuli do łona.
„Dla czego drżysz synu i kryjesz twarz w dłoni?“
„Nie widzisz? mój ojcze! król dębów nas goni,
Roztacza ogony, we wieńcach skroń pała.“ —
„Cyt, synu! to z jezior powstaje mgła biała.“
„Chódź do mnie, chódź do mnie, dziecino kochana!
Mam cacka, mam lalki, zabawka mi znana,
Po błoniu i po gaju rozliczne mam kwiatki,
A złotą suknienkę dostaniesz od matki.“
— „Mój ojcze, mój ojcze! nie widzisz, jak skrycie
Król dębów tu stoi i wabi twe dziecię?“ —
„Cyt, synu! skąd ci się te strachy uprzędły?
To gnany wiatrami szeleści liść zwiędły.“
„Chcesz, luba chłopczyno, w mój dom cię powiodę,
I córom strzedz każę, a córy mam młode,
Do tanów ponocnych tancerki jedyne,
Zatańczą, zanucą i uśpią dziecinę.“
— „Mój ojcze, mój ojcze; nie widzisz, nad wodą
Wysmukłe tancerki ponocny réj wiodą?“ —
„Mój synu, mój synu! ja widzę, tu w dole
Wpół kręgi sadzone szarzeją topole.“

„Twa postać mnie nęci, zachwyca twe lice,
Gdy sam pójść nie zechcesz, przemocą cię schwycę!“
— „Już ściąga, już ściąga swe ręce zabójcze,
Król dębów mnie chwyta; ach! ratuj mnie ojcze!“ —
Mróz starca przeszywa; jak wicher się miecie,
Przyciska do piersi jęczące swe dziecię;
Spocony, zdyszany, z rączością nieścigłą
Przypada na zamek — lecz dziecię zastygło.

(Bohdan Zaleski).

132. Odważne dziewczę.

„Panowie bracia! daléj na konie!
Daleko mamy pohasać!
Tam w owéj stronie, gdzie łuna płonie,
Tam, tam będziemy popasać.“
Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
Wesoło trąbka zadzwoni;
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.
Pędzą bez trwogi, miną rozłogi,
Miną i stepy i pola,
Aż gdzie do koła plądruje sioła
Zawolczyk, czartów swawola.
„Héj! bracia wiara! męstwo i wiara,
Odwaga, bracia! Bóg z nami!“
Furknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami.
„Ho! ho! gdzie nasza zafurknie pika,
Próżno się bronisz, psi synie!
Hartowna pika w krwi najezdnika
Łupieżcy serca nie minie.
Znajcie zuchwali grom naszéj stali!“
Już ich wysiekli i lecą,
Aż gdzie za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półmiesiące się świecą.
„Héj! bracia wiara! męstwo i wiara,
Odwaga, bracia! Bóg z nami!“
Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
I już się sieką z wrogami.
„Wiara! wesoło!“ Wpadł na czoło
I już na karkach im siedzą;
Szyki złamali, w trąbkę zagrali,
Tatarzy, gdzie ujść, nie wiedzą.
„Tam, tam na prawo, mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna:
„Héj! za mną dzieci!“ kordem zaświeci,
„To moja córka jedyna!“
Ten żwawo goni, ów żwawo stroni;
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie.
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu
Spiął konia — już na głębinie.

Dziewczę się zrywa i Boga wzywa,
I pchnie Tatara na tonie;
Konia zwróciła, na brzeg wskoczyła,
I już u ojca na łonie!

(Ludwik Jabłonowski.)

Obrazki i pieśni.

133. Wiosna.

Stopniały już gnuśne lody,
Wiążą się liście i trawy
Pyszne z nabytéj urody,
Że wietrzyk zawiał łaskawy.
Nuci pieśń oracz wesoły,
Krając grunt w skiby zarodne;
Ustają z pracy mdłe woły,
I mrówki pracują drobne.
Pracujże i ty, ena młodzi!
Pora czasu bardzo mała,
A jesień tego nie zrodzi,
Czego wiosna nie zasiała.

(Ludwik Osiński.)

134. Lato.

Gorące dni nastawają,
Suche role się padają;
Polny świerszcz, co głosu staje,
Gwałtownemu słońcu łaje.
Już mdłe bydło szuka cienia
I ciekącego strumienia,
A pasterze chodząc za niém,
Budzą lasy swojém graniem.
Żyto się w polu dostawa
I swoją barwą znać dawa,
Iż już niedaleko żniwo;
Miéj się do sierpa co żywo.
Sierpa trzeba oziminie.
Kosa się zejdzie jarzynie;
A wy młodsi noście snopy,
Drudzy układajcie w kopy.
Gospodarzu nasz wybrany,
Ty masz mieć wieniec kłosiany,
Gdy w ostatek zboża zatnie
Krzywa kosa już ostatnie.

A kiedy z pola zbierzemy,
Tam dopiero odpoczniemy,
Dołożywszy z wierzchem broga,
Już dzieci jednego Boga.

(Jan Kochanowski).

135. Jesień.

Już i lato uleciało,
Owoc wszędzie się rumieni,
To, co w lecie nie dojrzało,
Wyda jeszcze plon w jesieni.
W jesieni się wszystko krząta,
Ziemia plonem obciążona;
Tu kmieć jeszcze zboże sprząta,
Tu zbierają winogrona.
Już się żniwo ukończyło;
Wszystko zboże już w stodole,
A po pracy jakże miło
W swém rodzinném spocząć kole!

(Nowosielski.)

136. Zima.

Znikły pory ulubione;
Przyszła blada zima.
Drzewa z liści obnażone,
Smutno przed oczyma!
Wszędzie świeży śnieg się bieli,
Pokrył śron ogrody,
Ziemia cała jak w pościeli,
A na rzekach lody.
Ziemia, matka ukochana,
Leży jak nieżywa,
Bo i ziemia spracowana
Sobie odpoczywa.
Blada zima nie radosna,
Ziemia śpi wśród ludzi,
Dopóki jéj ze snu wiosna
Znowu nie przebudzi.

(Nowosielski).

137. Wieś.

Cudze chwalicie,
Swego nie znacie;
Sami nie wiecie,
Co posiadacie.
A boć nie śliczne
Te wioski liczne,
Ten kraj kochany?
Bogate łany,
Bujne ogrody,
Łączka wesoła,
A na niéj trzody
Widzisz do koła.
Zdaleka borek,
Na górze dworek,
W koło topole,
A tam .... na dole

Strumyk jak wstęga
Ku rzece sięga.
Tu niskie chatki,
A przy nich dziatki
Hoże, rumiane,
Jak malowane.
Co to za życie!
O! takie dziecię
Widzieć wam trzeba
Z partyką chleba,
Z ułamkiem sera;
Tam dusza szczera,
Pełno prostoty,
A nie brak cnoty.
Przy chatce chatka,
W pracy czeladka,
W polu figury,
W podwórku kury,
Przy płotku płotek,
Pod płotkiem kotek.
I pies przy budzie,
A co za ludzie?!
Każdy gotowy
Sercem i słowy
Przyjąć w gościnę:
Da i pierzynę,
Sobie odejmie,
A da uprzejmie
Zboże w stodole,
A chleb na stole,
A piwo w dzbanie;
Pij i jedz, panie!
Gdyś wstąpił w progi,
Toś już nam drogi.
My nie ostatni!
Tu uścisk bratni —
Rzecz — to nie rzadka.
Tu zacna matka
Uczy pacierza,
Dobro rozszerza.
O Bogu prawi
I błogosławi.
Nie umie czytać,
A proszę spytać:
Co nas szczęśliwi?
Aż cię zadziwi,
Jak ci odpowie;
Bo rozum w głowie.
Nie jedź po świecie!
Znajdziesz tu przeciw
Niezgorsze rzeczy.
Nikt nie zaprzeczy:
Że w tym kąciku
Cnoty bez liku,
Uczucia żywe,
Serca poczciwe.

(Stan. Jachowicz).

138. Dzionek na wsi.

Raniusienko, jak zorze,
Słychać ptaków śpiewania —
Skowroneczek już orze,
A przepiórka pogania.
Każde przy swéj robocie:
Bocian chodzi po błocie,
Słowik śpiewa a śpiewa,
Żołna lasy rozsiewa.
Przyśpiewują na głosy
To wywilgi, to kosy:
I człek myśli, że w raju,
A on w kraju, oj! w kraju.
Na zachodzie pogoda.
W jasném niebie wesele —
Dał Bóg ludziom oj! wiele,
Może jeszcze co doda.
Chłopak pędzi a krzyka,
Że aż kładą się szkapki —
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki:

Dylu, dylu od ucha!
Kto ma uszy, niech słucha.
Szumią lasy, héj! lasy,
A w karczemce brzmią basy:
Kiedy skakać, to skaczą,
A jak płakać, to płaczą.
Ot i dzwoni już dzwonek
Na wieśniaczym kościele:
Dzięki Bogu za dzionek,
Za serdeczne wesele —
I za wszystko, co miłe,
I za wszystko, co boli —
W ciężkiéj pracy za siłę,
I za uśmiech w niedoli!

(Teofil Lenartowicz).

139. Mały światek

(w skróceniu).

Jak ja to sobie
Domek ozdobię,
Ten modrzewiowy
Dworzec ojcowy!
Najprzód przed drzwiami
Lipę zasadzę,
W koło płotami
Sad oprowadzę.
Stawię przy wodzie
Świętego Jana,
A na ogrodzie
Gniazdo bociana.
Będą przy stawie
Chodziły pawie;
Pod stodołami
Na ziarno pszenne
Białe gołębie,
Goście codzienne.
Jeźli kto do mnie
Łaskaw przyjedzie,
To słup przed sienią
Stoi na przedzie;
Przy nim mosiężne
Wiszą kółeczka.
Gdzie się przewleka
Długa uzdeczka.
A zechce bawić,
To jak zwyczajnie
Konia postawić
Każe się w stajnię,
Gdzie koniczyną
Poza drabiną
Przy czystym żłobie
Przegryzie sobie.

A że wypędzić
Pragnę lenistwo,
A lubię ryby,
Oraz myślistwo,
Więc już psów chmara; —
Bo od ogara
Aż do jamnika.
Co lisy dusi,
U mnie być musi.
A mam u siebie
Starego dziadka,
Co sieci robi;
To będzie siatka.
Słowem, co chcecie,
U mnie znajdziecie:
Ryby i grzyby,
Mąkę i łąkę.

* * *

Teraz we dworze
Jak ja ułożę! —
Wszedłszy do sieni,
To być powinna
Zaraz najpierwsza
Izba gościnna.
W niéj stół dębowy,
Szafa u ściany,
W któréj cynowy
Dzban pobielany.
A zaś na ścianie
Obraz Łazarza,
Co to psy liżą
Rany nędzarza;

By mieć w pamięci.
Że w szczęściu jedni,
A drudzy ludzie
Straszliwie biedni.
A w drugiéj stancyi,
W mojéj siedzibie.
Co kto ukochał,
Z tém się tam zdybie.

* * *

Myśl moja cicha,
Jak moja chata,
Nad dym ojczystéj
Wioski nie wzlata;
Oko nie sięga
Daléj i szerzéj,
Jak do tych lasów,
Jak do tych krzyży,
Jak do téj wody,
Co płynie srebrna;
Czyż większa mądrość
Człeku potrzebna?

* * *

Teraz co drogi
Domek otacza,
Domek ubogi
Człeka oracza
Kościół za wioską
Z czerwonéj cegły;
Dwie wieże w błękit
Jasny wybiegły.

* * *

Przy drodze zdala
Karczma dla gości.
Już się obala
Z wielkiej starości.
Przed nią w niedzielę
Jedzie wesele:
Druchny na wozie
Pięknie śpiewają,
Grajki na kozie.
Na skrzypcach grają.
A państwo młodzi,
Jako się godzi,
Cieszą się, śmieją
Z wielkiej radości.
Flaszka koleją
Krąży wśród gości.
Wszystko się wali
W progi karczemne,
I tylko wozy,
Szkapki nikczemne.
Przed karczmą stoją,
Gdzie dużo siana,
Owies i słoma
Gęsto rozsiana.
A z niéj pociechy
Dość mają kury;
Wróble z pod strzechy
Spadają z góry;
Ani spostrzeże.
Skąd się to bierze.
Starzy ojcowie
Siedząc pod ścianą,
Piją do siebie
Kwartą blaszaną.
Dzieci gromada
Komin obsiada,
Wszędzie się miesza
Krzykliwa rzesza.
I tak od zmroku
Do białéj zorzy
Taniec nie strudzi.
Smutek w wieśniacze
Nie wchodzi wrota;
Śmieje się, cieszy
Szczera prostota.
Jeźli Bóg daje
Zdrowie i siłę,
To wszystko człeku
Dobre i miłe.
Po drodze stare
Stoją chałupy,
Nad niemi dymu
Ciągną się słupy.
Przy jednej gruszka,
Lipa przy drugiéj,
I tak tam drzymią
Po drodze długiéj.
Po drodze wdali
Bieli się piasek,
Krzyż nade drogą;
I zaraz lasek.
Pod lasem woda
Po łące płynie,
Z szumem na koło
Spada przy młynie.
I daléj leci,
Snuje się, świeci.
To blaskiem słońca,
Światłem miesiąca
I zorzy blaskiem
To gwiazdy blaskiem.

(Teofil Lenartowicz).

140. Ranne gospodarstwo staruszka

(w skróceniu).

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze,
Nucąc piosenkę: „Kiedy ranne wstają zorze“,
Rad, że się wypogadza. Mgła nie szła do góry,
Jak się dziać zwykło, kiedy zbierają się chmury.
Ale coraz spadała. Wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie.
Tymczasem słonko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni. —
Maciéj ogrzał się słońcem, zakończył pacierze
I już się do swego gospodarstwa bierze.
Wyniósł traw, liścia, usiadł przed domem i świsnął —
Na ten świst rój królików z pod ziemi wytrysnął;
Jako narcysy nagle wykwitłe na trawę,
Bielą się długie słuchy; pod nimi jaskrawe
Przeświecają się oczka, jak krwawe rubiny,
Gęsto uszyte w axamit zielonej darniny.
Już króliki na łapkach stają: każdy słucha,
Patrzy, nakoniec cała trzódka białopucha
Bieży do starca, liśćmi kapusty znęcona;
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona.
On sam, biały jak królik, lubi ich gromadzić
W koło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić,
A drugą ręką z czapki proso w trawę miota
Dla wróblów: spada z dachu krzykliwa hołota.
Gdy się staruszek bawił widokiem biesiady.
Nagle króliki znikły w ziemi, a gromady
Wróblów na dach uciekły przed gośćmi nowymi,
Którzy szli do folwarku krokami prędkimi.

(Adam Mickiewicz).

141. Syn.

Jedzie, jedzie rycerz zbrojny,
Wraca do dom z długiéj wojny;
Suknia jego pokrwawiona,
Szabla jego wyszczerbiona.
Przywitał go ojciec stary,
Siostry mu wyniosły dary,
Cieszyli się bracia mili,
I sąsiedzi się cieszyli.
„Gdzieżeś matko! Wracam z boju!
Matko miła, wyjdź z pokoju!
Niech uściskam twoje nogi,
Wyjdź przywitać syna z drogi!“
„Jakże może wyjść do ciebie,
Gdy od roku po pogrzebie?
Pokój w ziemi ma zrobiony,
I kamieniem przyłożony.“
„Jam ten pokój dla niéj sprawił,
Długom się na wojnie bawił!

Żyjcie już tu sami sobie,
Gdy przezemnie matka w grobie!“
Mszy i modlitw nie zaniechał.
Jak przyjechał, tak pojechał...
Znikł za górą rycerz zbrojny,
Już nie wróci nigdy z wojny.

(St. Witwicki).

142. Domek rodzinny.

Witaj domku mój rodzinny,
Dworku biały z facyatką!
W tychto ścianach wiek dziecinny
Przepędziłem z ojcem, z matką...
Biały domku ukochany,
Każdy kącik sercu drogi;
Miłe sercu cztery ściany,
Dziś całuję twoje progi.
Tu mi życie matka dała,
Moja dobra, matka droga,
Tu mnie matka wychowała
I uczyła kochać Boga.
Tu mnie ojciec mój poczciwy,
Dobry ojciec choć surowy,
Czcić nauczał wiek sędziwy,
Słodkiéj sercu uczył mowy.
Witaj domku mój drewniany,
Pełen wspomnień i pamiątek!
Witaj dworku ukochany,
Skarbie drogi świętych szczątek!
Pod tém drzewem rozłożystém
Ptasząt śpiewu ja słuchałem
Dziecko jeszcze, sercem czystém
Z każdym kwiatkiem rozmawiałem.
W kropli rosy kryształowéj,
Co zdobiła kwiatki, ziółka,
Bóg malował kwiat różowy,
A jam widział tam aniołka.
O! były to chwile błogie,
Niewinnością dziecka tchnące;
Przeminęły dni te drogie,
Pozostały łzy gorące.
Przeminęła ma jutrzenka.
Dni dziecięcych zwiędły kwiatki;
Lecz mi w duszy brzmi piosenka,
Com ją słyszał od méj matki.
O! czas dąży bystrym krokiem;
Gdzie był uśmiech, dziś mogiły.
Żegnam cię znów łzawém okiem,
Mój rodzinny domku miły!
Żegnam drogie twoje ściany!
Głos przyszłości brzmi z daleka;

Idę, idę w świat nieznany,
Gdzie powinność, ludzkość czeka...

(Poezye z różnych autorów przez F. H.)

144. Pożegnanie wioski.

Żegnam cię, wsi ulubiona,
I was gaje, łąki, niwy!
Nieba! wśród waszego łona
O jakże byłem szczęśliwy!
Tu mi moje dni płynęły,
Jak ciche wody potoku,
Już one wiecznie minęły;
Czas swego nie cofnie kroku,
Jak ta rzeczka z biegiem swoim,
Tak wszystko przejdzie, przeminie;
Jedna tylko w sercu mojém
Pamięć twoja nie zaginie!

(Sowiński).

145. Do wiosny.

Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyci,
A memu światłu co się to stało,
Że mi dotychczas nie świeci?
Już słowik w lesie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa,
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni,
A mój mi ptaszek nie śpiewa!
Już tyle kwiatków ziemia wydała
Po onegdajszéj powodzi,
W różne się barwy ziemia przybrała,
A mój mi kwiatek nie wschodzi!
Już się i zboże do góry wzbiło,
I ledwie nie kłos chce wydać,
Całe się pole zazieleniło,
A méj pszenic ki nie widać!
O wiosno! pókiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany!
Jużem tę ziemię łzami urosił:
Wróć mi urodzaj kochany!

(Fran. Karpiński).

146. Skrzypki.

Héj! skrzypeczki, skrzypeczki!
Lubię wasze piosneczki;
Tak śpiewacie jak żywe
Piosnki wdzięczne i tkliwe.
Jak się głośno ozwiecie,
To aż raźniéj na świecie

Moje skrzypki kochane!
Ja tu z wami zostanę.
Bracia! dajcie skrzypeczki,
Nauczę was piosneczki,
Co mi matka śpiewała,
Kiedy skrzypki dawała:
„Kochaj skrzypki, dziecino!
Miłe dźwięki z nich płyną;
Kochaj sercem i duszą;
Skrzypki smutek zagłuszą.
Gdyś wesoły, skrzypeczki
Wtórzyć będą piosneczki,
A będzie ich bez liku,
Graj i śpiewaj, chłopczyku!
Gdy cię troski obsiędą,
Skrzypki łezkę dobędą,
Jak zagrają ci ładnie,
Smutek z serca opadnie."

(Stan. Jachowicz).

147. Do Jana.

Janie, mój drużba!
Jeźlić się służba
Dobrze nie płaci,
Nie już ci traci
Cnota swe myto;
Ale sowito
Bóg zwykł nagradzać
Temu, co zdradzać
Nie zwykł nikogo.
Przeto, choć srogo
Szczęście się z tobą
Obchodzi, sobą
Nic nie twórz, ale
Trwaj rówien skale,
Któréj nie mogą
Największą trwogą
Poruszyć wały,
Kiedy powstały
Na morzu wielkiém.
Także we wszelkiém
Nieszczęściu i ty
Bądź niespożyty.
A trwaj statecznie,
Bo nie już wiecznie
Fortuna służy.
Komu podróży;
Ani porzuci.
Kogo zasmuci.

(Jan Kochanowski).

148. Nadziei nie trzeba tracić.

Nie porzucaj nadzieje.
Jakoć się kolwiek dzieje:
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złéj chwili piękny dzień przychodzi.
Patrzaj teraz na lasy,
Jako przez zimne czasy
Wszystkę swą krasę drzewa utraciły.
A śniegi pola wysoko przykryły.
Po chwili wiosna przyjdzie,
Ten śnieg z nienagła zejdzie;
A ziemia, skoro słońce jéj zagrzeje,
W rozliczne barwy znowu się odzieje.

Nic wiecznego na świecie:
Radość się z troską plecie,
A kiedy jedna weźmie moc największą,
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprędszą.
Ale człowiek zhardzieje,
Gdy mu się dobrze dzieje;
Więc też, kiedy go fortuna omyli,
Wnet głowę zwiesi i powagę zmyli.
Lecz na szczęście wszelakie
Serce ma być jednakie;
Bo z nas fortuna w żywe oczy szydzi,
To da, to weźmie, jako się jéj widzi.
Ty nie miéj za stracone,
Co może być wrócone;
Siła Bóg może wywrócić w godzinie,
A kto mu kolwiek ufa, nie zaginie.

(Jan Kochanowski.)

149. Pieśń poranna.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon, Boże wielki!
A człowiek, który bez miary
Obsypany Twymi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby Cię nie chwalił?
Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebie,
I szukam Go koło siebie.
Wielu snem śmierci upadli,
Co się wczora spać pokładli;
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię, Boże, chwalili.

(Fran. Karpiński.)

150. Pieśń wieczorna.

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże prawy!
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali!
Twoje oczy obrócone,
Dzień i noc patrzą w tę stronę,
Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka.
Odwracaj nocne przygody,
Od wszelakiéj broń nas szkody.
Miéj nas wiecznie w Twojéj pieczy,
Stróżu i sędzio człowieczy!

(Fran. Karpiński).

151. O wielkości Boga.

Potężny Boże na ziemi i w niebie!
Gdy spojrzę na dzieł Twoich widowisko,
A potém oczy obrócę na siebie,
Jak mnie Twa wielkość upokarza nisko!
Przecież, chociażem istotą tak małą,
Pójdę do Ciebie!... Twa dobroć mi znana,
I wlać mi chciałeś jakąś duszę śmiałą,
Co się chce przedrzeć do samego Pana.
Ale odarty jak przed Tobą stanę?
Cechę wierności z piersi moich starłem,
I niewinności odzienie mi dane,
Ocierając się między ludźmi, zdarłem.
Przecież ja pójdę, cokolwiek mnie czeka,
Pójdę do Ciebie ... bo mi powiadano,
Że, bylebyś Ty się obejrzał na człeka;
Zaraz go w stanie szczęśliwym widziano.
Tak jak dziś jestem niedołężnym płazem,
Zbitém naczyniem, o które nie stoję,
Pokorę tylko wziąwszy z sobą razem,
Poniosęć głupstwa i nikczemność moję.
Mnie się rozstąpią wybranych Twych rzesze,
Mnie nic nie będzie po drodze ustraszać,
Jeszcze ich mojém przybyciem pocieszę,
Bo powiem, że ja idę Cię przepraszać.
Potém przed tronem Twym padnę i powiem:
„Z dalekich krajów przyszedłem w te strony
Za moim skarbem, weselem i zdrowiem,
Ubogi, smutny, na siłach zwątlony.
Jużbym ja nie chciał mieć Pana inszego,
Ani Twéj woli w czém kiedy być sprzeczny;
Ale gdy moję znasz skłonność do złego,
Trzymaj mnie Ty sam, bom ja niestateczny“

(Fran. Karpiński.)

QUINTA.

I.

Bajki, powiastki i anegdoty.

A. Bajki.

1. Platon.

Platon zgromadziwszy razu jednego swych uczniów, dowodził im, jak to mędrzec nad całym panuje światem: dla niego ziemia płody swe wydaje, wspaniałe słońce wschodzi, morze się pieni, zgoła powietrze, gwiazdy, księżyc i niebo jemu służą; on twórczym swym geniuszem pojmując i wydając wszystko, staje się panem całego świata.

Tymczasem mucha, co go w nos gryzła bez względu na tę jego mniemaną wielkość, rzekła: to wszystko dla Platona, a Platon dla mnie.

(Popliński).

2. Skarb.

Jeden bogaty człowiek znalazł skarb. Widząc to ubogi, nuż utyskiwać na Opatrzność, a Jowisz rzekł: poczekaj tylko, co się daléj stanie! Jakoż ów bogacz, aby uniknąć oka ludzkiego, poszedł w nocy z rydlem, chcąc skarb wydobyć. Pracował ciężko, nim wykopał skrzynię wielką z pieniędzmi. Ciężéj jeszcze było dźwigać ją do domu. Dosyć, że z niewczasu i ciężkiéj pracy zachorował, i nieużywszy wcale znalezionego skarbu, umarł. Tedy rzekł Jowisz do ubogiego: bierz teraz tę zdobycz, a nie sądź z pozoru, bo bogacz nie dla siebie, ale dla innych najczęściéj skarby zgromadza.

(Popliński).

3. Ojciec i dzieci.

Ojciec miał kilkoro dzieci. Widząc się bliskim zgonu, wezwał wszystkie do siebie, a wziąwszy kilka prętów, związał je w pęczek i dał starszemu do złamania. Ten natężywszy wszystkie swe siły, dokazać tego nie mógł. Podał go więc drugiemu, ten trzeciemu i tak daléj; ale żaden nie złamał. Potém starzec rozwiązawszy pęczek, dał każdemu po jednym pręcie i kazał złamać. Co gdy z łatwością wykonali: „moje dzieci!“ rzekł do nich umierający ojciec, „bierzcie stąd przykład! Po mojéj śmierci póki będziecie zgodni, dopóty nic was pokonać nie zdoła; ale skoro się poróżnicie, najmniejsza siła zdolna was zwyciężyć.“

(Popliński).

4. Gospodarz i wróble.

Stado wróbli, gdy zima nadeszła, przyleciało z pobliskiéj krzewiny do wsi i ukryły się w stodole. Gniewał się kmiotek skąpy, choć bogaty i narzekał: „czy kara Boża! jak tylko zima, zaraz natręty do ziarna.“ Lecz temi skargami wróbli z gumna nie wypłoszył. Idzie więc po rozum do głowy. Nocną porą, gdy wszystko w głębokim śnie było pogrążone, bierze latarnię, skrada się do gumna i uśpione na wpół wróble wygarnia wpoły z pod strzechy. Ale dawne niesie przysłowie: „łakomy dwa razy traci.“ Gospodarz pnie się coraz wyżéj; w tém wypadła mu latarnia i zapaliła słomę. Naprożno skoczył, chcąc ogień ugasić, naprożno połami dusi płomień i krzyczy jak szalony; wróble uciekły, a stodoła ze zbożem zgorzała.

(Popliński).

5. Pustelnik i niedźwiedź.

Pustelnik młodego niedźwiedzia schwyciwszy, nie żałował trudu, dobréj paszy i cięgów, aby go sobie oswoić; co mu się tak udało, że niedźwiadek zrobił się łaskawym i potulnym jak piesek. Często panu swemu przynosił piękną zwierzynę, chodził dla niego po wodę i drzewo, był stróżem jego chaty, słowem, najróżniejsze oddawał mu posługi.

W gorącym dniu letnim leżał raz pustelnik na trawie i spał. Obok niego usiadł niedźwiedź i opędzał muchy ze starca, które się do niego, zewsząd, nieznośnie brzęcząc, zlatywały. Szczególnie dręczyła go jedna wielka, uprzykrzona, którą niedźwiedź już dziesięć razy spędził. Gdy ją teraz znowu na czole śpiącego zobaczył, rzekł rozdrażniony: „poczekaj, poczekaj! teraz cię spędzę na dobre!“ To mówiąc, podniósł kamień i tak celnie ugodził, że muchę zabił od razu, — lecz rozbił także głowę starcowi.

6. Kruk i lis.

Zgłodniałemu krukowi udało się gdzieś pochwycić kawał sera. Uniósł go tedy do lasu, a spocząwszy na wysokiéj sośnie, zaczął go smacznie zajadać. Spostrzegł to lis i nuże wychwalać przymioty kruka. „Ach! jakże piękne są twoje pióra,“ ozwał się do niego, „jaki orli wzrok, jak potężne szpony! Zaprawdę — nie znam między ptakami wspanialszego i piękniejszego od ciebie, mój kochany kruku. A jakiż dopiéro musi być twój głos?..“

Takiemi pochwały napuszony kruk, pomyślał: ha! jeźli tak, niechże go usłyszy! Otworzył więc dziób, aby niemiłosiernie zakrakać. Lecz w téj chwili wypadł mu ser, który lis pochwyciwszy, wyśmiał się z głupoty kruka i drapnął do jamy.

7. Paw i słowik.

Paw żalił się przed boginią Junoną, że bogowie dali mu głos brzydki i krzykliwy, gdy tymczasem słowik tak mile śpiewa. Ten głos mnieby mieć należało, który jestem najpiękniejszy z ptaków. — „Właśnie téż dla tego,“ odpowiedziała bogini, „że jesteś najpiękniejszy z ptaków, śpiewasz tak szkaradnie. Słowik, któremu jego głos wyrzucasz, nie zazdrości ci piór twoich; wie on, że bogowie między różne istoty rozdali swe dary, i że każdy na swojém przestać powinien.“

(Popliński).

8. Puhacze.

Sowa miała sześć sowiąt i kilka puhaczków. Słabe zrazu i do lotu niezdatne, kiedy już podrosły i pierza nabrały, zaczęły sobie igrać, bujając ponad rozwalinami pustego zamku. Nalatawszy się do sytu, wróciły do swego mieszkania, to jest w dziurę przy kominie. Pani matka przytulając do swego łona córki, syny, wnuki, wnuczki, i pyszniąc się z tak licznego potomstwa, rzekła: „cóż tam słychać, moje dziatki? Jak wam się udał pierwszy wstęp na świat, jak was tam inne ptaki przyjęły?“ Najmłodsze puhacząтko, faworytek matki, odezwał się: „jakeśmy tylko wyleciały, oniemiały wszystkie ptaki z podziwienia, żaden nie śmiał ani pisnąć, skorośmy huczeć zaczęły; nędzne stworzenia pokryły się w dziury. Tylko w krzaczkach maleńka jakaś ptaszyna, którą słowikiem zowią, smutnie zapewne z zazdrości i żalu kwiliła.“

Po sercu, jak to mówią, pogłaskało matkę, że ta pierwsza próba tak dobrze się udała; chcąc jednak dać swym dziatkom

przestrogę i nauczyć je pokory, rzekła: „chociaż wasz głos piękny, a lot tak szybki, nie nadymajcie się stąd pychą. Powinnością jest naszą pobłażać ułomnościom, bo nie każdemu dał Pan Bóg rodzić się puchaczem.“

(Popliński.)

9. Próżność ukarana.

Jeleń, wysmukły, syn puszczy, przybył w dniu skwarnym do strumyka, aby tu swe pragnienie ugasić. Zdziwił się nie pomału, gdy w przezroczystéj wodzie ujrzał swój obraz. Zaczął mu się przypatrywać z upodobaniem, a potém nawet dziwić nad swą budową. „Jak kształtna ta moja głowa, jak wspaniałe te rogi!“ mówił do siebie. „Szkoda tylko, że cienkie nogi nie odpowiadają proporcyi całego ciała.“

Wtém zaszeleściało w gęstwinie, a jeleń ujrzał tuż za sobą kilka psów myśliwskich. W nogi tedy. I byłby ocalał, gdyby nie był wbiegł do lasu, gdzie rosochatymi rogami uwiązł w gęstwinie. Wnet go psy obskoczyły do koła, a ostry dziryt myśliwca przeszył jego piersi. Konając, zawołał: „mógłżem się spodziewać, że to, w czem najwięcéj miałem upodobania, o zgubę mnie przyprawi?“

10. Młynarz, syn jego i osieł.

Niewiem, gdzie to czytałem, ale to do rzeczy nie należy.

Pewien młynarz miał osła, którego tak pracą zmęczył, iż obawiając się, aby mu nie zdechł, potanowił go zaco zato sprzedać. Woła więc syna wyrostka i rzecze: „żeby się nam osieł w drodze nie zmordował, zanieśmy go na drągach.“ Dźwigają obaj; ale im daléj szli, tém bardziéj osieł im ciężał. Gdy to spostrzegli ludzie, zbiegać się zaczęli, śmiejąc się z nich i szydząc: „patrzajcie jeno, oto trzy osły, a ten, co na drągu, jeszcze najmniejszy.“ Młynarz markotny skoczył po rozum do głowy i wsadził syna na osła. Aż tu pierwsi, których napotkali, nuż się gniewać i zżymać, mówiąc: „a ty hultaju! jedziesz sobie wygodnie na ośle, a biedna starowina pieszo!“ Kiedy się więc zabierają do kijów, aby mu syna obili, zsadził go z osła, a sam wsiadł na niego. — Przechodziły dziewczęta; mówi jedna do drugiéj: „biedny chłopczyna! pieszo iść musi, a dziadzisko nielitościwe jedzie sobie wygodnie.“ Usłyszawszy to młynarz, wsadza syna za siebie, myśląc, że już teraz dogodził wszystkim. Ale zaledwie z lasku wyjechał, znowu krzyk: „cóżto za głupcy! a któż od nich osła kupi? Nie dosyć, że biedne ośliska ciężką odbywa podróż, jeszcze mu dźwigać każą dwóch takich dra-

bów! chyba skórę z niego przedadzą.“ Prawda, pomyślał sobie młynarz. Więc zsiadają obaj; aż tu znowu odzywają się przechodzący: „a któż to widział, aby osieł szedł sobie wygodnie, a ty pieszo? Wybacz, że cię ganimy; wszyscy z ciebie śmiać się będą, jeżeli się nie poprawisz.“ „Nie poprawię się,“ odpowiedział zniecierpliwiony młynarz; „dość już tych przymówek. Chciałem wszystkim dogodzić i w tém byłem nierozsądny. Odtąd, na nikogo nie zważając, będę czynił, co mi się podoba.“ Jak mówił, tak zrobił, i podobno dobrze na tém wyszedł.

(Popliński.)

II. Tak świat płaci.

Idzie podróżny drogą, aż tu słyszy głos węża, który prosił, aby odwalił z niego kamień, obiecując mu za to pokazać wielkie skarby. Odwalił człowiek kamień, ale wąż zamiast wskazania przyrzeczonych skarbów, chciał się rzucić na człowieka, mówiąc: „tak świat płaci.“ Darmo człowiek prosił, aby mu za to dobrodziejstwo przynajmniéj życie darował. Nic to nie pomogło; wąż ustawicznie powtarzając: „tak świat płaci,“ groził podróżnemu żądłem. Rzecze na to człowiek: „kiedy tak, to poszukajmy jakiego sędziego, aby nas rozsądził.“ Idą szukać. Jakoż znaleźli starego psa, który był uwiązany na powrozie u płota. Pies wysłuchał obie strony, a potém tak powiedział: „Tak świat płaci; najlepiéj to widzicie na mnie. Dawniej mój pan zdawał się nie módz żyć bezemnie. Wszędzie mnie brał z sobą, karmił mnie najlepszymi kąskami, miałem wszelkie wygody. Ale gdym się zestarzał, to jak widzicie, wypędził mnie z domu i kazał mnie uwiązać przy płocie, aby mnie oprawca zabił. Jestże to wdzięczność?! Tak też i ten wąż widać tego utrzyma. Mojém więc zdaniem wąż ma słuszność, bo tak świat płaci.“ Zawyło potém psisko litościwie, że aż się żal na sercu robiło. Mówi tedy wąż do człowieka: „a widzisz, że tak świat płaci?“ Rzecze człowiek: „pójdźmy innego szukać sędziego, coby nas rozsądził.“ I wnet spotkali w polu konia chudego, starego, który się nie mógł opędzić dokuczającym mu owadom. Gdy mu wąż i człowiek sprawę swą przedłożyli, wtedy tak się odezwał: „Tak świat płaci, a jeźli temu nie wierzycie, to spojrzyjcie na mnie. Dawniéj byłem ulubieńcem mego pana, miałem dobry obrok, stajnię, a teraz, kiedym się zestarzał, kazał mnie pan wypędzić. Czy to się godzi? Ale świat tak płaci; to też i wąż ma słuszność.“ Idzie więc człowiek smutny, gotując się na śmierć niechybną. W drodze spotkali lisa. Ten dowiedziawszy się o całéj sprawie, chciał ich rozsądzić. Najprzód odszedł z człowiekiem na stronę

i zapytał po cichu, czy mu da swe kury, jeżeli go z tego nieszczęścia wybawi. Człowiek w strachu przyrzekł nie tylko kury, ale i wszystkie swoje gęsi dać lisowi, jeżeli go z grożącéj śmierci uwolni. Wtedy tak lis przemówił: „Wprzód nim wyrok wydam, chciałbym widzieć miejsce, gdzie się to wszystko stało, a mianowicie, jak wąż był przywalony kamieniem.“ Poszli tedy wszyscy na to miejsce, a człowiek przycisnął węża znow kamieniem. Rzecze na to lis: „teraz tak was rozsądzę, abyście nie mieli nic sobie do wyrzucania, niech wszystko zostanie po staremu, a wtedy nie będziesz, wężu, potrzebował człowieka wynagradzać.“ Wąż oszukany syczał przeraźliwie, ale nic nie pomogło.

Tymczasem człowiek przyszedłszy do domu, opowiadał o wszystkiém żonie i o tém, jak za wybawienie przyrzekł lisowi wszystkie swe kury, po które miał tenże przyjść nazajutrz. Cieszyła się wielce żona, że się mąż wyratował, ale żal jéj téż było drobiazgu. Kiedy więc nazajutrz według przyrzeczenia lis przyszedł po kury, rzekła żona do męża: „kręci się tam koło domu jakieś lisisko. Weź, mężu, dubeltówkę, a zastrzel bestyę.“ Mąż nie dał sobie tego dwa razy powiedzieć; a nieborak lis wkrótce padł ugodzony strzałem. Kończąc życie, zawołał: „tak świat płaci.“

(Tworzymir z Wielkopolski.)

B. Powiastki.

12. Wielkoduszność Araba.

Arab i Pers razem z sobą odprawując podróż, doszli do obszernego stepu. Idąc długo, poczęli ustawać na siłach i wielkie od gorąca poczuli pragnienienie. U Araba było nie wiele pozostało wody. Towarzysz jego ujmującym nader sposobem prosił o kilka kropel wody. „Naród twój,“ mówił Pers, „różni się od innych wielkomyślnością. Ty powiększysz jego sławę, poświęcając zostającą u ciebie wodę na ochronienie życia nieszczęśliwego towarzysza.“ Arab nieco pomyślał: „znam ja,“ powiedział, „że taka wspaniałomyślność będzie kosztowała życie moje, ale potrzeba utrzymać sławę narodu. Nieśmiertelna sława szacowniejsza jest nad krótko przemijające życie. Weź i wypij moję wodę; ja nie chcę poniżyć i splamić sławy Arabów.“ Pers napił się i wyszedł z obszernego stepu; Arab zaś umarł w nim z pragnienia.

13. Poświęcenie.

Niedawno temu, już za dni naszych, okropna wojna, bo domowa, w któréj obywatele tego samego kraju, synowie téj saméj ojczyzny, bratnią krew rozlewali, srożyła się na drugiéj półkuli ziemi w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj. Dwa okręty: Kersag i Alabama, do przeciwnych stron walczących należące, starły się na pełném morzu. Działa Kersaga przedziurawiły Alabamę, która zaczęła tonąć. Spuszczono łódź dla ocalenia osady okrętowéj. Zabrakło jednak miejsca na pomieszczenie wszystkich. Dla jednéj tylko już osoby było miejsce, a na pokładzie Alabamy dwóch jeszcze ludzi, lekarz wojskowy i majtek, czekało ratunku. Z łodzi wołano na lekarza, aby corychléj wsiadał. — „Nie chcę“ — odpowiedział lekarz — „przykrém byłoby mi życie, gdybym je okupił życiem drugiego człowieka. Majtek niech wsiada!“ — Poskoczył więc majtek do łodzi. Lekarz pozostał na pokładzie, i zaledwie łódź o kilkaset odpłynęła kroków, okręt zatonął, a na nim lekarz Uwelin; tak się bowiem nazywał ten człowiek szlachetny.

(Wypisy lwowskie.)

14. Z jakim się kto wdaje, takim się sam staje.

Przed niewielu laty zaginął w Rosyi pewnemu wieśniakowi jego dwuletni synek. Daremnie poszukiwano Iwana; znikł, jakbyś kamień we wodę wrzucił. Powiadali tylko ludzie, że gdzieś w lesie spotkali wilczątko, które całkiem do człowieka podobne, starą wilczycę ssało i z nią w kniejach się kryło.

Już całkiem zapomniano o Iwanie, kiedy razu jednego przy obławie na wilki pochwycono w ich towarzystwie dwunastoletniego chłopca, który jak wilk ogryzał kości i swym głosem i całą postawą naśladował wilka. Poznano w nim Iwana, syna wieśniaka. Starano go się oswoić, przyzwyczaić do ludzkich pokarmów, nauczyć mówić; ale daremnie. Ani pieszczoty matki, ani kary ojca nie zdołały z chłopca wykorzenić nałogów zwierzęcéj dzikości. Towarzystwo ludzi było mu nieznośném, wszelka odzież uciążliwą. Na wszelkie objawy rodzicielskiéj troskliwości odpowiadał żałosném wyciem; aż razu jednego upatrzywszy dogodną chwilę, niepostrzeżony wyniósł się do lasu, i nikt się nie dowiedział, gdzie i jak zakończył życie.

15. Moc zastanowienia.

Jednego derwisza spotkało w drodze dwóch kupców. „Wam wielbłąd zginął,“ odezwał się do nich. „Tak jest,“ odpowiedzieli.

„Kulawy był na lewą nogę, a ślepy na prawe oko?“ „Tak jest!“ „Niema zęba przedniego?“ — „Tak jest!“ — „Miał miód na jednym, a pszenicę na drugim boku?“ „Tak jest co do słowa!“ odpowiedzieli kupcy. „Gdyś go tak dobrze uważał, to nam powiesz, gdzie się podział!“ „Moi kochani!“ odparł derwisz. „jam ani widział waszego wielbłąda, ani o nim słyszałem prócz tego, coście wy sami teraz mówili.“ „Ale gdzie są klejnoty, które były w jednym ładunku?“ „Ani wielbłąda, ani klejnotów nie widziałem,“ odpowiedział derwisz. Na to schwycili go kupcy i zaprowadzili do kadego. Nie znaleziono przecie nic przy nim, i nie można go było równie o kłamstwo jak o kradzież obwiniać. Chciano więc postąpić z nim jako z czarownikiem, kiedy derwisz tak się odezwał: „Przyznaję, że macie słuszne powody do podziwienia i podejrzenia, ale w długiém życiu wiele doświadczyłem, chociaż żyłem samotnie, bo tém więcéj miałem czasu nad wszystkiém się zastanawiać. Poznałem na drodze ślady wielbłąda i domyśliłem się, że musiał uciec panu swojemu, bo nie spostrzegłem żadnych śladów człowieka; domyślałem się, że wielbłąd był ślepy na jedno oko, bo znać było, iż tylko po jednéj stronie drogi trawę objadał! a że był kulawy, łatwo wnieść mógłem, gdyż jednéj nogi ledwo jaki ślad na piasku zostawił. Że nie miał jednego zęba, poznać mógłem po roślinach ugryzionych, których we środku mała część nietkniętą została. Co się tyczy ładunku, nauczyły mnie pracowne mrówki, że na jednym boku niósł zboże, a roje much, że na drugim był miodem obciążony.“

(Brodziński.)

16. Wdzięczny lew.

W starożytnym Rzymie miał pewien pan niewolnika, z którym się tak nielitościwie obchodził, żo biedak od niego uciekł i udał się na puszczę. Tam chroniąc się od upału, wszedł do jaskini. Zaledwie w niéj chwilę wypoczął, usłyszał nagle przeraźliwy ryk. Gdy spojrzał w tę stronę, skąd go ryk dochodził, spostrzegł ogromnego lwa, czołgającego się ku niemu. Skoro lew zobaczył niewolnika, wyciągnął ku niemu skrwawioną swą łapę. Domyślił się Androkles (tak było imię niewolnikowi), że zwierzęciu coś w nodze uwięzło. Przybliżył się więc śmiało i wyciągnął z łapy wielki kolec cierniowy, a następnie ranę wodą wymył. Lew uradowany lizał rękę Androklesowi, dziękując mu niejako za przysługę. Z tym lwem mieszkał Androkles kilka lat, a on znosił mu mięso, i tym sposobem go żywił. Nareszcie sprzykrzyło się Androklesowi życie samotne i razu jednego, kiedy lew poszedł na łowy, opuścił jaskinię

i wrócił między ludzi. Lecz wkrótce go schwytano i odesłano dawnemu panu, a ten oddał go władzy, by go śmiercią ukarała.

W starożytnym Rzymie rzucano takich niewolników dzikim zwierzętom na pożarcie. Na ten cel było w Rzymie murem opasane miejsce, gdzie się różne drapieżne zwierzęta, jak: lwy, tygrysy, lamparty znajdowały i nielitościwie rozdzierały każdego, kogo im rzucono, a tłumy rzymskiego ludu, stojąc na wyniesieniu, przypatrywały się tym krwawym widowiskom. Taką śmiercią zginęło też wielu chrześcian. I Androkles miał w ten sposób zakończyć życie. Już wprowadzono go z innymi niewolnikami na miejsce widowiska, już się dzikie zwierzęta rzuciły na jego towarzyszów. Androkles stał jeszcze, pewien niechybnéj śmierci, bo oto lew potężny zbliżył się do niego. Ale cóżto? Lew nie czyni mu nic złego, owszém łasi mu się, kładzie się przed nim i liże mu nogi. Androkles patrzy i poznaje swego dawnego znajomego, któremu był ciernie z nogi wyciągnął. W téj chwili zbliżył się tygrys, by się rzucić na niewolnika, ale lew, spostrzegłszy to, w sztuki go rozszarpał.

Zdarzeniu temu obecnym był cesarz rzymski. Zdziwiony niezwykłém widowiskiem, kazał przywołać Androklesa, a dowiedziawszy się wszystkiego, darował mu życie i lwa, który, jak się łatwo domyśleć można, nie znalazłszy swego dobroczyńcy w jaskini, tak go długo szukał, aż został schwytany. Odtąd lew nie odstępował Androklesa i jak pies chodził za nim. Androkles dostawał tyle, że mógł siebie i lwa używić. Działo się to zaś w czasach, kiedy w Rzymie kwitło jeszcze pogaństwo, a chrześcian wszelkimi sposobami męczono i prześladowano tak, że męczennicy tylko w podziemnych katakumbach schronienie znajdowali.

(E. Estkowski).

17. Pastuszek.

Pewien bogaty pan przejeżdżał około pagórka, gdzie siedział chłopczyk i na całe gardło wyśpiewywał wesołą piosneczkę. Kilkanaście owieczek pasło się na wzgórku, które, jeźli się daleko rozbiegły, spędzał do kupy czujny piesek. Ubiór na chłopaku był lichy i podarty, ale twarz miał rumianą i ożywioną, a w oczach błyskało szczęście i radość, a głos z pełnéj piersi rozlegał się po dolinach.

Podróżny pan nie mógł się nasycić widokiem rzeskiego pastuszka i wdał się z nim w rozmowę. Na każde zapytanie odpowiadał chłopak rozsądnie i przytomnie, aż przyszło do tego, iż mu wyznał, jako nie ma ani ojca ani matki, i że będąc sierotą, sam musi na kawałek chleba pracować. Rozczuliło się serce obcego

pana; wziął chłopca za rękę, kazał się zaprowadzić do jego gospodarza, któremu powiedział: „odstąp mi tego sierotę, wezmę go do siebie i o jego wychowaniu i przyszłości pomyślę.“ I tak się stało. Chłopak mieszkał w mieście na dworze bogatego pana, miał piękne suknie, wyborny stół, pełno kosztownych zabawek, zgoła wszystko, co tylko zechciał. Jednéj mu tylko nie dostawało rzeczy tj. złotéj wolności, szerokich pól, łąk, raźnych owieczek, przywiązanego swawolnego pieska. Nie widywał ani wschodu słońca, ani blasku księżyca w szemrzącym strumyku; a kiedy chciał zanucić swoję wieśniaczą piosenkę, zdało mu się, jakoby kamień ciężył na piersi. I zaraz porywała go tęsknota, zwieszał głowę i smutny wałęsał się po wysypanych ścieżkach ogrodu. Z pastuszka chciano zrobić uczonego i dobrze wychowanego młodzieńca; dano mu kilku nauczycieli, mających go uczyć różnych rzeczy pożytecznych. Ale w jego sercu coraz było tęskniéj, a w głowie coraz się bardziéj plątało. Jeżeli miał pisać, a wziął pióro do ręki, zaraz rysował owieczki, pagórek i na pagórku chłopczyka, a kiedy zaś skończył obrazek, przykładał go do twarzy i gorzko zaczynał płakać.

Zdarzyło się, iż ów pan wszedł był przypadkiem do pokoju i zastał chłopca oblanego łzami. Gdy mu spojrzał w oczy, uderzyła go zmiana na twarzy dziecka, gdzie widoczny przebijał się smutek. Nie pytał już nawet pan o przyczynę téj żałości, bo zobaczywszy obrazek, dorozumiał się naraz wszystkiego. „Dziecię moje!“ rzekł tedy, „chciałem zabezpieczyć ci przyszłość i zrobić cię szczęśliwym. Obierz sobie stan, który ci się zdaje być najszczęśliwszym, a ja dogodzę żądaniu twojemu.“ Posępne oko chłopczyka rozjaśniło się nagle; podniósł ręce do swego wspaniałego dobroczyńcy i zawołał: „Panie! pozwalasz mi wybierać; a więc odeślij mnie na wieś i pozwól, abym pasł owieczki na zielonym pagórku.“ Bogaty pan wzruszył się jego prostotą, wziął go i napowrót do owieczek zaprowadził, rozważając w swéj duszy: „Jakżeż Pan Bóg w mądrości Swojéj na każdy stan rozdzielił szczęście! Jakżeż nierozsądnie postąpiłem, litując się nad tym chłopcem, który w ubóstwie i prostocie swojéj czuł się tak bogatym i szczęśliwym, że wszystkie moje skarby ani szczęśliwszym, ani bogatszym uczyniłby go nie mogły!“

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

18. Piszczałka.

Będąc jeszcze siedmioletnim chłopczykiem, powiada o sobie Benjamin Franklin, dostałem w imieniny od znajomych i przyjaciół ojca mojego pełną kieszeń groszy. Pospieszyłem natychmiast do

sklepu, gdzie były zabawki na przedaż, a ujęty odgłosem piszczałki, którą, idąc tenże na ulicy u jednego chłopca, spostrzegłem, dałem mu za nią wszystkie podarowane mi pieniądze. Ucieszony z kupna, wróciłem do domu i chodziłem po wszystkich pokojach, gwiżdżąc niemiłosiernie. Dla mnie było to wielką uciechą, mojemu rodzeństwu atoli sprawiło przykrość niemałą. Gdy się rodzice dowiedzieli o całym targu, powiedzieli mi, żem za piszczałkę dał cztery razy więcéj, niż była warta. Zacząłem rozmyślać, ile to pięknych rzeczy mógłbym był kupić za resztę pieniędzy, a kiedym zobaczył, że bracia i siostry śmieją się ze mnie, a raczéj z mojego głupstwa, rozpłakałem się ze zmartwienia. Żal teraz był większy, niż chwilowa moja radość.

Późniéj atoli przypadek ten bardzo mi się stał pożytecznym, ponieważ w duszy mojéj niezatarte zostawił wrażenie tak dalece, że często, kiedy mnie chętka brała kupić co niepotrzebnego, sam do siebie mówiłem: „nie trać pieniędzy na piszczałkę!“ i schowałem pieniądze.

Gdym dorósł i rozpatrzywszy się po świecie, zastanawiał nad tém, co ludzie czynili, zdawało mi się nieraz, że po większéj części bardzo drogo opłacali piszczałkę.

Widząc człowieka pnącego się na progi wielkich panów i dla pozyskania ich łaski czas drogi w ich przedpokojach napróżno trawiącego, mówiłem sam do siebie: „ten za drogo piszczałkę kupuje.“

Gdym widział, jak inny ubiegał się o pochwały i oklaski drugich, dogadzając bezustannie ich zachceniom, nawet błędom, a przez to zaniedbywał swych świętych powinności i na nieuchronne narażał się straty, mówiłem: „zaprawdę on za drogo piszczałkę kupuje.“

Gdym spotkał sknerę, który dla swych skarbów wyrzekł się wszelkich wygód życia, wszelkiéj rozkoszy czynienia innym dobrze, wszelkiego prawa do szacunku swych współbraci, a nadto pozbawił się uszczęśliwiającego uczucia życzliwéj przyjaźni, mówiłem: „biedny człeku! Ileż to twoja piszczałka kosztuje!“

Gdym ujrzał marnotrawcę, poświęcającego swój majątek saméj tylko zmysłowéj rozkoszy, a dla zaspokojenia głupiéj, nawet podłéj żądzy, rujnującej swe zdrowie, mówiłem: „obłąkany człowieku! zgryzotę zamiast dobrego życia sobie gotujesz: „za drogo opłacasz piszczałkę!“

Gdy widzę kogo, który lubi okazałość i na piękną odzież, piękne mieszkanie, paradne meble, powozy i konie nad swoję możność wydaje, a następnie zaciąga długi i życie swoje we więzieniu kończy, mówię sam do siebie: „ach! ten człowiek bardzo drogo piszczałkę kupił.“ Jedném słowem, coraz bardziéj się przekony-

wam, że ludzie po większéj części sami są sprawcami swéj niedoli i nędzy, ponieważ nie znając wartości rzeczy, za drogo piszczałki opłacają.

Przyjaciel ludu).

19. Jedynak.

Majętny kupiec, ojciec licznéj rodziny, zwykł był w przytomności dzieci swoich odmawiać poranne i wieczorne modlitwy i zawsze temi kończył je słowy: „Boże! dziękuję Ci za wszystkie pomyślności, których mi użyczasz, a więcéj jeszcze za nieszczęścia, których z ręki Twojéj doznałem.“ Długo dzieci obojętnie tych dziękczynień słuchały, aż nareszcie dnia jednego najstarszy syn tak rzekł do ojca: „Mój ojcze! dla czego dziękujesz Bogu za nieszczęścia? mnie się zdaje, że one nie są dobrodziejstwem.“ „Mylisz się, kochany synu,“ odpowiedział mu ojciec, „nieszczęścia są nieoszacowaném dobrem, kiedy kto z nich korzystać umie. Masz już lat dwanaście; rozum twój zdolny jest do pojęcia wielu rzeczy; posłuchaj więc historyi mojego życia, a dowiesz się, jak słuszne jest dziękczynienie moje.“—

„Rodziców miałem bardzo majętnych i byłem ich jedynakiem. Niema przysmaków, wygód, pieszczot, któremibym od kolebki nie był obsypany; czegom tylko zapragnął, dawano mi natychmiast. Miałem wolność czynienia, co mi się żywnie podobało. A gdy mi czego odmówić chciano, lub też nauczyciele do nauki mnie napędzali, jedném słowem, to jest zagrożeniem: „będę chorował!“ uwalniałem się od wszelkiego oporu i przymusu. Tak się zemną działo do lat jedenastu. Byłem, co się zowie, dzieckiém nieznośném: mazgaj, naprzykrzony, uparty, nieuk, przy dobrém sercu i dosyć wielkiéj zdatności. Ani wiem, coby zemnie było, gdyby Bóg w miłosierdziu swojém nieszczęścia nie był mi zesłał. I tak skutkiem rozlicznych okoliczności rodzice moi w jednéj prawie chwili cały majątek stracili; zmuszeni jeździć za interesami, oddali mnie do dalekiego stryja. Byłto człowiek wcale nie bogaty (dorabiał się dopiero majątku), bardzo poczciwy i rozsądny, ale ostry i surowy. Jakiéjże zmiany w jego domu po rodzicielskim doznałem, uważany za sierotę i za dziecko będące na łasce, a przytém nieznośny i nieusłużny! Wszyscy mnie popychali, wszyscy łajali, a jam płakał od rana do wieczora i miałem siebie za najnieszczęśliwszą istotę w świecie. Rok upłynął we łzach i utrapieniu, ale już niedola, podległość, ubóstwo przytarły znacznie moję hardość, już byłem lepszy, posłuszniejszy, lubo nie brałem się jeszcze ani do pracy, ani do nauki. Stryj już o oddaleniu mnie z domu swego przebąkiwać zaczął, kiedy mnie wzięła raz na bok żona jego i rzekła: „„Mój Lud-

wisiu! zastanówże się i zmiłuj sam nad sobą! Cóżto z ciebie będzie, jeżeli zawsze nieukiem i próżniakiem zostaniesz? Pókiś był bogatym, to niedbalstwo, ta gnuśność, lubo zawsze naganne i pogardy godne, jako tako uchodziły, ale dziś prócz rąk i głowy nic niemasz. Jeżeli pracą i nauką wzgardzisz za młodu, w wieku późniejszym nie będziesz miał kawałka chleba: ludzie tobą wzgardzą, Bóg cię opuści, i umrzesz gdzie z nędzy!“ Te słowa dobréj stryjenki zrobiły silne wrażenie na umyśle, już rokiem nieszczęścia przysposobionym.

Wziąłem się więc do zupełnéj całego siebie odmiany. Stryj mój był kupcem. Zacząłem mu gorliwie w sklepie służyć, pomagać, pilnować, starałem się pilnie i porządnie pisać, doskonale pojmować rachunki. Wkrótkim czasie byłem mu bardzo pomocnym. Z chłopca wyszedłem na kupczyka, a po dziesięciu latach wiernéj i gorliwéj służby wspólnikiem mnie swoim uczynił i pozwolił własną córkę pojąć za żonę. Nie długo potém umarł, żona jego wkrótce po nim wstąpiła do grobu. Wtedy ojca mego sprowadziłem do siebie, bo matka już od kilku lat nie żyła. Strawił ojciec w domu moim ostatnie swe lata: osłodziłem mu je staraniem. Dziś jestem bogaty, umiem używać majątku i dzielić się nim, bom sam był w niedostatku; umiem kierować wychowaniem waszém, bom doznał skutków złego prowadzenia dziatek. Dni moje płyną swobodnie i mile w użytecznéj pracy, a wszystko to winienem nieszczęściu. Jakżeż nie mam codziennie dziękować za nie Bogu?!“

20. Gorąca chęć nauki.

W roku 1870 czternastoletni chłopczyna licho odziany, z malutkiém zawiniątkiem pod pachą, a widocznie bardzo znużony, stanął przed jednym z hoteli paryskich. Zapytany przez właściciela hotelu, który przypadkiem stał w bramie, coby był za jeden i czego szuka, odrzekł prawie ze łzami: „Nazywam się Arystydes Peticol; jestem synem rolnika z obwodu jurajskiego. Ukończywszy nauki w wiosce rodzinnéj, chciałem przenieść się do wyższego zakładu w stolicy naszego obwodu, i w tym celu starałem się o uzyskanie pomocy, którą miano dać uczniowi najzdatniejszemu. Examin złożyłem jak najlepiéj; mimo to przyznano mi tylko połowę wsparcia, co nie wystarcza na utrzymanie. Rodzice moi są biedni, mają nas rodzeństwa kilkoro do żywienia, więc pomagać mi przez czas nauki nie mogą. Wybrałem się potém w podróż do Paryża celem uzyskania w stolicy pomocy i muszę, muszę ją otrzymać.“

„A znasz kogo w Paryżu, ktoby ci dopomógł?“ zapytał właściciel hotelu. — „Nikogo panie — odrzekł Arystydes — ale prze-

cież tu tylu ludzi mieszka; może uproszę którego o radę i wstawienie się.“ — „Jakże tę podróż odbyłeś?“ — „Pieszo panie; zdarłem też zupełnie bóty, a były prawie nowe!“ — „Ale to droga bardzo długa; sto mil; to rzecz niemała!“ — „Cóż było robić? odrzekł Arystydes — szedłem, szedłem, aż wreszcie zaszedłem.“ — „A miałeś też pieniądze na drogę?“ — „Miałem kilka gęsi wyhodowanych mojém staraniem. Rodzice sprzedali je za 24 franków, i z tymi puściłem się w drogę. Na nieszczęście wydałem je do ostatniego grosza i dziś jestem zupełnie bez pieniędzy.“

„To źle, moje dziecko!“ odrzekł właściciel, „w Paryżu, jak w każdém mieście, bez pieniędzy nic nie zrobisz.“

„To też dopomóż mi, panie! Weź mnie do jakich posług, daj mi jadło jak najmizerniejsze i kącik do przespania, a służyć ci będę wiernie i pilnie, byleś mi tylko pozwolił codziennie na kilka godzin wyjść na miasto, żebym mógł starać się o pomoc naukową, bo bez nauki dalszéj już pozostać nie mogę.“

Właściciel hotelu zdumiony tą dzielnością chłopca, przeznaczył go do zamiatania schodów i korytarzy nie dla tego, żeby był chciał jego korzystać pracy, lecz aby uszanować jego godność osobistą nie dawać mu jałmużny jak żebrakowi. Potém poszedł zaraz do zawiadowcy téj dzielnicy miasta i opowiedział mu całe zdarzenie. Nadeszła na żądanie z urzędu za pomocą telegrafu wiadomość o rodzinie Arystydesa, odpowiedź potwierdziła prawdziwość słów chłopca, a prócz tego była dlań tak korzystną, że zacny urzędnik nie wahał się polecić go osobiście opiece ministra oświecenia.

„Pójdziemy do ministra,“ rzekł gospodarz hotelu do swego młodziutkiego gościa; ale nie wiem, czy nam się uda wyjednać to, czego tak gorąco pragniesz.“

„Jeżeli minister odmówi,“ odezwał się na to Arystydes, „tedy postaram się dostać do samego monarchy, a przekonany jestem, że monarcha spełni moje życzenie.“

„A miałbyś odwagę stanąć przed nim?“

„Dla możności uczenia się?“ rzekł Arystydes. „Ach panie! przez ogień bym przeszedł, gdybym tylko wiedział, że mi to ułatwi możność pobierania nauk.“

Stanął więc właściciel hotelu z chłopcem przed ministrem. Ten wysłuchawszy opowiadania Arystydesa z całą dobrocią, rzekł: „Dzielnyś, mój chłopcze! Przybyłeś sto mil pieszo, żeby módz się uczyć; pomoc naukową więc muszę ci wyjednać i mam nadzieję, że ją wkrótce otrzymasz.“

Na drugi dzień, kiedy Arystydes był zajęty zamiataniem schodów, urzędnik z ministeryum przybył do hotelu i o Petikola zapytał. Oddając chłopcu zawiadomienie o przeznaczoném mu wsparciu,

wręczył mu także bilet wolnego przejazdu koleją żelazną i trzydzieści franków na drogę. Uszczęśliwiony chłopiec nie posiadał się z radości; ucałował ręce właściciela hotelu, płacząc, pożegnał się z całą służbą i tego jeszcze dnia wyruszył w drogę.

Rodzice ze łzami i serdecznymi uściskami przyjęli syna, powracającego z tak miłą dla nich wiadomością, a cała wieś z poszanowaniem przypatrywała się dzielnemu chłopcu, podziwiając i wielbiąc silne postanowienie i hart duszy, jakich złożył dowód w całéj téj sprawie.

(Przyjaciel dzieci.)

21. Bądź dla zwierząt litościwym.

Mikołaj Rola, wyrobnik ze wsi Gorazdowa, przy kilku morgach roli miał kilkoro dzieci, które przy usilnéj pracy nie tylko zdołał używić, ale jeszcze do szkoły posyłał. — Raz wieczorem w lecie siedział z dziećmi przed domem, gdy wtém wielki jakiś ptak spadł z powietrza na ziemię. Dzieci z krzykiem poskoczyły ku niemu, a potém zawołały: „bocian, bocian! ale nogę ma przetrąconą. Najlepiéj go zabić, będzie z niego jedzenie.“ Ojciec przystąpił bliżéj, a przypatrzywszy się dobrze ptakowi, „rzeczywiście,“ odezwał się, „ma nogę przetrąconą, ale możnaby go łatwo wyleczyć. Zabijać nie warto, bo mięso bocianie nie najlesze. Na co zresztą bez potrzeby może zwierzęciu życie odbierać? I dla zwierząt trzeba być litościwym, bo i one mają czucie.“ Po tych słowach zajął się zaraz Mikołaj opatrzeniem nogi smutnego ptaka. Ustawił ją w łupki, nasmarował maścią i dobrze obwiązał, podczas gdy dzieci starały się chlebem, perkami, a nawet żabkami nakarmić zgłodniałe zwierzę. Po dwóch tygodniach bocian był wyleczony. Skoro mu rozwiązano skrzydła i puszczono na wolność, uradowany ptak wzbił się wysoko w górę, ale wnet stanąwszy na dachu, klekotał wesoło, niejako dziękując za otrzymane dobrodziejstwo; wreszcie odleciał. Wkrótce odleciały i inne bociany, a jesień, daléj zima nadeszła. Z wiosną przybyła para bocianów na Mikołajową chatę, chcąc tam gniazdo zbudować. Jakże się zdziwili wszyscy, gdy poznali, iż jeden z téj pary był owym wyleczonym bocianem. Włożono im starą bronę, na któréj zbudowały obszerne gniazdo. Gnieździły się tam te ptaki lat kilka.

W tym czasie niejedno w Mikołajowéj chacie się zmieniło. Liczne nieszczęścia, a mianowicie długa i niebezpieczna choroba ojca, nawiedziły tę poczciwą rodzinę, wskutek czego bardzo podupadła. W tém, jakby na domiar nieszczęścia, wybuchł pożar w sąsiedztwie Mikołaja tak, iż chata jego była zagrożoną. Zaczęto zaraz wynosić sprzęty, a że ich nie wiele było, ocalono wszystkie.

Już też i chata poczęła się palić. Mikołaj spojrzał w górę, gdzie było gniazdo bocianie. Samica siedziała przy młodych, niechcąc ich opuścić, a samiec latał naokoło gniazda, szukając niejako pomocy. Niedługo namyślając się Mikołaj, przystawił drabinę, wszedł szybko na dach, przystąpił do gniazda, wziął młode, potém zrzucił gniazdo na ziemię, a gdy zszedł, wsadził w nie młode, bo choć się nieco popsuło, zostało jednakże prawie całe. Stare bociany wnet do młodych przyleciały. — Tymczasem ogień ogarnął chatę Mikołaja, która do szczętu zgorzała. Wtedy żona i dzieci wyrzekać i płakać poczęły, wołając: „cóż teraz poczniemy, biedne sieroty? któż nas przyjmie, kto nad nami się zlituje?“ „Boga wyroki są niedoścignione!“ odrzekł Mikołaj. „Kto wie, może właśnie to nieszczęście będzie dla nas źródłem pomyślności.“

Noc spędził Mikołaj z żoną i dziećmi pod gołém niebem na podwórzu. Nazajutrz rozpatrując się w swych rupieciach, nie przepomniał też i o gniaździe bocianiém. Przypatrując mu się bliżéj, spostrzegł między gałęziami trzos, a skoro go wyjął, zobaczył, że w nim było wiele pieniędzy. Zawołał zaraz żonę i dzieci, a te cieszyły się wielce, sądząc, że do nich te pieniądze należą. Mikołaj atoli odrzekł surowo: „Jakto! mniemacie, iż to nasze pieniądze? Nie popełnilibyśmy kradzieży, gdybyśmy je sobie przywłaszczyli? Niezawodnie zgubił je jakiś podróżny, a bocian znalazłszy ten trzos, użył go do budowy gniazda. Trzeba natychmiast o tém władzy donieść.“ Jakoż zaniósł Mikołaj ów trzos do sołtysa. Po otworzeniu przekonano się z papierów, iż wszystko to należało do bogatego kupca Goździkowskiego we Warszawie. Napisano też zaraz do niego z doniesieniem o tym wypadku. Kupiec uradowany, w kilka dni sam przyjechał do Gorazdowa, a przekonawszy się o ubóstwie i poczciwości Mikołaja, darował mu wszystkie pieniądze, prócz tego i dla pogorzelców złożył kilkaset złotych. Wtedy rzekł Mikołaj do żony i dzieci: „Nie mówiłem wam, że nieszczęście nasze może się stać źródłem pomyślności? Byliśmy dla bociana litościwi, nie zapomniał i Bóg o nas w niedoli, bo oto ten sam ptak stał się narzędziem Opatrzności, aby nas z nieszczęścia wyprowadzić. Nie tylko dla ludzi, ale i dla zwierząt trzeba być litościwym.“

Niedługo potém stanęła piękna zagroda na miejscu spalonéj, a Mikołaj żyjąc oszczędnie, stał się wkrótce zamożnym gospodarzem. Bociany zaś dotąd klekocą wesoło na téj zagrodzie.

22. Kłosy czerwone.

Piękną włość zostawił ojciec dwom synom, która złotą sandomirską rodziła pszenicę. Umierając, rzekł do nich: „podzielcie na

połowę posiadłość, a tak niech każdy na swojéj części z Bogiem zasiewa i zbiera: żyjcie skromnie i w zgodzie, a na przygody gotowi, wspierajcie się wzajem!“ Posłuszni woli ojca, podzielili się po śmierci jego bracia; mieli pokój w domach swoich i miłość u ludzi. Ale starszemu mało było na złotéj pszenicy, którą zbierał ze swéj części, mało na trzodzie, którą obok braterskiéj na jedném widział pastwisku. Nie miły mu był chleb biały, przykry głos brata; smutne dni trawił i noce bezsenne.

Słońce się już kryło za lasy, gdy milcząc, spiesznym krokiem szedł w pole. I widzi na miedzy zatkniętą szablę brata, który zawłóczył świeżo posiane zboże. Wtenczas duch piekielny szepnął do niego: „jak łatwo zbierać możesz to zboże, które brat sieje!“ —

Noc się zbliżała. Wyjął szablę z miedzy i zdradziecko wtłoczył ją w piersi idącego ku niemu brata. Wytrysła krew gorącym potokiem na ziemię, ucichł krótki jęk, i noc pokryła zbrodnię; ale zabójca chciał, by ją i ziemia wiecznie przykryła. Zakopał więc ciało głęboko w roli zasianéj i zaorał, że śladu żadnego nie było, i poszedł do domu krwawy dziedzic po bracie. Konie same powróciły do domu. Nocą i dniem szukała czeladka pana, a zabójca naśladował jéj żale. Ponieważ zaś nie było pewności o śmierci brata, stał się całéj włości dziedzicem do czasu. Ale biały chleb nie był mu milszym, nocy nie były spokojniejsze, bo noc ani ziemia zbrodni jego przed nim ukryć nie mogła. Wprawdzie niwy pięknie się zazieleniły, wprawdzie winszowali sąsiedzi bogatych plonów, ale on stał smutny jakby sądzony, bo wiedział, że na miejscu, gdzie leżał brat zaorany, krwawe wiewały kłosy. W skowronku nawet, co się nad nim unosił, słyszał oskarzyciela swojego; uciekał tedy od domu i nigdy już nie śmiał oglądać łanów, kłosami bogatych.

Nadeszły żniwa. Przepełniła niemi brogi wesoła i niewinna czeladka, ale każdy chleb, którego dziedzic do czasu się dotknął, krwią trącił i krwią był zbroczony. A w nocy, gdy snu zbrodniarz przyzywał, stawał przed nim skrwawiony duch brata i krew nań strząsał z czerwonych kłosów. W końcu ginąc śmiercią okropną z bezsenności i głodu, nazwał się przed czeladką zabójcą brata. — I leży na środku órnego pola mogiła, suchą przywalona hojną, gdzie zabity z mordercą jest pochowany.

Órzmy wszyscy spokojnie dziedziczną rolę; nie pragnijmy posiadłości brata, bośmy wszyscy dziedzicami do czasu, i tylko sumienie pójdzie za nami do grobu.

(Brodziński).

23. Trzy lipy.

W pierwszych dniach poczynającéj się wiosny w téj porządnéj wiosce, na téj łączce niedaleko schludnego dworku, obok dwóch lip posadzonych rzędem, z których starsza Augustów pamięta, nad dołem świeżo wykopanym, cóż znaczy to grono stojących osób? Starzec sędziwy młode drzewko trzymając w ręku, raz w niebo, drugi raz koło siebie z rozkoszą spogląda; mąż w dojrzałym wieku przy nim stojący, wzroku z niego nie spuszcza, a daléj stoją niewiasty, młodzieńcy, dziewice, dziatki płci obojéj: pełza nawet troje niemowląt na ziemi.

Wyraz zaspokojenia i radości na twarzach wszystkich, łzy w niektórych oczach, staranność ubiorów, tkliwą jakąś uroczystość zwiastują. Wszyscy milczą, ale nareszcie starzec stawia drzewko w dół świeżo wykopany i tak się odzywa:

„Stoisz obok mnie, kochany synu! stoisz droga żono, i wy lube córki! wieńczy czoło moje najpiękniejsza starców korona, otaczają mnie dzieci moich dzieci! Przyszliście wszyscy święcić wraz ze mną dzień, do którego wzdychałem od młodości mojéj, dzień, który mnie stawia w jednym rzędzie z cnotliwym ojcem i dziadem. Kiedy sześćdziesiąt siedm lat temu dziad mój, równie jak ja dzisiaj, siedmdziesiąty rok skończył, zasadził pierwszą w tém miejscu lipę, bo chciał wraz z nią cnotę w dziedzinie swojéj wkorzenić. On cnocie całe swe życie poświęcił, złączony od dzieciństwa z Stanisławem Leszczyńskim, dzielił z nim odmienne jego losu koleje, i nie odstąpił, póki go spokojnym i szczęśliwym, lubo na obcym tronie nie ujrzał. Wtedy wróciwszy do skromnéj po ojcach spuścizny osiadł w téj wiosce z synem, jedyną pamiątką po zmarłéj od lat kilku żonie. Trudniąc się wychowaniem jedynaka, polepszeniem bytu włościan, wypłacił resztę długu krajowi i Bogu. W tém schronieniu daleki od intryg i stronnictw, nie będąc uczestnikiem szafowanych wówczas tak hojnie łask dworu, doszedł spokojnie do sędziwego wieku. W dniu, kiedy siedmdziesiąt lat skończył, widząc z boleścią gasnące coraz bardziéj w kraju staropolskie cnoty, szerzącą się podłość i chciwość, kiedy nie mógł wszystkich spółziomków, chciał przynajmniéj plemię swoje od téj zarazy uchronić. Użył ku temu prostego, lecz oraz skutecznego sposobu. Z pobliskiego lasu wziął młodą lipę, własną ręką w tém miejscu dół wykopał i zawołał jedynego syna. Przybiegła wraz z nim hoża synowa, trzechletnie dziecię trzymając na ręku. Tém dziecięciem ja byłem, i pomimo przeciągu tylu lat, zdaje mi się jeszcze, że widzę dziada mojego, jak w dole wykopanym trzyma młodą lipę, a z niepojętym wyrazem uczucia patrząc na syna i wnuka, tak przema-

wia: „„Synu mój! dzień śmierci mojéj już bliski. Jak ja dziś to drzewko, tak ty wkrótce zwłoki moje garścią ziemi przykryjesz; daleką więc odemnie wszelka chełpliwość i duma. Ale Bóg w dobroci swojéj chcąc cnocie przedwczesnéj użyczyć nagrody, pozwolił nieskażonemu sumieniu bez samochwalstwa i pychy radować się nad samym sobą. Tego słodkiego uczucia ja dziś doznałem; długie pasmo dni moich pamięcią ścigając; to uczucie tobie, synu, wnukom i prawnukom moim w nieprzerwaném dziedzictwie przekazać pragnę. Nie było zapewne życie moje wolne od błędów; gdybym drugi raz życie rozpoczynał, byłbym lepszym bez wątpienia, alem nigdy ani się zaparł, ani zbluźnił Bogu, nie odstąpiłem od wiary i przepisów Jego, nie skrzywdziłem nikogo, nie złamałem danego słowa, nie zdradziłem zaufania, nie opuściłem przyjaciela w nieszczęściu, dobro publiczne zawszem przekładał nad własne; nie zmieniłem się za odmiennym wiatru powiewem, nie uwiódł mnie nigdy blask wielkości i złota, i dusza moja żadną nie splamiła się podłością. Czekam też bez trwogi nadchodzącéj śmierci, a na znikające życie oglądam się z rozkoszą. Na pamiątkę zaś tego słodkiego uczucia sadzę w tém miejscu to drzewo i takie wyrzekam słowa: Gdy ty, synu mój! a po tobie ten syn twój, i synowie najstarsi wnuków i prawnukow twoich, dojdą do wieku mego, obejrzą się na dni upłynione, i sumienie ich będzie pełne takowéj jak moja radości; wtedy niech wprost lipy mojéj swoję posadzą. O Ty Wielki Boże! (zawołał, zginając kolano) pozwól, niech szereg cały takich lip powstanie, i niech w nim żadnéj przerwy nie będzie!“ “

Uczyniły wrażenie te słowa na umyśle trzydziestoletniego już syna, utkwiły w pamięci trzechletniego wnuka. W czterdzieści lat potém ojciec mój idąc ciągle śladem szanownego rodzica, równie jak on cnotliwy i stały, tę drugą lipę zasadził, a ja dziś z jednakiém sumienia świadectwem, w tém tylko od dziada i ojca szczęśliwszy, że nie jeden syn, ale liczna otacza mnie rodzina, tę trzecią lipę sadzę.

To powiedziawszy starzec, zgiął kolano i modlitwę dziada ze skruszoném sercem powtórzył.

(Tańska.)

24. Ezop.

Ezop z Frygii urodził się niewolnikiem, a co gorsza nadzwyczajnie od natury upośledzony, był najbrzydszym z ludzi: miał głowę spiczastą, nos płaski, szyję krótką i grubą, usta wielkie, cerę czarną i wynędzniałą. Z przodu brzuch duży, z tyłu garb ogromny. Mimo tak potwornéj postaci ciała miał Ezop dowcip bystry, pojęcie

szybkie i przenikliwe, przytomność umysłu wielką i w najtrudniejszych okolicznościach poradzić sobie umiał.

Pierwszy pan Ezopa chcąc się pozbyć takiego brzydala, przedał go za trzy szelągi pewnemu kupcowi, który, zapłaciwszy tę fraszkę, rzekł: „nic nie wydałem, nic też nie kupiłem.“ W kilka dni potém nowy pan Ezopa kazał swym niewolnikom gotować się w daleką podróż. Ułożyli więc paki i podzielili się ciężarami, które dźwigać mieli. Ezop prosił, aby mu jako nowo przybyłemu i prócz tego mniéj zdatnemu do dźwigania najlżejszy dali ciężar. Odpowiedzieli uprzejmie: „całkiem cię od téj usługi uwalniamy.“ On na to: „nie byłoby to słusznie, gdybym się od pracy wyłączał.“ Pozwolili mu przeto wybrać sobie pakę podług upodobania. Obejrzawszy wszystkie Ezop, wziął kosz z chlebem, który dwóch niewolników nieść miało. Wszyscy zaczęli się śmiać z niego, mówiąc: „co to za głupiec! prosił o najlżejszą pakę, a wybrał najcięższą.“ Włożyli mu więc na plecy kosz ogromny i naśmiali się z jego głupoty. Gdy Ezop uginał się pod niezmiernym ciężarem, kupiec pochwalił jego gorliwość i pracowitość. Skoro przyszli na popas, Ezop odebrał rozkaz podzielić chleb między swych towarzyszów. Co gdy uczynił, kosz jego do połowy się wypróżnił. Na wieczór znowu rozdano chleb między niewolników, a Ezop mając nazajutrz kosz prawie próżny, mógł daleko szybszym pospieszać krokiem, niż jego towarzysze, którzy, stękając pod ciężarem swych tłomoków, dopiero teraz poznali przemysł Ezopa we wyborze ładunku.

Kupiec, przybywszy na miejsce przeznaczone, przedał korzystnie towary i swych niewolników prócz trzech: Gramatyka, Muzyka i Ezopa. Z tymi za radą swego przyjaciela popłynął do wyspy Samos i ubranych przystojnie wystawił na sprzedaż, umieściwszy w środku Ezopa, okrytego worem, ponieważ dla jego potworności inaczéj go ubrać nie mógł. Wszyscy przechodzący szydzili z Ezopa; lecz on, nie tracąc bynajmniéj fantazyi, śmiało każdemu w oczy patrzał. Filozof Xantus, mieszkający w Samos, przyszedł także na targ, a widząc tak pocieszną trójkę, dziwił się przemysłowi kupca, który tym sposobem chciał podnieść cenę dwóch innych niewolników. Xantus zbliżywszy się, pytał Muzyka, skąd był rodem? „Z Kapadocyi“ — odpowiedział tamten. — „Co umiesz? — pytał znowu Xantus. — „Wszystko“ — rzekł Muzyk. — Ta odpowiedź rozśmieszyła Ezopa. Obrócił się potém Xantus do drugiego niewolnika, czyniąc mu te same zapytania; a gdy i ten odpowiedział, że umie wszystko, Ezop znowu się rozśmiał. Ponieważ cena obydwóch niewolników zbyt była wysoka, filozof chciał się oddalić, ale uczniowie namawiali go, aby sobie kupił trzeciego niewolnika. Na co on rzeknie: „moja żona zbyt lubi wytworność, aby mogła znieść

usługę takiéj maszkary.“ — „To nie racya,“ — odrzekli, — „tyle ci zrobi, co inny, a do tego nie należy zbytecznie ulegać żonie.“ — „Nim go kupimy“ — rzekł filozof — „zobaczmy, co też umie, abyśmy darmo nie wyrzucali pieniędzy.“ Przystąpiwszy więc do Ezopa, powtórzył powyższe pytanie: co umiesz? — „Nic.“ — „Jakto?“ — „Tamci“ — rzekł Ezop, wskazując na swych towarzyszów, „powiedzieli, że wszystko umieją; mnie więc nic nie zostawili.“ — Zdziwieni uczniowie: „zaiste!“ rzekli, „człowiek ten okazuje wiele dowcipu; niema bowiem nikogo, coby umiał wszystko.“ — „Chceszli abym cię kupił?“ pytał się daléj Xantus. „W téj mierze rada moja nie potrzebna; jeżeli mnie chcesz kupić, otwórz worek, a stanie się; nie chcesz, przestań sobie żartować.“ — Ale też, jeżeli cię kupię“ — dodał Xantus — „to może zechcesz uciec?“ Ezop śmiejąc się, rzekł: „gdybym to chciał uczynić, nie potrzebowałbym twojéj rady, tak jak ty teraz mojéj do kupienia nie potrzebujesz.“ — „To prawda“ — odpowiedział filozof — „ale jesteś tak brzydki!“ — „Mędrzec powinien na duszę uważać, nie na ciało.“ Kupiony za sześćdziesiąt śrebrników, przyprowadzony został do domu Xantusa pomimo oporu żony, która takiego potworu u siebie cierpieć nie chciała.

25. Matka-ziemia.

Nazajutrz wziął Xantus z sobą Ezopa do ogrodu dla kupienia jarzyn. Gdy Ezop włożył wiązkę pietruszki do koszyka, ogrodnik zamiast zapłaty prosił filozofa o rozwiązanie następującego pytania. „Chciałbym wiedzieć,“ rzekł, „dla czego zioła i jarzyny, które chowuję, nie są tak bujne i rychłe, jak te, które samo przyrodzenie wydaje?“ Xantus dał mu ogólną odpowiedź: że taka znać wola bogów. Ezop uśmiechnął się na taką odpowiedź swego pana. „Czy się ze mnie śmiejesz?“ zapytał go Xantus. „Nie z ciebie, panie!“ odpowiedział, „ale z tego, co się uczył. Pozwól mi, proszę, odpowiedzieć ogrodnikowi, a może będzie kontent.“ Xantus, obracając się do ogrodnika, rzekł: „nie moją jest rzeczą wchodzić w takie drobnostki; ale ten oto człowiek za mnie ci odpowie.“ Na to Ezop: „wszakże wiesz, że macocha wcale inaczéj obchodzi się z pasierbami, niż z własnémi dziećmi, które z większą daleko troskliwością pielęgnuje. Owoż ziemia jest matką tego, co sama wydaje, a tylko niejako macochą tego, co w niéj zaszczepiasz.“ — „Bardzo ci jestem wdzięczny za tę odpowiedź,“ rzecze ogrodnik: „proszę, weź tyle jarzyny, ile ci się podoba.“

26. Język.

Xantus chciał dać razu jednego ucztę dla swych uczniów. „Idź!“ rzekł do Ezopa, „kup, co tylko może być najlepszego.“ Ezop pomyślał sobie po drodze: „nauczę ja mego pana wyraźniejsze dawać rozkazy.“ Kupił więc kilka ozorów, zgotował je dla gości i postawił przed każdym na talerzu ozór pieczony z sosem. Uczniowie byli kontenci z tego pierwszego dania, które zdawało się być alluzyą do języka, jako najgłówniejszego narzędzia do wyrażania naszych myśli. Na drugie danie zastawił Ezop ozory gotowane. Żądano innych potraw; on znowu dawał ozory. „Jakto?“ zawołał nareszcie znudzony Xantus, widząc nieukontentowanie swych gości, „niczże to nie masz prócz ozorów?“ — „Nie!“ odpowiedział spokojnie Ezop. „Jakże, niegodziwcze! nie dałżem ci rozkazu, abyś najlepszych rzeczy nakupił?“ – „Bardzo ci, panie, dziękuję, że mi dajesz sposobność usprawiedliwienia się w przytomności tylu filozofów. Możeż być na świecie co lepszego nad język? Za pomocą języka uczymy się filozofii i wszystkich nauk; za jego pomocą dajemy i odbieramy, prosimy, dziękujemy, bronimy niewinności, karcimy zbrodnie. On kojarzy małżeństwa, buduje miasta, czuwa nad bezpieczeństwem człowieka i zachowuje mu życie. Możeż więc być co lepszego od języka?“ Wszyscy uczniowie uznali słuszność mowy Ezopa, przypisali winę panu jego, nie bardzo kontenci z tak filozoficznego obiadu. Xantus wymawiał się złośliwością sługi i przyrzekł nazajutrz lepiéj ich uraczyć. Zawoławszy w ich obecności Ezopa, rzekł do niego: „jutro nagotujesz drugi obiad; ale kiedyś taki przewrotny, że najlepsze moje zamiary przekręcasz, kupże nam na ten obiad, co tylko znajdujesz najgorszego!“ Ezop nakupił znowu ozorów i dał na stół. Goście na pierwsze danie szemrać poczęli. „Jakto?“ mówili do siebie, „zawszeż te przebrzydłe ozory!“ Rozgniewany Xantus wpadł na Ezopa z wielką furyą. „Cóż ty robisz, szkaradna poczwaro? Kiedy ci kazałem kupić co najlepszego, kupiłeś ozorów, skorom ci znowu kazał kupić co najgorszego, ty nas znowu ozorami częstujesz?“ — „Mój panie!“ odpowie Ezop, „a cóż może być gorszego nad język? Co zburzyło tyle miast, zgładziło tylu ludzi, popełniło tyle kłamstw, złorzeczeń i niegodziwości? Język rozprzęga małżeństwa, niszczy kraje, napełnia życie goryczą i trwogą i do rozpaczy przywodzi.“

C. Anegdoty.

27. Pierwszy czeladnik.

Grzegorz Piramowicz, sławny pedagod, pisywał w młodości z wielką łatwością ładne wierszyki. A ponieważ był dobry i uczynny, naprzykrzano mu się często o poezye na imieniny lub urodziny. — Raz przyszedł do niego młodzieniec i prosił o wierszyk. „A na kiedy?“ spytał Piramowicz. — „Na jutro.“ — „O! mój paniczu, tak nagłego obstalunku podjąć się nie mogę.“ — „Dla czego?“ — „Bo mój pierwszy czeladnik mi zachorował.“ — „A kto taki?“ — „Koncept.“ —

(Tańska).

28. Dobra odpowiedź.

Franciszek Sobiech, gospodarz z pod Rzeszowa, oddał do szkół syna swego, Wojciecha, który tak mądrym wnet został, że się Sobieskim zwać począł, powiadając, że go tylko na wsi Sobiechem przezwali, a właściwie nazywa się Sobieskim. — Razu tedy jednego sąsiad Sobiecha był w Rzeszowie na targu i trafia Wojciecha. „A jak się masz, Wosiu?“ rzecze do niego. Ale mój Wojciech jakoś nie słucha. „Hej, Wosiu Sobiech!“ krzyknie sąsiad. A mój Sobieski obróciwszy się, rzecze: „Czyli tam u was zawsze jeszcze tak wiele głupców?“ „Ubyło ich,“ odpowie sąsiad, „od kiedyś ty wyjechał.“

(Dzwonek.)

29. Przedaje skórę, a niedźwiedź w lesie.

Kuśnierz pewien potrzebował niedźwiedziéj skóry. „Nie turbuj się,“ — mówili mu dwaj sąsiedzi — „wybieramy się dziś na polowanie i ubijemy ci najpiękniejszego niedźwiedzia.“ Umówiwszy się więc o cenę skóry, poszli do lasu. Zanim się spostrzegli, potężny niedźwiedź, ruszywszy ze swego łożyska, kroczy prosto ku nim. Nasze junaki zapomniawszy targu, zamiast się rzucić na zdobycz, w spiesznéj ucieczce bezpieczeństwa szukać umyślili. Jeden wlazł czemprędzéj na drzewo, drugi przypomniawszy sobie, że niedźwiedź nie tyka trupów, nie mogąc umknąć, położył się na ziemi, zatrzymał oddech, udając umarłego. Niedźwiedź obejrzał go, obwąchał i poszedł. Wtenczas ten, co był na drzewie, zapytał go się, co mu tak niedźwiedź do ucha szeptał. „Oto,“ odrzekł ten, „że nie trzeba przedawać skóry, póki niedźwiedź w lesie.“

(Popliński.)

30. Mędrzec.

Uczony jeden siedział w swoim pokoiczku wśród pism i książek, zatrudniony zgłębianiem natury. W tém weszła mała dziewczynka z sąsiedztwa, prosząc go, aby jéj pozwolił wziąść nieco ognia z pieca. Chętnie pozwolił na to, ale spostrzegłszy, że dziewczyna nie przyniosła żadnego naczynia, w któreby mogła wziąść kilka węgli, rzecze: „A w cóż weźmiesz ogień? Wszakże nie przyniosłaś nic z sobą? Poczekaj! ja ci pożyczę jakiego naczynia.“ Gdy mędrzec zaczął szukać po pokoju, zbliżyła się dziewczyna do pieca, posypała dłoń zimnym popiołem, a potém położyła na nim kilka żarzących węgli. Zobaczywszy to uczony, tak dalece się zdziwił, że rzucił swoje księgi na ziemię, mówiąc: „Z całą nauką moją nie byłbym tak prostego a naturalnego sposobu wynalazł.“

(Dzwonek.)

31. Jeszcze mędrzec.

Pewien mędrzec zapytany: któreby zwierzę najszkodliwiéj kąsało? odpowiedział: „Z dzikich zwierząt oszczerca, z domowych podchlebca.“

Tenże sam zapytany: czyby jakiéj wady do siebie nie znał? odpowiedział: „O tém lepiéj się dowiesz od mego sąsiada; gdyż każdy cudze wady bardziéj niż swoje uważa.“

(Szkółka niedzielna.)

32. Hiszpan.

Duma hiszpańska pocieszne się wydaje w biednych charłakach. Jeden Hiszpan tak zacny w swém rozumieniu jak król, a tak biedny w rzeczy saméj jak Job, przywlókł się w nocy do wioski francuskiéj, gdzie tylko jeden dom był gościnny. Że to już dobrze było po północy, stukać musiał długo do drzwi, nim gospodarza obudził. „Kto tam?“ zawołał tenże oknem. Podróżny Hiszpan odpowiada: „Don Juan Rodrigo Fernando Calatrawa di Compostella.“ „Oho! moi panowie! przepraszam, nie masz tu miejsca dla panów. Kiedy was tylu, musicie daléj pojechać.“ Przy tych słowach zamknął gospodarz okno i poszedł spać, a Hiszpan ze swoimi tytułami musiał pod gołém niebem nocować.

(Popliński).

33. Filip z Konopi.

Pan Filip z Konopi, wsi w Sandomirskiem, bijąc Turki, Tatary, Wołoszę przez lat czterdzieści i to podczas panowania trzech

królów: Kazimierza, Olbrachta i Alexandra, osiadł nareszcie w swoim majątku. — Razu jednego pojechał na sejmik, czyli zgromadzenie obywateli województwa w celu wzajemnéj narady nad potrzebami kraju; ale chowany w obozach, wprawny bardziéj do ścinania się z pohańcami niż do rozpraw sejmowych, inaczéj lepszy do szabli niż do rady, nie zważał bynajmniéj na przedmiot, o którym wszczęła się rozmowa, i zaczął wcale o czém innem rozprawiać. Śmiech powstał powszechny. — „Któż tam taki wyrwał się?“ rzekł jeden z obywateli. „Tó pan Filip z Konopi!“ krzyknęli usłużni sąsiedzi. I odtąd weszło w zwyczaj, kiedy się kto z czém niedorzecznem odezwie, mawiać: „Wyrwał się jak Filip z Konopi.“

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

34. Spadkobiercy.

Kalimachowi, uczonemu Włochowi, który był nauczycielem Olbrachta, trafiło się, że prawie na śmierć tak zachorował, iż go lekarze odstąpili; albowiem w ciężkim smutku leżąc, ciągle powtarzał, że już umiera. Słudzy słysząc to i widząc, że ich pan lada moment ducha odda, zwłaszcza że i lekarze o nim wątpili, rozrywali w jego oczach to różne kosztowności, to szaty, to sprzęty; każdy brał, co mógł pochwycić. Była tam w komnacie i małpa, którą Kalimach dla krotochwili chował. Ta widząc, że z owéj komnaty już prawie wszystko wyniesiono, doskoczy do pana i ciągnie mu poduszkę z pod głowy; lecz piesek, co u chorego w łóżku leżał, począł na małpę szczekać i poduszkę jéj wydzierać, któréj małpa dać nie chciała. Pocieszna ta walka serdecznie rozśmieszyła Kalimacha. „Miły Boże! jeszcze żyw, a już o spuściznę się wadzą.“ Od téj chwili polepszyło się Kalimachowi, i zupełnie przyszedł do zdrowia. Nasi przodkowie mądrze na to mówią: „Zawsze do zdrowia dobrego trzeba serca wesołego.“

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

35. Strach ma duże oczy.

Pewien pobożny Muzułmanin, jadąc spokojnie na ośle do miasta, spostrzegł nagle z przestrachem, że ktoś poza nim wskoczył na grzbiet zwierzęciu. Spojrzawszy za siebie, ujrzał wstrętną postać, trzymającą go silnie za barki, „Kto jesteś?“ zapytał. — „Cholera.“ — „Biada mi! Czegoż chcesz odemnie?“ — „Abyś mnie zawiózł do miasta.“ — „Nie uczynię tego; zabiłabyś przecież całą ludność.“ — „Tak źle nie będzie. Pozwolę się z sobą targować.“ — Turczyn, zdobywszy się na odwagę, rozpoczął istotnie targ. Przedewszystkiém

wymówił sobie, że cholera oszczędzać będzie jego samego, jego familią, krewnych i znajomych, i że prócz tego wybierze tylko ośmdziesiąt osób. Potwierdziwszy układ ściśnieniem ręki, wjechano do miasta. Tu wszczęła się niebawem wielka śmiertelność; w pierwszym dniu było ośmdziesiąt ofiar, w następnych dniach jeszcze więcéj. Trwało tak przez czas długi, aż w końcu ustąpiła choroba.

Spotkawszy znów cholerę Turczyn, zawołał gniewnie: „Oszukałaś mnie w niegodny sposób; czyż się godzi łamać tak słowo?“ Ale cholera zapłonąwszy wielkim gniewem, zawołała: „Przysięgam na Allaha, nam wspólnego Boga, że dotrzymałam przyrzeczenia. Nie przyprawiłam o śmierć więcéj niż ośmdziesiąt ludzi; reszta z trwogi zginęła.“

36. Czarniecki.

Stefan Czarniecki napadł na hajdamaków w Monasterzyskach; a gdy pierwszy na szańce wdzierał się, kula nieprzyjacielska twarz mu przeszyła i szczękę wyrwała. Tak ciężki postrzał zalał mu krwią usta i zatamował oddech. Gdy go więc z konia zdjęto, i gdy zsiadłą krew odplunął, najpierwszém jego pytaniem było: czyli miasto zostało zdobyte.

Temuż kiedy wyrzucano, iż z prostego szlachcica hetmanem został, rzekł: „Ani z soli, ani z roli, ale z tego, co mię boli, urosłem; ladajaka to niwa, w któréj kąkol bywa.“

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

37. Odpowiedź Jana III.

Sobieski, będąc pod Wiedniem w celu spotkania się z Turkami, taką wiadomość wraz z kwartą maku od wezyra, naczelnego wodza Muzułmanów, do obozu otrzymał: „Wasza Królewska Mość Janie III! racz przyjąć i policzyć tę kwartę maku; a jak ją zrachujesz, dowiesz się o liczbie mojego wojska.“ Sobieski, nie w ciemię bity, na taką się odpowiedź zdobył, z którą spiesznie posłańca do wezyra wyprawił: „Wezyrze! liczyć kwartę twojego maku jest rzecz nazbyt mozolna, ale do wykonania bardzo podobna; ale z resztą na cóżby się przydało liczyć twój mak, wezyrze? Posyłam ja ci kwartę pieprzu, który masz nie liczyć, ale zjeść (bo jeść jest rzecz bardzo prosta), — a jeźli zjesz, poznasz dzielność mojego wojska.“

Spróbował się potém Sobieski z Turkami i dał całemu światu poznać, że nie ilość wojska, ale zgoda, wytrwałość, odwaga, posłuszeństwo wodzowi i zupełne poświęcenie się, to, ale nie co innego, zwycięża.

(Szkółka niedzielna).

38. Fryderyk Wielki i Krasicki.

Ludzie nieoświeceni szukają rozrywek w kartach, przy szklance, albo w plotkach, przez co tracą honor, zdrowie i majątek; mężowie zaś światli znajdują spoczynek i zabawę w naukach lub kunsztach.

Fryderyk Wielki, król pruski, przestawszy sam lub z ministrami pracować nad dobrem swego narodu, lubił wesoło zabawiać się z mężami uczonymi, rozumując o naukach, kunsztach, albo krytykując wspólnie ich, lub własne dzieła prozą albo wierszem napisane. Kiedy sławny Wolter, wielki filozof swojego czasu, odjechał do swéj ojczyzny — Francyi, zaprosił Fryderyk Krasickiego, na ówczas biskupa warmińskiego do Poczdamu, i dając mu w pałacu Sans-sousi te same pokoje, gdzie wprzód Wolter mieszkał, rzekł: „Tu powinienbyś pan co dowcipnego napisać, bo tu i duch Woltera kilka dzieł wybornych utworzył.“ Jakoż Krasicki napisał arcydowcipną „Wojnę Mnichów“ i czytając ją królowi, wielce go rozweselał.

Razu jednego kiedy Krasicki w świetnym płaszczu biskupim przyszedł do króla na wielką ucztę, Fryderyk chciał go w obecności wielu gości wprawić w zakłopotanie i rzekł: „Biskupie! jeżeli umrzemy razem, przyjm mnie pod twój płaszcz i wprowadź do nieba, bo ja tam jestem kontrabandą.“ — „Daruj, najjaśniejszy panie! nie mogę; bo mi bardzo mój płaszcz kazałeś okroić.“.... Rozśmiał się król z tak trafnéj odpowiedzi i wyznaczył znowu tyle rocznych dochodów Krasickiemu, ile miał przed tém, które był niedawno zmniejszył.

39. Wytrwałość.

Przed wielu set laty panował w Azyi potężny książę Mongołów, Tamerlan. Wielkość swoję i stanowisko zawdzięczał głównie prawdziwéj wytrwałości w każdém przedsięwzięciu, któréj, jak sam powiadał, od mrówki się nauczył. Kiedy bowiem razu pewnego we wojnie z Persami zmuszony był na dłuższy czas ukryć się w ruiny starego zamku, gdzie nad przykrą swą dolą się zastanawiając dostrzegł mrówkę, która się starała ziarnko pszenicy, większe od niéj saméj, zanieść na kopisko mrówczane. Tamerlana zajęła ta praca zwierzątka, podziwiał ją długo i przekonał się, że to co mu się niemożebném wydawało, w końcu udało się mrówce. Mrówka bowiem choć dziewięćdziesiąt i sześć razy wniosła ziarno na kopiec i znów tyle razy na dół z niém opadła, nie ustawała w pracy, dopóty go dziewięćdziesiąty siódmy raz nie złożyła do wspólnéj spiżarni.

Odtąd też Tamerlan nie dał się żadnemi przeciwnościami ustraszyć, ale co przedsięwziął, dobrze rozważył, a rozważywszy, nie ustawał, dopóki swego celu nie osiągnął.

40. Jan Kochanowski.

Gdy się Jan Zamojski, hetman i kanclerz państwa, dowiedział, że ów wielki rymotwórca, Jan Kochanowski, od dworu Zygmunta Augusta, ostatniego potomka Jagiellonów, się oddalił i w dziedzicznéj wiosce Czarnolesiu osiadł, nie mógł znieść, aby taki mąż rzadkie przymioty swoje w odległym kątku zakopywał. Dla tego wyrobił mu kasztelanią połaniecką u króla i posłał poecie na nią przywiléj. Kochanowski podziękował za tę łaskę, kasztelaństwa jednak nie przyjął, mówiąc: „Przestaję na miernych dochodach, a dumnego kasztelana w mój dom wpuścić nie chcę, któryby przez swoje marnotrawstwo wszystko wnet strwonił, czego się Kochanowski dorobił.“

41. Jaje Kolumba.

Kardynał Mendoza wyprawił Kolumbowi, któremu zawdzięczamy odkrycie Ameryki, sutą ucztę. Zaproszeni na nią dumni dworzanie królewscy, niechętném patrzeli się okiem na te objawy czci dla cudzoziemca, a jeden z nich wyraźnie oświadczył, że zasługa Kolumba nie zdaje mu się zbyt wielką, bo drogę do Ameryki byłby niezawodnie i każdy Hiszpan znalazł. „Nie przeczę temu“ — odrzekł skromnie Kolumb, „że moje odkrycie zawdzięczam szczególnie zrządzeniu Opatrzności, pomimo to wierzcie mi panowie, że wiele rzeczy dopiero wtedy wydają nam się łatwemi, kiedyśmy się od innych o łatwości ich wykonania przekonali. I tak proszę n. p. panów, abyście mi to jajko, które w ręku trzymam, jednym końcem na stole postawili.“

Hiszpanie pochwycili szybko jaje, i jeden po drugim usiłowali wezwaniu Kolumba zadość uczynić; lecz daremnie. Dopiero Kolumb odebrawszy jaje, uderzył niém o stół tak, że wypukły jego koniec się spłaszczył; poczém je na stole postawił.

Zawstydzeni Hiszpanie przyznali, iż ten łatwy sposób ustawienia jaja wcale im na myśl nie przyszedł. — Odtąd „jaje Kolumba“ weszło w przysłowie.

42. Lykurg i dwa psy.

Lykurg, jeden z najsławniejszych ludzi dawnych czasów, który był mądre prawo ludowi swemu przepisał, chciał, aby od dzieciństwa ludzie wprawiali się do pracy, do znoszenia ostrości zimna i gorąca, aby przyzwyczajali się do trudów i niebezpieczeństw, znosili głód i niespanie. Chcąc zaś pokazać, jak wychowanie takie jest pożyteczne na całe życie, wziął dwa młode pieski: jednego utrzymywał ostro i sposobił do polowania, drugiego pieścił zawsze, dając mu wszelką wygodę w domu.

Kiedy podrosły oba, kazał je wyprowadzić na miejsce publiczne, aby pokazać ludowi różnicę pomiędzy nimi. Postawiono z jednéj strony przysmaczki na talerzu, z drugiéj strony wypuszczono zająca. Pies we wygodach wychowany, pobiegł zaraz do talerza, drugi przeciwnie pogonił natychmiast za zającem, którego téż pochwycił. Lud zgromadzony zaczął wychwalać drugiego, a pierwszym pogardził jako nieużytecznem zwierzęciem.

Wtedy Lykurg dopiero opowiedział ludowi, że różnica między tymi psami dwoma z różnego obu wychowania pochodzi.

43. Brakujący guzik.

Sławny filozof królewiecki, Kant, miał rozmaite dziwne przyzwyczajenia, które zachowywał aż do końca życia. Tak n. p. czy pogoda, czy słota, odbywał zawsze przechadzkę swoję tą ulicą, którą teraz na cześć jego nazywają „Promenadą filozofa;“ a gdy z rana szedł na wykłady do akademii, był widok jego dla mieszczan królewieckich hasłem do nakręcania zegarów. O nim téż opowiadają między innemi, co następuje:

Przez kilka kursów uczęszczał na wykłady jego jakiś Litwin, którego jasną kapotę zdobiły trzy czarne guziki rogowe. Uczeń ten siedział zawsze w pierwszéj ławce, i gdy filozof rozpoczynał wykład spoczywał wzrok jego zawsze na średnim guziku. Jemu to dowodził Kant ze świętym zapałem, co było do udowodnienia, i rzadko kiedy odwracało się oko jego od owego guzika. Poczciwego Litwina zaczęło niepokoić to uporczywe wpatrywanie się profesora w jego guzik, a ponieważ nie mógł odgadnąć właściwéj przyczyny tego, wpadł na błędny domysł, że guzik ten gniewa profesora, i odpruł go. Nazajutrz przychodzi Kant do kolegium, rozpoczyna wykład, i po miłym zwyczaju pada wzrok jego na — próżne miejsce, na którém niegdyś świecił ów pamiętny guzik. Na ten widok oniemiał nagle filozof, zaczął gwałtownie szarpać swoje mankiety, skrobał się

w głowę, spoglądał zmieszany dokoła, próbował mówić daléj, zacinał się i zaledwie z największym mozołem zdołał dokończyć wykładu. Kiedy już słuchacze wychodzili z sali, wezwał Kant skinieniem Litwina do siebie i wyznał mu, że brak guzika zakłóca jego rozumowanie logiczne. Student uważając to za żart, rozśmiał się; ale filozof rozdrażniony, zawołał gniewnie: „A cóżbyś pan powiedział na to, gdybyś szedł ulicą, a naraz zostało słońce usunięte z firmamentu? Stanąłbyś pewnie zdziwiony i z otwartą gębą!“ To przekonało Litwina, i nazajutrz był guzik znowu na swojém miejscu.

II.

Przypowieści. Baśnie, klechdy i podania ludowe. Legendy.

A. Przypowieści.

44. Kręte ścieżki.

„Dla czego, ojcze, wszystkie prawie ścieżki tu wydeptane są kręte?“ mówił syn do ojca, chodząc z nim po górach i polach: „Mnie się zdaje, że prosta droga najkrótsza.“ „Mój synu!“ odpowiedział ojciec: „jedni tak wydeptali te ścieżki dla wygody, przez lenistwo, chcąc kamień, rów, wzgórek ominąć; drudzy tak uczynili przez nieuwagę. Nie patrząc na cel, do którego dążyć byli powinni, szli to w lewo, to w prawo; i tych zapewne najwięcéj się trafiło. Ich torem poszła reszta. — Tak i ludzie we wędrówce swojéj do szczęścia czynić zwykli. Jedni przeszkód i trudów na prostéj drodze będących niechcą pracą i stałością przezwyciężyć, wolą je przebiegami, dowcipem ominąć i krętemi idą ścieżkami. Drudzy nierozmyślni udają się, gdzie ich oczy prowadzą, i tak z prostéj zbaczają drogi. Synu mój! nie idź wydeptanym od nich śladem; strzeż się manowców, trzymaj się drogi prostéj, a najprędzéj dojdziesz do celu.“

(Tańska).

45. Praca odkładana.

Przy jednym wiejskim ogrodzie był spory kawał ziemi, zupełnie zaniedbany; pośród mnóstwa kamieni wyrastały gdzie niegdzie kępy ostu i innego zielska. „Ojcze! my ten kawał ziemi oczyścimy!“

powiedzieli dnia jednego trzéj synowie; „daj go nam na rok jeden!“ — „Chętnie,“ odpowiedział, i kawał ziemi na trzy równe części podzielił. — Było to na końcu marca; już do gruntu puściło. Dni bywały piękne i najzdatniejsze do podobnéj roboty. Trzéj bracia wzięli się do pracy, i dwaj starsi w przeciągu tygodnia oczyścili dział swój zupełnie. Najmłodszy więcéj się bawił, niż robił. Tamtych skończona była praca, kiedy on swoję zaledwie zaczął. Gdy mu ojciec tę opieszałość wymawiał, odpowiedział: „O! to dopiéro początek wiosny, dosyć jeszcze czasu będzie.‘ Tymczasem dzień za dniem schodził, a Franuś odkładał nadal pracę. — Nadeszło lato, z latem upały. Ile razy wziął się do roboty, pot lał mu się z czoła, i przestawać musiał. „Nadejdzie chłodna jesień,“ mówił sam do siebie, „to będzie pora najlepsza!“ Nadeszła jesień; ale jednego dnia wiatr zasypywał Franusiowi oczy, drugiego deszcz go kropił. „Przyjdzie zima“ — mówił, „bywają dni piękne i jasne; ja to w mgnieniu oka zrobię.“ Przyszła zima. Franuś wziął się do kamieni i do zeschłych łodyg; lecz cóż? przymarzły zupełnie; nic robić nie mógł.

Jak niebaczny Franuś błądził, tak błądzi każdy, który pracę na dalszy czas odkłada a w obecnéj chwili próżnuje. Co masz do czynienia, dopełnij jak najprędzéj: teraźniejsza godzina sprzyja twéj pracy, a któż ci za dalsze zaręczyć może? Jeżeli zawsze pomyślniejszéj pory czekać będziesz, może cię śmierć zimna zaskoczy, nim dzieło rozpoczniesz.

(Tańska).

46. Wąż.

Nic nie bywa tak trudnego, jak mówić dobrze o bliźnim; nic łatwiejszego, jak źle mówić. Jeżeli ktoś w towarzystwie jakiém zaczyna przyganiać bliźniemu i obgadywać go, wszyscy skwapliwie słuchają, i rozmowa ożywia się; lecz jeżeli ktoś wyrwie się z pochwałą, zaraz słuchacze nudzą się, ziewają, i rozmowa ustaje. Dla tego każda prawie rozmowa cokolwiek żywsza musi się toczyć z krzywdą bliźniego, czyli po prostu jest obmową lub potwarzą. Pochwały, dawane bliźniemu, z trudnością przedzierają się przez warstwę potwarzy, gdy tymczasem złośliwy dowcip szerzy się z niepojętą łatwością.

Mędrzec pewien znający język zwierząt, spotkawszy zjadliwego węża, który właśnie ukąsił był i zabił dziecko, zagadł go w te słowa: „Co ci z tego przyszło, żeś to niewinne dzieciątko życia pozbawił? Lew zabija i karmi się łupem, wilk żarłoczny toż samo, ptaki drapieżne rozdzierają gołąbka, aby głód zaspokoić; ty jeden

tylko kąsasz i jadem zabijasz niewinne istoty bez żadnego powodu, li dla przyjemności szkodzenia.“ „Dla czego mnie pytasz o to?“ odrzekł wąż; „idź lepiéj, spytaj potwarcy, jakiéj doznaje przyjemności, gdy jad swój wypuszcza i na śmierć rani tych, co mu nie zrobili nic złego?“

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

47. Drzewo w jesieni.

W jednym z dni porannych późnéj jesieni młody Aleksy siedział w ogrodzie i dumał. Drzewa już zupełnie z owoców ogołocone, wiatr do reszty liści pozbawiał, które, spadając jeden po drugim, smutny sprawiały szelest. „Wszystko więc w przyrodzeniu ma swój koniec!“ zawołał, „wszystko ginąć musi. Te drzewa kwitły niedawno, gałęzie ich, świeżem liściem okryte, gięły się pod ciężarem owoców... a teraz.... Ach! to i memu sędziwemu ojcu przyjdzie niedługo . . . . . .“ Mocne wzruszenie nie dozwoliło mu dalszych słów wymówić. Schylił głowę, oczy jego napełniły się łzami; zasłonił twarz rękoma. Lecz w tém opadły mu ręce; stanął przed nim ukochany ojciec. Przechadzając się niedaleko, usłyszał skargi młodzieńca i tak rzekł do niego: „Synu! czegoż się smucisz? czemu płyną łzy twoje? Wiecznież to ma być zima? czyż wiosny nie będzie?.... Tak dopełniły te drzewa rocznéj powinności swojéj: wydały kolejno liść, kwiat i owoce; teraz odpoczywają, lecz wkrótce nową przywdzieją odzież. Podobnie z twoim ojcem się stanie; pracowitego dokonawszy życia, legnie w grobie, ale wnet powstanie i na wieki żyć będzie.“

Podniósł głowę Aleksy, i nadzieja złagodziła smutek jego.

(Tańska).

48. Sadzenie róż.

„Dla czego tutaj tak często ludzie dobrzy w cichości i zapomnieniu żyją?“ rzekła mała Joasia do swego podeszłego w latach ojca; „oni powinniby zawsze przed wszystkimi stać na wysokości! Ty, ojcze, i ja, my z nimi!“ dodała jeszcze. — „Chodź! posadzimy małą różyczkę!“ odpowiedział starzec i wykopał jeden odziemek z blisko stojącego krzaku róż. Mała dziewczynka obskakiwała go z dziecinną rozkoszą. „Ty jéj obierzesz miejsce,“ rzekł do niéj, „ale takie, na któremby bezpieczną była od wichrów i wody.“ — Joasia poszła i poczęła takowego szukać; ale z troskliwości o różyczkę szukała długo — długo. Nareszcie posadziła ją w zakątku, nad którym wysokie od północy ciernie stało.

Potwierdzającém skinieniem powtórzył jéj ojciec: „Patrz!“ — rzekł — „moje dziecko; tak oto z kwiatkami robią ludzie, i tak robi Bóg z dobrymi ludźmi; albowiem dobrzy są jego kwiatkami tutaj w ogrodzie świata.“

(Magazyn powieści dla dzieci.)

49. Skarbonka biednych.

Żył pewnego czasu bogaty, znakomity człowiek. Zwano go Benedictus, to znaczy „błogosławiony.“ Sprawiedliwie takie nosił nazwisko, bo Bóg majątkowi jego, a jemu samemu cały świat błogosławił. Każdego bowiem, tak cudzoziemca jak i sąsiada, starał się cieszyć, ale najbardziéj biednych i potrzebujących. Czynił to zaś takim sposobem:

Kiedy wesoło z przyjaciołmi dzień przepędził, wtedy na wieczór poszedł do swojego pokoiczku i pomyślał: „Jest wielu takich, którzy dzisiajszego dnia tak przyjemnie nie przepędzili, a coby to było, gdybym był drugie tyle gości zaprosił!“ I ile go biesiada ta kosztowała, tyle odłożył do szufladki, którą skarbonką biednych nazwał.

Tak samo, kiedy się dowiedział, że gdziekolwiek pożar się wydarzył, zaraz przyłożył się hojnie do wsparcia pogorzałych. Potém oglądał swój dom i poszedł do pokoiczku przed biórko swoje, mówiąc: „wszystko u mnie nienaruszone,“ włożył za to w skarbonkę biednych. Gdy słyszał o ogrodach, o rozlaniu szkodliwém wód i innych nieszczęsnych wydarzeniach, które go niedotknęły, włożył natychmiast do skarbonki biednych. Gdy go zachęcali do kupna wina lub kosztownych sprzętów, kupił wprawdzie ale miernie, aby zdobiły dom jego i ku wygodzie przyjaciół służyły; potém szedł jednak do swego pokoiczku i rzekł: „Tyle mógłeś wydać na pomnożenie twego domu, tyle téż odłóż do skarbonki biednych.“ Kiedy zaś się dowiedział, że który chory wina potrzebuje, natychmiast mu posłał z najlepszego gatunku. W ten sposób postępował sobie przez ciąg całego życia. — Gdy już miał umierać, zebrali się koło domu jego ubodzy, sieroty i wdowy, płakali i wołali: „Któż się nad nami zlituje, gdy Benedictus umrze?“ Lecz on im odpowiedział: „Dobry gospodarz stara się, aby, kiedy go w domu niema, dzieciom jego na niczém nie zbywało. A więc weźcie skarbonkę biednych z tém wszystkiém, co w niéj będzie! Ona należy ubogim, wdowom i sierotom; podzielcie ją między nich, ale szafujcie nią rozsądnie i dobrze!“ Potém umarł, a jak chciał, tak się stało.

Tak więc od stu lat trwa skarbonka biednych na pociechę potrzebujących, a pamięć tego człowieka jest ciągle błogosławioną.

(Magazyn powieści dla dzieci.)

50. Sen i śmierć.

Bratersko ujęci wędrowali z sobą anioł snu z aniołem śmierci. Było to w wieczór. Siedli na pięknym wzgórku niedaleko mieszkań ludzkich. Cichość panowała w około, odgłos wieczornych dzwonów przebijał tylko kiedy niekiedy powietrze.

Spokojnie i milcząc (jak to obyczajem ich bywa), siedzieli dwaj bracia, a noc się zbliżała. Wtém powstał anioł snu z miękkiéj darniny i jął sypać dary swoje z rogów, które trzymał w ręku. Wieczorne wietrzyki rozniosły je na skrzydłach po mieszkaniach strudzonych rolników. Wnet sen słodki wszystkich ogarnął od starca, który na kiju się wspiera, aż do niemowlęcia w kołysce. Chory zapomniał o bolach, nieszczęśliwy o smutku, ubogi o nędzy. Powieki wszystkie oczy przykryły, wszystkie stany się zrównały.

Dopełniwszy obowiązku swego dobroczynny anioł, sam się położył obok czuwającego brata. Kiedy zaś zorza zajaśniała, porwał się i zawołał radośnie: „Błogosławią mnie teraz ludzie jako przyjaciela i sprawcę dobrego. O jakaż to rozkosz niewidzialnie dobrze czynić! Posłańcy wielkiego Ducha jakże szczęśliwi jesteśmy! jak piękne, ciche powołanie nasze!“ Tak mówił anioł snu. Spojrzał na niego anioł śmierci z boleścią, i przyćmione już czarne jego oko łza jeszcze bardziéj przyćmiła. „Ach! czemuż“ — wyrzekł — „i ja myślą o wdzięczności synów człowieczych cieszyć się nie mogę? Mnie ludzie swym nieprzyjacielem zowią!“ — „Co mówisz? bracie!“ powiedział anioł snu; „czyż i ciebie sprawiedliwy przy wielkiém ocknieniu swojém dobroczyńcą nie uznaje? czyż ci nie błogosławi? Nie jesteśmyż braćmi, posłańcami jednego Ojca?“ — „Tak“ powiedział anioł śmierci, i oko jego błysnęło także radością.

(Tańska.)

51. Sen Joba.

Gdy nadszedł czas ciężkiego doświadczenia na Joba, gdy wszystkie dolegliwości na niego się zwaliły, a Pan, który doświadczając jego wierności, coraz nowe cierpienia nań zsyłał, kiedy szczęście i zaszczyty, świetność i zdrowie odjęte mu zostały, a on srogiemi męczarniami dręczony, gorzkie skargi wylewał, rzucił spojrzenie pełne litości na nędzarza, który z wysokości swéj wiary spadłszy, leżał w zwątpieniu i rozpaczy, rozkazał aniołom swoim, aby mu ochłodzili rozpalone czoło i orzeźwiający sen spuścili na niego. W tym śnie zdało się Jobowi, jakoby korona zdobiła mu skronie, siejąca tak jasny blask do koła, iż z daleka i z bliska przybywali pielgrzymi, a zapaliwszy u niéj pochodnie, pełni pocieszenia, daléj od-

prawiali swą podróż, albowiem dolina, do której zmierzali, była ciemna i okropna. Na to westchnął Job, wspomniawszy na drogi umęczenia, które niegdyś przebywał, i zaraz wszystkie jego bóle ocknęły się w nim, i w głos zapłakał. I oto schyliła się nad nim promienista postać, odzywając się wdzięcznym głosem: „Czemu narzekasz Jobie? Ażaliż cię Bóg nie wybrał za gwiazdę przewodniczkę dla wszystkich cierpiących braci dla tego, żeś z świętą cierpliwością znosił najsroższe cierpienia? Ażaliż łzy twoje nie zamieniły się w perły i drogie kamienie, które stały się ozdobą korony, wieńczącéj twoje czoło? Wznieś oczy i skieruj je w przyszłość! Czyliż chwile ciężkich doświadczeń, jakie przebyłeś, nie znikają niby ziarnka w morzu w porównaniu tych długich i nieskończonych wieków, przez które twoja wierność, twoje poddanie się, twoja cierpliwość, błogosławieństwem spływać będą na cały rodzaj ludzki? Dla tego właśnie, że nad tobą ociężała ręka Pańska, a tyś był niewinny, imię twoje nie będzie zapomniane za lat tysiące tysięcy; jeden drugiemu przykład twój podawać będzie, tysiące cierpiących pójdą za twoim wzorem, mówiąc za tobą: „Bóg daje, Bóg bierze; niechaj się święci imię Pańskie!“ Tyś to stał się pomocném światłem dla pielgrzymów ziemskich! Do ciebie przyjdą szukać pociechy, a ty im drogę wskażesz przez doliny umartwień i smutków, aby podobnie jak ty zasłużyli na nagrodę, którą ci Pan zgotował.“ — Tak mówił anioł.

Job zbudził się, a zerwawszy się z łóża boleści, zawołał: „O Panie! zrozumiałem głos Twój, oczy moje Ciebie ujrzały. Odtąd już żadna skarga ust moich nie splami. Chłoszcz mnie, doświadczaj, jako Ci się tylko podoba; tylko miéj miłosierdzie nad moją skruchą; albowiem chcę pokutować przed Tobą w prochu i popiele! Tyś Pan mój, a ja sługa Twój!“ — Tak mówił Job i upokorzył się pod ciężką ręką swojego Boga. Ale Pan Bóg poznał serce jego i zaprzestał więcéj go doświadczać. Podwójną miarką oddał mu, co był zabrał, imię jego uczynił sławne i głośne po szerokim świecie i sowicie wierność sługi swojego nagrodził.

(Autor „Wieczorów w Ojcowie.“)

52. Życie i podróż.

Ciemnym, zimnym i nudnym porankiem wyjechał omnibus, i o piątéj rano stanęliśmy na stacyi kolei żelaznéj. Wziąłem miejsce ostatnie. Było nas pełen wagon, ale pomału na każdéj stacyi znikały osoby tak, że tylko ja jeden pozostałem. Tak, jak w wagonie, i za wagonem życie moje; pomału, pomału na każdéj stacyi życia znikają drogie sercu osoby. Każdy cmętarz — to dworzec

kolei żelaznéj. Wszędzie ktoś z towarzyszów pielgrzymstwa naszego zostaje, opuszcza nas, bo na wieluźto ćmętarzach bieleją drogie nam kości? I człowiek, jak ślimak w skorupę, wchodzi sam w siebie i żywy staje się umarłym; zostaje sam w tym wielkim wagonie świata, który czczą parą pchany, prowadzi nas do wieczności. Ale nie, nie sam, bo Bóg z nami.

(Kar. Antoniewicz.)

53. Noc Nowego Roku.

Podczas zimnéj nocy pierwszego dnia roku siedział Aleksy, starzec siedmdziesięcioletni w oknie, patrząc tęsknéj rozpaczy wzrokiem to w górę na nieporuszone, zawsze jaśniejące niebo, to nadół na cichą, czystą, białą ziemię, na któréj o tym czasie nikt nocy tak bez wesela i bez wczasu, jak on, nie spędzał. Bo jego grób odmykać się poczynał; sam już zeszedł siedmdziesiąt stopni życia, a w miejscu uspokojenia i lubych wspomnień dźwigał srogą pamięć błędów i ciężar zgryzoty. Zdrowie jego chorobami i grzechami zniszczone, dusza skołatana i opustoszała, serce przepełnione żalem, wiek sędziwy goryczą zatruty. Piękne dni jego młodości obróciły się ku niemu jak mary i ciągnęły go do tego hożego poranku, w którym mu ojciec pokazał krzyżową życia drogę, mówiąc: „Jedna prowadzi do krainy szczęścia i pokoju, do grodu cnoty, druga wiedzie w podziemne lochy zbrodni, do czarnéj jaskini, kroplistéj trucizną, pełnéj syczących węzów i ciężkich, zgubnych wyziewów.“

Niestety! węże te przyczepiły się do jego piersi, krople trucizny padły na jego język; wiedział już teraz, którą obrał drogę.

Bez zmysłów prawie i z niewypowiedzianie przykro tłoczącém brzemieniem żalu wzniósł znowu oczy do nieba i wołał: „O! powróćcie dni młodości mojéj! Ojcze! postaw mnie znowu na krzyżowéj życia drodze, ażebym wybrał inaczéj!“

Ale młodość już uleciała, a ojciec już dawno nie żył. Ujrzał tedy dwa błędne ogniki, które powstały z bagnistéj doliny i na cmętarzu znikły, i rzekł: „takie były dni obłąkań moich.“ Spostrzegł gwiazdę spadającą, jak leciała i w nic na ziemi się rozpłynęła. „Tak ja z świata tego zniknę!“ zawołał, a wyrzutów sumienia ostrze przeszyło wskroś serce jego. Wtedy ogarnął myślą wszystkich rówieników swoich, którzy z nim razem dziećmi i młodymi byli, a teraz dobrzy obywatele, ojcowie przykładni, miłośnicy wiary i cnoty, spokojnie bez uronienia łzy kończyli rok jeden, drugi zaczynali. W tém odgłos dzwonów, zwiastujący nowy postęp czasu, odbił się o jego uszy. Odgłos ten przypomniał mu rodziców, przypomniał mu prośby, które niegdyś za syna w takowéj chwili nieśli

do Boga, przestrogi, które mu dawali; ale prośby, których stał się niegodnym, ale przestrogi, z których nie korzystał. Przywalony ciężarem żalu i wstydu, nie mógł już dłużéj patrzeć w to niebo, gdzie mieszkał ojciec jego, i spuścił oczy. Rzuciły się z nich rzęsiste łzy, głuche westchnienie dobyło się z serca, i zawołał raz jeszcze: „O młodości moja! wróć się, wróć się raz jeszcze!“

I młodość wróciła się! bo to wszystko snem było przykrym, który dręczył Aleksego pierwszéj nocy Nowego Roku. Był w samym kwiecie wieku, starość była marzeniem, tylko jego błędy, jego zboczenia z drogi cnoty były istotną prawdą. Obudziwszy się, powstał z łoża, podziękował Bogu, że mógł jeszcze porzucić drogę występku, wyjść z ciemnéj pieczary, wrócić na drogę cnoty i dojść do krainy szczęścia i pokoju. Powrócił téż i doszedł.

Wróćcie się wraz z nim, młodzi czytelnicy, jeźliście, jak on, zbłądzili. Ten okropny sen Aleksego kiedyś sędzią waszym będzie; bo gdy późniéj przyciśnieni żalem i zgryzotą, zawołacie: „Młodości luba powróć! ach powróć!“ młodość nie powróci.

(Z dzieł Jana Pawła Richtera.)

54. Wieniec laurowy.

Odacis, waleczny rycerz Aleksandra Wielkiego, przechodząc raz koło biednéj chatki, usłyszał jęki cierpiącego człowieka. Rzucił okiem w otwarte okno drzwi; — osoba z wybladłą twarzą leżała na nikczemném posłaniu, w nogach stało drzewo laurowe. Kiedy się nieco przybliżył, poznał znajome sobie rysy twarzy. Byłto Elpinor, przyjaciel jego w młodzieńczych latach, którego już bardzo dawno nie widział. Skoro go tenże poznał, wyciągnął ku niemu osłabłą rękę.

„Odacis!“ rzekł z cicha; „tobie błogosławili bogowie, bo okryli cię sławą i godnością. Teraz się sprawdziło, co nam się niegdyś marzyło w młodzieńczych latach, bo oto widzimy się znowu obaj bohaterami!“

„Bohaterami?“ — odrzekł Odacis, patrząc się ze zdumieniem na niego. „Jakiegoś to nieprzyjaciela pomógł nam zwyciężyć, w jakichże walkach bywałeś?“

Tu Elpinor odpowiedział: „Walką moją to powolne suchoty ciała, nieprzyjacielem to ciągła rozpacz! Już nieraz chciałem wątek nieużytecznego życia przeciąć, ponieważ widziałem walczących i zwyciężających pod okiem wielkiego męża, a ja musiałem pozostać przykuty do łóża kajdanami choroby. W tym czasie śniło mi się razu jednego o pięknym aniele, który mi wieniec laurowy kładł na głowę; anioła tego imię było: cierpliwość. Uczułem wtedy mój

szał i moje niemęstwo w całém znaczeniu, że przykrego ciężaru życia dłużéj nie chciałem znosić; odtąd przecież wieniec cierpliwości stał się dla mnie najgorętszą żądzą. Dla tego téż kazałem tu w nogach moich postawić drzewo laurowe, ażeby nieustanna myśl o chlubném zwycięstwie bóle walki uśmierzała, abym tém łatwiéj o moim smutnym mógł zapomnieć losie.“

„Sądzisz więc, że my na równe wieńce chwały zasługujemy?“ rzekł Odacis, i przekąśny uśmiech przeleciał po jego ustach.

„Nieszczęśliwy,“ odrzekł spokojnie Elpinor, „który złém życiem nie zasłużył na cierpienia ciała, i który, wytrzymując takowe aż do ostatniego tchnienia, nie upadł na męstwie, jest bohaterem i stoi na równi z rycerzem, choć ten ostatni w Alexandra Wielkiego walkach miał udział. Tam jest śmierć błyskawicą; tutaj jestto powoli trwający i dopiekający promień słońca; tam zwycięzcę czeka cześć i sława, tutaj ubóstwo i zupełne zapomnienie. — Ach! Odacis! walka z cierpieniem ciała jest długa i zabijająca. Przyznaj więc Elpinorowi wieniec laurowy!“

Tu dopiero żałował Odacis, iż podobne uczynił zapytanie, tu dopiero poznał prawdę tych słów, a pospieszywszy do swego namiotu, przyniósł wieniec laurowy, który uzyskał przy zdobyciu Babylonu, i położył go na skronie konającego Elpinora.

(Magazyn powieści dla dzieci.)

55. Pielgrzym.

Słońce spuściło się za góry, i już się zmierzchać poczynało, gdy zdaleka idący pielgrzym przybył do wielkiego lasu. Nie mogąc się wracać, ani pod gołém niebem oczekiwać poranka, rad nierad musiał nocą puścić się daléj. Ledwo kilka kroków postąpił, spostrzegł idącego ku sobie człowieka, którego o drogę pytał. „O mój bracie!“ odpowiedział tenże; „nie tak łatwo pokazać tu drogę; tysiące ich las ten przerzyna, a wszystkie, jednę tylko wyjąwszy, do przepaści prowadzą.“

„Do jakiéj przepaści?“ zapyta strwożony podróżny.

„Do przepaści ciągnącéj się w około tego lasu“, odpowiada przybyły. „Ale to jeszcze nie wszystko!“ ciągnie daléj tenże. „W lesie tym bardzo niebezpiecznie; pełno w nim zbójców i drapieżnych zwierząt. Między temi ostatniemi znajduje się okropny wąż, który niesłychane zrządza szkody. Niemal codziennie znajdujemy szczątki pożartych ludzi, a na nieszczęście pełza on zawsze przy téj jednéj, pewnéj drodze. Litując się nad podróżnymi, stoję tu przy tym lesie, abym każdemu mógł drogę pokazać i pomocy udzielić. Nadto porozstawiałem po lesie na téj pewnéj drodze moich synów

w niejakiéj odległości od siebie, a również w zamiarze przychylnéj pomocy. Ja i oni możemy ci służyć; jeżeli tedy chcesz, pójdę z tobą.“

Zaufał pielgrzym życzliwemu starcowi i przyjął ofiarowaną pomoc. Przewodnik zapalił lampę, wstawił ją w mocną latarnię, a wziąwszy pielgrzyma za rękę, puścił się w las.

Szli godzin kilka, wreszcie podróżny ustawać począł. „Wesprzyj się na mnie“, — rzekł staruszek, „a będzie ci lepiéj!“ Wsparł się i w istocie rzeźwiéj postępował. Tym czasem lampa coraz słabiéj rzucała światło. Podróżny, bojaźnią przejęty, rzekł do przewodnika: „Kaganiec się coś dopala; niezadługo zgaśnie. Jakżeż będzie daléj?“ „Nie bój się“ — odpowie starzec; wkrótce przyjdziemy do mego syna, który nam oleju przyleje.“

I w saméj rzeczy spostrzegł po małéj chwili w pewnéj odległości światełko, oświecające przy drodze wystawiony domeczek. Gdy się doń zbliżyli, otworzyły się drzwi na znany głos przewodnika. Pielgrzym wypoczął sobie na siedzeniu z darni, posilił się prostą, ale pożywną strawą. W pół godziny puścił się już w dalszą drogę w towarzystwie syna staruszka. Przez cały las po owéj drodze natrafili domki. W każdym pokrzepiono pielgrzyma, z każdego odprowadzono go daléj. Tak idąc noc całą, nadedniem wyszedł z lasu. Wtedy dopiero przekonał się o wielkiéj przysłudze, jaką mu ów starzec z synami wyświadczył, bo w istocie okropną widział przepaść, z któréj głębin głuchy tylko szum spadającego potoku uszu jego dochodził.

„To jest ta przepaść“, rzekł obecny przewodnik, „o któréj ci mój ojciec wspominał. Głębokość jéj nie wiadoma; albowiem nieprzejrzana mgła ją zakrywa“. To mówiąc, westchnął ciężko i łzę uronił.

„Czemuś tak smutny?“ zapytuje pielgrzym.

„Jakże się mam weselić na widok téj przepaści,“ — odpowiada zapytany. „która codziennie tak wielu pochłania? Mało tylko podróżnych, którzy przez las ten przechodzą, przyjmuje od mego ojca tak szczerze im ofiarowaną pomoc. Większa ich część, kiedy im przez czas niejaki przewodniczyliśmy, obwiniają nas, że niepotrzebny strach w nich obudzamy, i z wzgardą porzucają, a zbłądziwszy wkrótce, opłakany znajdują koniec albo też stawają się pastwą węża, wreszcie ofiarą przepaści, przez którą ta oto tylko przed tobą wąska prowadzi ścieżka, nam jednym wiadoma. Postępuj tedy śmiało tą ścieżką, a gdy staniesz na drugiéj stronie, wesoły dzionek dla ciebie zawita, bo będziesz w swojéj ojczyźnie!“

Pielgrzym szedł śmiało i przebył szczęśliwie straszliwą przepaść, a w godzin kilka używał miłego wypoczynku na łonie swojéj familii.

(Szkółka niedzielna.)

B. Podania bajeczne.

56. Córa Lecha.

Nad brzegiem srebrnego jeziora, pod niską strzechą chrościaną spoczął Lech, daleką zmęczony podróżą. Na czele garstki wiernéj czeladki, przy boku młodéj i nadobnéj córy przebył on rzeki, góry i jary, aż z naddunajskich idąc okolic.

Dwanaście razy pełnią oblicza księżyc spoglądał na podróż Lecha i dwanaście różnych narodów podziwiało przeciągającą wśród nich karawanę. Niejeden gospodarz zaprosił do swéj chaty naczelnika wędrownego taboru i dając mu dobrą radę, mówił:

„Gdzież wy idziecie? Zostańcie z nami. Tu pełno ziemi leży odłogiem; kraj bogaty, lud uczynny: czegóż wam szukać w dalekich stronach?“ Ale Lech odpowiedział: „Spytajcie mojéj córy Lechii, która wam powie, dla czego idziem w północnéj stronie świecącą gwiazdą rumianą, mówiła głosem anielskiéj słodyczy: „Tam pod tą gwiazdą promienną jest kraj szczęśliwy. Tam mleko z miodem rzekami płynie, na polach złote wiewają kłosy, w wodzie się kąpią złote rybeczki, po lasach szumi piosnka radosna. Tam mnie wzywają bogowie.“ I cały tabór wędrowców, blisko ze stu osób złożony, posuwał się ku północy coraz bliżéj owéj promienistéj gwiazdy, coraz daléj od Dunaju.

Naraz wpośród puszcz i lasów znikła owa przepowiednia gwiazda, a nad głowami wędrowców ciemną zasłonę noc rozpostarła. Tu Lech się zatrzymał na wzgórzu z taborem, a Lechia rzekła: „Oto nasza przyszła kraina! Strażnicy! rozniećcie ogień!“ Sypnęły się iskry z krzemienia, i wnet zajaśniał ożywczy płomień.

Młoda Lechia jako kapłanka zarządziła modlitwy na cześć świętego ognia. Rozpoczęły się pieśni, a w dzikiéj puszczy powtarzały je echa daleko, przeciągle. Przeszła noc pierwsza na składaniu ofiar bogom i wspólnéj modlitwie za pomyślność nowéj osady. Wnet ze złocistéj pościeli wstało słoneczko i przez niebotyczne świerki, klony i jawory powitało rój wędrowców, krzątających się jak pszczółki w ulu około nowego gospodarstwa.

Na wyniosłém wzgórzu, porosłém jałowcem, w bliskości świętego ognia, stanęła z chróstu chatka Lechowa; w niéj na posłaniu, z mchu leśnego utkaném spoczął książę naddunajski. Na rozkaz zaś córy książęcéj odwieczne dęby walą się z łoskotem! pod ostrzem żelaza ciemny las znika; drzewiana socha pruje czarnoziem, a po srebrzystém jeziorze statek szybuje z rozpiętym żaglem.

W bliskości wzgórza, w pośrodku lasu stał dąb ogromnéj wielkości, a na jego szczycie znajdowało się gniazdo z orlętami. Lechia je pierwsza spostrzegła i zgromadziwszy młodzieńców, mówi do nich: „Héj! kto mi pierwszy dostawi owo gniazdo z orlętami, temu oddam mą rękę.“

Poskoczyli mołojcy na potężne drzewo; ale co się który zbliży ku gniazdu, stary orzeł stając w obronie piskląt, w lot go ubija. Zginęło czterech młodzieńców; reszta straciła odwagę. W tém podskoczył młody Polech na odwiecznego dębu konary. Odważny młodzieniec, świadomy myśliwskiéj sztuki, pochwycił w lot silnego ptaka, podczas gdy ten chciał nań uderzyć, i wśród oklasków zdumionéj gawiedzi zniósł na dół gniazdo z orlętami, oddając je córze Lecha.

Białe orlęta zwróciły dziobki ku nadobnéj dziewicy, a uradowana Lechia rączką je swoją nakarmiła i w tryumfie przyniosła do ojca.

Było to w pierwszych sześciu dniach pracy.

Zbliżył się wreszcie dzień odpoczynku i wspólnéj biesiady. Do chaty Lecha poznoszono dary: ten dostawił kosz leśnych owoców, inny przyniósł ryb z jeziora, ów dzikie zwierzę, schwytane w kniei, tamten stągiew miodu podebranego z leśnych barci. Rozpoczęła się godowa uczta. Stary książę pobłogosławił młodą parę i mówił do zgromadzonych biesiadników:

„Lech—ja, i moja córka Lechia, niech więc i ta ziemia, którą zamieszkaliśmy, zowie się odtąd Lechią; niech miano moje Lech—i—ci wszyscy noszą, którzy tu obecni. Po mnie zostanie waleczny zięć mój Polech, pogromca orła. On was poprowadzi do boju, a sprawa z orłem dokonana towarzyszyć będzie wiecznie jego pamięci.“

Tak mówił książę Lech, a kiedy skończył, rozległ się stokrotny okrzyk, powtórzony dalekiém echem: „Sława książęciu naszemu Lechowi!“

((Staszic Franc.: Powiastki historyczne.)

57. Pierwotni mieszkańcy w Grecyi.

Grecy składali się szczególnie z dwóch szczepów: Pelasgów i Hellenów, które połączywszy się, zaludniły kraje, późniéj greckimi nazwane. Krajowcy, tak jak i inne narody, mieli starodawne podania o potopie, który zalał Grecyą. Dwoje ludzi tylko wyszło z téj toni: Deukalion i Pyrra. Ci stanąwszy na górze, gdzie już wód nie było, złożyli dzięki w świątyni tam stojącéj i usłyszeli rozkaz, żeby kamienie za siebie rzucali. Uczyniwszy to, ujrzeli, iż z kamieni tych powstali ludzie, które to nowe plemię wnet po ziemi się rozeszło.

Około roku 1500 przed Chrystusem przybyły z Egiptu, w Afryce położonego, osady pod dowództwem Kekropsa i Danausa; z Azyi zaś nadpłynęli Kadmus i Pelops. Przybysze ci wszyscy zakładali zamki i miasta, obznajmiając dzikich krajowców z cudzą oświatą i nowemi naukami. Podawają też późniejsi pisarze greccy liczne pamiątki o tych czasach i ludziach, a nie same to są baśnie, jak z niektórych powieści poznać można. Było tam n. p. 50 sióstr, córek króla Danausa, ktore, umówiwszy się, pozabijały swoich mężów. Zabójczynie te wkrótce pomarły i taką w otchłani piekła odebrały karę, że stojąc nad morzem, wiecznie czerpać muszą wodę przetakami, aż nie napełnią przeznaczonego im naczynia.

Baśń ta ma swoje znaczenie. I tak niektórzy tak ją tłómaczą: Grecy mieli z Egiptu wiadomość o kalendarzu i rachubie czasu. Owe 50 sióstr są to tygodnie roku, w których ciągle noc zabija jasność dzienną, a to bez ustanku, bo morze, z którego czerpią, jest wieczność, a naczynie czas, który się nigdy nie skończy.

Tym sposobem Grecy, jako lud bystry i bardzo poetyczny, ustrajali wszystkie zdarzenia i osobliwe pomysły w podobieństwa i przypowieści. Tak też, nie mając wiary w jednego Boga, porobili sobie wiele bogów, każąc im mieszkać na ziemi po borach, drzewach, rzekach i w otchłaniach pod ziemią. Był tam najwyższy bożek Jowisz, co niebem władał, był Mars, co wojną, Apollo, co słońcem i naukami, Neptun, co morzem, Wulkan, co ogniem się opiekował. W piekle siedział na tronie ze słoniowéj kości Pluton, u nóg jego pies Cerber o trzech łbach, daléj wszystkie jędze, żmijami zamiast włosów obrosłe, śmierć, głód, choroby, sen i wszyscy potępieńcy. Były i boginie, jako to: Juno, żona Jowisza, Wenera od wdzięków, Pallas od nauk, Bellona od wojny, Diana od łowów i inne. Czcili nawet Grecy wielu półbożków i dziwotworów, a każdy miał swą postać i swoje złe, czy dobre przymioty, jakoby człowiek; o każdym zaś mnóstwo głoszono powieści. Oto niektóre.

58. Herakles.

Najsławniejszy z półbożków Herakles tak był silny, iż dzieckiem jeszcze zdusił w kolebce dwa węże, przez boginią Junonę na jego zgubę wysłane. Gdy dorósł, poszedł w świat i tu znalazł się na rozstajnéj drodze. Kiedy się zastanawiał, jaki obrać kierunek, zjawiły się nagle dwie osoby: cnota i rozkosz. Ostatnia nęcącéj postaci, patrząc na siebie z dumą, zaczęła mówić do młodzieńca, obiecując mu najwyższą rozkosz i szczęście, jeżeli za nią pójdzie. „Któż ty jesteś?“ zapytał Herakles, badawczo jéj się przypatrując. „Moi przyjaciele“ — rzekła z uśmiechem zadowolenia — „zowią mnie rozkoszą, a nie-

przyjaciele występkiem.“ Wówczas młody bohater spojrzał na drugą postać, która była nie tak piękna, ale z której oblicza tryskał promień radości niebiańskiéj. Stała ona skromnie i patrzała poważnie, a jednak przyjaźnie czystemi, jasnemi oczyma na młodzieńca. „A dokąd ty mnie zaprowadzisz?“ zapytał poważnéj postaci. „Poprowadzę cię“ — odpowiedziała — „do pracy, niebezpieczeństw, ale przyrzekam ci nieśmiertelność, cześć i sławę u bogów i ludzi, jeżeli się poddasz memu kierownictwu.“ Te słowa ujęły serce bohatera, i poczuł, że był synem boga, że jego przeznaczeniem na ziemi jest życie pełne chwały. Zdecydowawszy się więc prędko, odepchnął od siebie rozkosz natrętną i podał rękę skromnéj cnocie. Odtąd podejmował najtrudniejsze prace i dzieła na pożytek ludzi. Wytępiał straszliwe zwierzęta, pokonywał zabójców i olbrzymów i ujmował się za krzywdą wszelaką.

Były wówczas w Grecyi świątynie, w których kapłani zapytywani o przyszłość, dawali boskie wyroki: były to tak zwane wyrocznie, a najsławniejsza z nich znajdowała się w mieście Delfy w kraju Focydzie, stanowiącym część środkowéj Grecyi czyli Hellady. Herakles prześladowany od Junony, na rozkaz téj wyroczni był od bogów posłany do Eurysteusza, króla Argolidy, która leżała we wschodniéj części Peloponezu, z poleceniem, aby wykonywał wszystko, co mu ten rozkaże. Eurysteusz zazdroszcząc młodemu bohaterowi sławy i obawiając się, aby go z tronu nie zepchnął, korzystał z prawa danego sobie. Oddalił go więc ze stolicy Myceny i zadał mu do wykonania dwanaście robót.

Najprzód polecił mu zabić wielkiego lwa, którego téż Herakles dębową maczugą potłukł i żywcem rozdarł, skórę zaś jego jak płaszcz na ramiona zarzucił i tak chodził. Tak zabił smoka o stu głowach, które po ścięciu zawsze odrastały. Zmordowany bezskutecznem ucinaniem zawołał sobie ku pomocy przyjaciela, kazał mu grube drzewo rozpalić i głownię tę przyłożył do kadłuba tak, iż wszystkie karki wypalił, przez co żadna głowa odrość nie mogła. Daléj zabił wielkiego dzika, powystrzelał ogromne ptaki drapieżne, udusił w ramionach olbrzyma rozbójnika, podniósłszy go nad ziemię, aby od niéj nie nabywał mocy, bo ziemia była jego matką i dodawała mu téj siły, pó... stał na niéj. Prócz tego oczyścił w przeciągu dnia jednego obory, w których 3000 wołów już 30 lat stało. Postąpił zaś sobie przytém w ten sposób, iż zrobił przekop czyli rów od rzeki pobliskiéj przez obory. Tak woda sama zabrała mierzwę, wymywszy i wypłukawszy budynki.

Dalsze jego wyprawy były do Francyi po sławne rumaki, które pewien ... ém żywił mięsem. Pochwyciwszy tego tyrana,

dał go koniom na pożarcie, a zwierzęta zabrał ze sobą. Do Hiszpanii udał się po trzody Geryona. Szedł pieszo przez Egipt i Afrykę. Gorące piaski i słońce dopiekały mu srodze. Rozgniewawszy się o to na bożka słońca, a mając przy sobie niechybnie zatrute strzały, puścił jednę ku słońcu. Zląkł się bożek poganiający gorejące rumaki słonecznego rydwanu i zesłał Heraklesowi wielki puhar złoty. Było to w pobliżu morza; Herakles nie mając okrętu, wsiadł w puhar i przeprawił się przez morze, wystawiwszy na pamiątkę swojéj podróży na obu kończynach Europy i Afryki dwa wielkie słupy, które jak skały otaczają cieśninę Heraklesową czyli Gibraltar. Wykonawszy po drodze wiele jeszcze świetnych czynów, powrócił do Grecyi.

Ledwo nieco odpoczął, aliści kazano mu pójść na pobrzeże Oceanu po złote jabłka Hesperydów, opiekunek lasów, gór, rzek, jezior, strzeżone przez smoka w przepysznych ogrodach. I to wykonał i jabłka przyniósł. Ostatnia wreszcie z owych dwunastu robót była najgorsza, bo wymagała nawet zwiedzenia piekła, czyli Tartaru, którego strzegł pies Cerber o trzech głowach. Psa tego miał Herakles wynieść z piekła na ziemię. Odbywszy religijne obrządki, spuścił się straszliwą rozpadliną do Tartaru. Przybył do piekielnéj rzeki i zmusił starego przewoźnika Charona do przeprawy. Cerber, stojący przy hebanowéj bramie, okropnie zawył na widok Heraklesa, który samego króla piekieł Plutona zwalczywszy, psa złapał, skrępował i żywcem na barkach wyniósł z Tartaru, żadnéj niedoznawszy szkody. Eurysteusz spostrzegłszy Cerbera, struchlał i umarł, a Herakles wypuścił psa do podziemnych krain. —

Wiele jeszcze innych dokonawszy trudnych a sławnych czynów, zginął nakoniec bohater przez zdradę. Potwór jakiś, pół konia, pół człowieka, śmiertelnie raniony strzałą Heraklesa, umoczony zatrutą swą krwią płaszcz podarował żonie Heraklesa jako skuteczne lekarstwo, czyli raczéj czary. Nierozważna żona wracającemu z jednéj wyprawy mężowi posłała naprzeciwko ów płaszcz i inne stroje. Ledwie się płaszcz ciała dotknął, gdy ogrzany ciałem jad rozpłynął się i w skórę wsiąkł, sprawując nieznośne bole. Herakles począł zdzierać nieszczęsny strój, ale z wełną schodziła i skóra, okropne zostawiając rany. Męczony boleścią bohater, jęcząc długo, nareszcie zemdlał. Słudzy zanieśli go do domu, gdzie żona w rozpaczy poznała swą nieostrożność i życie zakończyła. Jeszcze jeden przyjaciel i starszy syn opatrywali rany cierpiącego Heraklesa; gdy jednak nic mu pomódz nie mogli, kazał się zanieść na górę, ułożyć stós i na nim się spalić. Tak uwolniła go śmierć od okropnych cierpień.

59. Podróż dwojga dzieci na złotym baranie.

Dawno to, bardzo dawno, kiedy w Grecyi panował król Atamas z żoną Nefele. Dwoje mieli dzieci: chłopca Fryxusa i dziewczynkę Hellę. Nefele wkrótce umarła, a biedne dzieci zostały sierotami. Atamas pojął za żonę niewiastę imieniem Ino. Ta bardzo źle obchodziła się z dziećmi, gdyż, choćby najlepsza macocha nie zastąpi nigdy matki, a cóż dopiero, gdy jest niedobrą kobietą.

Kiedy Fryxus dorósł, stawiał opór macosze. Za to chciała go życia pozbawić. Ale matka Nefele, lubo już nie żyła, opiekowała się zawsze dziećmi, i dla tego, gdy niebezpieczeństwo było wielkie, dała, będąc niewidzialną, Fryxusowi barana. Nie był to baran zwyczajny, gdyż był silny, duży i roztropny, a zamiast zwyczajnéj wełny, złotém połyskiwał runem. Na to zwierzę wsiadł brat ze siostrą, a baran pędził przez lasy i góry jak strzała. Goniła ich wprawdzie macocha, ale dogonić ich nie mogła, bo baran, przybywszy na brzeg morski, bez namysłu wskoczył w morze i płynął nadzwyczaj szybko. Brat jako starszy nie bał się niczego na widok ogromnego morza, ale siostrę opanowała trwoga, kiedy już nie widziała ziemi. Zaczęła wtedy płakać, a brat naprożno ją pocieszał. Nakoniec z przelęknienia wpadła w wodę, gdzie też z wielkim żalem brata utonęła. Na tę pamiątkę nazwano tę część morza Hellespontem, która dziś miano Dardanellów nosi. Jestto cieśnina prowadząca z morza Egejskiego do morza Czarnego.

Strapiony Fryxus płynął sam na złotym baranie. Po dość długiéj podróży przybył do krainy Kolchis nad morzem Czarném, gdzie panował król Aetes. Ten przyjął gościnnie młodego księcia, który z wdzięczności darował mu złotego barana. Gdy cudowne to zwierzę żyć przestało, zdjęto zeń skórę ze złotą wełną czyli runo i powieszono w gaju. Było to runo bardzo osobliwe, piękne i kosztowne. Dla tego też król Aetes osadził na straży przy niém okropnego smoka, który każdego śmiałka owo runo zabrać chcącego bez dalszych ogródek pożérał. Niejeden się kusił je pozyskać, bo kraj, który je posiadał, był szczęśliwy; z tego też powodu Aetes wydać go nie chciał.

(Przyjaciel dzieci).

60. Jazon.

Jazon z namowy stryja puścił się przez morze do Azyi po złote runo, o którém wyżéj była mowa. Na ten koniec zebrał sobie ku pomocy wielu bohaterów, między nimi Heraklesa, Tezeusza, Meleagra i innych ochotników, kazał sosny i świerki ścinać i okręt

zbudować, któremu dano imię Argo. Na tym okręcie pojechali i po wielu przypadkach stanęli w Kolchidzie. Król Aetes, do którego, jak wiemy już, runo należało, przyrzekł wydać je młodym rycerzom, jeżeli Jazon wypełni takie warunki: Najprzód miał dwa byki ogniem buhające założyć do dyamentowego pługa i cztery włoki pola marsowego nimi zorać, w porobione skiby zasiać smocze zęby i wyrosłych z tego nasienia zbrojnych mężów do jednego zabić, a dopiero smoka pilnującego runa zwyciężyć i runo odebrać.

Gdyby nie królewna Medea czarami swemi była dopomagała księciu Jazonowi, byłby zginął w téj potrzebie. Dopiął więc zamiaru swego Jazon, nim się król spostrzegł, a przez wdzięczność pojąwszy za żonę Medeę, odjechał z nią i towarzyszami wyprawy do ojczyzny. Skoro król, wstawszy rano, usłyszał, że goście pojechali, wsiadł z ludźmi swoimi na okręt, by ich dopędzić. Już pogoń była bliska, kiedy Medea, nie widząc innego ratunku, zabiła i pokrajała na kawałki własnego braciszka, a członki jego nad brzegiem morskim rozrzuciła. Tym sposobem chciała wstrzymać dopędzającego ją ojca. I stało się, jak sobie życzyła. Ojciec bowiem nadjechawszy do brzegu morza, poznał zwłoki syna, wysiadł, pozbierał je, płakał i zajął się pogrzebem, kiedy tymczasem Medea z Jazonem uciekli. Przybywszy do domu, został Jazon królem. Żona jego, nie czując się spokojną po zabiciu własnego brata, nie była téż szczęśliwą, a z powodu charakteru porywczego, pogniewawszy się razu jednego z mężem, pozabijała własne dzieci i powietrzem uciekła do Kolchis. Podobno smoki ją tam zawiozły.

61. Tezeusz.

Tezeusz urodził się w Trözenie, mieście Argolidy, która była prowincyą Peloponezu. Tutaj zostawał Tezeusz z matką, córką tamtejszego króla, lubo ojciec jego panował nad Ateńczykami, mieszkającymi w Grecyi środkowéj. Podług ojcowskiego rozkazu dopiero wtenczas miał młody królewicz do ojca do Aten powrócić, gdy zdoła podnieść głaz, pod którym miecz ojcowski był schowany. Tezeusz dokazał tego w szesnastym roku życia i udał się z tą oznaką swéj dojrzałości do ojca. Po drodze szukał przygód dla okazania wrodzonego męstwa.

Najprzód zabił osławionego rozbójnika, który zwykł każdego podróżnego napadać i zabijać żelazną maczugą. Daléj zgładził drugiego potwora, który miał zwyczaj chwytać przechodzących, przywiązywać ich za nogi do zgiętych dwóch sosien; poczem puszczał nachylone wierzchołki i rozdzierał tym sposobem nieszczęśliwych. Tezeusz pokonał go i ukarał tą samą śmiercią. Daléj przyszła ko-

léj na dwóch innych podobnych zawalidrogów, z których pierwszy przymuszał przechodzących do zapaśnictwa ze sobą, drugi do mycia nóg, poczem ich zwykle kopnąwszy, w morze strącał. Tezeusz pokonawszy i tych napastników, zgładził ich śmiercią, jaką innym zadawali. Nie uszedł kary i okrutnik, który pozornie gościnnie przyjmując u siebie podróżnych, miał dwa łóżka: jedno zbyt wielkie, drugie małe. Osoby wielkiego wzrostu kładł w małe łóżko i ucinał im wystające nogi, niskiego zaś wzrostu osoby nadciągał w wielkiém łożu i taką męką śmierć im zadawał. —

Przybywszy do Aten, powypędzał nieprzyjaciół swego ojca z miasta i przywrócił mu samowładne panowanie. Ale najbardziéj przysłużył się swym współziomkom przez uwolnienie ich od składania haraczu w ludziach na pożarcie Minotaurowie w Krecie przeznaczonych. Ten haracz składał się z siedmiu młodzieńców i tyluż dziewic.

Tezeusz kazał się przyjąć do liczby ofiar, a umówiwszy się z ojcem, iż, gdy szczęśliwie wracać będzie, nie czarną, lecz białą chorągiew na okręcie rozwinie, udał się na morze wśród płaczu i pożegnań matek i ojców owych czternastu ofiar. Wnet przybyli do Krety. Tu bohatera wybawiła od śmierci królewna Aryadna, córka Minosa, która podając Tezeuszowi kłębek, kazała mu przy bramie utwierdzić nitkę i coraz ją odwijać, żeby po niéj mógł nazad trafić; albowiem gmach, labiryntem zwany, tak był zbudowany, że każdy obcy człowiek, raz zabłądziwszy, już nie wyszedł z matni bez przewodnika. Tezeusz puścił się śmiało w głąb murów i zastał potwornego Minotaura, który, postaci ludzkiéj, miał głowę wołu i czekał już ofiar swoich. Powalił go młodzian i zabił, a wyszedłszy z pałacu, niebawem odjechał. — Ale z radości zapomniał zrzucić czarną banderę. Gdy tedy okręt zbliżał się do Aten, stary ojciec Tezeusza, widząc znak żałoby, rzucił się w głębię morza i utonął. Odtąd morze przybrało nazwę Egejskiego, ponieważ nieszczęśliwy król Ateńczyków nazywał się Egeusz.

Tezeusz, wstąpiwszy na tron po śmierci ojca; był zbawcą i dobroczyńcą ateńskiego ludu. Attyka składała się wówczas z dwunastu osobnych powiatów, tworzących zupełnie różne, a nawet sobie nieprzyjazne państwa, mające właściwe sobie rządy i sądy. Tezeusz przywiódł wszystkich mieszkańców Attyki do zrzeczenia się tych zgubnych prerogatyw i do połączenia się w jednę udzielną całość, któréj środkowym punktem było miasto Ateny. Na ustalenie téj narodowéj jedności zaprowadził wielką uroczystość, tak nazwane Panatenee (uroczystość wszystkich Ateńczyków), na cześć bogini Minerwy) Pallas Atene, jako bóstwa opiekuńczego tego miasta i łączącego religijnym węzłem zbliżonych do siebie mieszkańców. Z tego

połączenia oddzielnych powiatów w jednę całość wynikła późniejsza wielkość i świetność ateńskiego państwa.

W końcu jednak przez zniechęconą szlachtę wypędzony z miasta, tułał się Tezeusz po świecie już to sam, już z innymi bohaterami, walcząc z potworami różnego rodzaju, biorąc udział we wszelkich wyprawach, mających na celu to korzyść ogółu, to swoję własną. Wreszcie zwiedziwszy, podobnie jak Herakles krainę podziemną, udał się do króla wyspy Skyros, Lykomedesa, od którego zdradą ze skały w morze strącony został. Wdzięczna potomność policzyła go między półbogi, stawiała na cześć jego ołtarze, a zwłoki jego do Aten przeniesione, w grobowcu pochowane, który był schronieniem dla ściganych niewolników i uciśnionych.

62. Dedalus i Ikarus.

W czasie kiedy Minos, syn Europy i Jowisza, panował na wyspie Krecie, leżącéj na południe od Grecyi, znajdował się tamże potwór, nazwiskiem Minotaurus, który wielkie na okół szerzył spustoszenia. Minos, uchodzący za najdawniejszego prawodawcę greckiego i powiernika bogów, rozkazał Dedalusowi, najsławniejszemu budowniczemu i sztukmistrzowi owych czasów, wystawić obszerny gmach o bardzo licznych krużgankach, z których nie było wyjścia. W tym labiryncie osadzony Minotaurus dostawał na pożarcie na śmierć skazanych zbrodniarzy. Kiedy zaś późniéj i sam Dedalus popadł w niełaskę króla, wtedy i on ze swoim synem Ikarusem został w labiryncie uwięziony. Ale przemyślny sztukmistrz umiał sobie poradzić. Sporządziwszy sobie i synowi z pierza, przędzy i wosku sztuczne skrzydła, wzniósł się przy ich pomocy ze swego więzienia aż ponad morze. Wprzody jednak pouczył ojciec syna, aby nie leciał za nisko i uniknął tém samém wyziewów morza, któreby skrzydłom jego mogły dodać zbytniéj ciężkości, daléj, aby się nie wzbił za wysoko, iżby promienie słońca wosku skrzydeł nie roztopiły.

Początkowo lecieli szczęśliwie. Ikarus atoli uwiedziony dotychczasowém powodzeniem, lekkomyślny, jak to u wielu młodych ludzi bywa, nie zważał więcéj na przestrogi ojca, zaniedbał podążać za nim, ale wzbił się pod niebiosa i śmiałość swoję przypłacił zgubą. Skrzydła bowiem, jak Dedalus przewidział, po roztopieniu się wosku rozczepione, nie mogły dłużéj utrzymać Ikarusa w powietrzu. Tak wpadł nieposłuszny syn w morze, które odtąd nazwę imienia jego przybrało. Z żalem w sercu po stracie syna przybył Dedalus szczęśliwie na wybrzeża sycylijskie, gdzie się na ziemię spuścił.

63. Grecy w Aulis.

Pewnego razu popłynął jeden książę w Azyi mniejszéj, nazwiskiem Paris de Peloponezu. Był on drugim synem Priama, króla Troi, miasta w Azyi mniejszéj w krainie Myzii leżącego. Przybywszy do Sparty, miasta Lakonii, w Peloponezie leżącéj, stanął gospodą u króla Menelausza, z wielką uczciwością od niego przyjęty. Lecz kiedy raz Menelausz z domu się był oddalił, niewdzięczny Paris uwiózł jego żonę Helenę, wraz z kosztownymi skarbami na okręty, i uciekł z tą zdobyczą do Troi. Obruszony tą zniewagą Menelausz, krwawą poprzysiągł zemstę. Wszyscy królowie i bochaterowie greccy byli gotowi pomścić się téj, całéj Grecyi wyrządzonéj krzywdy, ukrócić dumę potężnego miasta i z bogatym powrócić łupem. Niezwłocznie zbudowawszy potrzebne do téj wybrawy okręty, zebrali się w liczbie 100,000 w mieście beotyckiém Aulis, środkowéj Grecyi i obrali naczelnym wodzem Agamemnona, brata Menelauszowego, króla Mycenów, w Peloponezie mieszkającego. Ale wiatry niepomyślne długo niedozwalały im z portu wypłynąć; a kiedy się zapytano kapłana Kalchasa, jakimby sposobem mogli odwrócić od siebie oczywisty gniew bogów, odebrali straszną odpowiedź: że tylko krew zabitéj na ofiarę bogom Ifigenii, córki Agamemnona, gniew ich ułagodzić zdoła. Lubo przerażony ojciec mocno się temu opierał, jednak burzliwe pogróżki i szemrania niecierpliwego ludu byłyby na nim wymogły wykonanie téj straszliwéj ofiary, gdyby Ifigenia nie była nagle zniknęła. Gdy już lud był zebrany na tę żałobną uroczystość, bogini, jak wieść podaje, uniosła w obłoku dziewicę, a na jéj miejsce podsunęła łanię, którą skoro na ofiarę zabito, natychmiast wiatr się obrócił tak, że flota wypłynąć mogła i przybiła szczęśliwie do trojańskich brzegów.

64. Oblężenie Troi.

Lecz jakże się Grecy zawiedli! Troja miała wysokie mury i warowne wieże, liczne wojsko, a nadewszystko walecznego wodza Hektora, najstarszego z synów Priamowych, który się żadnego z greckich wodzów nie lękał. Prócz tego wezwała na pomoc swych sprzymierzeńców, między innymi Dardanów pod sprawą pobożnego Eneasza, a syna Anchizesa. Dla tego przewlekło się oblężenie tego miasta aż do dziesiątego roku. Dla braku żywności wojsko dzielić się musiało: znaczne więc tłumy przebiegały kraj, wybierając do obozu zboże i bydło; inne trudniły się rozbojem morskim, napadając pobliskie wyspy i brzegi; jeden oddział nawet rolę uprawiał. Pozostała część wojska, do samego oblężenia przeznaczona, liczne

ukleciła szałase, a dla zabezpieczenia tego wielkiego taboru, szerokim opasała się rowem. Z tego warownego obozu wychodziła codzień dziarska młodzież, i podczas kiedy z obóch stron nieprzyjacielskie zastępy w bojowym szyku zdala od siebie stały, groźném na siebie spoglądając okiem, najwaleczniejsi wodzowie i książęta występowali naprzód, wywołując do harców najodważniejszych ochotników. Do najbitniejszych bohaterów greckich należeli Diomedes z Argolis, krainy peloponeskiéj, Idomeneus z Krety, Ajax z wyspy Salamis, Patroklus i Filoktetes z Tessalii, która w północnéj leżała Grecyi; ale najdzielniejszy z nich wszystkich był Achilles, syn tesalskiego książęcia, Peleusza. W mądrości nikt nie wyrównywał Ulissessowi z wyspy Itaki i sędziwemu Nestorowi z Pylos w Mesenii, południowéj części Peloponezu.

Ci tedy mężowie przedewszystkiém występowali naprzód, pojedynkowali się z Trojanami pieszo, albo na wózkach stojąc, z jednym lub dwoma przyjaciółmi, pędzili tam, gdzie gęste tłumy wrogów czekały ich natarcia. Ubiwszy dzidami, strzałami i mieczem niejednego, rozpędzali zbrojnych i gonili się nawzajem po polu, póki nie natrafili na równie dzielnego wodza nieprzyjacielskiego. Tak to wtedy wojowano. Wiele mężów zginęło z obydwóch stron; bogowie nawet przychodzili niekiedy w pomoc temu lub owemu, któremu sprzyjali. Dziesiąty rok oblężenia się kończył, a Troja jeszcze stała, mocna walecznością swych dzieci i odwagą sprzymierzeńców.

65. Hektor zabity.

Z początku niepomyślnie powodziło się Grekom przy zdobywaniu Troi, ponieważ najodważniejszy ich rycerz Achilles, poróżniwszy się z Agamemnonem o podział łupu, przez niejaki czas siedział nieczynny w namiocie. Zwycięski Hektor pędził rozproszone tłumy nieprzyjaciół przed sobą ku morzu i miotał już ogień na greckie okręty. Patroklus, najdroższy przyjaciel Achillesa, chcąc wstrzymać natarczywość Trojan, wystąpiwszy do boju, poległ z ręki Hektora. Śmierć ta dotknęła do żywego Achillesa, który posypał głowę popiołem, darł szaty i w dzikiéj rozpaczy tarzał się po ziemi. Potém, jak lew rozjuszony wypadłszy z namiotu, pospieszył na pole bitwy i za mordem dysząc, srożył się przeciw Trojanom, którzy przed nim jednym jak gołębie przed jastrzębiem pierzchali. Kładł jednego po drugim trupem, ale krew poległych nie mogła nasycić jego zemsty, dopóki Hektor, zabójca Patroklusa, był przy życiu: jego więc szukał. Hektor unikał go dzień cały, jak lwa srogiego, dopiero ku wieczorowi odważył się mężne stawić mu czoło i walczyć z nim na zabój: zwyciężyć lub zginąć; choć ojciec i matka zaklinali go

z muru, aby się w takie nie podawał niebezpieczeństwo. Skoro go Achilles spostrzegł, wydał okropny okrzyk radości i rzucił się nań lotem błyskawicy. Jakkolwiek Hektor był mężnym, dziki wzrok zajadłego nieprzyjaciela tak go przeraził, że jego kroki pomimowolnie do ucieczki się zwróciły. Prędkonogi Achilles pobiegł za nim, a opędziwszy go trzy razy około miasta, dognał nareszcie. Rozpoczęła się więc zacięta walka: rzucił Achilles silną ręką ostry dziryt, ale uniknął go baczny Hektor, schyliwszy się zręcznie tak, że pocisk drgając, utkwił zdala w piasku. Powstał z radością Hektor i z całéj siły ugodził Achillesa potężnym swym grotem. Odbił go Achilles tarczą, a pochwyciwszy za tę broń, groźnie nią potrząsał. Poznał z dzirytu ogołocony Hektor, że wybiła jego ostatnia godzina, „Biada mi!“ — zawołał żałośnie — „srogi wyrok nieba ziścić się musi. Słyszę głos bogów, wzywających mnie do strasznego podziemia. Niepodobna jest ucieczka; trzeba spełnić los okrutny!“ Aby przynajmniéj poledz szlachetnym zgonem, dobył miecza i śmiało uderzył na Achillesa. Lecz było to ostatnie jego wysilenie; groźny Achilles ugodził go dzidą w gardło. Wytrysnęła krew gorącym potokiem, a chwiejący się Hektor powalił się na ziemię i ostatni raz zwróciwszy na swego przeciwnika gasnące źrenice, rzekł słabym głosem: „Zaklinam cię na twoich rodziców, nie chciéj rzucać ciała mego psom na pastwę i przyjmij kosztowny okup od mego strapionego ojca, aby mi uczciwy mógł sprawić pogrzeb!“ — „Psie plemię!“ — zakrzyknął Achilles w dzikiéj swojéj wściekłości — „prosisz mnie nadaremnie. Będziesz psom i sępom haniebną pastwą, gdyż moja zemsta jest tak sroga, iżbym serce wyrwał z twych piersi!“ To rzekłszy, obdarł blade ciało z pysznéj zbroi, przedziurawił nogi ostrém żelazem, przywiązał rzemieniem do swego wozu, wskoczył na rydwan i zaciął rącze konie. Tak okrutnie pastwił się nad Hektorem zwycięzca zajadły, włóczył potrzykroć naokoło murów Troi pokaleczone, tumanem pyłu okryte ciało.

Któż opisać zdoła strapienie rodziców, będących świadkami z murów téj okropnéj sceny! Po całém mieście rozlegały się jęczące głosy rozpaczy i tłumione łkanie. Gdy noc nadeszła, wyszedł nieszczęsny Priam z miasta sam jeden do obozu greckiego; nie mógł bowiem przenieść na sobie, żeby zwłoki jego syna niepogrzebane zostały. Przedziera się więc niepoznany do namiotu Achillesa, rzuca się do nóg jego, całuje rękę krwią synów zbroczoną i błaga na klęczkach o wydanie drogiego ciała.

Wzruszony Achilles podniósł starca ze ziemi, pocieszał go w utrapieniu i nietylko wydał ciało Hektora, ale nadto przez jedenaście dni przyrzekł poprzestać walki, aby zwłoki z przyzwoitą uroczystością pochowane być mogły.

66. Zdobycie Troi.

Sprzykrzywszy sobie Grecy tak długie bezskuteczne oblężenie trojańskiej stolicy, pragnęli gorąco powrócić do domów. Wprzód jednakże jednego jeszcze fortelu użyć postanowili.

Wybudowali drewnianego konia niezmiernéj wielkości; wydrążone wnętrze tego potworu zbrojném napełnili rycerstwem, a potém spaliwszy swój obóz, spiesznie udali się na okręty, jak gdyby do domu wrócić chcieli.

Natychmiast otwierają się bramy Troi: mężowie, kobiety i dzieci, wyszystko to wybiega hurmem z miasta, oglądać opuszczone stanowisko greckie, a nadewszystko ogromnego konia, a gdy zdumieni nie wiedząc, coby ten potwór znaczył, rozmaite czynią domysły, i jedni ocalić, drudzy zniszczyć go radzą; w tém przyprowadzają trojańscy pasterze pojmanego greckiego jeńca, nazwiskiem Sinon.

Ucieszeni Trojanie otoczyli Greczyna, rozkazując mu natychmiast wyznać, co ten koń właściwie znaczy. Tego też właśnie życzył chytry Sinon; umyślnie bowiem nasadzony od swych ziomków, dał się schwytać, aby ciekawych Trojan uwieść i do tego ich nakłonić, iżby konia tego do miasta wprowadzili. Zaczyna z początku płakać i udaje długo, że żadnym sposobem nie może wydać tak ważnéj tajemnicy. „Nie!“ — zawołał, łkając, — „zabijcie mnie raczéj! bo nie wolno mnie nic wyznać.“ — Tym sposobem jeszcze bardziéj zaostrzył ciekawość Trojan: nareszcie niby ulegając ich prośbom i groźbom, zaczął swoję kłamliwą powieść. „Słuchajcie,“ mówił, „Grecy, którzy, jak wiecie, płyną teraz do domów swoich, wystawili na rozkaz kapłana tego konia, aby przebłagać obrażoną boginię, Pallas Atene, za znieważenie obrazu swiętokradzką ręką z waszego miasta uniesionego, i aby sobie szczęśliwy teraz wyjednać powrót. Gdyby zaś dar ten ślubowany bogini Pallas, będącéj bóstwem opiekuńczém naszego państwa, stanął w murach waszego miasta, natenczas Troja (taki jest wyrok przez usta kapłana ogłoszony), pozostanie niezwyciężoną: co mówię, shołduje wszystkie sąsiedzkie narody. Ale właśnie temu chcieli zapobiedz Grecy i umyślnie tak ogromnego wybudowali konia, aby się w bramy miasta nie zmieścił.“

Łatwowierna rzesza uwierzyła gładkim słowom obłudnika. Ledwo więc skończył, natychmiast rzuciła się do wykonania zgubnéj jego rady. Położono potoczyste walce pod konia, poprzywięzywano powrozy, i wszyscy mężczyzni, kobiety i dzieci z wielką skwapliwością zaczęli ciągnąć do miasta ten ogrom, orężem greckim brzemienny. Komu się nie dostało dotknąć saméj liny, szedł w uroczystym orszaku, w świetne szaty ubranych dziewic i młodzieńców, którzy, nu-

cąc radosne pieśni, w tryumfie zgubny potwór prosto na zamek wiedli. Kiedy przyszli do bramy, zaślepiona rzesza bierze się natychmiast do narzędzi, w okamgnieniu czyni wielki wyłom w murze i wśród okrzyków nadzwyczajnéj radości konia na zamku stawia. Był to dzień pełen wesela dla Trojan, po którym straszna noc nastąpiła. Podczas gdy wszyscy w głębokim śnie pogrążeni zasypiali, zdradziecki Sinon pobiegł do konia, otworzył w brzuchu ukryte drzwiczki i wypuścił zbrojnych rycerzy. Ci natychmiast rozbiegli się do bram miasta, wycięli w pień uśpione straże i otworzyli bramy. Z zwycięskim okrzykiem tłoczą się gęste zastępy z kryjówek powracających Greków do zdradzonego miasta.

Już Sinon z zapaloną pochodnią biega po ulicach, szerząc pożogi. Przeraźliwy krzyk, szczęk broni budzi ze snu głuchego uśpionych Trojan, którzy za późno poznali zdradę. Kupią się odważniejsi rycerze ku obronie, zaczyna się na niektórych punktach bój krwawy, wkrótce całe miasto stoi w płomieniach. Ci, co nie polegli od greckiego oręża, giną w pożarze miasta, lub zagrzebani w gruzach walących się domów. Mała tylko garstka uszła z téj okropnéj rzezi pod dowództwem pobożnego Eneasza. Ten, widząc wszystko stracone, kiedy już dom jego ogniem płonął, wziął spiesznie zgrzybiałego ojca Anchizesa na barki, a prowadząc za rękę synka swego Askaniusza, uszedł szczęśliwie z pożaru. Po długiém tułactwie znalazł nareszcie przytułek we Włoszech u króla Latina, którego córkę Lawinią poślubił. —

Nie tak szczęśliwym był król Priam. Schronił się był z żoną i dziećmi w głąb swego pałacu i ścieląc się u stóp ołtarza bożków domowych, spodziewał się prędzéj w tém świętém ustroniu u rozgniewanego nieprzyjaciela otrzymać przebaczenie. Lecz naprożno! Zażarte Greki wpadają z dobytym mieczem do zamku, zabijają w obliczu rodziców synów, a potém w samym zgrzybiałym królu topią zabójcze żelazo. Żonę i córki ciągną na okręty i rozdzielają je jako niewolnice między siebie.

Menelausz odzyskał swoję Helenę, a kwitnące miasto Troi obrócone w perzynę, zagrzebało w swych gruzach większą część swoich mieszkańców. Nieszczęśliwa Kassandra, córka Priama, któréj przerażające wieszczby nie znalazłszy wiary, przez dzikiego Ajaxa za włosy ze świątyni wywleczona, dostała się w podziale jako niewolnica Agamemnonowi i razem z nim w Mycenach zabita. Jéj siostra Polyxena, najudatniejsza z córek Priamowych, znalazła śmierć na grobie Achillesa; albowiem wieszczek usłyszał był głos podziemny z grobu tego bohatera, dopominający się także udziału zdobyczy.

Małżonka zaś Hektora, Andromacha, stała się niewolnicą dzikiego syna Achillesowego, Pyrrusa, który najwięcéj w tym ostatnim pożarze dokazywał.

(Popliński „Historya powszechna.“)

67. Ulisses.

Jeden z powracających do domu po zburzeniu Troi Greków doznał w drodze bardzo wielu przygód; dziesięć lat błąkał się po morzach i cudzych krajach, kilka razy prawie cudem na szczątkach rozbitego okrętu z rozhukanych bałwanów ocalony. Zaniesiony na afrykańskie brzegi, stamtąd przypłynął do Sycylii, gdzie wpadł w jaskinię olbrzyma Cyklopa, który miał jedno oko na czole i piękną trzodę owiec posiadał. Chcąc go sobie ująć, ofiarował mu Ulisses wór skórzany wina. Cyklop nadstawił wielką gębę i duszkiem wychylił smakowny napój, a pogłaskawszy się po brodzie, rzekł: „Miły gościu! za ten piękny podarek wywdzięczę ci się w ten sposób, że z wszystkich twoich towarzyszów ciebie zjem naostatku. Przysięgam ci to na bogów!“

Jeszcze na wieczerzę pochwycił dwóch z towarzyszów okrętowych, a rozszarpawszy ich zębami, zjadł z najlepszym apetytem. Zgroza przejęła innych. Było to już późno. Owce same do jaskini powróciły, a Cyklop skałą zawarł jamę. Zagrzany winem, położył się przy ścianie i wnet twardo usnął. Teraz naradzał się Ulisses z przyjaciołmi, coby tu uczynić, aby się z rąk olbrzyma wydobyć. Jeszcze tlało na ognisku drzewo. Wzięli tedy dość gruby pal, opalili koniec, zaostrzyli go, a zbliżywszy się do Cyklopa, podnieśli gorejące drzewo i za danym znakiem całą siłą wtłoczyli je rozpalonym końcem w oko śpiącego. Jakbyś w kuźni żelazo rozżarzone w wodę włożył, tak zasykało wielkie oko olbrzyma. Krew i woda lała się z niego, a potwór głosem zawył, jak lew na puszczy, że się skały trzęsły. Odskoczyli Grecy i po kątach się pokryli. Cyklop jęcząc i rycząc, porwał się ze swego posłania i łapał i macał rękami po jamie, ale Grecy bardzo zwinnie grali z nim w ślepą babkę i jak skoczki przemykali się z pod dużych łap olbrzyma. Jeszcze przed wieczerzą Ulisses na pytanie, jakie nosi imię, olbrzymowi był odpowiedział, że się nazywa „Nikt.“ Teraz krzykiem zbudzeni drudzy bracia olbrzyma, przybiegli do oślepionego Cyklopa i pytali się: „kto ci krzywdę wyrządził?“ Ten im odpowiedział: „Nikt.“ „Kiedy tak, pójdziemy znowu na spoczynek do domów,“ i odeszli.

Nazajutrz usiadł Cyklop przy wnijściu jaskini, odwalił kamień i owce powypuszczał na trawę, każdą namacawszy, czy się kto

z gości nie wymyka. Ulisses i na to miał sposób. W nocy poprzywięzywał każdego z towarzyszów pod parę owiec, a sam przyczepił się do brzucha najtęższego barana, który zwykle szedł przodem. Z rana Cyklop siedzi przy odwalonym kamieniu, rachuje owce i maca. Drżąc ze strachu Grecy, pod brzuchami owiec ukryci, wynoszą się jeden po drugim. Ulisses na ostatku. Cyklop macając, poznał barana, pogłaskał go i rzekł: „Mój miły baranie! czemu to dziś na ostatku idziesz? Zapewne żałujesz twego pana, że mu oko wypalił niecny cudzoziemiec?“ Ale ledwo baran na dwór się wydostał, aliści Ulisses z pod niego wyszedł, wszystkich z więzów uwolnił, do okrętów pospieszył i na Cyklopa zawołał: Héj, ty ślepy Cyklopie! poznaj Greka Ulissessa, który ci tę psotę wyrządził i bądź zdrów!“ Słysząc to rozgniewany olbrzym, acz niewidomy, jednak tak za nim rzucił urwaną od góry skałą, że blisko okrętu w morze wpadła.

Tym czynem ściągnąwszy na siebie gniew Neptuna, bożka morza, a ojca oślepionego Cyklopa, uszedł do Eola, bożka wiatrów, od którego gościnnie przyjęty i kilku worami pomyślnych wiatrów udarowany, kiedy już do Itaki dobijał, przez opaczne wypuszczenie wiatrów do innego zapędzony kraju, gdzie część swych towarzyszów i okręty prócz jednego utracił. Stąd przybył do czarownicy Circe, która nieszczęśliwych jego towarzyszów czarodziejską swoją różczką w wieprze przemieniła. Za sprawą Hermesa, posłańca bogów, odzyskał jednak w ludzkiéj postaci swych przyjaciół i za jego radą wstąpił do piekieł, aby się poradzić sławnego wieszczka Tiresiasza. Nader niebezpieczną przeprawę miał także w teraźniejszéj cieśninie messeńskiéj, zwanéj wtenczas Scylla i Charybdis, to jest straszna skała na włoskim brzegu, i niebezpieczny wir czyli odmęt na przeciwnéj stronie. Przybywszy znowu do Sycylii, popełnili ludzie jego świętokradztwo na własności bożka Słońca, zabiwszy mu kilka wołów, za co ostatni okręt w nurtach morskich zaginął. Sam tylko nieszczęśliwy Ulisses, uchwyciwszy się belki rozbitego okrętu, przez dziewięć dni nawałnością rozhukanego morza miotany, został nareszcie wyrzucony na wysgę Ogygią, należącą do bogini albo nimfy Kalypso. Mile od niéj przyjęty, bawił tu lat siedm; lecz nie mogąc pokonać wewnętrznéj tęsknoty do rodzinnéj Itaki, choć go nimfa darem nieśmiertelności i wiecznéj młodości u siebie zatrzymać usiłowała, wymknął się od niéj na tratwie i z niebezpieczeństwem życia po rozbiciu tratwy wypłynął na wyspę Korcyrę, zamieszkałą przez gościnny lud Feaków. Wyszedłszy na ląd, w krzakach się schronił.

Na ten czas królewna ze służącemi swemi przybyła nad brzeg morski, jadąc na wozie i poganiając woły biczem. Zsiadły niewiasty

i rozłożyły bieliznę, którą wypłukawszy, suszyły na trawie; albowiem wówczas i królewne nie wstydziły się takiéj roboty. Po pracy rozpoczęły zabawę w piłkę. Piłka wpadła w krzaki, gdzie Ulisses siedział. Służąca jedna, pobiegłszy w to miejsce, z krzykiem odskoczyła; drugie téż zaczęły krzyczeć, lubo nieznały przyczyny. Tylko królewna zachowała przytomność. Wyszedł teraz okryty błotem Ulisses, a służące uciekały; bo téż jego postać bardzo była dzika. Na głowie pełno liścia, mchu, trawy morskiéj i piany; cały był upstrzony i mokry. Nie dziw, iż go wzięto za smoka. Królewna przecie zatrzymała się, a Ulisses zbliżywszy się do niéj, upadł na kolana i błagał o pomoc. Wysłuchawszy słów jego i prawie płacząc nad tułacza losem, kazała mu wsiąść na wóz i pojechała ze służącemi i z bielizną do miasta. Żeby zaś ludzie nie gadali, poleciła Ulissessowi znijść przed miastem i pieszo udać się do królewskiego pałacu. Tu go mile przyjęto i późniéj do domu odesłano.

Jego wierna małżonka Penelopa, zgrzybiały ojciec Laertes i dorastający syn Telemak pod opieką przyjaciela Mentora, musieli wiele wycierpieć podczas nieobecności Ulissessa od zuchwałych zalotników, ubiegających się o rękę wiernéj Penelopy, a marnotrawiących chudobę tułającego się po świecie króla na ustawicznych biesiadach. Ulisses przybrał na siebie zmyśloną postać dziada, chcąc niespodzianie napaść tych przywłaścicieli. Penelopa, nie mogąc się dłużéj oprzeć naleganiom książąt, przyrzekła z natchnienia bogini Pallas tego poślubić, który zdoła naciągnąć łuk jéj ukochanego małżonka i przez wiele pierścieni rzędem uszykowanych strzałę przepuścić. Kiedy się zalotnicy napróżno o napięcie łuku kuszą, wchodzi dziad do sali. Nie jeden z gości szydzi z tego żebraka, ale Telemak z matką dobrze go przyjmują. Wtedy prosi ów mniemany starzec o pozwolenie naciągnięcia łuku. Książęta się opierają przez pogardę, ale Telemak, który poznał już swego ojca, przychyla się do jego żądania. Ulisses w postaci żebraka napina łuk, obraca go na natrętów i wsparty od syna i od dwóch najwierniejszych domowników, którym się także był odkrył, ściele trupem i oczyszcza dom z tych nieproszonych gości. Teraz dopiéro daje się poznać żonie swéj Penelopie i ojcu Laertesowi, którzy dzień ten za najszczęśliwszy w swém życiu odtąd uważali.

(Popliński i Nej).

64. Dwaj bracia.

Ponuro szumiały wody wezbranego Tybru, rzeki we Włoszech płynącéj, rozbijając spienione swoje fale o piaszczyste wybrzeże,

skąpo pokryte trawą, na którém kilku pasterzy strzegło chude swoje trzody.

Nagle okrzyk podziwu rozległ się do koła, a pasący, na chwilę zapominając o swojém zajęciu, wytężyli wzrok na sam środek rzeki, kędy unosił się jakiś szary przedmiot, niesiony na powierzchni bystro płynącéj wody, to znowu niknący chwilowo wśród piętrzących się bałwanów.

Przedmiot ten, o ile można było dojrzeć, miał kształt wysokiego kosza, lecz co najdziwniejsza, iż pomimo łoskotu fali najwyraźniéj z jego wnętrza dochodził do brzegów żałosny głos płaczącego niemowlęcia. Trudno jednakże było pomyśleć o ratowaniu téj nieszczęśliwéj istoty; Tyber bowiem wezbrany gwałtownie, ryczał z wściekłością, wystąpiwszy daleko ze swego łożyska, i nie tak łatwo przyszłoby stawić śmiałe czoło jego nurtom. Do takiego przedsięwzięcia trzeba było na teraz bardzo silnéj dłoni i jeszcze silniejszéj woli do niesienia pomocy drugim z narażeniem własnego życia, a że pasterze bynajmniéj nie odznaczali się podobnymi przymiotami, nic więc dziwnego, że popatrzywszy dość obojętnie na igraszkę rozkiełznanego żywiołu, odeszli do domów, aby opowiadaniem dziwnego widowiska zabawić oczekujące z posiłkiem tamże niewiasty i dzieci.

Jeden z nich tylko, imieniem Faustulus, przejęty mimowolném wzruszeniem, nie mógł obojętnie oddalić się z tego miejsca, a lubo wraz z drugimi odpędził trzodę z pastwiska, postanowił przecież co prędzéj powrócić nad brzeg rzeki. Tą razą jednak zdawało się poczciwemu pasterzowi, iż los uwziął się na niego, gdyż za powrotem do domu znalazł tyle różnych zatrudnień, iż zaledwie późnym wieczorem zdołał udać się na wybrzeże Tybru.

W chwili gdy tam przybył, już księżyc bladą twarz swoję kąpał w nurtach uciszonéj wody, fałdowanych jedynie kiedy niekiedy łagodnym powiewem wschodniego wiatru. Milczenie głębokie panowało dokoła, tylko w oddaleniu słychać było złowrogie wycie wilków i żałosne kwilenie niemowląt, któremu nie mogło się oprzeć tkliwe serce Faustulusa. Wytężając słuch, szedł ciągle za przewodniczącym głosem, i w krótce na piaszczystéj mieliźnie rzeki spostrzegł dziwne i rozczulające widowisko. Ów kosz wysoki, który przed kilku godzinami był igraszką wzburzonych nurtów rzeki, leżał teraz wywrócony na piasku, obok niego zaś siedziała ogromna wilczyca, pod któréj brzuchem spoczywało dwóch maleńkich chłopczyków, ssących nader chciwie piersi téj dziwnéj mamki! Faustulus oniemiał prawie z podziwu, i łza wzruszenia zakręciła się w jego oku; przyszły mu bowiem na myśl własne dziatki, które zostawił w chacie pod opieką swéj żony Akki Laurencyi. Mimowolnie porównał ich dolę ze smutnym losem tych dwojga niemowląt, porzuconych zapewne ręką ludzi na pastwę

straszliwéj śmierci, dla których dzikie zwierzę litościwszém się od nich okazało. Czekał więc jeszcze chwilę, a skoro wilczyca odeszła, wsadził napowrót do kosza biedne niemowlęta i okrywszy je starannie własnym płaszczem, poszedł ze swą zdobyczą ku domowi. Wszedłszy tam, zastał właśnie dobrą Akkę, trzymającą u łona najmłodszego syna, w którego drobne rysy zatopiła wzrok pełen miłości i zachwycenia. Krzyk małych przybyszów wyrwał ją z zamyślenia, podniosła głowę i ciekawie spojrzała na męża.

„Oto masz, moja kochana Akko, dwoje nieszczęśliwych dzieci, których los bogowie oddali w ręce nasze. Spodziewam się, że im będziesz dobrą matką.“ Tak mówił Faustulus, wydobywając z kosza przyniesione dzieci, które, jakby przeczuwając, że się dostały pod dobrą opiekę, przestały płakać i śliczne czarne oczki wlepiły w nadobne lice żony pasterza. Tkliwa Akka nie zawiodła położonego w sobie zaufania; pomimo ubóstwa otoczyła znalezione niemowlęta najczulszą pieczą i wykarmiała je własnemi piersiami aż do czasu, w którym mogły pożywać inne pokarmy.

Tak tedy śliczne chłopcy wzrastały w chacie pasterza, nie troszcząc się bynajmniéj ani o przeszłość, ani o przyszłość swoję. Faustulus był dla nich ojcem, Akka Laurencya matką, a drobne ich potomstwo braćmi i siostrami, w gronie których igrali wesoło, lub stósowną do sił zajmowali się pracą. Pomimo to wszakże, lubo jednakową okryci odzieżą, bracia bliźniaki dziwnie jakoś odbijali od swych towarzyszów, a sam Faustulus, spoglądając nieraz na szlachetne i mądre twarze swoich wychowanków, powtarzał sobie w duchu, że ci dwaj malcy muszą być jakiegoś wyższego pochodzenia. Ale nie tylko nadobną powierzchownością odznaczali się nasi młodzieńcy, lecz zarazem wzrastając w lata i siłę, wkrótce zasłynęli obadwaj niepospolitém męstwem i siłą tak, że imiona Romulusa i Remusa, pod któremi ich znano jako pasterzy, stały się głośnemi na całą okolicę.

Uzbrojeni w łuki i ciężkie maczugi, zapuszczali się zwykle w odległe knieje i puste wybrzeża morskie i ścigali tam dzikie zwierzęta, a niekiedy walcząc i z ludźmi, którzy przemocą wkraczali w ciche siedziby pasterzy. Z takich wycieczek powracali często obciążeni łupami, które z tryumfem składali u nóg Akki Laurencyi, dumnéj ze zwycięstwa swych przybranych synów.

Ale pewnego wieczora cała rodzina Faustulusa w głębokim pogrążona została smutku; proste pokarmy z takim apetytem zwykle spożywane na wieczerzę, stały nietknięte; Akka Laurencya płakała, a Romulus z dziką wściekłością chodził wielkimi krokami tam i napowrót, przysięgając w imię bogów pomścić się za brata Remusa, który schwytany przez żołnierzy królewskich, został odprowadzony

do Alby, stołecznego miasta Latium, aby tam z rąk monarszych oczekiwać srogiego lub łaskawego wyroku.

„Synu mój!“ — mówił Faustulus, hamując zapał młodziana — „proszę cię i zaklinam, nie opuszczaj progów chatki naszéj, w któréj wzrosłeś! Cóż poczniesz sam, ty dzikie dziecko natury, na dworze królewskim? Czyż sądzisz, że tak łatwo ci przyjdzie wyrwać brata z rąk zawziętych zbirów królewskich, jak niegdyś wyrywałeś jagnięta z paszczęki wilków?“

Ale Romulus ani słyszeć nie chciał podobnych napomnień, nie pomogły nawet i łzy dobréj opiekunki, którą nad życie kochał, i pomimo zapadającéj nocy sam jeden wybrał się w drogę.

Tymczasem w Albie inna zupełnie odbywała się scena. Stary Numitor, syn Prokasa, czternastego potomka owego pobożnego Eneasza, który uszedłszy z murów płonącéj Troi, z sędziwym ojcem i małoletnim synkiem zawinął do brzegów Latium, gdzie u ówczesnego króla Latina, znalazł gościnne przyjęcie, i zaślubiwszy córkę jego Lawinią, odziedziczył następnie berło po swoim teściu; stary Numitor więc zasiadł na tronie, oczekując na swoich ludzi, którzy w ręce jego mieli oddać kilku przestępców, pustoszących okolicę. W liczbie tychże znajdował się i Remus. Poważny i sprawiedliwy monarcha podniósł głowę i surowym wzrokiem spojrzawszy na obwinionych, gotował się do wyrzeczenia wyroku, kiedy w tém oko jego zatrzymało się na pięknéj postaci Remusa, i mimowolny okrzyk podziwu wydobył się z piersi jego.

„Rea Silwia! Rea Silwia!“ powtórzył parę razy Numitor. „Też same oczy, to czoło, te usta dumnie otwarte! O! co za dziwne podobieństwo! Powiedźcie mi,“ wyrzekł do zdziwionych tym wykrzykiem dworzan, „za co przywiedliście tutaj tego młodego pasterza, i czyim on jest synem?“

„Syn to jest Faustulusa, pasterza z nad brzegów Tybru, i zawinił nam srodze, odważywszy się rzucić na jednego z dworzan twych, panie, który uprowadzał krowę ze stada jego ojca;“ odrzeczono z pośpiechem.

„Cóż powiesz na obronę twoję, młodzieńcze?“ dodał Numitor, spojrzawszy bystro w oczy Remusowi.

„Nic,“ odparł śmiało zagadniony, „gdyż według mego rozumienia postąpiłem, jak należało.“

Zaledwie Remus dokończył odpowiedzi, kiedy wtém hałas jakiś rozległ się u wnijścia, i krzepka postać Romulusa ukazała się tuż obok brata. Tu już Numitor, nie mogąc dłużéj powściągnąć doznanego wrażenia, kazał pozostać dwom braciom, i oddaliwszy resztę swoich ludzi, sam na sam znalazł się z nimi. Dworzanie, nie rozumiejąc rozkazu króla, byli jednak posłuszni, lecz dla bezpieczeństwa

zatrzymali się za drzwiami, oczekując dalszych poleceń. Jakże się przecież zadziwili, gdy po niejakim czasie Numitor wyszedł z komnaty, wiodąc za sobą mniemanych synów Faustulusa i przedstawił ich wszystkim jako ukochanych swych wnuków, a synów Rei Silwii, córki swéj, którą niesprawiedliwie Amuliusz, brat jego, zmusił do zostania kapłanką Westy, bogini ognia, dziatki zaś jéj w koszu wrzucić kazał do Tybru, skąd, jak to już widzieliśmy, cudem prawie ocalały.

Przywołany Faustulus potwierdził opowiadaniem swojém domysły Numitora, i odtąd Romulus i Remus zapaleni zemstą przeciwko niesprawiedliwemu stryjowi, postanowili odzyskać dziedzictwo swych ojców. Dzielni pasterze, w pośród których żyli od dzieciństwa jak rodzeni bracia, teraz czynem zapragnęli dowieść im swego przywiązania. Nic więc dziwnego, że na czele tak dobranych szeregów wkroczywszy do Alby, zrzucili z tronu Amuliusza i powrócili zupełną władzę Numitorowi.

69. Śmierć Romulusa.

Na obszernych wybrzeżach Tybru w miejscu, gdzie siedm pagórków wspaniale panowało nad okolicą, założył Romulus osadę, któréj od imienia swego nadał nazwisko Roma, czyli Rzym. Liche i biedne w początku to miasteczko wzrastało z każdym dniem w potęgę i bogactwo; rozszerzały się jego granice, powstawały domy i świątynie, a Romulus, dbały monarcha o pomyślność swojego ludu, ubezpieczał ją za pomocą praw, broniących słabszego przeciwko mocniejszemu.

Razu jednego Romulus, pełen dumy na pysznym rumaku, otoczony poważnym orszakiem sędziwych i możnych obywateli, jechał drogą na obszerne pole, gdzie miał odbyć przegląd w szyku bojowym ustawionego wojska rzymskiego, a w głowie jego pod jasno połyskującym hełmem dojrzewało mnóstwo wyniosłych zamiarów.

Pycha jego nie znała granic. „Otóż“ — mówił do otaczających go jeźdźców — „któryż ze śmiertelnych zechce teraz opierać się władzy mojéj? Spojrzyjcie do koła siebie! To miasto, które dziś jakby cudem wyrosło ponad ziemię, te błonia dawniéj bezpłodne, połyskujące bujnym kłosem, ten lud bitny, mądry i potężny, straszny sąsiadom, oto moje dzieło!“ A cały orszak królewski, niby łan zboża potrącony wiatrem, pochylił głowy i wyrzekł jednogłośnie: „Wielki, wielki jest Romulus, syn Marsa, boga wojny!“

Tak mówiąc, wydostali się na miejsce przeznaczenia. Tu jeszcze raz odgłos powitania i chwały rozległ się potężném echem za zbliżeniem monarchy; ale odgłosowi temu towarzyszył drugi, nie równie

silniejszy. Był to wspaniały huk grzmotów, zapowiadających zbliżającą się burzę.

Romulus nie patrzał jednak na chmury czarnemi skrzydły żeglujące po niebie, nie widział błyskawic, które jak węże ogniste przemykały w oka mgnieniu po czarném tle firmamentu, nie słyszał huku grzmotów, ani złowrogiego świstu wiatru, pędzącego przed sobą szare kurzu tumany. On w téj chwili czuł się tak wielkim i potężnym, że igraszka żywiołów nie mogła na niego wywierać żadnego wpływu. Nie byłże bowiem bóstwem w obec tego ślepego tłumu, on syn Marsa i kapłanki z królewskiego rodu? Siedząc na pysznym rumaku, który sam jeden tylko godzien był nosić tak wielkiego jeźdźca, spoglądał ze wzgardą na niebo nad swoją głową i na ziemię, którą deptał jako swoje dziedzictwo.

Wtém grzmoty zahuczały silniéj, słup kurzawy, w gęstą zbity masę, rozsypał się nagle, wionąc w oczy zebranych rycerzy. Upusty niebios z sykiem roztwarły się ponad ziemią, zalewając ją w jednéj chwili mętnych wód potokiem; piorun uderzał po piorunie, a mrok i zamięszanie były tak niezwykłe, iż najbliżéj siebie stojący nie mogli rozpoznać rysów swych towarzyszy. Zabobonna trwoga ogarnęła wszystkie umysły; nikt jednak nieśmiał ratować się ucieczką, czekając w osłupieniu, dopóki nie przeminie straszliwa godzina grozy.

Ustała wreszcie burza, grzmoty i pioruny zamilkły w odległéj przestrzeni, a słońce niby ubłagane bóstwo, znowu pogodną twarzą wyjrzało z poza czarnéj chmur osłony. Oprzytomnieli Rzymianie i śmielszym wzrokiem rzucili do koła siebie. Liczba ich nie zmniejszyła się bynajmniéj. Skoro przecież zapragnęli ujrzeć na licu monarchy wrażenie tak gwałtownego starcia żywiołów, nigdzie go już dostrzedz nie mogli. „Gdzie Romulus pan i król rzymskiego ludu? gdzie syn Marsa, potężny pogromca Amuliusza?“ tak wołano zewsząd, a łzy i łkania mięszały się do krzyków. W tém sędziwy Prokulus, mąż głęboko poważany u ludu, wystąpił naprzód i w ten sposób przemówił do przestraszonych szeregów:

„Uspokójcie się, o wojownicy Rzymu! Słuchajcie mnie tylko, a ja wam opowiem, gdzie macie szukać monarchy waszego. Otóż sam widziałem na własne oczy, jak wśród poświstu burzy ognisty rydwan spuścił się na ziemię, a na nim siedział Mars, bóg potężny, który, schwyciwszy za rękę syna swego Romulusa, uwiózł go z sobą w niebieskie przestrzenie. Uspokójcież się więc i utulcie boleść waszę! Bóstwem był nasz król, poszedł téż tam, gdzie mieszkają nieśmiertelni. Łaska to bogów, iż przez lat 84 dozwolili mu mieszkać tu z nami.“

„Cześć! cześć nieśmiertelnemu Kwirinusowi!“ (tak zwano Romulusa od czasu zawarcia przymierza z sąsiednimi Sabińczykami) krzyknęli jednogłośnie wszyscy i w uroczystym nastroju ducha zwrócili się napowrót ku miastu, ażeby reszcie pozostałych w niém mieszkańców powtórzyć tę cudowną wiadomość.

Wkrótce potém na jednym z siedmiu pagórków Rzymu wzniosła się pyszna świątynia na cześć nowego bóstwa, a pagórek ów od jego imienia otrzymał nazwę Kwirynalskiego.

C. Legendy.

70. Piast.

„Gość w dom, Bóg w dom“ stare przysłowie i stare prawidło życia, którego się święcie trzymano dawniéj. Ta cnota, z któréj przodkowie słynęli, znana jest u wszystkich, choćby téż najdzikszych i najsurowszych ludów, jakby na dowód, że wszystko, co piękne i szlachetne, od Boga jest i wszystkie łączy narody w jedno grono bratnie. Jakoż złością tylko oddalamy się, dobrocią łączymy się wszyscy przed Stwórcą.

Kiedy w twe progi gość wstępuje, jestto bliźni, który w tobie i w domu twym położył wiarę, który zaufał, że go za drugiego siebie uważać będziesz. A gospodarz wdzięczen ufności, kładzie gościa przed siebie i wszystko, co ma najlepszego w spiżarni, stawia na stół, i wszystko, co ma najlepszego w sercu, uściskiem serdecznym oddaje.

Jest w historyi polskiéj legenda, która z ust do ust, z księgi do księgi przechodząc, każdemu pokoleniu była przestrogą i napomnieniem, że starzy gościnność jako pierwszą powinność obywatelską czcili, a w młode serca wpajali wiarę, że ta cnota zarówno ludziom jak Bogu jest miła.

Za czasów pogańskich żył w Kruszwicy nad jeziorem Gopłem obywatel, syn Koszyków, imieniem Piast, wzrostu siadłego, szerokich i długich plec, wiek średni już pomijając, a z niewielkiego grunciku roli i z barci żywot swój utrzymując. Człowiek prosty, sprawiedliwy, ludzki, jałmużnik, podług możności pomagał każdemu w potrzebie. Nie było zbytków w jego skromnéj chacie, ale tak zawsze sprawiał Bóg, że Piastowemu sercu wystarczało, bo i swoi

mieli dosyć i drudzy, jeźli głodni, najedli się. Żona jego, Rzepicha, również wylana na nędzę cudzą, nie różniła się całkiém w obyczajach od męża. Mieli zaś syna małego; więc gdy zbliżała się pogańska uroczystość postrzyżyn, gotował się na nią Piast i skromne czynił zapasy mięsa i miodu, aby sąsiadów, kto łaskaw będzie, było czem uraczyć.

Nim dzień naznaczonéj uczty nadszedł, zdarzyło się, że przez Kruszwicę przechodzili dwaj pielgrzymi i zapukawszy do bram księcia Popiela, zażądali od niego schronienia. Ale Popiel, iż był dumny i zły człowiek, nierad miał gości u siebie, bo zawsze knuł jakieś złe zamiary; kazał ich więc precz od zamku odpędzić. Wtedy pielgrzymi przyszli przed dom Piasta i stanęli przed drzwiami.

Rzepicha, widząc ich, ostrzegła o tém męża. Piast, jako było jego zwyczajem, wyszedł na próg i roztworzywszy ręce, jakoby niemi dom i serce swoje roztwierał, prosił pielgrzymów, aby raczyli przyjąć, czém chata bogata i rada. Wprowadziwszy do komory, pospieszył do spiżarni i nie bacząc, że mu może braknąć na postrzyżyny, ujął mięsa i miodu z naczynia i stawił to wszystko przed gośćmi, zapraszając uprzejmie, aby posilić się raczyli. Zabawili chwil kilka owi pielgrzymi, a kiedy odchodzili, prosił ich Piast, aby nie zapomnieli, iż za dwa dni u niego święto rodzinne.

Był zaś pod ten czas głód w okolicy, i kiedy goście zebrali się u Piasta, mnóstwo zgłodniałego ludu stanęło przed domem i błagało posiłku. Otworzył wszystkim chatę swoję poczciwy kołodziéj i z żoną począł wynosić, co miał w spiżarni zapasów. Ale frasował się wielce, mówiąc do niéj: „Bóg zdarzył tyle gości, czemże ja ich przyjmę, a mamże z domu mego wypuścić zgłodniałych?“ — „Weź, co jest,“ odpowiedziała mu Rzepicha; „obdzielą się, jako będą mogli.“ W tém spojrzawszy ku drzwiom, spostrzegła dwóch owych pielgrzymów. Zaraz poszedł im naprzeciw Piast i jak poprzednią razą zaprosił.

Rozpoczęła się uczta. Mnóstwo ludzi obsiadło stoły i nie zmieścili się wszyscy w chacie, ale wielu musiało pozostać na dworze, Znosiła mięso i miód Rzepicha i nastarczyć nie mogła, a każdą razą kiedy niosła naczynie z jadłem i napojem, wzdychał Piast, bo myślał, że to może już ostatnie, a tu tak wielu ludzi nic jeszcze nie dostało. Poszedł więc sam do spiżarni i o dziwy! patrzy, aż tu naczynia pełne, jakoby nic nie nadebrano. Nie może tego pojąć, więc sam ubiera miodu i ukrawa mięsa, a potém spojrzy, i w naczyniu jest tyle, co było pierwéj.

Wtedy ujrzał, że Opatrzność, chcąc z serca jego zdjąć strapienie, jakie ma każdy prawy człowiek, widząc biednego, któremu pomódz nie może, nadludzkim sposobem jadło i napój rozmnożyła.

A w tém we drzwiach stanęli owi dwaj pielgrzymi, ale jakżeż byli zmienieni!..

W miejsce długich ciemnych szat jasne i mieniące mieli odzienie, a twarz błyszczała młodością i nieziemskim blaskiem. Złote sploty włosów wiły się po szyi, z ramion wystawały srebrzyste skrzydła. Byli to aniołowie.

Padł na kolana Piast i czołem przed nimi uderzył, a oni do niego łagodnym wyrzekną głosem: „Wstań, poczciwy człowiecze! Iżeś nas w dom swój przyjął i z tym biednym ludem chciał się ostatnim kawałkiem chleba podzielić, zdjął Bóg z serca twego smutek i dozwolił ci się uradować, że wszystkich przyjmujesz gościnnie.“

Kiedy o tém dowiedziała się rzesza, w domu Piasta goszcząca, jednostajnym wszyscy głosem okrzyknęli Piasta swoim panem, rozumiejąc w tém zdarzeniu widoczny palec Boży. Ale Piast w pokorze ducha, nieczując odpowiednich sił i przymiotów, wymawia się jak umie od przyjęcia książęcego stołka, zadowolony aż nadto ze swego stanu. Kiedy atoli lud nie ustaje w okrzykach, kiedy wreszcie nawet możni panowie go naglą, aby się nie sprzeciwiał woli narodu i bogów, jeżeli i nadal chce ich mieć sobie przychylnych, daje się prowadzić od starszych na zamek książęcy, obejmuje rządy, ubrany jak dawniéj w siermiędze.

71. Pierścień Kunegundy.

Żyła we Węgrzech dziewica, córka króla Beli, a zwała się Kunegundą. Prosta była w swych obyczajach, pobożna i miłosierna, a nie poznałeś jéj, że była królewną, jeżeli nie po tém, że czyniła ludziom więcéj dobrego, niżby kto inny mógł czynić. Kochał ją ojciec wielce; więc u niego upraszała wszystko, czemby mogła poddanym jego przyjść w pomoc.

Najmilszém było jéj zatrudnieniem zaglądać do chat nędzarzy odwiedzać chorych, pielęgnować ich w nieszczęściu, pocieszać w strapieniu. Mówiła też zawsze, że niema większego szczęścia, jak drugim ulżyć w niedoli. Ujrzysz na twarzy bliźniego łzy, więc niech serce twoje stanie się okiem i uchem, a dowiesz się przyczyny bolu. Choć weźmiesz na siebie i jego krzyż, i ciężko ci będzie, to gdy wspomnisz: zdjęłam boleść bliźniego — wnet w sercu uczujesz rozkosz, wynagrodzenie; nieszczęśliwy odetchnął spokojnie, a ty zapomniałeś o trudzie, radując się jego weselem.

Tak mawiała Kunegunda; ale nie dość na tém, tak czyniła. Kochali, czcili, błogosławili ją też ludzie, bo ona dla nich żyła. Sława jéj cnót rozeszła się daleko; w kraju, po za krajem mówiono

o dziewicy na Węgrzech. Posłyszał o niéj Bolesław, ówczesny książę Polski, a że był młody i nieżonaty, umyślił wspólnie z przyboczną swoją radą prosić króla Belę o rękę jego córki.

Stary król nie chciałby się pozbyć z domu i państwa swego opiekuńczego anioła; ale z drugiéj strony, skoro prośby posłów weźmie na rozwagę, to pomyśli, że niczem krajowi lepiéj nie pomoże, jako gdy z sąsiadem przyjaźń na zawsze utrwali i dwie rodziny monarsze świętym powiąże węzłem. Wcześniéj czy późniéj pójdzie odemnie Kunegunda, bo takie jest kobiety przeznaczenie, aby opuściła dom i rodziców, a poszła za mężem. Oznajmił więc wolę swoję córze, a Kunegunda, która wiedziała, że w każdém miejscu jest pole dobrze czynienia, bo w każdém miejscu płyną głośno albo cicho łzy, bez wahania przystała.

Poprosiła do siebie posłów, wypytywała się o kraj, o jego zamożność, o mieszkańców, o ich potrzeby. „Żelazo“ — odpowiedzieli, uderzając o pałasze, — „mamy, złoto i drogie jedwabie otrzymujemy zawdy za nasze zboże, ale soli nie mamy, którą trzeba zwozić i z daleka skupować, a lud biedny na tém cierpi.“ Były zaś we Węgrzech ogromne góry soli, o których Kunegunda wiedziała. Umyśliła tedy ojca prosić, by jéj w posagu dał górę soli.

Skoro przyszło do zrękowin, i Kunegunda opuszczała dom ojcowski, stary król obcierając ukradkiem łzy, rzecze: „Córko moja! cóż ci mam dać w posagu?“ A ona ukląkłszy i ucałowawszy jego nogi, zawoła: „Ojcze mój! daj mi górę soli.“ Uśmiechnął się król i rzecze: „Cóż ci z niéj przyjdzie? Daję ci ją, skoro twoja wola, tylko powiedz którą?“ I zawoławszy podskarbiego, powiedział mu: „Poprowadź Kunegundę tam, gdzie kopią sól, niechaj sobie jednę górę wybierze.“

Wziąwszy z sobą posłów polskich narzeczona Bolesława, poszła za podskarbim, i kiedy przyszli do jednéj kopalni, o któréj mówiono, że była najbogatsza, zdjąwszy z palca pierścień, rzuciła go do otchłani, mówiąc: „Niechaj to będzie na znak wyboru mego.“ Stało się wedle jéj woli, i odtąd w téj górze nie kopano więcéj.

Ile było płaczu przy odjeździe z Węgier, tyle nastało uciechy, kiedy młoda królewna przyjechała do Bolesława krainy.

Wysypał się przed nią lud, sam książę na pięć mil z Krakowa wyruszył jéj naprzeciw. Dwa orszaki spotkały się w Bochni.

Padła do nóg mężowi swemu Kunegunda i nieśmiałym rzekła głosem: „Panie mój i mężu! nie przywożę ci żelaza, bo je masz, nie przywożę złota ani jedwabiów, bo naród twój je za zboże dostaje; ale przywożę sól, bo musisz ją zwozić i z daleka skupować, a lud biedny na tém cierpi.“ I kiedy Bolesław nie zrozumiawszy

jéj słów, patrzał, gdzie są te wozy, na których sól wiozą, Kunegunda jednemu z przytomnych kazała kopać w ziemi.

Zaledwo kilka stóp odkopano, aliści zjawiła się bryła szara i lśniąca, którą na wierzch wydobyto. Roztłuczono ją na rozkaz Kunegundy, i w tém okrzyk podziwu i radości zabrzmiał na około: „To sól! dobra pani sól nam przywiozła!“ A Kunegunda schyliwszy się, z bryły solnéj wydobyła pierścień, który wrzuciła na Węgrzech, i ofiarowała go mężowi.

Taki jest, jak mówi legenda, początek kopalni Bocheńskiéj.

72. Królowa Kinga.

Będzie temu przeszło sześćset lat, jak spadła po raz pierwszy czereda Tatarów niby szarańca na Polskę. Kędy przeszli poganie, nie było zboża na roli, wsi i miasta w popiele, a bezbronni ludzie w krwi własnéj strumieniu. Kto chciał życie ocalić, uciekał zawczasu przed tém dzikiém plemieniem do boru, zostawiając nieraz cały swój dobytek Tatarom na zniszczenie.

Na dwórze u króla Bolesława Wstydliwego, który miał za żonę Kingę, inaczéj Kunegundę, córkę Beli IV, króla węgierskiego, zebrała się rada dworzan i panów możnych, co czynić wypada w tém położeniu. Zgodzono się wreszcie na to, aby rycerstwo ruszyło przeciw Tatarom, a król z królową na jakiś czas do Węgier się schronili. Wybrał się tedy Bolesław Wstydliwy z małżonką z Krakowa i uchodził do swego teścia. Ale Tatarzy zmiarkowawszy o téj podróży, spiesznie podążyli na Kraków, a złupiwszy go całkiem, puścili się w pogoń za królem.

„Cóż teraz począć?“ rzecze król do królowéj. Chyba się gdzie schronić, albo razem zginąć, bo Tatarzy tuż za nami, a do Węgier jeszcze daleko.“

„Poczekaj, mój mężu i panie!“ odezwie się królowa. W tém podejmie grudkę ziemi i rzuci. Z grudki téj ziemi powstają wysokie góry Tatry aż pod obłoki i pogańskie hamują zastępy. Potém odpina wstążkę niebieską od sukni i kładzie ją na ziemi. Wstążka zamienia się w bystrą rzekę Dunajec i Tatarom staje na zawadzie.

Jedzie znowu król z małżonką mil kilka bezpiecznie; przecież po niemałéj chwili znowu Tatarów zdaleka następujących widać. Tedy królowa rzuca laskę na ziemię, która wielkim staje się lasem i czas niejakiś wstrzymuje pogoń napaści pogańskiéj.

I znowu jedzie król daléj z małżonką swoją. W tém spotykają wedle drogi ubogiego chłopka, siejącego żyto.

„Szczęść wam Boże, człowiecze!“ odezwała się mile królowa.

„Bóg zapłać!“ odpowie kmiotek, a oddawszy królestwu niskie

ukłony, zapyta nieśmiało!“ Cóż to Was, miłościwe państwo, zagnało w te strony?“

„Oj! kochany człowiecze!“ odrzeknie królowa; „ćma Tatarów zdąża za nami, a gdy nas nie stać na obronę, ratujemy się przynajmniéj z życiem przed nimi. W ślad za nami i oni wnet tu przybędą, a gdy was się spytają, kiedyśmy tędy przechodzili, odpowiedźcie po prawdzie i śmiało: „„właśnie kiedy to żytko siałem.““

Ledwo kmiotka pożegnali, ledwo wieśniak zboże broną powlekł, aż tu rola staje się zieloną, zboże kiełkuje, rośnie, dojrzewa, jakby już żniwa były za pasem. Kiedy więc w kilka godzin tatarska nadciągnęła drużyna, wieśniak już sierpem zboże ścinał.

„Słuchaj człowiecze!“ zawoła na chłopka wódz pogańskiéj hordy. „Czy dawno tędy jechali królestwo?“

„Wtedy właśnie, panie, kiedy to żytko siałem“ — odpowiedział śmiało i rezolutnie wieśniak.

„To ich już nie dogonię, bo licho wie, gdzie są teraz“ — mruknął Tatar w czarnéj zbroi i w przeciwną udał się stronę z drużyną swoją, a królestwo niebawem dostali się do Węgier bezpiecznie.

(Dzwonek).

73. Biała lilia.

Rosła na ustroniu śliczna, biała lila. Leciuchny wietrzyk poruszał wysmukłą jéj łodygą; jasne promienie słońca pieściły kielich jéj śnieżysty, a wieczorem przejrzyste kropelki rosy orzeźwiały kształtną jéj koronę. Z każdym dniem wzrastała w piękność i siłę, a w niewinności serca cieszyła się, że posiada tak wdzięczną postawę. Nagle jednak wszystko się zmieniło. Lilia smutnie pochyliła główkę, gdyż myśl bolesna rozdzierała jéj serce. Ubolewała nad bezużytecznem swojém życiém, ubolewała i nad tém, że nawet Stwórcy swojemu nie umie okazać wdzięczności za otrzymane od Niego dary. A myśli te rozbudził w niéj ptaszek, który tego dnia rano usiadł na gałązce drzewa, w pobliżu rosnącego, i tak słodkiém i wdzięcznem pieniem napełniał powietrze, że biedna lilia drżała ze wzruszenia, że z wonnego jéj kielicha rzęsiste krople rosy spadały na ziemię. Ptaszek głosił pieśń dziękczynną Stwórcy.

Skończywszy swój hymn pochwalny, uleciał z gałązki; lecz od téj chwili sercem białéj lilii miotało bolesne, nieznane jéj dotąd uczucie. O bo i ona zapragnęła okazać się wdzięczną Stwórcy. Jakże teraz zazdrościła ptaszkowi jego głosu! Zrzekłaby się chętnie swéj piękności, gdyby choć raz jeden pieśń jéj dziękczynna mogła zabrzmieć w powietrzu i wznieść się ku niebu. Choćby zresztą dostał się jéj w udziale głos świerszcza, odzywającego się wdali,

jużby i na tém poprzestała. Lecz niestety! mówiła sobie: „Tak biedny, niemy jak ja kwiatek na cóż się przydać może?“ Opuściła więc główkę i tak gorzko płakała nad swém upośledzeniem, że aż straciła świeżą swą białość i pochyliła się ku ziemi. Słowem zmieniła się do tego stopnia, że wietrzyk, wierny jéj przyjaciel, przelatując tamtędy wieczorem, zaledwie poznać ją zdołał. A kiedy biedny kwiatek wyznał mu przyczynę swéj boleści, wietrzyk odezwał się w te słowa:

„Któż ci powiedział, że nie masz sposobu okazania Stwórcy swéj wdzięczności? Czegoż On żąda dla ciebie, jeżeli nie tego, abyś była szczęśliwą i zadowoloną, wonią napełniała powietrze, byś przeczystą swą białości szatę uchroniła od wszelkiéj skazy? Wszakże to czynić możesz?“

„Bez wątpienia; ale to jeszcze za mało!“ odpowiedziała lilia, wzdychając.

„Za mało? Wszak Stwórca wie, że ty więcéj uczynić nie możesz? Gdyby żądał, żeby usta twoje głosiły na cześć Jego wdzięczne pienia, byłby cię obdarzył tak wdzięcznym głosem, jakim ptaszka udarował. Któżby się odważył utrzymywać, że dla Pana wszech rzeczy milszy jest śpiew ptaszków, niż twa urocza piękność i woń przecudna?“

„Więc sądzisz, że ja także mogę podobać się Stwórcy?“

„Tak“ — odpowiedział wietrzyk — „gdyż Bóg od żadnego ze swych stworzeń nie wymaga więcéj nadto, czego mu udzielił, ale także od każdego żąda ścisłege rachunku z darów otrzymanych. Zamiast więc ubolewać nad tém, że nie możesz wykonać tego, czemu siły twe podołać nie są zdolne, staraj się odpowiedzieć godnie celowi, dla którego zostałaś stworzoną.“

„Nie będę się już użalała“, rzekła na to lilia; podniosła główkę, wyprostowała białe swe listeczki i czyniła wszystko, co mogła. I spojrzał Bóg na nią łaskawie i wynagrodził jéj miłość i pokorę, bo Zbawiciel świata, kiedy przechodząc tamtędy z uczniami swymi i mnogą ludu rzeszą, ujrzał u nóg swych kwitnącą białą lilję, a znając jéj pokorę i chęć wdzięczności dla Stwórcy, zwrócił się do zgromadzonego ludu, wskazał mu ją za przykład szczodrobliwości, z jaką Opatrzność rozdziela swe dary pomiędzy wszystkie stworzenia i rzekł: „Powiadam wam, że ani Salomon we wszystkiéj swéj ozdobie nie bywał tak przybrany, jako lilia polna.“

(Przyjaciel dzieci.)

III.

Powieści.

74. Urszulka Kochanowska.

Już to temu dawno, bardzo dawno, bo już 400 lat prawie, kiedy żyło dobre, a osobliwe dziecię, mała Urszulka Kochanowska. Rodzice jéj mieszkali w pięknéj wiosce Czarnolesiu w ziemi sandomirskiéj, która rodzi sławną sandomirską pszenicę. Byli to ludzie zacni, od wszystkich wielce szanowani, a żyli szczęśliwie w swojéj posiadłości. Mieli sześć dorodnych córek, z których najmłodszą była Urszulka; jeszcze trzech lat nie skończyła. Ojciec jéj, Jan Kochanowski, był wielkim poetą. Wiersze jego dotychczas wszyscy chętnie czytają i nad nimi się unoszą. Maleńka Urszulka, lubo tak młodą była, umiała także mówić do wiersza, i to tak sama ze siebie. Było to dziecię śliczne a dobre, jak aniołek, zgrabniutkie, czyste, grzeczne i tak uprzejme, że ją wszyscy kochać musieli. Rozkoszą też była całego domu, rodziców zaś, szczególnie ojca, największą pociechą i najmilszą pieszczotką. Z wesołą twarzyczką biegała ta dziewczynka po całym domu, śpiewając, za matką klucze nosiła, do ojca rączki wyciągała, siostry za szyję ściskała. Nikomu się nie naprzykrzała, a lubiła się bawić w ogrodzie, na łące, zbierając dla sióstr kwiaty.

Pewnego razu Jan Kochanowski spodziewał się swego krewnego i przyjaciela, którego z niecierpliwością wyglądał. Długo mu było czekać w domu; wyszedł więc na jego spotkanie. Zabiegła ojcu drogę Urszulka i jak zwykle z wdzięcznym uśmiechem zawołała: „Chódźcie ze mną na łąkę, ojcze; narwę kwiatków dla naszego

gościa.“ I zaczęła biegać i zrywać najpiękniejsze kwiaty, a kiedy ją ojciec zapytał: „czy ty wiesz, moja szczebiotko, kto do nas przyjedzie?“ odpowiedziała: „wiem, ojcze!“ i zaśpiewała tak sama ze siebie:

Przyjedzie tu rycerz,
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki
Rzucę mu pod nogi.“

Uradowany Kochanowski uściskał rozkoszne dziecię i zapytał: „A cóż mu powiesz, gdy nadejdzie?“ „Zaśpiewam mu“ — odpowiedziała Urszulka. I stanąwszy przed ojcem, ujęła się rączką pod bok, główkę na stronę przechyliła, tupnęła nóżką i takie powiedziała wierszyki:

Nie znałeś Urszulki,
A ona cię kocha;
Poznałeś ją teraz,
Pokochajże trocha.“

„A za cóż ty go kochasz?“ zapytał się ojciec. Urszulka zadumała się przez chwilkę, a potém się odezwała:

„Tak Bóg przykazał,
Czyż tego nie wiecie?
Kto kocha ojca,
Tego kocha dziecię.“

Zdziwiony i uradowany roztropnością dzieweczki swéj Kochanowski, zawołał: „Chódź, słowiczku mój, powtórz matce wierszyki!“ — „O już zapomniałam“ — odrzeknie Urszulka, ale palcem wskazując na główkę, mówiła: „tu są inne, powiem późniéj.“

Innego razu przyjechał do Czarnolesia hetman Zamojski, przyjaciel Stefana Batorego i pierwsza po królu w kraju osoba; bo wieszcza Kochanowskiego odwiedzali w Czarnolesiu najpierwsi panowie, szczycąc się jego przyjaźnią. Po serdecznych przywitaniach i dość długiéj rozmowie prosił hetman Kochanowskiego, aby mu swoje dzieci pokazał. Matka namawiała Urszulkę, aby sama poszła przywitać Zamojskiego ładnym jakim wierszykiem, i opowiadała jéj różne o nim rzeczy: jaki on możny i bogaty, jakie ma śliczne pałace i zamki, złote suknie, żonę księżniczkę, jaki on wielki wojownik, a taki jest dobry, tak dzieci kocha, sam zaś nie ma ani jednego, a pragnąłby bardzo, osobliwie syna. Urszulka jakby tego wszystkiego nie słyszała, obiecała być grzeczną. Wzięła potém ją matka za rękę i przyprowadziła do Zamojskiego. Kiedy ten ją ujrzał, wyciągnął do niéj ręce i zawołał: „A czemuż mi prędzéj nie pokazaliście tego aniołka?“ Posadził dziewczynkę na kolano i pieścił się z nią czule. Ona mu w oczy patrzała, oglądała potém jego drogie suknie, dotykała się drobną rączką pierścieni i klejnotów,

jakie miał Zamojski, a gdy się jéj zapytał: czy to piękne, odpowiedziała:

Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie;
Ale gdybyć Bóg dał dziecię,
Dałbyś wszystko za to.“

Hetman zdumiał się i zapytał: „Któż cię takich wierszyków nauczył?“ — „Nikt“ – odpowiedziało dziecię. „Ja sama tak ze siebie zawsze mówię wierszyki.“ — „A to ja nie będę szukał innych dzieci“ — mówił hetman — „jeno sobie będę miał Urszulkę; daruję twojemu ojcu wszystkie te śliczności, a ciebie wezmę do Krakowa.“ Ale ona mówiła:

„Nie! ja dziewczyna,
Tobie trzeba syna.“

Wieczorem goście się rozjechali; dzieci i domownicy udali się na spoczynek. Matka okrywając Urszulkę, dostrzegła, że główka jéj i rączki bardzo były rozpalone. Dobra dzieweczka zachorowała nieboga. Matka niezmiernie się przestraszyła, całą noc nie spała, ale siedziała przy Urszulce, któréj gorączka coraz była silniejszą. Co tylko było można, uczyniono, lecz nic nie pomagało; Urszulka leżała już prawie bez przytomności. Obracając się do matki, całowała jéj ręce i mówiła prawie wesoła:

Nie płacz, matko, proszę;
Ja idę do nieba
Na czyste rozkosze.
Mnie zazdrościć trzeba.
Twoja luba córka
Oblecze się w piórka,
Z aniołkami siędzie,
Matko! złeż ci będzie
Mieć swego aniołka?“

Poczem zaczęła rzewnie płakać, jakby jéj żal było pożegnać rodziców, siostry, domowników, i te pokoje, po których biegała śpiewając, i te łąki zielone, na których rwała kwiatki dla ojca. Ze łzami w oczach przywołała siostry, żegnała się z niemi, zwłaszcza z najmłodszą Hanusią, żegnała się ze sługami, ze wszystkiém się żegnała. Matkę i ojca przyciągała do siebie, całując im ręce i mówiąc żałośnie:

„Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę,
Ani za twym stołem wdzięcznym miejsce zasiędę:
Przyjdzie mi klucze położyć, saméj precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.“

Trzy dni choroba się wzmagała. Czwartéj nocy nad ranem skonała Urszulka.

Smutno było w Czarnolesiu po śmierci téj miłéj dziewczynki. Zapłakany ojciec chodził i powtarzał sobie żałośnie: „Już nie ma

wdzięcznéj dzieweczki mojéj! ujął ją sen twardy, żelazny.“ Ten wielki smutek i żal po śmierci swego dziecięcia wylewał Jan Kochanowski w poezyi i pisał takie czułe wiersze, że aż się na płacz zabiera, kiedy się te smutne wiersze o Urszulce czyta.

(Ew. Estkowski (w skróceniu.)

75. Królowa Jadwiga.

Otoczony gronem senatorów siedział na tronie król Władysław Jagiełło, gdy nagle u drzwi wchodowych powstał szmer i hałas, i dworzanie w groźnych postawach zastępują drogę kilku nędznie ubranym kmiotkom, którzy, ocierając zwilżone łzami oczy, mówią:

„Dozwólcie nam widzieć najjaśniejszego pana... Już pięć dni napróżno staramy się o to.... pięć dni, jak przyszliśmy do Krakowa. Przez ten czas żony i dzieci nasze, nie mając ani gdzie głów zeprzeć, ani co do ust włożyć, może pomarły z głodu i zimna!“

Kiedy się to dzieje, nagle ukazuje się żona Władysława Jagiełły, cnotliwa, pobożna i młoda Jadwiga. Od razu spostrzegła ona surowe miny sług królewskich i łzy błyszczące w oczach kmieci, a że litościwe jéj serce nie może patrzeć na niedolę bliźniego, rozkazuje przeto przywołać do siebie zasmuconych i uprzejmie odpowiadając na niskie ukłony, zapytuje: „co chcecie poczciwi ludzie?“

„Ach miłościwa królowo!“ zawołał jeden z nich; „wojownicy króla zabrali nam dobytki i spalili domy!“

„Zaraz będziecie wynagrodzeni“ — odpowiedziała Jadwiga, i natychmiast udaje się do Władysława Jagiełły i we wymownych słowach wystawia mu wyrządzoną krzywdę. Wzruszyła monarchę mowa cnotliwéj pani; uznał jéj żądań słuszność i natychmiast z własnéj szkatuły wynagradza pokrzywdzonych. Uczyniwszy to, z uśmiechem zwraca się do Jadwigi i rzecze: „Stało się, jak chciałaś. Za pieniądze, jakie im dałem, będą mogli domy nowe postawić, sprzęty i bydło kupić.“

„Prawda“ — odpowiedziała z anielską dobrocią Jadwiga; „wynagrodziły się ich szkody, lecz któż im łzy wylane powróci?!“

76. Przykład miłości bliźniego.

Po ostréj i długiéj zimie nastąpiła w roku 1783 na 1784 nagle odwilż. Śniegi stopniały, wszystkie potoki, strumienie i rzeki puściwszy, wezbrały, kry ogromne lodu tocząc ze sobą. Wtenczas niejeden dom nadbrzeżny został powodzią zalany lub uniesiony, niejeden człowiek znalazł grób swój w nurtach rozhukanéj rzeki.

We Weronie, mieście we Włoszech, był przez Adygę, rzekę

bardzo bystro z wysokich gór tyrolskich płynącą, zbudowany wielki, mocny most. Na nim stał domek strażnika mostowego, który przez zbyt nagłe wezbranie rzeki zapóźno ujrzał się w koło wodami otoczonym. Kry lodu szły tak gwałtownie, że większa część z kamienia murowanych filarów, na których sklepienia mostowe spoczywały, wstrzęsła się i obaliła; przez co i sklepienia upadać poczęły.

Ta część, na któréj stał domek strażnika, jeszcze się najdłużéj w fundamentach trzymała, bo stała na najmocniejszych filarach. Ale każdy był przekonany, że i ta rozwali się niezawodnie i nie potrafi wstrzymać natarczywości uderzających kawałów lodu. To też ubogi strażnik z żoną i dziećmi krzyczał i błagał o pomoc. Tysiące ludzi stało wprawdzie nad brzegiem rzeki, słysząc głos nieszczęśliwych, i zapewne każdy litował się nad nimi; lecz każdemu zdawało się być rzeczą niepodobną, aby przez ogromne kry rozhukanéj rzeki łódką przecisnąć się i szczęśliwie powrócić można było.

Przybył nareszcie i hrabia Spolweryni konno, a słysząc o niebezpieczeństwie biednego strażnika, podniósł worek z 200 dukatami i przyrzekł go dać temu, ktoby nieszczęsnych wyratował. Ale przekonanie o niechybnéj śmierci odstraszało każdego, nawet dość odważnych szyprów. Wody wzmagały się tymczasem coraz wyżéj i coraz bardziéj zagrażały domkowi strażnika.

Wtém wyskoczył z tłumu jakiś nieznajomy, a usłyszawszy krzyk biednych ludzi, zlitował się nad nimi, wpadł czemprędzéj w jedno z znajdujących się przy brzegu czołen i usiłował między bryłami lodu przez powódź przepłynąć. Udało mu się też szczęśliwie przybyć do domku. Lecz strażnik miał bardzo liczną rodzinę, a czołna nie można było obciążać za nadto. Człowiek ten więc bierze najprzód tylko trzy osoby w czołno i wysadza szczęśliwie na ląd. Wraca potém jeszcze dwa razy, dobywa wszystkich sił ciała i duszy i pracuje tak długo, póki wszystkich nie uratował. Ledwo co to wykonał, aliści reszta mostu wraz z domkiem strażnika runęła we wodę.

Zgromadzeni nad brzegiem rzeki widocznie przypatrywali się ze zdumieniem i poklaskami tak pięknemu i odważnemu dziełu cudzoziemca; a dobroczynny hrabia zbliżył się do niego i ofiarował obiecaną nagrodę, mówiąc: „Bierz, przyjacielu! szczerześ na to zasłużył.“ Lecz on odpowiedział: „Bynajmniéj! nie dla pieniędzy ja to uczyniłem, ale z obowiązku i miłości bliźniego. Choć nie posiadam wiele, jednak mam dosyć, a przekonanie, iż dopełniłem świętéj powinności, jest dla mnie dostateczną nagrodą. Niech pan ofiaruje to złoto ubogim ludziom z mostu i tym którzy wszystko przez powódź stracili.“ Domówiwszy tych słów, zniknął w tłumie ludzi.

77. Ubogi grajek.

Za panowania cesarza Ferdynanda I żył we Wiedniu żołnierz, który dla kalectwa z wojen wyniesionego nie mógł pozostać w służbie czynnéj. Płaca szczupła inwalida nie wystarczała na życie we wielkiém mieście; pracować nie pozwalało kalectwo, a żebrać nie chciał żołnierz poczciwy. Kiedy był wyrostkiem, ojciec uczył go grać na skrzypcach; pochodził bowiem z Czech, gdzie muzyka bardzo jest rozpowszechniona nawet między ludem wiejskim. To téż za młodu żołnierz nasz rzępolił jako tako. Teraz kiedy bieda dokuczała, wziął się znów do skrzypców; grywał na podwórzach domów przechodnich, którędy zwykle mnóstwo snuje się ludzi, i zawsze jakiś grosz uzbierał. Grywał téż i w Praterze, rozległym i pięknym parku, ulubionym punkcie zbornym wesołych Wiedeńczyków; więc i dziś przy święcie, tak nazwaném „Volksfest," tam go nie brakło. Stanął sobie biedak pod drzewem rozłożystém. Towarzyszył mu w takich wyprawach wierny przyjaciel, pudel stary. Wyuczone poczciwe psisko siadało zwykle przed swym panem, trzymając w zębach starą jego czapkę, w którą litościwi rzucali jałmużnę. Dziś grajkowi nie służyło jakoś szczęście, bo grał już dość długo, a czapka zawsze jeszcze była próżniuteńka. Widocznie nie zwracano uwagi na biednego grajka, gdyż już sam widok jego byłby poruszył serca.

Było człowiek zbiedzony, już prawie starzec; włos siwy i rzadki zaledwie okrywał mu głowę pokiereszowaną, twarz troskami zorana; płaszcz żołnierski stary i wyszarzany, pamiątka z czasów służby, — to było jego odzienie na słotę i pogodę, na codzień i święta, a wreszcie i na wszystkie pory roku. A nie jedyna to pamiątka z owéj dawniejszéj służby; miał on ich więcéj i daleko trwalszych, które nie wycierają się tak prędko jak płaszcz, a które go się tak trzymały, że do grobowéj deski niepodobna mu się było z niemi rozstać. Wyniósł je z bitew, o które w czasach jego młodości nie było trudno. Jedna z tych wiecznych pamiątek od razu wpadała w oczy; — starzec chodził o szczudle. Pod Aspern kula zgruchotała mu nogę. Dość znaczne były i kresy na głowie; a ktoby się grającemu bliżéj był przypatrzył, byłby spostrzegł tylko trzy palce u ręki smyczek prowadzącéj, resztę, kiedy jeszcze pałaszem wywijał, urwał odłamek granata francuzkiego w téj saméj krwawéj bitwie pod Aspern, i to równocześnie, kiedy kula w nogę go ugodziła. — A przecież mimo tak wybitnych odznak nikt jakoś nie zważał tym razem na grajka, chociaż na uroczystość dzisiajszą kupił za ostatni grosz świeże struny i z całym zapałem wygrywał ulubione podówczas marsze i tańce. Toż tém smutniéj spoglądał biedak na tłumy przesuwających się przechodniów, na ich wesołe,

wypogodzone twarze, na gwar ludzi szczęśliwych. Wesołość ich i śmiechy głośne przenikały dziś do głębi serce biedaka. Im tak dobrze na świecie, tak wiosenno i swobodnie! — a on biedny, opuszczony, o głodzie będzie musiał przepędzić noc na barłogu w pustém poddaszu! Boleść ścisnęła mu serce; nawet psu swemu lepszéj pozazdrościł doli, bo ten gdzieś w rynsztoku znajdzie przynajmniéj kość i jako tako głód zaspokoi!

Było już dość późno z południa. Słońce już miało się ku zachodowi, a z niém i nadzieja grajka biednego. Do czapki nic jeszcze nie wpłynęło. Ustawała wreszcie ręka znużona, a i noga, długiém staniem natężona, służbę wypowiadała. Zmęczony i przejęty boleścią grajek, otarł pot z czoła, usiadł na pobliskim kamieniu, oparł o rękę głowę pochyloną, a kilka łez gorzkich potoczyło się po licach troskami zoranych i padły na ziemię. Ale ta nikomu o tém nie powie!...

Jakżeż, czy łzy te spłynęły marnie, zupełnie niepostrzeżone? O! nie. — Widział je i policzył Ten, bez którego wiedzy nawet włos z głowy nie spadnie; a prócz niego dostrzegło je także oko ludzkie. Stał bowiem opodal mężczyzna młody, porządnie ubrany, i od jakiegoś czasu z widocznem współczuciem przypatrywał się biednemu grajkowi. Widział więc także, jak znużony starzec ocierał skaleczałą ręką oczy załzawione. Łzy te nieszczęśliwego nieznajomy widocznie uczuł w głębi serca, bo nagle przystąpił do niego a wcisnąwszy mu pieniądz do ręki, poprosił o pozwolenie skrzypców na chwil kilka. Grajek spojrzał wdzięcznem okiem na dobrodzieja, a wyrozumiawszy, o co chodzi, podał instrument. Nieznajomy nastroił go, stanął tuż obok grajka i zawołał: „Kolego! teraz ja gram, a ty zbieraj pieniądze!“ Po kilku pociągach smyczka grajek patrzał ciekawie na skrzypce, prawie nie dowierzając, że to jego własne, tak dźwięczne i czułe płynęły z nich tony. Z razu zagrzmiała cicha przegrywka, po niéj jakby prośba o natchnienie i pomoc do spełnienia dzieła zamierzonego. Niedługo potém mistrz począł przyspieszać tempo; charakter prośby poważnéj coraz więcéj ginął, aż wreszcie zabrzmiał silnymi tonami marsz, jakby wezwanie do szyku bojowego, a oraz niezawodnie jako przypomnienie, że ten, który obok grającego stał na szczudle, niegdyś w szyku takim spieszył tam, gdzie go wołała najświętsza powinność; dziś niestety! nawet uwagi na się zwrócić nie zdoła. Więc i marsz się skończył, a mistrz przeszedł z wesołego w ton smutny. Struny jęknęły żałośnie, jakby chciały wyśpiewać głęboki żal zbolałego serca, żal tak rzewny i przenikający, że słuchaczom cisnęły się łzy do oczu. O bo już nie brakło słuchaczy! Gromady przechodniów już otoczyły grajków, a co chwila zatrzymywali się nowi. Uderzała każdego

już sama grupa i scena niezwykła: grajek elegancko ubrany obok żołnierza kaleki, przed nimi pudel z czapką w zębach. Przytém gra porywająca do miejsca przykuwała. Łatwo też rozumiał każdy, że mistrz jakiś znakomity a szlachetny niesie pomoc zapomnianemu od tych samych słuchaczy biedakowi. A nadto sprawie całéj dodawała uroku i coraz większe budziła zajęcie ta okoliczność, że nikt nie znał grającego. Zatém coraz bardziéj rosło koło ciekawych; zatrzymywały się i powozy bogaczów, a do czapki sypały się rzęsiście pieniądze: złoto, srebro, miedź, jak komu kieszeń pozwalała. Pudel począł warczeć; widocznie zbyt mu zaciężyła napełniająca się czapka. Zawołał więc ktoś: „Starcze! wypróżnij czapkę; napełni się powtórnie!“ Żołnierz usłuchał, i w rzeczy saméj niezadługo znowu wsypał kupę pieniędzy do worka, który mu służył za puzderko na skrzypce.

Tymczasem nieznajomy grał bez przerwy. Oczy do góry wzniesione jaśniały radością; toż coraz wiecéj zadziwiał i porywał słuchaczy. Świadczyły też o tém coraz rzęsistsze i głośniejsze ze wszech stron oklaski. Nareszcie tony spotężniały i z całą powagą uroczystą zabrzmiał wspaniały hymn ludu. W oka mgnieniu uniesienie słuchaczy wzrosło w istny szał, i naraz zawtórzył skrzypcom potężny chór z kilku set piersi. Mistrz sam zachwycony wydobywał coraz większą siłę, aż nareszcie skończywszy ostatnią zwrotkę hymnu, szybko wręczył skrzypce właścicielowi i znikł prędzéj, nim uszczęśliwiony grajek zdobyć się mógł na słowo podziękowania a zachwyceni słuchacze wyjść z uniesienia.

„Kto to taki?“ — po chwili z różnych stron zawołano. „Znam go dobrze,“ odezwał się ktoś z obecnych. „To sławny skrzypek, Francuz, Alexander Boucher. Mistrz zacny talentem swym przyszedł w pomoc biednemu grajkowi!“

Tymczasem stał na swém miejscu, jakby posąg nieruchomy, uszczęśliwiony grajek. Serce rozrzewnione zwarło mu usta, a strumień łez oblewał jego lica, łez jednak różnych od tych, które tak niedawno piekły mu stroskane oblicze!

Z naddunajskiéj stolicy przybyło wieczora onego dwóch prawdziwie szczęśliwych: grajek, hojnie obdarzony, i szlachetny mistrz, przeświadczony niezawodnie, że najpiękniejszy i najznakomitszy w swém życiu odegrał koncert.

(Z. Sawczyński).

78. Miłujcie i nieprzyjaciół waszych.

Pewien bardzo bogaty człowiek w Turcyi odpędzał ubogiego zelżywemi słowy i biciem za to, iż go prosił o wsparcie; a gdy

się biedny oddalił, rzucił za nim nawet kamieniem. Wszyscy przytomni patrzyli na to z oburzeniem, ale nikt nie mógł odgadnąć, dla czego ubogi, podniósłszy ów kamień, schował go do kieszeni, nie mówiąc ani słowa: i nikt nie myślał, że on go przy sobie nosić będzie. A przecież tak było w istocie. — Po upłynieniu jednego roku dopuścił się ów bogacz jakiéjś zbrodni, za którą nie tylko cały swój majątek utracił, ale nadto musiał podług zwyczaju tamtych krajów, wystawiony na widok publiczny dla hańby, wsiąść na osła, twarzą do ogona, i tak przejeżdżać przez całe miasto. Nie obeszło się to bez pośmiewisk i szyderstwa ze strony ludu, który zgiełkliwie zbiegał się na około niego. Ów biedny z kamieniem w kieszeni znajdował się także między patrzącymi i poznał tego, który go skrzywdził przed rokiem. Natychmiast sięgnął ręką do kieszeni, wydobył kamień, podniósł go w górę i już chciał nim rzucić na nieprzyjaciela; ale jakby od dobrego jakiego ducha napomniony, upuścił go na ziemię i odszedł z rozczulonem sercem.

Z tego nauczyć się można najprzód, że w szczęściu nie powinniśmy być dumnymi ni pogardzającymi ubogimi, bo od poranku do wieczora wiele się odmienić może, a kto tobie jako przyjaciel nie może dopomódz, ten ci może jako nieprzyjaciel szkodzić; a powtóre, nie powinniśmy na nieprzyjaciela nosić kamienia w kieszeni, t. j. zemsty w sercu, bo, gdy ów ubogi rzucił kamień na ziemię i odszedł, tedy niezawodnie tak rzekł do siebie: mścić się nad nieprzyjacielem, kiedy jest bogaty i szczęśliwy, byłoby nierozsądkiem największym, teraz zaś, kiedy jest w nieszczęściu i pogrążeniu, byłoby nie południku i haniebnie. A Jezus tak naucza: „Miłujcie nieprzyjaciół waszych, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, a módlcie się za tych, którzy was prześladują i obrażają.“

(Łukaszewski).

79. Bocian Janiczek.

Za dawnych czasów żył bogaty bardzo pan, hrabia Dobrzeński, który miał syna jedynaka, Do dworu tego hrabiowskiego zalatywał często młody bocian, który tak się przywiązał do ludzi, że dano mu nawet osobne imię Janiczek. Kiedy go kto po tém imieniu wołał, biegł lub leciał do niego bez najmniejszéj obawy. Osobliwie młody hrabia lubił tego bociana; zawiesił mu téż, aby go od innych odróżnić, na szyi wstążkę niebieską.

Janiczek odlatywał z innymi bocianami pod zimę do ciepłych krajów, ale z wiosną wróciwszy, przylatywał zaraz do dworu i witał się radośném klekotaniem z ludźmi, jakby z dobrymi przyjaciółmi.

Zdarzyło się, że poganie wpadli byli do Czech, bo było to w czasach, kiedy Tatarzy i Turcy co roku prawie wyprawiali się to do Węgier, do Polski, to do Czech lub dzisiajszéj Austryi. Czeskie rycerstwo rozpoczęło walkę z tłuszczą, a młody hrabia Dobrzeński chwycił także za szablę i poszedł bronić kraju przeciw okrutnemu nieprzyjacielowi. Ale w jednéj bitwie został ranny i wzięty przez Tatarów do niewoli. Pognali go w jasyr, okuli w kajdany i kazali mu pracować ciężko. Jeden starszy tatarski, który miał stopień księcia i generała, wziął go do siebie na niewolnika i kazał mu kopać w ogrodzie. Tu młody hrabia Dobrzeński od rana do nocy wśród spieki pracować musiał, a gdy go kiedy siły opuszczały, tatarskie sługi kijami napędzali go do kopania. Tak żył w srogiéj nędzy biedny młodzieniec bez nadziei ratunku. Albowiem lubo ojciec jego był bardzo bogaty i chętnie wykupiłby syna za drogie pieniądze z niewoli, nie było sposobu dać znać ojcu do kraju, ani listu napisać, ani przez kogo przekazać do rodzinnéj ziemi. Nieraz też gorzkiemi łzami zalewał się młody hrabia i prosił Boga, aby śmierć na niego zesłał, by go z rąk okrutnych pogan, z nędzy i utrapienia wielkiego wybawił.

Pewnego razu, a było to właśnie wtedy, kiedy u nas i w Czechach już wiosna na dobre, pracował jak zwykle młody Dobrzeński w ogrodzie wśród ogromnego upału, bo na Tatarszczyznie o tym czasie jest skwar i gorąco. Zmęczył się więc bardzo, opuścił rydel i płacząc rzewnie, rzucił się na ziemię, wołając: „O! Boże wszechmocny! wybaw mnie z téj niewoli, albo daj mi umrzeć, aby cierpienia moje się skończyły!“

Kiedy tak rozpacza, ujrzy nagle nad sobą wysoko stado bocianów, które właśnie z gorących krajów ku północy leciały. Na ich widok jeszcze bardziéj serce go zabolało, i rzekł: „O! wy ptaki wolne i szczęśliwe! Wy lecicie może do Czech, będziecie może nawet w wiosce mego ojca; o gdybyście mi powiedzieć mogły, co robią moi drodzy rodzice, co się dzieje na miłéj mojéj ziemi?!“ I przypomniał mu się ów bocian ulaskawiony Janiczek, którego tak lubił, a który zawsze przylatywał do dworu jego ojca. I popatrzył biedny niewolnik do góry, klasnął w dłonie i zawołał: „Janiczek! Janiczek!“ I o dziwo! — patrzy, a tu na to wołanie jeden bocian spuszcza się z góry, leci wprost do niego i staje przed nim z radośném klekotaniem. Dobrzeński przypatruje mu się, a bocian śmiało do niego się przybliża. Wtedy młody hrabia poznał Janiczka po niebieskiéj wstążce na szyi, którą mu sam w domu zawiesił. Na ten widok radość wstąpiła w serce niewolnika; począł płakać z rozczulenia i całować bociana. Opamiętawszy się trochę, rzekł sam do siebie: „Kto wie? może ten bocian i tą razą wróci

do wioski mego ojca! Gdyby można jakim sposobem dać przez niego wiadomość do rodziny!“ I począł nad tém myśleć, a po małéj chwili zdarł z zielonego pręta łyko i twardém cierniem napisał na niém: „Drogi Ojcze! Jestem w niewoli u hana tatarskiego, który chce za mnie okupu. Dobrzeński.“ Potém zdjął wstążkę bocianowi, a natomiast przewiązał mu przez szyję łyczko cierniem napisane. Jeszcze przez chwilę był bocian przy młodym hrabią, ale wnet zaklekotawszy, odleciał za swymi towarzyszami.

Smutno zrobiło się znowu młodemu niewolnikowi. Cierpiał daléj nędzę i męczarnię,—i tak minęło kilka miesięcy. Kiedy sobie bociana wspomniał, myślał: „Kto wie, czy nie zgubił po drodze mego pisma, albo i też nie zdechł!“ Tymczasem inaczéj się stało. Ojciec bowiem biednego Dobrzeńskiego siedział był jednego dnia téj wiosny na ganku przed dworem, gdy naraz nadleciał jakiś bocian. Starzec poznał w nim Janiczka i zawołał smutnie: „Janiczku! tyś poleciał i wróciłeś znowu, a mój jedyny syn jak poszedł, tak nie wrócił!“ W tém bocian zleciał na ziemię przed gankiem i począł sobie chodzić koło starca, który tak daléj mówił: „Nie ma mego syna, bocianie; nie ma komu bawić się z tobą i pieścić!“

Nagle dojrzał stary hrabia, że bocian na szyi nie ma wstążki niebieskiéj, ale jakieś łyko. Ciekawością wiedziony, zerwał łyczko ze szyi bociana i począł oglądać. Jakąż uciechą rozradowało się serce jego, kiedy wyczytał wiadomość o swoim ukochanym synie! Nie chciał z początku wierzyć oczom swoim, potém zwołał ludzi, którzy nie posiadali się ze zdziwienia i radości. Na drugi dzień zaraz zabrał stary hrabia wszystkie swoje skarby i wybrał się w drogę do kraju tatarskiego. Po długim czasie, a licznych przygodach dostał się do hana i wykupił syna z niewoli. Ciesząc się niezmiernie, dziękowali Bogu za tę radość i wrócili do Czech; a odtąd Janiczek był im tak miły, jak gdyby był człowiekiem i ich bratem!

Na pamiątkę tego zdarzenia zmienili hrabiowie Dobrzeńscy zaraz swój herb i pieczętowali się bocianem, aby z dziada na wnuka, z ojca na syna przechodziła pamięć osobliwszego wypadku. Niedawno jeszcze temu widziano w Galicyi jednego pułkownika z wojska cesarskiego, którego słudzy nosili na guzikach znak bociana Gdy ich się zapytano, u kogo służą, powiedzieli, że ich pan pułkownik nazywa się hrabia Dobrzeński i jest Czech z rodu. Ten pułkownik Dobrzeński był więc może jaki pra-pra-wnuk owego, który był w niewoli tatarskiéj.

(Dzwonek.)

80. Szacunek prawego męstwa i honoru.

Niegdyś Kalifa Almanzor prowadząc wojnę z królem perskim, potrzebował do jednéj ważnéj i tajemnéj wyprawy człowieka pełnego męstwa i honoru, w którymby mógł położyć zupełne zaufanie. Los całéj wojny zależał od téj wyprawy, w któréj najmniejsza zdrada wszystko zgubić mogła. Kalifa od tygodnia w największéj znajdował się niepewności i nie wiedział, na kogo się w tém spuścić. W tę porę właśnie przyprowadzono do Bagdadu pięć set brańców. Wydano wyrok w pień wyciąć tych nieszczęśliwych. Dwieście z nich uciekło z bitwy, lecz odcięci w ustępie i powiązani, przyprowadzeni byli za zwycięzcą. Trzystu nie chciało uciekać; z bronią więc w ręku po najdzielniejszym oporze pojmani zostali. Kalifa zawsze myślący o człowieku, którego tak bardzo potrzebował, nadchodzi przypadkiem na to miejsce, gdzie miano spełniać okrutny wyrok, skazujący wszystkich brańców na śmierć. Zastanawia się i tknięty tym widokiem, chce im przebaczyć tak jednak, aby ta łaska szkodliwego nie robiła przykładu. „Przebaczam“ — mówi — „tym wszystkim, którzy uciekali przed moją potęgą; a zatém, nędzni niewolnicy, niech każdy z was, który uciekał, idzie na prawo.“ Na te słowa wszyscy brańcy razem ruszyli; jeden zaś zostaje w miejscu nieporuszony. Almanzor patrzy na niego z zadziwieniem i rzecze:

„Dla czegoż nie idziesz w ślady twoich towarzyszy nieszczęścia?“

„Ja nie naśladuję podłych“, odpowie żołnierz.

„Powiadam tobie, że przebaczam wszystkim, którzy uciekali.“

„Ja nigdy tego nie uczyniłem.“

„Nierozumny! dla czegoż nie przyjmujesz środka, który podaję tobie do zachowania życia?“

„Boby mnie pozbawił honoru.“

„Pójdź! zawołał Almanzor, „znalazłem człowieka, jakiego mi potrzeba. Przebaczam, a wielkość twojéj duszy nie zostanie bez nagrody.“—Poczem prowadzi z sobą żołnierza i zleca mu wyprawę, do któréj szukał dowódzcy śmiałego i przenoszącego honor nad wszystk[illegible] żołnierz odpowiedział zaufaniu; wyprawa poszła pomyślnie, a wojn[illegible]kończyła się z pożytkiem Kalify, który potém mianował tego [illegible]znego człowieka najwyższym wojska wodzem.

(Elsenborg: Książka do czytania.)

81. Ostatni policzek.

[illegible]skończonych naukach, pisze Karpiński, jeden z większych rym[illegible]rców polskich, w pamiętnikach swoich, przyjechałem na świ[illegible]do rodziców. Mieliśmy zawsze jak największe dla matki,

a szczególniéj dla groźnego ojca uszanowanie. Nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę, stojąc przed nim, oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził.

Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimsiś rozmawiając, wszystkie te wyżéj wspomnione ostrożności względem ojca zachowałem, kiedy razem, przystąpiwszy do mnie, ciężki mi wyciął policzek, i znowu po izbie jak przedtém się przechodził. Nie wolno było spytać się, za co to? W milczeniu skromném, z oczyma w ziemię spuszczonemi, czekałem końca. Wtém ojciec mój rzucił mi się na szyję i mówić ze łzami począł: „Synu mój! ja prostak, bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof. Doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od twego ojca. Ale kiedyś skromny i pokorny, kiedy mnie w starości szanujesz (w tém ukląkł w pośrodku izby i podniósłszy ręce do góry, zawołał): Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba! pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo zdrowe i szczęśliwe!“ Padłem mu do nóg rozrzewniony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, który odebrałem, a on klęczący do klęczącego mówił wielce wzruszony: „Synu mój! szanuj ludzi, a będziesz szanowany; ten policzek który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni! A gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię miał tak skrzywdzić, w krwi tylko nieprzyjaciela twego wzgarda takowa zmazać się może.“

Niedługo potém ten srogi, ale zarazem najcnotliwszy ojciec pożegnał nas, pisze Franciszek Karpiński daléj. Przed skonaniem po kilka razy zemną mówić żądał, a widząc się bliskim zgonu, matce tylko zalecił: „Powiedz tam Franciszkowi, niech prawdą idzie na świecie,“ i to były jego ostatnie słowa.

82. Piotr Sądek.

W 1823 roku w pośrodku miasta Radomia odbywała wielka parada wojskowa. Ludność miejska ciekawa i tłumna zawsze, gdzie tylko jest jakiś powód do zbiegowiska, otoczyła we szeregi, pośród których przewodzący konno major Piotr Są rwacał powszechną uwagę, bo imię jego było znane z pięk cnót i z wielkich zdolności wojskowych.

Major w początkach swego zawodu był zmuszony ść do służby pieszego wojska, lecz wkrótce potém w 1806 roku eszedł do konnicy armii księstwa warszawskiego, i odtąd dzień jego życia znaczył się nową zasługą i nagrodą nową na drodze ublicznéj służby.

Żołnierze oddawali mu cześć i miłość, bo na jedno i na drugie zasługiwał, a starszyzna otaczała go wysokim szacunkiem i przyjaźnią, które jeszcze zwiększyły się okolicznością, jaką wam chcę opowiedzieć.

Roku 1823 odbywała się w Radomiu parada wojskowa. W przerwie przeznaczonéj na wypoczynek po długich manerwach dano znać Sądkowi, że jacyś wieśniacy z Uniejowa chcą się z nim widzieć koniecznie. Major kazał ich wezwać natychmiast, i wkrótce kmieć w brunatnéj sukmanie z żoną swoją stanął wśród tłumu zbrojnych oficerów, adjutantów i kapitanów, mających piękne ostrogi, piękne szlify i najpiękniejsze szable.

Wieśniacy nie śmieli podnieść oczu na ten orszak wspaniały; zdziwienie ich było wielkie, ale większy jeszcze był podziw zebranych gości, kiedy ulubiony major zsiadłszy z konia, upadł do nóg kmiotków, wołając:

„Ojcze mój! matko moja!“

Waleczne i ozdobne krzyżem za waleczność piersi Sądka schyliły się do nóg rodziców, którzy w smutkach swoich i w koronie siwych włosów królowali nad nim rodzicielskim majestatem.

Wszystkim łzy z oczu popłynęły, wszyscy błogosławili miłosierdzie Boga, który nawet najbardziéj maluczkim z ludzi zostawił w obrębie ich życia rodzinnego, w ojcowskiéj ich władzy, część potęgi i władzy królewskiéj.

Stary Sądek z rozczuleniem podniósł schylonego do nóg syna, a szczęśliwa matka patrzyła z pełną radością i pociechą na dziecię swoje, odziane tylu dostojeństwy; major całował ich spracowane ręce, a starszyzna pułkowa na uczczenie swego dowódcy za to, że się nie powstydził biednych rodziców i nie zaparł kmiecego stanu, z którego był wyszedł, wyprawiła wspaniałą ucztę, ofiarując najpierwsze na niéj miejsca dla dwojga wieśniaków.

Po skończonéj uczcie Sądek z rodzicami udał się na wieś, aby obaczyć domek, w którym swą młodość przepędził. Jako dobry syn wywdzięczył się kochanym rodzicom, bo użył uzbieranego grosza na osłodzenie ich doli. Zapłaciwszy dziedzicowi, co było słusznem, uwolnił rodziców od obowiązku pańszczyzny i uczynił ich na zawsze wolnymi właścicielami.

Lepszy byt jego i zaszczytne położenie w świecie nie zmieniły jego dawnéj przyjaźni i miłości dla wieśniaków; owszem tém więcéj o nich pamiętał, poświęcając wpływy swoje i umiejętności na wyjednanie dla nich od rządu sprawiedliwości lub łask, o które prosili.

To też ilekroć Piotr zajrzał do chaty rodziców swoich w Uniejowie, gromada wiejska tłoczyła się przed jéj drzwiami, aby go

ujrzeć, a on siadając pośród niéj na ławie i opowiadając koleje swojego życia, nieraz powtarzał:

„Moi bracia! chociaż kto jest chłopem, jednak wszystkiego dobrego na świecie dosłużyć się może, i jeżeli się stara o cnotę i rozum, bo cnota i rozum najwięcéj uszlachetniają człowieka... O téj prawdzie pierwszy raz objaśnił mnie mój pułkownik, dając mi pierwszy oficerski stopień i krzyż złoty za waleczność.“

„Panie pułkowniku!“ — powiedziałem jemu, zdziwiony tym zaszczytem — „ależ ja jestem chłopem!“

„Nic to nie znaczy, mój bracie!“ — odrzekł waleczny dowódzca — „kiedy twój czyn jest szlachetny.“

(„Złota księga).“

83. Sól.

Październik chłodny zbliżał się już do końca. Poranek był dżdżysty, zimno dokuczliwe, gdy Małgorzata Gdańska, mieszkanka Wieliczki, obwinąwszy się w ciepłą chustkę, wyszła na ulicę. Robotnicy i przekupki kręcili się już tu i owdzie. Zadumana niewiasta ciężko westchnęła, a na jéj bladéj, schorzałéj twarzy malował się żywo smutek głęboki.....

Przed rokiem miała Małgorzata także swój stragan w pośrodku rynku. Stamtąd królowała najpiękniejszą włoską kapustą i pietruszką, a jéj głośna mowa nakazywała nieraz poważne milczenie zarówno wymownym koleżankom, rzucając trafne rady i napomnienia, jak i dziarskim Krakowiakom, kupującym na kwarty ulęgałki. Tam rozpowiadała dziewczętom, garnącym się około straganu, świetniejsze czasy Sukiennic i królewskiego zamku, które była w swéj młodości widziała w Krakowie. Powieść o smoku przybierała w jéj ustach nowe i przerażające kształty. Wawel z niewypowiedzianą wysokością piętrzył się w umysłach słuchaczy, a pani Gdańska rosła w powagę, i miała pierwszeństwo nawet przed temi, co sprzedawały czerwone korale.

Teraz zaś wszystko się zmieniło! Małgorzata w długiéj i ciężkiéj chorobie wydała wszystkie pieniądze, sprzedała swój stragan, a i to byłoby nie wystarczyło jeszcze, gdyby Antoni, syn jéj pracowity, nie zarabiał na lekarstwo.

Powstawszy z choroby, dzisiaj po raz pierwszy wyszła na rynek i wzdychała tém bardziéj, widząc, jak tłusta Bartnikowa rozsadawia się w jéj miejscu, wychwalając swoje selery i koncepta.

Dawne koleżanki zaczęły ją witać, a Bartnikowa pociągnęła za suknię:

„No, no! pani Małgorzato, a kiedyż siądziesz między nami?“ rzekła.

„Wydało się pieniądze na aptekę; nie ma za co kupić wiktuałów.“

„Kiedy tylko Pan Bóg zdrowie dał, to wszystkiego innnego się nabędzie“ — wtrąciła druga.

„Zapewne!“ szepnęła z westchnieniem dawna przekupka... Ja też wdzięczna Bogu za zdrowie, idę Wszechmocnemu podziękować za otrzymane dobrodziejstwo, prosić o łaskę Jego nadal, a zarazem oddać Opiece Jego mojego Antosia, co mnie tak czule doglądał w chorobie. Chcę się pomodlić za siebie i za niego; boć i on mi jakoś strasznie pobladł, istnie więdnie chłopczyna...“

„Pono strasznie pracuje....“

„A jużci... jest czeladnikiem u krawca; cały dzień przy warsztacie; nie mała tam robota!“

„Oho!“ — odrzekła gadatliwa przekupka, — „Pracujeć on pono jeszcze i gdzieindziéj, tylko wam nie powiada, Małgorzato.“

„Jakto?“ — spytała niespokojnie Gdańska; ale Bartnikowa zająwszy się kupującymi, odwróciła się od niéj, zostawiając bez odpowiedzi zadziwioną matkę, która poszła także w swoję stronę, Idąc tak w zadumaniu, zbliżyła się mimo wiedzy do salin, lubo chciała odwiedzić kościół. Tu dopiero spostrzegła się, że daleko oddaliła się od kościoła; ponieważ zaś i w salinach znajduje się kaplica, postanowiła tamże się dostać. Saliny opodal miasta ciągnęły się na dwieście mil pod ziemią, dostarczając od 1239 roku niesłychanéj ilości zielonéj, szybikowéj i oczkowatéj soli. W niezmiernych głębiach kopalni, podzielonéj na trzy piętra, pracowało ośm godzin dziennie tysiąc robotników; ładunki soli rozchodziły się na różne strony świata, a wędrowcy cuda opowiadali o kopalniach Wieliczki, zagro[illegible] już kilkakrotnie zgubnym pożarem.

[illegible]mi się spieszyć“ — pomyślała kobieta, zbliżywszy się [illegible]aby Antoś za powrotem do domu nie poznał, żem [illegible]ab[illegible]ężką i trudną przeprawę. On taki o moje zdrowie fra[illegible]nuciłby się i gniewał.“ — I kazała robotnikom, by ją spus[illegible] pierwsze piętro.

W[illegible]to się do lin, a Małgorzata jeszcze więcéj pobladła, widząc się zwieszoną nad przepaścią. Podróż jednak nie trwała długo, i niewiasta wkrótce modliła się w kaplicy św. Antoniego, wykutéj w soli, któréj gorejące kaganki dodawały brylantowych blasków i kolorów.

Łoskot pracujących młotów wtórował jéj modłom; tysiąc bladych płomyków gasło i rozświecało się w kopalni. Niewyraźne cienie robotników snuły się w głębokich rozpadlinach, a Małgorzata zbliżyła się do jednego z nich, obrabiającego duży bałwan soli, bo

chciała się spytać o jezioro Przykos. Młodzieniec, zwyczajem tamtejszych górników przybrany w białą jak śnieg bluzę, podniósł oczy i wpatrzył się w niewiastę, a potém wykrzyknął; kobieta krzyknęła także z przerażenia i rzekła:

„Antoni! ty tutaj? synu mój!“

„Matko!“

I po wzajemném uściśnieniu wzajemne nastąpiły wyjaśnienia. Pani Gdańska opowiedziała, jakim sposobem tu dotąd przybyła; a syn wyznał, że nie mogąc u krawca tyle zarobić, ile było trzeba na wydatki w chorobie matczynéj i na zakupienie nowego straganu, przybrał jeszcze do pomocy robotę w kopalni. Cztery godziny, stanowiące pół szychty w salinach, miały zarobkiem przyniesionym odbudować z dawną świetnością stragan Małgorzaty w rynku....

Kobieta rozpłakała się, położyła rękę na głowie młodzieńca, który ją z poszanowaniem uścisnął i rzekł:

„Nie płacz matko! Cieszmyż się raczéj tém niespodziewaném spotkaniem.... Tobie słabéj nie prędko zdarzy się być znowu w kopalni; korzystajmy więc ze sposobności, i obejrzyj się na około. Oto posąg Augusta II w soli wykuty — jezioro Przykos, do którego sprowadzono wszystkie wody, sączące się z powierzchni ziemi przez warstwy piasku i gliny. W dni uroczyste przyjazdu królów polskich łodzie pływały na tém jeziorze, a kagańce w okrąg ustawione, dodawały mu barw przedziwnych. Daléj jest wspaniała sala, gdzie ugaszczano monarchów i wędrowców. W głębi są przepaści kopalni, tysiące robotników i błędnych światełek. Oto wszystko, zda mi się, z naszych podziemnych osobliwości.“

„Nie wszystko!“ — przerwała kobieta, ciągnąc młodzieńca do kaplicy św. Antoniego i klękając na pierwszym stopniu. „Nie wszystko, chłopcze! Nim zakończysz twoje opowiadanie, dodaj, że przy tym ołtarzu szczęśliwa matka błogosławiła dobrego który się zrzekał nawet widoku słońca, byle dla niéj zapracować.“

„Dobrze“ — szepnął młodzieniec, schylając się z poszanowaniem przed błogosławiącą go ręką—„lecz dodaj także, iż ten syn spełnił najświętszą powinność względem matki, która go wiele lat życia karmiła owocem swojéj bezsenności i trudów.“

Tak się skończyła ta najpiękniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek saliny słyszały. Syn odprowadził matkę do wyjścia i wrócił do roboty, a wieczorem siadłszy w domu przy wieczerzy, oddał jéj radośnie uzbierane już pieniądze i gwarzył o swoich synowskich nadziejach.

Jakoż po niewielu dniach wytrwałéj pracy stragan Małgorzaty zazielenił się znowu najpiękniejszą włoszczyzną, jarzyną i owocami.

Pani Bartnikowa musiała się teraz usunąć i uciszyć, bo głos dawnéj przekupki, zdrowéj i szczęśliwéj, odzyskał swą powagę i nabrał nowéj rozczulającéj wymowy gdy zaczęła rozpowiadać o uszanowaniu, miłości i trudach swego ukochanego syna, o którym wkrótce w całéj Wieliczce mówiono:

„Oto jest Antoni Gdański, najbieglejszy czeladnik krawiecki, najporządniejszy młodzian, najlepszy syn.“ Cześć też synowska, nakazana tak uroczyście w czwartém przykazaniu, zjednała mu sławę u ludzi, a dostatek i błogosławieństwo od Boga.

(„Złota księga.“)

84. Stok na rozdrożu.

Między Suchém-Lipiem a Borowem, wioskami w Lubelskiém położonemi, przy drodze z jednéj do drugiéj wioski idącéj, wśród sosnowych lasów, piętrzących się pod stromą górą, jest miejsce zwane „stokiem.“ albo „mogiłą topielca.“ Pomimo prześlicznego położenia miejsce to jest postrachem dla ludu, rozpowiadającego dziwne rzeczy o przeszkodach, jakie się niejednemu przy mogile topielca trafiły, o błędach, które wodziły ludzi po dołach i wertepach aż do zapiania pierwszego kura.

Mieszkałem długi czas w Suchém-Lipiu; nasłuchałem się więc nieraz różnych pogadanek i zapragnąłem dowiedzieć się także historyi mogiły topielca, ale jakoś dotąd nie umiał mi nikt dokładnie jéj opowiedzieć.

Raz dążąc, jak zwykle, drogą ku mogile wiodącą, spotkałem znanego mi starca, szlachcica, właściciela kilkozagonowéj cząstki w Suchém-Lipiu i zapytałem go bez ogródki, czy nie wie, skąd się biorą wieści o tém miejscu.

„Wiem, bo przecież człowiek nie od dziś kołata się po tych stronach“,—odrzekł, kiwając głową,—„i nie od dziś słucha ludzkich pogadanek; a trzeba panu wiedzieć, że z takich, jak je tam może kto nazywa głupich baśni, więcéj się można nauczyć, aniżeli z tych pięknych ksiąg, które ludzie światowi całe dni może czytają.“

Idąc za starcem pod górę, pomyślałem sobie, że to bardzo rozsądna z jego strony uwaga, i zachęciwszy go, aby odpoczął, wymogłem, że mi przyrzekł opowiedzieć historyą mogiły topielca.

Zabraliśmy miejsca obok siebie, razem złożyliśmy nasze podpodpory, a starzec zaczął:

„Trzeba panu wiedzieć, że dawno, dawno, nie pamiętam już przed ilu laty, nieboszczyk pan Stamierowski, dziedzic Żółkiewki, który był panem wielce rozumnym, wspaniałym i łaskawym, jednemu ze sług swoich, pono jak teraz zwą ekonomowi, za wysługę kupił

tu w tém miejscu spory kawał gruntu, wybudować mu kazał domek i wyliczyć ze swéj kasy tysiączek jeden i drugi złotych na zagospodarowanie. Stary skłoniwszy się do nóg panu pomodliwszy się do Boga o błogosławieństwo dla całéj jego rodziny, osiadł na własnéj grzędzie i pędził życie spokojnie, nie troszcząc się o kawałek chleba i przytułek.

Pamiętam go jeszcze jak przez mgłę. Niski, trochę garbaty, krzątał się koło pracy od świtu do zmroku, a taki był poczciwy, że poczciwszego i na sto mil w około by nie znalazł. Żona jego dobra, stateczna, pielęgnowała go troskliwie, dogadzając mu we wszystkiém i po Bogu miłując najserdeczniéj jego i jedynego syna, który im z kilkorga dziatek pozostał, zwinnego, czupurnego Grzesia.

Grzesio był u nich jak oko w głowie. Co najlepszego, to dla Grzesia; o kim mowa? o Grzesiu; za kogo pacierz szepce poczciwa matka do późna w noc? za Grzesia; czyje imię wspomina stary, kiedy w kościele daje dziadom jałmużnę? pewno Grzesia; a Grzesio sprytny, zwinny, płatał figlów co nie miara, i kiedy bywało, że ze szkół z Zamościa powrócił, to osiedzieć się przy nim nie było można. Ojciec cieszył się z tego, mówiąc: że z gapia ni Bogu, ni ludziom nie ma pożytku, a matka ze łzami prosiła najświętszéj Panny, aby go ustrzegła od złego.

Kiedy w żartach spytać go było, czem ty Grzesiu będziesz? — „„Wielkim panem!““ odpowiadał śmiało, a kiedy mu ojciec mówił: „„ty chudziaczek, syn ubogiego sługi, szerepetka, — lepiéj myśl o poczciwym kawałku chleba, aniżeli o takiém głupstwie, które ci tylko głowę oszołomi i nieszczęścia przysporzy:““ Grzesio odzywał się: „„O ojcze! gdybym tu z wami został, gdybym kopał ziemię, siał żyto, sadził fasolę, tobym pewno nie był wielkim panem, ale ja siła umiem; ja pójdę w świat, i obaczycie, jak tu po was sześciu końmi zajadę!““

I ojciec patrzał na niego jak na dziwo, a matka z radości płakała.

Ale jakoś wkrótce zmarło się staremu niespodzianie. Podobno konając, płakał tylko na to, że Pan Bóg nie dał mu dożyć pociechy z Grzesia, i zaklinał żonę, aby ostatni rańtuch sprzedała, a Grzesiowi do wyjścia w świat dopomogła.

Nieboga i bez jego zaklęć byłaby to zrobiła, bo kiedy Grzesio o co do niéj przemówił, to choćby z pod serca wyjąć, a jemu dać. Powiadam panu, że ciężko było na nią patrzéć, tak się biedactwo morzyło głodem, ubierało w ladajakie szmaty, aby tylko zebrać grosz na utrzymanie Grzesia w szkołach i na sprawienie mu porządnéj odzieży. Ile to bezsennych nocy strawiła biedna przy pracy, ile razy pot oblewał wynędzniałą twarz przy kopaniu grządek w ogrodzie, przy sierpie lub grabiach, aby więcéj zostało dla Grzesia,

i aby jak przyjdzie na święta i wakacye, miał się w co ubierać i za co pana udawać.

Za to wszystko Grzesio zaraz za młodu pokazywał, że nie wart był tego, co dla niego czyniono. Wieleż to razy zakrwawił on serce matki wyśmiewaniem się z jéj prostoty, z poczciwych zasług ojca! Inny byłby zapłakał, patrząc na ręce matki, na jéj twarz ogorzałą od słońca, wywiędłą i pomarszczoną od biedy; on patrzał tylko w ręce, ile mu dają pieniędzy, i ani myślał o tém, aby biedną matkę pocieszyć. A harde to było, a nieprzystępne, niby książątko albo jakie pańskie dziecko: z prostym człowiekiem i pogadać poczciwie nie chciał, a od biednego jak od zarazy uciekał.

Skończył nareszcie szkoły i powiedział matce, że zaraz w świat idzie. O! co ona biedna łez wylała, co się namodliła do Boga, trudno nawet wypowiedzieć. Kiedy za łzami świata Bożego widzieć nie mogła, kiedy łkała jak dziecko, Grzesio z suchemi oczyma wskoczył na wóz i zaciął konie, jakby gonił Bóg wie za czém.

Z początku pisywał do matki, donosił jéj, że jest w wielkiém mieście, Warszawie, że mu wszystko idzie dobrze, że ma pieniędzy jak plew, że niczego od niéj nie potrzebuje; ale listy te pisywane najprzód co kwartał, coraz były rzadsze, potém już tylko raz na pół roku, potém raz na rok, aż wreszcie przestał zupełnie pisywać.

Nieboga każdy jego list odczytywała po sto, po tysiąc razy, nosiła go na piersiach przy szkaplerzu, rozpowiadała wszystkim, jak się to Grzesiowi w świecie wiedzie, jak on lada dzień będzie wielkim panem, i byłaby rada całe dni i nocy rozmawiała, aby tylko o Grzesiu. Kiedy przecież listy jéj więcéj nie dochodziły, a raczéj dobry synek nie pisał, nastały dla nieszczęśliwéj chwile pełne niepojętéj boleści, pełne okropnych katuszy. Wreszcie ogarnęła ją niezmierna tęsknota za Grzesiem, a niespodziewając się już więcéj doczekania listu, postanowiła o żebranym chlebie dostać się do téj wielkiéj Warszawy, która szczęśliwa od niéj, oglądała codziennie oblicze jéj ukochanego Grzesia. Wybrała się tedy w daleką drogę pieszo, aby go zobaczyć. Trzy niedziele podobno szła, odpoczywając ciągle po drodze, bo to już było stareńkie jak grzybek, a nie miało za co wynająć sobie choć czasami furmanki.

Przywlókłszy się do Warszawy, jęła dowiadywać się tu i owdzie po nazwisku o swego Grzesia, ale napróżno pytała się, gdzie jéj tylko myśl i serce wskazać mogły; nigdzie ani śladu nie powzięła. Strapiona, spłakana, już zabierała się wracać z niczem, gdy wlokąc się powoli Krakowskiém-Przedmieściem, posłyszała za sobą krzyk: z drogi! z drogi! i zaledwie usunęła się na bok, zatrzymując się opodal, gdy przed kamienicę zajechała kareta ze służbą w liberyi. Lokaj otworzył drzwiczki; wysiadł pan dość jeszcze młody, przy-

stojny, ubrany paradnie, i powiedziawszy słów kilka służbie, wszedł w bramę kamienicy. Serce matki poznało go; chciała krzyknąć, ale głosu jéj brakło, nogi się pod nią zachwiały, w oczach się zaćmiło, — tymczasem kareta odjechała, i pan wszedł na górę.

Wiele musiała nieszczęśliwa kobieta użyć próśb, wiele łez wylać, zanim słudzy wpuścili ją do ich pana. Grześ, a obecnie Serafin Trabowski, pan kamienicy i gotowego kapitału, przyjął kwaśno biedną i źle ubraną matkę, a wstydząc się jéj prostoty i dbały o swoje imię, wymógł na niéj to postanowienie, iż opuści Warszawę i powróci do Suchego-Lipia. I w saméj rzeczy po wielu łzach radosnych z oglądania kwaśnego prawda syna, opatrzona na drogę jałmużną, udała się w drogę do domu, ciesząc się obietnicą Grzesia, że wnet do domu rodzicielskiego zawita, zajmie się opuszczoném gospodarstwem i osłodzi jéj ostatnie chwile biednego życia.

Ale nieszczęśliwa kobieta już nie miała więcéj syna oglądać. Kiedy bowiem po przybyciu do swego dworku długie miesiące napróżno wyczekiwała przybycia ukochanego zawsze jeszcze Grzesia, a bieda w najwyższym stopniu jéj dokuczała, popadła z bólu i nędzy w chorobę i po kilku dniach pożegnała się z tym światem, który jéj tak zapłacił miłość jedynego dziecięcia.

Wkrótce po śmierci biednéj wdowy, bo niespełna po dwóch tygodniach, doświadczył zacny synalek karzącéj ręki Wszechmocnego. Kiedy, jak zwykle, kazał się służbie zawieść razu jednego do domu konie go uniosły, wywróciły powóz, a Serafin Trabowski, inaczéj Grzegorz Grządzik, złamał rękę. Próżno zwołano prawie wszystkich doktorów; rzuciła się gangrena, i trzeba było rękę odjąć. Ledwie zaczął przychodzić do zdrowia, zapaliła się w nocy kamienica w któréj mieszkał, a któréj był właścicielem; wszyscy uszli cało, ale straciwszy w niebezpieczeństwie pożaru potrzebną przytomność umysłu, nie wiedzieli co ratować, i tak wszystko spłonęło do ostatniego szmatka. A kiedy szukał miejsca, gdzieby się przytulić, dano mu znać, że bankier, u którego ulokował gotowy swój kapitał, z powodu rozlicznych niepowodzeń zbankrutował i uszedł za granicę. Tak zostawszy od razu niemal żebrakiem i kaleką, opuścił Warszawę, tułając się dość długo po świecie.

Ubiegło sporo czasu, aż raz pamiętam, około Zielonych Świątek gruchnęła wieść, że w stoku pod górą znaleziono trupa, który twarzą w strumyku leżał. Pojechałem tam z kilku znajomymi i o dziwy! ujrzeliśmy, że trup nie miał jednéj ręki. Odzież na nim nie warta była i złotówki, a nogi bose, delikatne, pokaleczone były jakby od długiéj i ciężkiéj podróży.

Był to Serafin Trabowski, a właściwie Grzegórz Grządik. Pogrzebano ciało topielca na rozdrożu, ale na próżno wystawiono na

jego grobie Bożą mękę. Dusza kołata się w tém przeklętém miejscu i kołatać się będzie, dopóki Bóg nie naznaczy końca jéj pokucie.

(Wieniarski „Nasze strony i nasi ludzie.“)

85. Dobra nauka.

Szliśmy sobie pieszo gościńcem do Lubartowa, aż w tém spotykamy na drodze młodego chłopaka dosyć dobréj postawy, ale mizernie odzianego, który prosi nas o jałmużnę. Pan Maciéj przypatrzył mu się najprzód z uwagą, a potém rzekł:

„Mój przyjacielu! w twoim wieku wziąłeś się do brzydkiego bardzo rzemiosła. Jakto! taki zdrów i silny, czy nie mógłbyś gdzie pracować, a nie czekać tak na gościńcach i naprzykrzać się podróżnym? Wiesz, że to bardzo brzydko opuszczać się, kiedy kto ma zdrowe ręce i może na chleb zarobić!“

Żebrak. „Nie mam roboty, panie!“

Maciéj. „A umiesz jakie rzemiosło?“

Żebrak. „O, umiem i kilka!“

Maciéj. „Tém ci gorzéj; lepiéj umieć jedno a dobrze, niżli dziesięć a źle. Może też i dla tego nie bierzesz się do żadnego, że ich tyle umiesz. Jakiéj profesyi twój ojciec?“

Żebrak. „Mój ojciec był szewcem w Kozienicach.“

Maciéj. „A czemużeś i ty szewcem nie został?“

Żebrak. „Mój ojciec nie chciał tego; już mi był nawet zaczął pokazywać swoje rzemiosło, ale mnie się ono nie podobało. Uczyłem się potém tkactwa, rymarstwa, ciesiółki, ale i to wszystko nie było mi do smaku: nie chciało mi się być rzemieślnikiem.“

Maciéj. „Miałeś może tak nazwaną ambicyą? I czemże naprzykład chciałeś zostać?“

Żebrak. „Chciałem być w jakim sklepie kupczykiem albo pisarzem w jakiém biórze. Dla tego też wybrałem się z Kozienic i powędrowałem do Warszawy. Ale czego się tylko chwyciłem, to mi się nie wiodło. Tymczasem ojciec mi umarł, straciłem pieniądze, com był od niego wymęczył; zostałem bez sposobu i muszę teraz żebrać jałmużny, tak jak mnie widzicie.“

Maciéj. „Otóż, co to jest wstydzić się swojego stanu i chcieć być czemsiś więcej, kiedy się nie ma głowy do tego. Gdybyś był po rozumnemu nie puszczał ojcowskiéj profesyi, byłbyś zapewne miał tę samę robotę, co i ojciec, i teraz byłbyś sobie uczciwym rzemieślnikiem, wolnym i niepodległym nikomu. Żadna profesya

nie hańbi, kiedy jest tylko przydatną i kiedy w niéj człowiek poczciwie się sprawuje. To tylko wstydzić powinno, co jest nieuczciwém, co nie przynosi żadnego pożytku: żaden stan nie hańbi człowieka, ale człowiek czasem hańbi stan swój. Ten, co się chce wznieść wyżej, niż go stanie, może nieraz spaść niżéj, niż był nawet. Nie głupstwoż to wielkie puszczać, co trzymasz w ręku, a chwytać to, co o sto kroków od ciebie? Słuchaj, przyjacielu! na nic dobrego nie przyda się być hardym i dumnym. Niejedno przez to zrobisz błazeństwo, a sam za to pokutować będziesz. Kto się wstydzi to robić, co robił jego ojciec, pewno już nie najlepsze ma serce; prędzéj czy późniéj ukaranym zostanie i będzie musiał sam się wstydzić. Masz z siebie tę naukę. Ale czemużeś nie wrócił do jakiego uczciwego rzemiosła, zamiast puszczać się na to ohydne, jakiém teraz się bawisz? Lenistwo to podobno; lenistwo tego przyczyną! Strzeż się, przyjacielu! ta wada daleko zaprowadzić może. Już cię przywiodła tak daleko, iż żebrzesz bez wstydu — może nieznacznie pociągnąć ciebie na największe łotrostwo. Człowiek leniwy i próżniak jest ciężarem na ziemi; na nic się nie zda sobie, ani drugim, a kiedy umiera, uwalnia tylko świat od nieznośnego ciężaru. Pan Bóg stworzył nas wszystkich, żebyśmy pracowali i pomagali jedni drugim; Jego Opatrzność wtedy opiekuje się nami. Pan Bóg chciał, wynagradzając pilność i pracę, żeby jedni byli bogatsi, którzyby potrzebowali pomocy uboższych i dawali im chleb za to; ale dał też bogatym wiele kłopotów, żeby i oni, tak jak drudzy, mieli swoje trudy i mozoły. Bo Pan Bóg patrzy na wszystkich zarówno i nie robi różnicy między swemi dziećmi. Trzeba Mu ufać i szanować Jego wolę, a jak się sprawować będziemy, taką odbierzemy nagrodę, o czém nas przekonuje następne przysłowie: „„Pracującemu Bóg pomaga, a próżniaka bieda smaga.““ Zresztą pracując, jak kto może, niech każdy przestawa na tém, co ma, bo Bóg wie najlepiéj, co komu jest potrzebne: ufajmy więc Jego mądrości, i nie szemrajmy nigdy. Religia powinna nam dawać odwagę i pociechę. Chódź, przyjacielu, z nami do Lubartowa, zarekomenduję cię do jakiego warsztatu, a jak się będziesz sprawował dobrze i poczciwie, zobaczysz, że i Pan Bóg o tobie nie zapomni.“ —

Pobiegł chłopak z panem Maciejem do Lubartowa i został umieszczony w warsztacie uczciwego płóciennika. Ten zrobił go wkrótce, ponieważ był pilnym i dobrze się sprawował, swoim pierwszym czeladnikiem, a nie długo potém i na majstra go wystawił. Pan Maciéj dał wtedy potrzebne pieniądze na założenie własnego warsztatu, a tak ów chłopak, co niedawno żebrał, stał się doskonałym rzemieślnikiem.

(Łukaszewski).

86. Nie tak dawniéj bywało.

Zbliżała się burza. Silne wiatru podmuchy zmiatały tumany piasku z ulic Warszawy i kręcąc nim w powietrzu, sypały w twarz przechodzącym. Trudno było utrzymać się na nogach, a oczy otworzyć prawie niepodobna. Każdy chronił się spiesznie do swego mieszkania, zamykały się z trzaskiem okna; grzmot oddalony huczał przeciągle i wspaniale; jaskrawą wstęgą błyskawicy pruły się ściemniałe niebios sklepienia.

W jednym końcu długiej Chmielnéj ulicy, nie w tym, w którym ona styka się z Nowym-Światem i kilku wcale pięknymi domami sprostać mu usiłuje, ale w tym drugim, który prawie w pole poza miasto wybiega, w domku drewnianym, co już nic a nic o życiu miejskiém wiedzieć nie mógł — tak był od jego gwaru daleko — a tylko niskiemi oknami wyglądał z ukosa na sunące pociągi kolei żelaznéj, co zawsze przyrzucały lub zabierały coś z warszawskiéj ludności; w tym tedy domku kobieta czarno i schludnie ubrana wychylała się, patrząc niespokojnie, przez wpół otwarte jeszcze okno, potém zamykając je, zawołała na starego sługę:

„Jakóbie! możeby pójść poszukać Zygmunta?“

„Już ja chodziłem wyglądać, ale Pan Bóg wie, gdzie go oczy poniosły?“

„Mówił mi, że idzie do kolegi na Mazowiecką ulicę.“

„Dowiadywałem się tam; poszli wszyscy razem z korepetytorem gdzieś w pole.“

„A mój Boże! taka straszna będzie burza!“

Wtém po często powtarzanych grzmotach i błyskawicach deszcz lunął rzęsisty; grube krople uderzały z gwałtownością po dachu i zapędziwszy się tam, gdzie gontów brakło, przesiąkły wnet przez cienki sufit i zwolna aż na podłogę pokoju spływać poczęły.

„Patrz, Jakóbie! — ciecze!“ rzekła pani.

„Widzęć ja to“ — odrzekł Jakób skłopotany — „trzeba będzie co podstawić.“

Przyniósł miskę, aż tu zaczęło ciec w drugiém miejscu, nad łóżkiem. Usunął łóżko, podstawił miednicę; wtém znowu na stole spadające krople deszczu dały się słyszeć.

Zaczęli się tedy krzątać oboje z panią koło odstawienia mebli, z których kilka większą niegdyś zamożność zdradzało.

„Panie miły! toć to dawniéj szafarka Jaśnie Wielmożnéj Pani, ba! najlichsza jéj sługa, nie miała tego, żeby jéj ciekło za kołnierz!“

„Ja myślę“ — odparła pani ze smętnym uśmiechem — „że w całych dobrach takiéj lichéj chałupy nie było.“

„Ach! jakie dobra....“

„Mój kochany, będzie że co dać Zygmusiowi do jedzenia, gdy przyjdzie?“

„Nic! — z obiadu, żeby kawałeczka.“

„Przygotuj przynajmniéj wszystko do herbaty, żeby zaraz ciepłéj mógł się napić.“

„Nie wieleć tam już téj herbaty.“

„Jeszcze wystarczy, ale nie wiem, czy cukier..... bo dziś kilka razy do ziółek używałam.“

Wzięła spiesznie dużą drewnianą szkatułkę, w któréj już tylko jeden kawałek cukru i garść okruchów było na spodzie.

Poszła do stoliczka, wyjęła z niego mały woreczek od pieniędzy, pusty prawie, i pokazując go Jakóbowi, ze łzami w oczach rzekła:

„Więcéj nie mam!“

„Ach! miły Boże!“ — zawołał Jakób, załamując ręce — „nie tak dawniéj bywało!“

„Cicho, cicho! nie mówże o tém Zygmusiowi, boby jeszcze nie chciał pić herbaty, a tu wszystko będzie przy pomocy boskiéj.“

Po chwili oddała staremu ostatnią monetę na zakupienie potrzebnych wiktuałów.

Stary poskrobał się w głowę, westchnął i wziąwszy pieniądz, poszedł do miasta.

Już téż deszcz ustawać zaczął, i Jakób wracał z cukrem i trochę drobnéj monety, kiedy posłyszał z tyłu wołającego Zygmunta:

„Jakóbie, Jakóbie! stało mi się wielkie nieszczęście!“

„Co takiego? na miły Bóg! niech się téż pani zaraz nie dowie przynajmniéj!“

„Latawiec — ten śliczny mi rozmiękł!“

„Głupstwo!! nie pleć, paniczu! — Ja myślałem, że tobie co się stało.“

„Mnie? — alboż ja to papierowy?“

I przyspieszywszy kroku, stanął przy Jakóbie chłopczyk lat trzynastu najwięcéj, w studenckim mundurku, a tak przemokły, że woda ściekała z jego włosów i odzienia.

„Wejdź téż panicz drugiemi drzwiami po cichu, żeby pani nie słyszała, i przebierz się prędko, bo jak cię zobaczy takiego, to jéj serce z żalu pęknie...“

„Mnie siebie nie żal, ale moich butów“ — powiedział Zygmuś — „bo mama nie ma pieniędzy na kupienie drugich.“

„Szanuj, szanuj, paniczu!“ — rzekł Jakób smutnie — „bo to teraz nam ciężkie życie, nie takie, jak dawniéj bywało.“

Wemknął się tedy Zygmuś cicho do pokoju, a Jakób pomagając mu w ucieraniu, opowiadał jak to dawniéj bywało, jak jego

dziadek był niezmiernie bogaty, lecz połowę majątku przetrwonił, a jego ojciec, choć się dobrze rządził na pozostałéj połowie, to znowu ją stracił przez różne nieszczęścia i umarł, zostawiwszy go z matką w wielkim niedostatku.

„Oj! paniczu!“ — skończył staruszek swoim zwyczajem — „nie tak dawniéj bywało!“

„To dawniéj nie było wcale ubogich?“

„Gdzież tam! byli — tylko nie my.“

„No, to na nas dziś koléj przyszła“ — rzekł śmiejąc się Zygmuś.

„Oho! paniczowi śmiech, bo nie myślisz, co w gębę włożysz, a czujesz, że matka od ust sobie odejmie, że ostatnią odzież sprzeda, a da tobie.“

„Słuchajno, Jakóbie!“ — odpowiedział Zygmunt z niezwykłą sobie powagą — „jużeś mnie znudził, mówiąc zawsze o tém, jak dawniéj bywało: ja ci więc teraz powiem, jak potém będzie. Oto ja dorosnę, matka nie będzie w takiéj biedzie jak dziś. Ja się nauczę pracować na jéj utrzymanie, a i tobie, Jakóbie, dobrze będzie, i codzień kawę z bułką mieć musisz; ale wtenczas pamiętaj mnie już tak nie nudzić tém, jak dawniéj bywało.“

To mówiąc, skoczył mu do szyi i uścisnął, a Jakób całując jego ręce, oblał je łzami.

„Zygmuś!“ — czy przyszedł Zygmuś? — zawołała matka z drugiego pokoju.

„Jestem — zdrowiuteńki i suchy!“ — odpowiedział spiesznie Zygmunt i klękając przed matką, jął całować jej kolana.

„O! moje dziecko drogie!“ — rzekła matka, — „jakżem się téż bała o ciebie!“

„Ja, mamo, byłbym jeszcze nie przyszedł, tak mi tam było wesoło, ale sobie myślałem, że mama się martwić gotowa.“

Uściskała go matka.

„I mówią, że ja go psuję,“ — rzekła z cicha i na nowo pieszczotami okrywać go poczęła.

Dobra matka kochała niezmiernie Zygmunta, ale jak było takiego syna nie kochać? Uczył się tak pilnie, że był zawsze w klasie najpierwszy, a nie tylko słuchał matki, lecz jeszcze myślał ustawicznie, żeby jéj przyjemność jaką zrobić, żeby od niéj wszystkie oddalać zmartwienia. On jéj miłością miłość odpłacał; cóż dziwnego, że matka nie kryła się, że go takiém bez granic kocha uczuciem? Widząc to Zygmut, czuł, że mu należy być coraz lepszym, coraz bardziéj kochania godnym.

Oboje pojmowali instynktowo, że to silne przywiązanie ogromném jest dla nich bogactwem, że z niego dla matki niezmierzona

pociecha i radość, dla syna olbrzymie siły na nowe życie walk i trudów płyną.

W kilkanaście lat potém Jakób w porządnym surducie, zdrów i wesół, choć bardzo zgrzybiały, bo już mu na całéj głowie ledwo trochę bielusieńkich zostało włosów, siedział przy stole, podparty lewą ręką, a prawą pił kawę z filiżanki i rozmiękłą bułkę wyjadał. Widać, że mu bardzo smakowała kawa ulubiona, bo uśmiechał się, pomrukiwał i czasem nawet, jak to nieraz starzy mają zwyczaj, głośno mówił do siebie:

„Dobrze to, dobrze — niema co mówić, choć i dawniéj dobrze bywało; ale teraz wszystko inaczéj na świecie. Dawniéj szlachecki syn albo panował na swojéj ziemi, albo był urzędnikiem, wojskowym, broń Boże! czem innem. Teraz takich panów dziecko, co się urodziło w pałacu, poszło na rzemieślnika, rządzi nie nad tysiącami poddanych, ale oto we młynie..... ktoby to powiedział..... Jednak co prawda, we młynie jest chleb lepszy, niż był za nieboszczyka pana na odłużonych dobrach...

No, no dawniéj.... — “

„Nie tak bywało“ — skończył ze śmiechem nadchodzący młody mężczyzna, który był właśnie owym Zygmusiem, o którym wyżéj była mowa. „Już to widzę, nie odzwyczaisz się, Jakóbie, od chwalenia dawnych czasów, choć przecie i teraz nam dobrze.“

„A dobrze — dobrze z łaski najprzód Boga, a potém pańskiéj pracy, ale....“

„Nie ma żadnego ale, — mój Jakobie! Ja się czuję szczęśliwym, jak gdyby mi ojcowie przekazali miliony. Patrz, ja wszystko winienem sobie; mnie wychowała nędza, nawykłem więc nie bać się jéj, a pracą umieć jéj zaradzić. Każdy zarobek uczciwy godziwym jest i każdemu zarówno człowiekowi przystoi według jego zdolności. Pan Bóg nie stwarzał tak ludzi, żeby ci byli do innéj, a ci do innéj roboty wyłącznie, żeby ci zawsze trudzili się na niskich stopniach i jeszcze w późnéj starości nic z ciężkiéj pracy nie mieli, a drudzy żeby od razu szli rozkazywać i używać. Widziałeś mnie.

Z początku pracowałem w bluzie i zarabiałem 300 zł. rocznie w młynie parowym; dziś już mam sześć tysięcy przeszło i tę pociechę, że matce na niczem nie zbywa, a i tobie dobrze, mój stary, choć to“ — dodał żartując — „dawniéj inaczéj bywało.“

„Choć inaczéj, ale nie lepiéj“ — rzekł Jakób ze łzami, chwytając rękę Zygmunta i chcąc ją pocałować.

Zygmunt poszedł do matki i opowiedział jéj swoję rozmowę z Jakóbem.

„Masz zapewne słuszność, moje jedyne dziecię“ — rzekła matka — „ale dla tego nie mogę zupełnie nie smucić się, żeś wyszedł z pozycyi, jaką ci dawało twoje urodzenie, że ty szlachcic od lat kilkuset, którego przodkowie zasiadali w senacie i dowodzili mężném wojskiem na polu chwały, którego jeszcze dziad na sta tysięcy liczył dochody swoje, ty dziś na utrzymanie życia zarabiasz we młynie!“

„A! matko, nie żałuj mi szczęścia tego, że mogę pokazać przykładem, jako każde powołanie, każde rzemiosło, szlachetne jest i użyteczne. Gdyby mi było po ojcu cokolwiek zostało majątku, byłbym może wzrosł w przekonaniu, że mi należy być panem koniecznie, i że lepiéj jeść cudzą pieczeń, jeździć cudzą karetą, kiedy swojéj mieć nie można. Dzięki Bogu! nic nie zostało, żeby wykołysać we mnie próżniactwo. Dziś czuję, że nie ma większéj od Boga łaski i pożyteczniejszego na ludzi wpływu, jak zbudować zwolna, szczebel po szczeblu, z trudem i mozołem położenie swoje. Matko! jam dumny z mego młynarstwa.“

Uśmiechnął się do matki, całując ją w rękę.

„Nie bądź dumny, ani z tego nawet, mój synu,“ — odpowiedziała mu matka, robiąc znak krzyża św. na jego czole, — „bo ten rozum twój, chęć do pracy i siła umysłowa, co ci dopomogła zwalczyć względem siebie różne uprzedzenia i przesądy, wszystkoć to nie twoje, jedno od Boga.“

(J. Śmigielska).

87. Pan Łowczy opowiada swoję historyą.

Mój ojciec miał się nieźle; ale nas było ośmioro: sześć córek i synów dwóch, a wieś jedna. Trzeba było o sobie myśleć, bo się nie bardzo można było spuszczać na to, co rodzice zostawią. Oddano nas do szkół; mój brat starszy poszedł do kancelaryi, daléj do trybunału i teraz jest sędzią ziemskim. Majętność po ojcu objął, mnie spłacił, siostry wyposażył i ma się dobrze.

Ja, mospanie, widząc, że tylko plagi zyskam, a na wakacyach drugie tyle od ojca, prosiłem go nakoniec, żeby mnie do dworu oddał, bo mi żadnym sposobem gramatyka iść do głowy nie chciała. Oddano mnie za chłopca. Pan był groźny: wzięło się może więcéj, niż w szkołach, ale mi tego nie żal. Zostałem pokojowcem; com ja w tym stanie dróg odbył! ledwo jest jaki kąt w Polsce, któregobym nie obleciał. A że byłem raźny, wytrwały, pracowity i sprawny, podobałem się panu i zrobił mnie koniuszym.

Ten, co był przedemną, był Francuz. Coś to on niby zakrawał na mędrka, chciał konie pańskie uczyć tańcować, a one i cho-

dzić dobrze nie umiały; czeladź stajenna o nic nie dbała, powozy były złe, karety uszkodzone, szory ladajakie! owo zgoła wszystko nie do rzeczy. Jak się zawinąłem, Mospanie, jak dojrzałem dobrze ludzi, w pół roku pan koni nie poznał, a na mnie coraz łaskawszém okiem zaczął spoglądać. I podarunki dawał i funkcye zyskowne nastręczał; krótko mówiąc, z czasem statkiem i cierpliwością zebrał się tysiączek. Mając go już w kieszeni, powiedziałem sobie: „strzeżno ty tylko dobrze pierwszego, a obaczysz, iż i drugi do niego przyjdzie.“ Nie strzegłem go jednak tak, żebym go miał we worku trzymać, lub w ziemi zakopać: to głupi, kto tak czyni; alem go włożył w handelek, aż tu z czasem przyszedł i drugi tysiączek i trzeci. Dopieroż wtenczas, Mospanie, odważyłem się puścić co i na hazard. Błogosławił Pan Bóg, pan był łaskaw, krewni się też przyłożyli, i przyszło do tego nakoniec, iż przez wzgląd na moje dawne usługi, wypuścił mi pan wieś dzierżawą prawie wpół darmo.

Nie znałem się ja jeszcze wtenczas na gospodarstwie; więc udałem się do drugich po radę, a takich tylko radziłem się, którzy się sami mieli dobrze. Myślałem sobie albowiem po prostu: takich się pytaj, jak gospodarować, którzy zyskali na gospodarstwie; znać, że umieli gospodarować, kiedy ich to spieniężyło. Dobrze mi poradzili, jam też pilności dołożył, towarzystw kosztownych się strzegłem, kartek jeszcze bardziéj; a jeżeli na jarmark przyjechałem do miasta, sprzedawszy, com miał sprzedać, powracałem rychło do domu. Nie chodziłem na lusztyki jak drudzy, nie świeciłem się po modnemu; sukno mojego kontusza ledwo co było lepsze od falendyszu, a czasem też i falendysz, żupan domowy, pas z włóczki, szabla prosta, paski rzemienne. Przyjechało się na lichéj dryndulce, ale za każdym razem dryndulka z miasta pieniądze przywiozła.

Po pierwszym roku dzierżawy przyjechałem do pana, pieniądze co do szeląga na terminie oddałem; a że pan uwiadomiony był, żem poddanych nie obciążał, lasu strzegł, budynki utrzymywał, do jednéj wsi dodał mi jeszcze i drugą. Gospodarstwo się tedy coraz bardziéj pomnażało; trzeba mi było gospodyni. Służyła u naszéj pani z dziecinnych lat panienka, już natenczas dorosła, taki też właśnie chudy pachołek jak ja. Ale żem z dawna to w niéj był upatrzył, iż była oszczędna, sprawna, a do tego obyczajów dobrych, wziąwszy ja, Mospanie, Pana Boga na pomoc, umyśliłem ją przybrać sobie za żonę. Przyszło mi wprawdzie na myśl, iż posagu nie było, alem sobie zaraz na to odpowiedział: „tém lepiéj, nie będzie mi miała co wymawiać; a niech tylko taką będzie, jaką się być zdaje, przyniesie ona staraniem, czujnością, i przemysłem le-

pszy posag, niż owe modne, co to wiedzą, co gotowalnia, a nie znają, co kojec."

Czegom się spodziewał, to się też stało. Pobraliśmy się. Dał mi Pan Bóg gospodynią dobrą, żonę poczciwą, matkę dzieciom starowną. A że teraz możemy już sobie cokolwiek pozwolić, ona sobie zbytkuje z ogrodem, a ja ze stajnią; ale tulipany i fijołki nie przeszkadzają temu, żeby nie miała wiedzieć o lnie i konopiach, a mój też cug paradny snopki wozi.

(Z Poplińskiego).

88. Niedźwiednik.

Żył przed pięćdziesiąt laty szlachcic, zwany Niedźwiednik: był to jego przydomek dla nadzwyczajnéj siły, gdyż każdego przełamał niedźwiedzia, z którym się spotkał. Właściwie nazywał się Roch Dąbrowa. Postać nie ukazywała bynajmniéj téj olbrzymiéj siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu, poruszenia żywe, ręka nie wielka, ale żylasta, twarz wesoła i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę i czapkę na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, nie wiele różniącém się od chałupy wieśniaka: i jeden zagon 12 łokci szeroki, a 100 sążni długi, były całém dziedzictwem Niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł na grubego zwierza w obszerne knieje, co nie były tak puste jako dzisiaj, kędy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia i łosia. A przecie kaftan miał łosi i skórek kilka na posłanie z łosiów, co ich sam powalił przed czterdziestu laty. Gdzież to dziś zobaczysz?

I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom. Nie strzelił on do zająca, ani lisa, — każdego ptaka omijał, — lecz za to w obszernéj puszczy nie darował niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom. Ale i w tém zachowywał szczególny zwyczaj.

Żaden z myśliwych nie widział go, by użył strzelby na niedźwiedzia, chyba że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak nazywał, kija. Kij ten, była to pałka jak dwie ręce gruba, u góry zaokrąglona na kształt buławy; nagłówek ten był nasadzony trójkątnymi gwoździami grubymi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziryt.

Taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia, i kiedy ten rozjuszony na dwóch łapach wspięty, zbliżył się do niego, pchnął go najprzód dzirytem, a potém za jedném uderzeniem pałką rozciągał go u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiéj czapkę na lewe ucho, dobywał myśliwskiego noża i nie tylko odci-

nał po zdjęciu skóry łapy niedźwiedziowi (ulubiony przysmak na wielkich stołach), ale nadto wykrawał pieczenie, które swemi delicyami nazywał.

Na cały nasz powiat Niedźwiednik był osobą niezwykłą, a trzeba wiedzieć, że wtedy u nas nie brakło na silnych ludziach i dobrych myśliwych; wszakże wszyscy przy nim gaśli, jak klecha przed organistą. Nie dosyć, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie, ile razy dziedzicowi tego sioła, kędy mieszkał, chciał podarek zrobić, a zawsze to czynił na kolendę, i przed Wielkanocą przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się nad tém dziwił, i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, by zobaczyć tak osobliwego strzelca.

Był przytém pobożny i uczciwy człowiek; chłopstwo oskarzało go o czary, że ma związki z djabłem, lecz to wszystko kłamali wierutnie.

Mój rodzic świętéj pamięci mieszkał sześć mil od téj wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym kuligu z dziatwą zajechał i z matką naszą w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka i dwie dorosłe panny siostry, rodzic przy woźnicy sam powoził.

W ostatni wtorek wesoły wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, żeby doma na popielec stanął. Za dużym lasem, pamiętam jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć, iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świecił i księżyc w pełni: — tak widno, że szeląg znaleść można było. Nagle konie poczęły parskać, a nieboszczyk mój rodzic, wiedząc, co się święci, świsnął, i jak wiatr posunęły sanie na ślizgim śniegu. Wilków stado zabiegało nam z boku; skręcił końmi w inną stronę i na nieszczęście w rowie wywrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy wystraszony zawołał, podniósłszy sanie: „Prędzéj do sani! bo jeżeli nie uciekniem, zginiem bez ratunku.“

Matka i panny siostry usiadły prędko; ruszył koń co wyskoczy, a ja zagrzebany w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, widziałem, jak za rodzicem pędzą wilki, z przestrachu przysiadłem; sen mnię zmorzył, i zmarzłem.

Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu Niedźwiednika: nacierał mi twarz śniegiem, cztery ogromne kundle stały obok niego, a daléj jednokonne sanki pełne lisów i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył, że żyję, zaniósł do sanek i przywiózł do domu. Lecz nie zostawił mnie w ciepłéj izbie: rozebrał do naga i na podwórzu wśród mrozu natarł mocno śniegiem, potém obwinął w skórę wilczą i położył na swojém łożu. W kilka dni już zdrów byłem, a Niedźwiednik dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł do domu.

Drzało mi serce z radości, kiedy ujrzałem suche gałęzie lipowéj drogi i dwór mego ojca. Zostawił mnie w saniach, a sam wszedł do komnaty.

Pan ojciec dopiero za powrotem do domu zobaczył, że syna stracił. Matka i panny siostry bez pamięci ze strachu nawet wysieść nie mogły; w całym dworze powstał płacz i lament wielki. Porozsyłano czeladź, ale szukano na próżno.

Skłonił się rodzicowi, żeby zbyt wielka radość nie zaszkodziła, prosił do osobnéj izby. Tam mu powiedział, jak mnie uratował i że przywiózł z sobą. Pan ojciec nie wiedział, jak dziękować, płakał z radości, ściskał i całował mojego wybawcę. Powrócili do komnaty, gdzie matka i panny siostry zapłakane siedziały. Rodzic kazał jednéj pobiedz do piwnicy po węgrzyna, a sam rzekł do matki mojéj: „No! dzieweczko moja, nasz sąsiad przywozi nam pewne wieści o naszym Tadeuszku.“

„Żyje!“ zawołała.

„Nie tylko żyje, ale przyjechał.“

I zaraz wbiegłem, upadłem do nóg panu ojcu i pani matce, a Niedźwiednik płakał, i wszyscy płakali.

(K. Wojcicki).

IV.

Opisy.

89. Mgła poranna w górach.

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają, przedgórza występują w dzikszych coraz barwach; polany opustoszały, ogłuchły echa pieśni pasterskich. Słońce z każdym dniem widocznie się nudzi, z każdym dniem wcześniéj na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze z mgłami, rozdraźnia sny moje krótkie; budzę się w ciemnościach, gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa. Korzystam z ostatnich lata zabytków, chcę sobie przypomnieć letni poranek, puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiéj góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod memi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurném niebem do zachodu. Tatry stały uroczyście, jak gdyby milczącą modlitwę dumały.

I oto ze szczytu Babiéj góry wybuchnął kłąb lekkiego tumanu i stoczył się do jéj podnóża. Wschód mocniéj płonąć począł, jutrzenka ucieka w głębie nieba. Na kilku białych szczytach pokazały się płatki różowego blasku, a od zachodu mgły się podnoszą; z początku bieleją, w postaci kilku chmurek błędnych powoli idą ku sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyście, coraz szerzéj osłaniając dolinę; już dosięgły mojego stanowiska, już je oblały dokoła, rozlewają się daléj, już dosięgły Pienin, i oto cała dolina zniknęła!

Lasy i wody, wsi i pola, wzgórza i błonia, wszystko, co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał, w téj chwili zagasło pod mgły morzem. Prawdziwe to morze! Kłęby tumanu burzą się jak poruszone fale, przewalają się przez siebie nawzajem, cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać, cichnie, a jednostajna siwa barwa roz-

lewa się po powierzchni całego tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babia góra zostały teraz brzegami morza, z którego łona podnoszą się gdzieniegdzie, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórza lasami porosłe.

Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniéj część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niéj pajęczynę z barw płomiennych, igrających. Nakoniec pokazało się słońce.

Tu muszę złożyć w pokorze mój pendzel malarski, nie czując się zdolnym wyobrazić, jak słup jego pałający, niezmierzony w swéj długości, rzucił się wzdłuż mgły aż ku mojemu oku, jakiemi barwami po ruchomém tle jéj igrał, jakiego uroku był ten most tęczowy między mną a słońcem, jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem! W miarę jak słońce podniosło się, odblask jego na powierzchni tumanów zmiejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska.

Widowisko skończone! Zszedłem na dół w zachwyceniu jeszcze i poczuciu, żem widział owo morze karpackie, które podług podań zalewało niegdyś dzisiajszą nowotarską dolinę.

(Seweryn Goszczyński.)

90. Góry ogniste czyli wulkany.

Góry ogniste, od bożka rzymskiego Wulkana nazwane wulkanami, wystawiają nam straszliwą i okropną okazałość przyrodzenia na powierzchniéj ziemi. Są to głęboko we wnętrzu ziemi wydrążone piece i ogniska, ciągłym pożarem gorejące, i przez zrobiony sobie u wierzchu otwór, który się oknem wulkaniczném (krater) nazywa, prawie zawsze grube i czarne dymy wyziewające. W pewnych zaś czasach wyrzucają z siebie wysokie słupy roztopionéj i rozognionéj materyi, która ciężarem swoim albo spada napowrót w tę otchłań ognistą, albo się wylewa oknem lub otworem w boku góry sobie zrobionym, wydając niejako rzekę ogniem płonącą, miejsca zapadłe zalewającą i pożerającą wszystko, co na drodze spotyka. Materya ta nazywa się lawą.

Też góry wyrzucają z siebie czasem ogromne urwiska skał, czasem znowu chmury popiołów, któremi w znacznéj nawet odległości zasypują pola, wsi i miasta całe; jak widzieć możemy tego przykład w Pompei, mieście dawném wielkiéj Grecyi, w popiołach wulkanicznych zagrzebaném. Policzyć jeszcze należy do wulkanów i te góry, które wyrzucają z siebie błota, niby rzeki rozrobionéj we wodzie ziemi, pomięszanéj z węglem i siarką, i niemi zalewają miejsca przyległe.

Gór dziś jeszcze gorejących pełno jest w całém pasmie Andów

w Ameryce. Prawie od sterty Horn przez Patagonią, Chili, ciągną się szeregiem wulkany aż ku Peruwii. Przeszedłszy przesmyk Panama ku północy, mamy wulkany Nikaragua, Guatimala i trzy wielkie w Mexyku. W Kalifornii jest ich pięć. Góra św. Eliasza jest wulkanem; od niéj ciągną się góry ogniste przez wyspy Aleuckie aż do Kamczatki, gdzie dziś są trzy wulkany bardzo gwałtowne. Państwo japońskie ma ich ośm. Wyspy przyległe brzegom Azyi, rozrzucone po oceanie Indyjskim, mają ich bardzo wiele. Sama wyspa Jawa liczy siedm wulkanów.

Liczniejszy jeszcze szereg gór ognistych widzieć się daje na wyspach oceanu Wielkiego i w Antyllach na oceanie Atlantyckim, gdzie Pik Teneryffy jest najwyższym wulkanem starego lądu. W Europie mamy znakomitsze trzy teraz gorejące: Heklę w Islandyi, Wezuwiusza przy Neapolu i Etnę w Sycylii. Ta ostatnia pali się już 3300 lat.

W państwie neapolitańskiém i w okolicach Rzymu co krok prawie spotykamy i depcemy po tworach i śladach wulkanicznych; to pokazuje, że ziemia ta napełniona była wielką liczbą wulkanów, które się już wytrawiły i zgasły.

Gwałtowne wzruszenia czyli trzęsienia ziemi, które nadzwyczajną siłą rozrywają i zsuwają góry, otwierają otchłanie i przepaści, grzebią w zwaliskach wsi i miast kraju mieszkańców; trzęsienia, mówię, ziemi tak na morzu jak na lądzie czuć się dają przy gwałtownych wybuchnieniach i srożejących wyrzutach wulkanów. Tego trzęsienia doświadczają czasem kraje lądu, bardzo daleko od wulkanów położonego, a nawet wtenczas, kiedy najbliższe ich wulkany są w stanie spokojnym. Z czego wszystkiego wypadają dwa wnioski: najprzód, że góry ogniste teraz gorejące mają swoje siedlisko najczęściéj na wyspach i w sąsiedztwie morza; powtóre, że te złączone z trzęsieniami ziemi znaczne wyrabiają odmiany w powierzchnéj postaci lądu.

(Jędrzéj Śniadecki).

91. Tatry.

W samym środku prawie wielkiego łuku Karpat, w miejscu, gdzie on najbardziéj wydany jest ku północy, wzbiły się do alpejskiéj wysokości skaliste Tatry, jakoby główna baszta, zbudowana na tym szańcu granicznym pomiędzy zachodnią a wschodnią Europą. Zajmują one obszar około 14 mil kwadratowych rozległy, odróżniają się od sąsiednich pasm i gałęzi Karpat tak zewnętrznem ukształtowaniem grzbietów i szczytów, jako téż wewnętrzną budową, i odgraniczone są ze wszech stron rzekami i dolinami podłużnemi i poprzecznemi.

Na północy ściele się u ich podnóży dolina Dunajców, zwana także Nowotarską, a w części swéj wyższéj, odgraniczonéj pasmem wapiennych skał, Podhalem; na północnym zachodzie leży dolina Orawy, na południu Liptowska, którą rzeka Waga przepływa, na południowym wschodzie nakoniec dolina Spiska, zroszona Popradem. Od zachodu i wschodu tworzą granicę Tatr tam poprzeczna dolina uchodzącéj do Wagi Tepli, tu wyłom górski, poczynający się u przecznicy Zdziarskiéj i łączący się przez tak zwaną Kotlinę z doliną Popradu.

W środku tych dolin górskich rozsiadają się Tatry i z podstawy około 2,000', nad powierzchnią morza wyniesionéj, strzelają prostopadłemi prawie ścianami i ostremi iglicami wysoko ponad lasy, zasilając graniczne rzeki swoje mnóstwem pomniejszych potoków i rzeczek. Wspólne wyniesienie środkowego grzbietu, to jest litych i niepodzielonych jeszcze mas, sięga w przecięciu do wysokości 6,500' nad poziom morza, odosobnione zaś nagie szczyty granitowe dochodzą do średniéj wysokości około 8,000' nad powierzchnią morską. Grzbiet ten środkowy Tatr odrzyna się wszędzie wyraźnie i ostro i wytęża się krętą linią w głównym kierunku od zachodu ku wschodowi. Ku południowi i północy odrywają się odeń krótkie gałęzie poprzeczne, również wyniosłe, a bardziéj jeszcze porozdzierane i połupane u wierzchu, niż pasmo środkowe.

Charakterystyczną cechą Tatr jest przedewszystkiém pustynność, przerażająca dzikość i takie gwałtowne, przepaściste i urwiste poszarpanie litych skał, jak w żadnych innych górach europejskich. Znamionują prócz tego Tatry: spiczaste iglice i ostre jak piły grzbiety; doliny ciasne, niezamieszkane, poprzeczne, wnoszące się na zastrzał stromo prawie aż pod sam wierzch środkowego grzbietu, zasypane rumowiskiem skalném i olbrzymimi głazami, po których przewalają się z szumem we wodospadach górskie potoki. Daléj widocznie w Tatrach doraźne wzniesienie się gór bez żadnych przedgórzy do alpejskiéj wysokości, szczególnie z południowych dolin podtatrzańskich, zakończenie wszystkich dolin tatrzańskich we wyższych częściach lejkowatemi kotlinami, które wody jezior zalewają, na koniec brak właściwych lodowców, pomimo że po parowach pomiędzy skałami leżą płaty śniegów od zimy do zimy.

Stopy Tatr i upłaziste wzgórza Podtatrza porastają w bory jodłowe i świerkowe, zmieszane gdzieniegdzie z brzezinami i sośniną, podszyte mnóstwem jagód leśnych, i osłaniają biodra gór jakoby szatą fałdzistą. Tworzą one niby ciemnisty przedsionek do téj olbrzymiéj świątyni przyrody, w którym szemrzą nieustannie tajemnicze modlitwy płynące po wąwozach potoki i wtórują grzmiącym hymnom wodospadów. Na niższe, słoneczne polany posuwają się

tu jeszcze z dolin podtatrzańskich zagony owsa, a czasem spotkasz tu nawet i chaty samotne, odstrzelone od wsi, które Podhalanie nazywają „potraconemi.“

Kraina ta leśna, stanowiąca najniższe piętro w niebotycznym gmachu Tatr, nazywa się w języku góralskim „Reglami.“

Niegdyś roiły się Regle mnóstwem zwierzyny, niedźwiedzi, jeleni, rysiów, głuszczów, cietrzewi. Dzisiaj tu ponuro, nierozweselona żadnym żywym głosem przestrzeń, bo zwierz wytępiony lub wypłoszony, i myśliwy błądzi nieraz całymi dniami, nie spotkawszy nawet jarząbka. Zdala zalatuje tylko stuk kupieckich siekier, które z nienasyconą chciwością gospodarzą teraz w Tatrach, i czasem głucho jęknie ziemia pod walącymi się olbrzymami odwiecznych borów tatrzańskich.

Powyżéj 4,000′ rzedniejąż już bory, a na wysokości 4,500′ nad powierzchnię morza nikną już prawie zupełnie wysokopienne drzewa, i po grzbietach gór ścielą się tylko kobierce łąk, pstrzące się kwieciem i napawające wonią powietrze. Jedna tylko limba sybirska posuwa się wyżéj w góry, gdzie już nie rosną żadne inne drzewa. U stóp téj królowéj roślinności tatrzańskiéj powiewają gdzieniegdzie karłowate brzózki, i czarne gałęzie kosodrzewu, zbite w nieprzebitą gęstwinę, pełzają długimi smugami aż pod kamienne ściany najwyższych cyplów.

Krainę tę łąk, które obok boru stanowią jedyne bogactwo mieszkańców tych gór, nazywają górale tatrzańscy „Halami.“

Drapieżne ptastwo, orły i sępy, gnieżdżące się po krańcach leśnego pasu, krążą ponad Halami, a po splotach kosodrzewu przelatuje siwarnik, mała ptaszyna podobna do wróbla. Na wyższe łąki schodzi szczypać trawę i wonne ziółka ostrożna i czujna kozica, teraz bardzo już przetrzebiona i rzadka w tych górach. Latem ożywiają się Hale; gwarno na nich i ludno. „Bacówki“ zamieszkują „bacowie“ i juhasy,“ strzegący stad owiec i bydła, któremi roją się łąki halskie, gdyż z całego Podtatrza spędzają je tutaj letnią porą na wypas. Po krzakach dokoła słychać dźwięk dzwonków i szczekanie psów owczarskich, a wieczorami od ognisk po górach rozlega się głos fujar pastuszych. Ale już z końcem sierpnia zaczynają się tu mrozy i spada śnieg, który często leży aż do połowy czerwca, a bywają wypadki, że i w lipcu giną od mrozów małe jagnięta. Po pierwszym śniegu osamotniają się więc znowu Hale, i bacówki stoją pustką na całą długą zimę.

W końcu łąk halskich zwierciedlą się prześliczne jeziora, zwane Morskiemi okami. Zalewają one głębokie kotliny i doły lejkowate, otoczone dokoła czarnym murem skał. Zasilają je topniejące po szczytach śniegi i źródła, które albo w wyższéj jeszcze tryskają

krainie, albo na dnie ich biją. Wody tych jezior wpadają w barwę zieloną, a czasem czarną, i stoją gładkie jakoby martwe, jeżeli wiatr ich nie wzruszy, lub zerwany kędyś u szczytu głaz nie zmarszczy kręgami lekkiéj fali. Brzegów ich zasypanych płatami zlodowaciałego śniegu nie ożywia wodne ptastwo; dokoła panuje grobowa cisza, tylko wśród toni pluśnie czasem ryba.

Pozostawiając za sobą Hale z ich łąkami i zwierciadłami jezior, wspinamy się wyżéj przez zaspy śniegu w zimnych parowach i po przepaścistych urwiskach „krzesanic,“ gdyż już powyżéj 5,500' niknie wszelka roślinność i tylko czarne głazy, po których lotem błyskawicy przeskakuje ponad przepaści spłoszona kozica, bodą wzrok ostrém żebrem.

Jestto najwyższa kraina Tatr, zwana „Turniami“ — świat skał granitowych, spiętrzonych jedne nad drugiemi, labirynt jakichś gmachów olbrzymich o powalonych ścianach i podruzgotanych wieżycach. Straszna to ojczyzna wiecznego śniegu, suchych mchów i porostów, „kędy się poczyna grobowe samowładztwo kamienia.“

Wreszcie stanęliśmy na wysokości 8,342' nad powierzchnią morza, na szczycie Łomnicy. Na prawo i na lewo, jak daleko sięga oko, zjeżył się przed nami las Turni, to zaostrzonych w iglice śpiczaste, to szczerbatych jakoby piły, to podobnych do dud organowych lub grzebieni, to wreszcie zawalonych złomiskami głazów, jakoby ruinami jakichś zamków. Najwyżéj wystrzeliły obok Łomnicy, Gerlachowska i Lodowa Turnia, Świnica i Krywań. Popodściany tych olbrzymów przeciągają chmury, zakrywają widok na doliny podtatrzańskie i miotane wiatrem, igrają falami.

Wreszcie przedarły wiatry chmury i odkryły przed okiem naszém w głębokości, która zawrót głowy sprowadza, widok bezbrzeżny. Oglądamy, jakoby mapę rozwiniętą na dnie otchłani, cały kraj, przesnuty srebrnemi nitkami rzek. Na południu sinieją w dali Liptowskie góry i Tatry; na północnym rąbku widnokręgu dojrzysz przez szkła stary Kraków; rozsypane miejscami ciemniejsze kresy znaczą smugi borów, a kropki i plamki bezkształtne — to mieszkania ludzi, sioła i miasta.

(Ł. Tatomir.)

92. Burza w krajach zwrotnikowych.

Burza w krajach zwrotnikowych, jest tak wspaniałém zjawiskiem natury, jest tak straszliwie okropną, a zarazem niewypowiedzianie majestatyczną, że żaden język nie ma dość odpowiednich wyrazów, ażeby ją dokładnie opisać. Będę się starał wszelako zakreślić,

choćby tylko z grubszego, ramki do obrazu, którego nikt nie zdoła trafnie i należycie odmalować.

Całe niebo, jak daleko tylko okiem zasięgniesz, burzą i gromami brzemienne; zbliża się orkan z potokami ulewy. Przypatrujemy się roztaczającemu się przed nami widowisku z wysokiego punktu, z terasu naszéj glinianéj chaty. Na około nas jeszcze się wietrzyk nie rusza, jeszcze nie słychać najlżejszego szelestu liści zielonych drzew; jeszcze wszystko naokoło jakby nieżywe i martwe. W ulicach miasta również posępno i grobowo, jakby w nich wszelka żyjąca istota wymarła; to samo można powiedzieć o lasach i ogrodach. Sklepy i budynki, publiczne sale rządowe zamknięte, każdy spieszy do swego mieszkania; psy zazwyczaj hałaśliwe, głośne i kłótliwe, ze spuszczonymi ogonami szukają spokojnego kącika: już dawno zamilkł śpiew ptaków, które pokryły się wśród najgęstszych liści.

Ta cisza nieznośna, złowroga, przejmuje dreszczem każde stworzenie; to cisza przed wybuchem powszechnego zamieszania i buntu natury.

Tam w oddali czarny, płomienisty obłok zwija się w olbrzymie kłęby. Wygląda jak ognisty słup płomieni ponad palącém się miastem lub lasem, stojącym na kilka mil w około w płomieniach. Kolor obłoku ognisty, purpurowy, brunatny, żółty, szary, błękitny i czarny spaja się, łączy we wszystkich odcieniach w jednę całość, na której widok mimowolnie drzy serce człowieka. Im ciemniejszy ten obłok, tém ciemniejsze niebo. Obłok ten rośnie i rozszerza się i czernieje coraz więcéj. Już słychać w oddali szum i pogwizd, ale u nas jeszcze wszystko spokojne. Tylko skwar się powiększa, tylko powietrze coraz cięższe; upał staje się nieznośnym. Najodważniejszy czuje, jak mu serce bije mocniéj; mimowolnie musi iść za ogólnym stanem natury.

Widnokrąg nasz coraz bardziéj maleje. Ciemny, nieprzejrzysty obłok pokrywa powoli wszystko czarną swą zasłoną.

Naraz poruszają się konary najbliższych nam drzew gwałtownie; wiatr już je dopadł. Z początku są to pojedyńcze uderzenia, lecz z każdą chwilą wiatr się wzmaga i sroży, w kilku minutach zamienia się w wicher, wicher zaś przechodzi w orkan. Orkan teraz szaleje i huczy z bezprzykładną siłą. Ryk jego jest tak wielki, że nie słyszysz własnego słowa. Każdy głos przygłuszony i pochłonięty przez niedający się opisać huk, łoskot, pogwizd, szum i ryk. Drzewa, które jeszcze przed chwilą stały spokojnie, zginają się jak wysmukłe pręty; ich wierzchołkami szamoce wicher to w tę, to w ową stronę; opada z nich większa część liści, zerwana siłą wichru, pnie ich skrzypią, jęczą i łamią się jeden za drugim.

Zdaje się, jakoby wzburzone żywioły wyzywały siebie nawzajem do walki. Orkan chciałby zatrząść ziemią w jéj posadach; w szczelinach powierzchni ziemi huczy i grzmi, wyrywając z nich tumany piasku, pędzi je ze sobą i wrzuca gwałtownie przez szpary drzwi i okien do mieszkań; pokrywa nimi wszystko na cal grubo i z takim zapędem miota je przeciw silnie stojącym przedmiotom, że piasek gwiżdżąc, odbija się od nich daleko.

Już dawno byliśmy zmuszeni cofnąć się do wnętrza mieszkań naszych, gdyż biada nieszczęśliwemu, gdy go na otwartém polu taka zawierucha zaskoczy. Lecz i w mieszkaniu nie podobna wytrzymać. Tak ciemno się robi, że musimy zapalić latarnie, aby cokolwiek zobaczyć; tuman kurzawy, pędzony obok nas, ponad nami, zaciemnia wszystko.

Wtém nagle straszliwe uderzania gromów zagłuszają wycie rozszalałego orkanu. Jeszcze nie widać błyskawicy; chmury kurzawy są za gęste, ale coraz głośniéj i wyraźniéj huczy grzmot wśród powszechnego wstrząśnienia przyrody. Teraz dziwny szum powstaje, jak kiedy grad gęsty niwy pustoszy, a przecież to tylko pojedyńcze krople deszczu, które się wnet w ulewę zamieniają.

Aleć muzyka piekielna zbliża się do końca; orkan słabnie, burza naraz milknie. Już téż teraz zobaczymy światło błyskawicy. Jedna za drugą bez przerwy pruje obłoki; światło ich tak silne, że trzeba koniecznie zamykać oczy. Grzmot rozlega się z niesłychaną siłą bez przestanku. Deszcz leje się potokami: wszystkę kurzawę przyklepał i przybił do ziemi i tworzy na dachach glinianych chat stawy, których woda w gęstych promieniach spada na ulice. Ulice w kilku chwilach zamieniają się w rzeki, miejsca publiczne w jeziora; tworzą się doły na ośm stóp głębokie.

Tak trwa burza dwie lub trzy godziny. Czarne niebo wyrzuca z swego łona ogniste gromy, grzmot huczy bezustannie, deszcz leje a leje, jakby się wszystkie śluzy niebieskie rozwarły. Po chwili znów się wiatr podnosi i rozpędza chmury; błyskawice już w oddali raz po raz tylko zaświecą, grzmot mdleje, ulewa ustaje. Słońce jeszcze zakryte gęstemi chmurami; lecz zanim się dziś z nami pożegna, jeszcze raz okaże jasne swe oblicze i oświeci złotém światłem jakoby odrodzoną naturę.

(Wycieczki w świat daleki).

93. Sahara.

Wielkie piaszczyste morze, zajmujące od wschodu aż do zachodu prawie cały środek północnéj Afryki, rozciąga się w długości około 700 mil geograficznych, a największą szerokość jego można w przy-

bliżeniu na 300 mil oznaczyć. Z północy stanowią jego granicę góry Atlas i Judah, od wschodu przypiera do wysokich brzegów Nilu: południowa jego strona graniczy z Nigrycyą czyli Sudanem, a zachód oblany wodami Atlantyku. Żar afrykańskiego słońca dopieka na tym pustym Suhary stepie, gdyż zbywa mu na wodzie, na tym głównym warunku wszelkiéj wegetacyi. Straszliwe orkany porywają wirem w górę niezmierne piasku tumany. Jak duch piekielny harcuje dziki i rozhukany Samum po pustyni, niszcząc i dusząc wszystko swoim palącym oddechem, zagrzebując w rozżarzonym piasku wszystko, cokolwiek się dostanie w jego zabójcze objęcie.

Sahara dzieli się na dwie nierówne części: większą zachodnią, to jest właściwą Saharę i mniejszą wschodnią czyli libijską puszczę, do któréj znowu od południa przytyka nubijska pustynia.

Sahara właściwa zaczyna się od skalistych, gołych i stromych gór, które zmniejszając się, sterczą pojedyńczemi skałami; następnie ciągnie się masą kamieni, aż nareszcie gubi się w niezmierzonéj piasków powodzi. Tylko tu i owdzie ze spiekłego gruntu wynurzają się niektóre rośliny niskimi krzakami: różne gatunki kaktusu, krzewy gumy, algul, cierniste czułki, których skwarne wiatry wypalić nie zdołają.

Libijska puszcza różni się znacznie od wielkiéj gruntem, nasypanym krzemienistym zwirem, zdradzającym tu i owdzie ślady wegetacyi, podczas gdy tamta z powodu nieskończonéj jednostajności ruchomego piasku przerażający widok przedstawia. A przecież znajdują się wewnątrz pustyni miejsca, gdzie z wznioślejszych okolicznych przestrzeni woda pod ziemią ściekając, tworzy ożywiające źródła, roznoszące życie i wywołujące roślinność w téj spiekłéj naturze; gdzie bujna, urodzajna okolica błyszczy w najpiękniejszym wdzięku i uroku, w najcudniejszéj ozdobie i krasie; gdzie rosną najwspanialsze rośliny, a daktylowe i inne palmowe lasy udzielają wiele chłodzącego cienia. Miejsca te wita wędrowiec z taką radością, z jaką żeglarz wita ziemię, skoro ją ujrzy, błąkając się długo po burzliwém morzu. W tych stronach mieszkają także ludzie, którzy nie są wyłączeni od stósunków z resztą świata. Więcéj niż dwunastu drogami przeciągają pustynię karawany, aby dojść do nich i ułatwić im stósunki handlowe. Za ich pośrednictwem mogą podróżni z cywilizowanéj Europy zbadać wnętrze téj części świata, która dawniéj prawie zupełnie była przed nimi zamkniętą.

Jak wyspy wśród morza wypływają z piaszczystego Sahary oceeanu te zielone, urodzajne okolice, „Oazami“ zwane. Stąd to odbywają się wycieczki w nieskończone, przepaściste równiny w celu ścigania okrutnych pustyni mieszkańców: polowania na lwy, tygrysy i pantery, których skóry stanowią kosztowny przedmiot handlowy

dla krajowców, lub wreszcie dla ułowienia strusia, którego tu ojczyzna.

Ale te stósunki byłyby niemożebne, gdyby przyroda nie stworzyła pośrednika, za pomocą którego jedynie Saharze swe stopy powierzyć można. Jest nim wielbłąd, ów okręt pustyni, owa niezbędna potrzeba, skarb i bogactwo całe Berbera, równie jak i Beduina, któremu ci zawdzięczają, że te samotne i nieużyte stepy przebywać mogą. On to ciężko obładowany unosi przez pustynię ich samych, ich mienie, namioty i wszelkie towary. Żadne inne zwierzę w świecie nie zdołałoby odbyć podróży przez te nieskończone, suche i żarem płonące płaszczyzny, na których często przez cały ciąg drogi ani źdźbła słomy, ani jednéj kropli wody nie znajdziesz. W istocie jest to kraj zaklęty, którego grunt zasypany miałkim piaskiem, zaciera nawet ślady świeżo przeciągniętéj karawany w kilku godzinach, a jedynym przewodnikiem wędrowca są gwiazdy błyszczące nad jego głową na płomiennem tle niebios. Nawet sam okręt Berbera, to zwierzę przyzwyczajone do znojów i trudów, wytrwałe i przestające na lichéj strawie, wtenczas jedynie ośmiela się puścić na pustynię, gdy deszcze skropiwszy obficie spragnioną ziemię, wywołują niejaką roślinność, tu i owdzie pozostawią małe źródełka wody, lub też gdy wielbłąd w pęcherzach niesie świeży i ożywczy napój. Ale też wędrówki wśród puszczy przedstawiają niemniejsze niebezpieczeństwa, co podróż morska, gdy burza pędzi bałwany i miotając okrętem, rozbija go o skały. Często wędrują całe pokolenia Berberów pod przewodnictwem swego szajka, używającego między nimi patryarchalnéj powagi, a któremu okazują bezwarunkowe posłuszeństwo. Do nich znów przyłączają się odważni zachodu podróżni, powierzając się zupełnie ich pieczy. Z kobietami i dziećmi, na wielbłądach i koniach, za domowemi zwierzętami, z całym swoim dobytkiem i mieniem odważają się puszczać na pustynię. Wielbłądy biorą tutaj największy udział w trudach, największą czynią przysługę, gdyż dźwigają nie tylko pożywienie, lecz także drągi i nakrycia potrzebne do rozbicia namiotów, a szczególniéj pęcherze napełnione wodą zdrojową. Siedząc na wytrwałych koniach, otacza cały pochód waleczny orszak, uzbrojony w długie flinty i zakrzywione szable wypróbowanéj stali, których równie zręcznie jak odważnie użyć umie. Tym sposobem zasłania karawanę od napadu rozbójniczych hord, ukrywających się po parowach, które uwiadomione przez czaty o jéj przybyciu, nagle ze swoich kryjówek wypadają, otaczają i zaczepiają, jeżeli się czują na sile. Bezbronni tworzą wtenczas koło poza wielbłądami, podczas gdy uzbrojeni walczą. Biada, jeźli ta zasłona zostanie pobitą, jeźli walka niepomyślnie wypadnie, gdy walczący polegną i trupami swymi

piasek zaścielą, — wszystkie skarby są stracone, niewola jest losem nieszczęśliwych.

Gdy wieczór się zbliża, zazwyczaj celem podróży jest jakie małe źródełko, lub trochę wody, gdziekolwiek w cystersie uzbieranéj. Wtenczas wielbłądom zdejmują pakunki, rozbijają namioty i dzielą zapasy żywności. Zewsząd wznoszą się wielkie ognie w celu odpędzenia dzikich zwierząt; rozstawiają straże, aby ostrzeżony obóz wziął się do broni, gdy się co podejrzanego ukaże. Rozbite namioty, płonące ognie dokoła śród ciemnéj nocy, krzątająca się rzesza wędrowców, w przeróżne ułożona grupy, majaczejąc i odbijając się na gwiaździstém niebie, czarujący a pełen ułudy, zachwycający i fantastyczny zdala przedstawiają widok. Zda ci się, że zastęp nieziemskich istót zasiadł do wspólnéj uczty i odprawia nocne obrzędy.

Z pierwszym brzaskiem jutrzenki cała drużyna uskutecznia daléj uciążliwą podróż. Duszący żar ciśnie atmosferę; trzeba brnąć ustawicznie w piasku, płonącym od zbytecznego gorąca; niejeden człowiek, niejedno zwierzę upada przygniecione upałem i pragnieniem.

Tym sposobem coraz daléj postępuje pochód; szczęście, gdy jeszcze pęcherze dostarczają cokolwiek wody, aby zwilżyć nieco od czasu do czasu spieczone wargi wędrowców. Wielbłąd widocznie chudnie, ale bez przerwy odbywa swoję drogę, dźwigając ciężar na grzbiecie. Cokolwiek w czasie téj podróży śmierć zaskoczy, rzuca się na pastwę drapieżnym zwierzętom, a liczne bielejące kości ludzi i zwierząt oznaczają smutne ślady, kędy karawana odbywała swoję pielgrzymkę.

Dotąd wszystko jeszcze można było przetrzymać: Ale oto nagle zaciemnia się horyzont, powietrze bucha czerwonym żarem, słońce przestaje świecić, zwierzęta poczynają być coraz bardziéj niespokojne, ogarnięte trwożném a smętném przeczuciem. I człowiekowi tamuje się oddech, przechodzą go przestrachu dreszcze, pragnienie się niesłychanie wzmaga, a znajdująca się woda w skórzanych pęcherzach w okamgnieniu wysycha. Upada cała karawana, ludzie i zwierzęta odwracają oblicza od wiatru, nakrywają się chustkami, aby zabójczy i ogniem zionący kurz nie dostał się im do ust, oczów lub nosa. Słychać szum w oddaleniu; coraz bardziéj się przybliża: to uragan pustyni, to straszny Samum czyli Harmatan, jak go krajowcy zowią; cała okolica, jak szeroko i daleko, staje się tylko jedną wielką chmurą niezmiernéj kurzawy. To raz wznoszą się piasku tumany często od dziesięciu do dwunastu stóp wysoko, tworząc wyniosłe pagórki, to znowu w jednéj chwili rozwiane, nikną zupełnie, aby innym miejsca ustąpić. Nakoniec wszy-

stko przeszło, widnokrąg znowu się rozjaśnia. Szczęśliwy, kto się oparł burzy; cześć i chwała Allahowi!

Karawana zbiera znów swe upadłe siły i wlecze się daléj, pragnąc znaleść schronienie, gdzieby się pokrzepić mogła. Ale oaza jest jeszcze daleko. Jednak patrzcie: tam znaczy się wyraźnie na horyzoncie swymi palmowymi lasami, swemi zielono umajonemi górami; jeszcze chwila, jeszcze jedno małe wysilenie, a dosięgną wędrowcy upragnionego celu. Lecz jakież smutne złudzenie! To tylko zwodnicza gra powietrza, to tylko „Fata morgana," które wywołane nadzwyczajném gorącem, równie prędko znika, jak szybko powstaje. Rozpacz ogarnia wszystkie serca. Jeszcze chwila, a pustynia stanie się grobem dla wszystkich!

(Sarnecki: Gwiazdka Noworoczna, w skróceniu).

94. Wodospady, katarakty.

Rzeki w górzystych krajach płynące napotykają częstokroć w swym biegu nagłe spadki, przepaści, w które gwałtownie spadając, tworzą wodospady, katarakty. Czasami zdarzają się katarakty w wodach jezior, jaką jest n. p. katarakta Niagary. W wodospadach rozmaite widzieć się dają zjawiska, a to według okoliczności, w jakich woda ze skał spada. Częstokroć woda spada szeroką i nieprzerwaną warstwą: gdzieindziéj spada z progu na próg, to znowu pędzi jakby po pochyłéj ścianie muru lub rzuca się z prostopadłego jéj szczytu. Raz łamie się i rozbija jéj promień, nim na dół spadnie i zamienia się w deszczowy mglisty kurz, jak n. p. w Staubbach w Szwajcaryi; innym razem tworzy się cienki wodny łuk, pod którym chodzić można bez omoczenia się spadającym potokiem. Najpiękniejsze jednak wodospady są wtedy, gdy woda spada wielkiemi masami, gdy spada bardzo szybko z jakiéj wysokiéj skały. Takim jest wodospad Renu pod Szafuzą, Tewerone pod Tiwoli, Trollhätta w Norwegii i wiele innych.

Zresztą nie możemy nadawać wielkiéj wagi tym zajmującym zjawiskom. Są one skutkiem zaszłych zmian w miejscowém położeniu skał; dla tego też napotykamy je tylko w krajach, które niegdyś bardzo ulęgły znacznym zmianom na swéj powierzchni. Tam one wprawdzie zajmują lubowników malowniczych widoków, ale mniéj mają znaczenia w naukowém badaniu podziału między lądami a wodami.

Największy i najpiękniejszy z poznanych na ziemi jest wodospad Niagara między jeziorami Erie a Ontario w północnéj Ameryce. Następujący jego opis należy do najtrafniejszych; dla tego prawie dosłownie go kładziemy:

„Jezioro Erie leży na poziomych warstwach w okolicy podniesionéj do 300' nad poziom jeziora Ontario. Spadek dwie te okolice rozdzielający jest w niektórych punktach prawie pionowy, a ta niezmierna różnica w wysokości między dwiema warstwami tworzy nie tylko wodospad Niagary, ale i wielkie katarakty Cheneseco. Osobliwszy ten spadek ciągnie się w ogolności w kierunku południowo-zachodnim od punktu, położonego niedaleko zatoki Toronto na północnym brzegu Ontario i około zachodniego kąta tegoż jeziora; stamtąd idzie daléj w ogólności w kierunku wschodnim i przecina koryto rzeki Niagary i Cheneseco aż w okolice jeziora Seneca i tam ginie. Wody téj katarakty spadały niegdyś z północnéj strony pochyłości, w bliskości przystani; ale przez wiele wieków spadający w tym punkcie ogromny słup wody tak wypłukał twardą skałę na przestrzeni siedmiu mil angielskich i utworzył tak straszną otchłań, iż bez uczucia przerażenia zbliżyć się do niéj nie można.

W tę to straszną przepaść spadają wody z niesłychaną szybkością, a ten ich spadek sprawia drżenie ziemi, do kilkunastu prętów w około czuć się dające, z szumem i łoskotem, który częstokroć słychać jeszcze w odległości dwudziestu mil angielskich. Wielka wysokość brzegu czyni bardzo trudném spuszczanie się do otchłani dla jéj zbadania; skoro się zaś do niéj dostanie, zbliżyć się można aż do stóp spadku, i kilka osób mogą bardzo wygodnie chodzić po znacznéj przestrzeni między otchłanią a spadającym potokiem wody. Niewiele nawet przeszkadza rozmowie hałas wodospadu, który tu mniéj jest wielki, aniżeli w pewnéj dopiero odległości. Bezustannie wznosi się w górę tumanami mgła czyli gruba piana, podobna do chmury. W niéj to, gdy słońce świeci, w odpowiednim znajdując się kierunku, widzieć można nieustanną tęczę. Zimową porą ta mgła osiada na drzewach i tyle jéj na nich zamarza, iż pod jéj ciężarem łamią się gałęzie, a zamarznięta przedstawia nadzwyczaj piękne kryształy. Ta okoliczność zdarza się nie tylko przy katarakcie Niagary, ale i przy Cheneseco.

Jedno jeszcze osobliwe, przez żadnego z opisujących nie wspomniane zjawisko widzieć się daje na tym wodospadzie. Tuż pod najwyższym spadem wody wzdyma się do góry pomieszana z wodą piana w ogromnych jak kopy siana kulach. Podniósłszy się nad wodę, kule te pękają, a z nich wypryskują ogromnie wysoko słupy piany, po czem opadają i inne po nich tak samo następują. Najwyraźniéj widać te kuliste bałwany w środku między zachodnim brzegiem rzeki a wyspą, wodospad rozdzielającą, gdzie téż spada największa masa wody. Przyczyną tego zjawiska jest wydobywające się na wierzch wody powietrze, które z sobą zabrała, i szybko spadając, ścisnęła wielka masa wody. W miejscu wodospadu szerokość rzeki

wynosi 1180 łokci, a pionowa wysokość spadku 150 stóp. Z przyczyny wielkich trudności w dokonaniu nikt nie wymierzył téj pochyłości nad samą otchłanią wodospadu. Z naocznego atoli uważania wnoszą, że spadek ten wynosić musi najmniéj 65 stóp.

(P. E. Leśniewski).

95. Laponia.

Laponia, będąca w posiadaniu Rosyi i Szwecyi, jest oblana w części morzem Lodowatém i Północném. Kraj ten jest niezmiernie zimny i nieurodzajny; śnieg okrywa tam ziemię na cztery do pięciu stóp grubości. Z powodu tak ostréj zimy Lapończycy mimo dobrego opatrzenia podlegają często odmrożeniu części ciała, więcéj na powietrze wystawionych.

Wdzięki wiosny nie wynagradzają im wcale ostrości zimy; wiosna i jesień, równie jak kwiaty i owoce, są im wcale nieznane. Nadzwyczajne upały następują u nich po największych mrozach i za całą zieloność przynoszą im tylko w darze jeżynę, mech i jałowiec. Przez pewną część lata słońce nie zachodzi wcale w Laponii, a znowu przez pewien przeciąg czasu w zimie wcale nie wschodzi, tak że Lapończycy przez trzy miesiące mają ciągle dzień, przez trzy drugie są go pozbawieni; ale wtedy zorze północne udzielają im tyle światła, że mogą swoje zwykłe prace odbywać.

Skały, góry ogromne, poprzerzynane w niektórych miejscach jeziorami i rzekami, ponure lasy, trzęsawiska niezdrowe, szerzące wyziewy, suche i niepłodne płaszczyzny składają całość tego kraju, przedstawiającego obraz puszczy niezmiernéj. Są okolice, w których nie ma wsi żadnéj, tylko gdzieniegdzie rozproszone chaty. Cztery żerdzie, połączone u góry kilkunastu drążkami, do których więcéj żerdzi przymocowanych, stanowią mieszkania Lapończyków. Chaty ich są pokryte według stanu właściciela albo grubém płótnem, albo takiémże suknem, które zowią „Waldmar,“ albo staremi skórami z renów, albo darniną. Drzwi są ze słomy plecionéj, tak ciasne i niskie, iż trzeba czołgać się na kolanach, żeby dostać się wewnątrz. Na środku rozniecają wielki ogień, który ciagle się pali; dym wychodzi przez dziurę, umyślnie do tego w dachu zrobioną. Na dachu lub kołku zawieszony jest kocieł zawsze napełniony wodą; rozpuszczają nią śnieg, który w ciecz zamieniony, służy mieszkańcom za napój. Chata jest wysłana wewnątrz młodemi gałęziami brzozowemi lub sosnowemi, na których rozpościerają skóry renów do spoczynku. Majętniejsi mają chaty porządniejsze: są one kształtu sześciokątnego, budowane z pniaków sosnowych, jeden na drugim ułożonych, a szpary w takich chatach starannie mchem pozatykane.

Lapończycy w ogólności nie mają mieszkań stałych i przenoszą się z jednego miejsca na drugie wraz z swoją rodziną, zabierając z sobą wszystko, co posiadają. Podczas lata sadowią się nad brzegami jezior i rzek dla łatwości łowienia ryb, którém po większéj części się żywią, i dla wyszukania nowych pastwisk, które ich renom są potrzebne.

W zimie zapuszczają się w lasy, gdzie polowanie nastręcza im podwójny zysk ze zwierzyny i futer, które na targach w mieście na granicy Szwecyi zamieniają za inne im potrzebne przedmioty.

Niewdzięczna ziemia nie dozwala Lapończykom chodowania bydląt, jakich mnóstwo znajduje się w innych okolicach Europy. Ale zdaje się, że natura wyłącznie dla nich stworzyła rena, który jest ich domowém zwierzęciem. Czworonożne to zwierzę, podobne do jelenia, ale większe od niego, łączy siłę z lekkością, zdatne jest do zaprzęgu, do dźwigania ciężarów i może zrobić na dzień trzydzieści mil drogi. Zaprzężone do sań, biegnie nadzwyczaj szybko po śniegu i lodzie; mięso jego jest wyborne do jedzenia. Samica daje mleko bardzo posilne i smaczne, z którego robią przednie sery; skóra z rena, okryta włosem, dostarcza pięknych futer i odzieży mieszkańcom. Oczyszczona z włosa i wyprawiona, staje się miękką i zdatną na rękawiczki, kaftaniki i pasy. Ze żył i kiszek rena robią rodzaj dratwy; kości, kopyta i rogi tego zwierzęcia równie służą na pożytek mieszkańcom. Reny stanowią jedyny majątek Lapończyków; najbiedniejsi mają ich dziesięć do dwunastu, a bogaci do tysiąca posiadają.

Lisów pełno jest w całym kraju: są one po większéj części białe, ale napotykają się czasem czarne, a takie jako bardzo rzadkie są najdroższe. Włos na nich jest cienki i długi; dla tego futra ich do 50 dukatów kosztują. Dają się tam także widzieć i gronostaje, kuny, sobole i inne futer gatunki. Wilki są bardzo pospolite, równie jak niedźwiedzie, które Lapończycy nazywają królami lasu. Toczą z nimi okropną wojnę. Polowanie na niedźwiedzia jest u nich czynnością uroczystą. Poprzedzają je obrzędy zabobonne i śpiewy, w których zaklinają niedźwiedzia, ażeby im nic złego nie czynił i nie łamał broni, przeciwko niemu używanéj. A gdy upada pod ciosami myśliwców, mężczyzni i niewiasty zgromadzają się, sprawiają sobie z jego mięsa biesiadę i cały dzień na wesołości przepędzają. Zabić niedźwiedzia jest w Laponii wielkim zaszczytem; odnoszący takie zwycięstwo zatyka do czapki garść sierci nieprzyjaciela.

Są także w Laponii ptaki myśliwe; do tych należy sokół. Ptak ten jest pospolicie koloru czarnego; dziób ma mocno zakrzywiony, szpony niezmiernéj siły. Wyuczony ściga zające a nawet zwierzęta rogate.

Ubiór Lapończyka składa się z worka z grubego płótna albo waldmaru, podobnego do tego, który pokrywa ich dachy. Zawieszają na sobie skórę z rena, spadającą do kolan i pasem na biodrach ściągniętą, który wykładają blaszkami cynowemi; rękawice, bóty, trzewiki są z téjże saméj skóry; czapki robią sobie pospolicie ze skóry jakiego wielkiego ptaka. Strój głowy kobiet składa się z kawałka płótna; majętniejsze okrywają głowę skórą jelenia lub innego jakiego zwierzęcia. Ubiór ich nie różni się wcale od ubioru męskiego; przydają jednakże do niego osobliwszą ozdobę, którą nazywają kraca. Jest to kawałek płótna czerwonego lub innego koloru, krajanego w kształcie krzyżówki, na któréj zawieszają swoje najkosztowntejsze ozdoby. U ich pasa, który cały wyłożony jest blaszką cynową, wisi nóż w pochewce także cynowéj, kawałek skóry, gdzie są zatknięte igły, woreczek zawierający różne kosztowności i fuzya. Do każdéj z tych ozdób dodają nadto mnóstwo kółek miedzianych, których brzęk bardzo im jest przyjemny.

Zwyczajném pożywieniem Lapończyków są ryby, zwierzyna i mięso rena; napojem mleko tego zwierzęcia, pomięszane z wodą. W miejscu chleba, którego nie znają, używają kory z wierzchołka młodych sosien, wysuszonéj na słońcu i z rybą suchą roztartéj. Za wódką i tabaką przepadają; otrzymują oni je równie jak płótno, miedź, blachę, może w zamian za futra, ryby suszone, sery i koszyki. Kraj ten ma przeszło 60,000 mieszkańców.

(Stan. Jachowicz).

96. Kraków.

Miasto Kraków położone jest w nader powabnéj okolicy. Od południa oblewa je rzeka Wisła, na której lewym brzegu leży, a na prawym wznosi się stopniowo pasmo gór skalistych, teraz Krzemionkami, w dawnych czasach Lasotnią zwanych. Na zachód opasane jest ramieniem tychże gór, od Krzemionek odeszłém, a od północy i wschodu obiegły je urodzajne płaszczyzny, gęstemi wioskami zasiane.

Są miasta celujące pięknymi ogrodami; lecz czemże są te utwory ręki ludzkiéj w stósunku do dzieł przyrody? Potrzeba widziec Kraków w porze wiosennéj, w chwili, kiedy dziewicza zieloność pokrywa przyległe wzgórza. Już o milę odległości rozwija się powabny widok tego starożytnego miasta, z którém co do wspaniałości obrazu żadne nasze miasto nie wytrzyma porównania. Wysokie wieże licznych jego kościołów, czerwieniejące się dachówki, oraz połysk miedzianych dachów i kopuł, od których się promień słońca odbija, wreszcie zamek królewski, górujący nad tą miesza-

niną gmachów, umysł podróżnego naprzód już szczególném napełniają uczuciem. Jeszcze widok ten urozmaicają w dalekiéj głębi leżące Karpaty, jakby za ramy czarownemu obrazowi temu służące, których wysokie szczyty w błękitach powietrza giną.

Na wysokiéj nad miastem wznoszącéj się górze, o któréj podstawę skalistą Wisła szumiące fale roztrąca, na téj skale, któréj nazwisko jest Wawel, stoi gmach starożytny, niegdyś książąt i królów polskich siedlisko.

Z licznych i wielkich gmachów składał się kiedyś zamek krakowski, a z rozległości swéj raczéj do miasta niż do zamku był podobny. Teraz najznakomitszą jego częścią jest kościół katedralny, tudzież dawny pałac królewski, i nowo wzniesione gmachy gwoli użytkowi wojskowemu. Mur okalający od strony południa i zachodu już nie istnieje, tylko stoją baszty czyli wieże zadziwiającéj wysokości, które służyły jako więzienia. Właściwy pałac królewski formują gmachy o dwóch piętrach, galeryami opasanych, stojące w czworobok około dziedzińca znacznéj obszerności, będącego w środku; a gmachy te, chociaż im czas dawną świetność wydarł, świadczą jeszcze wymownie, że były królów siedliskiem.

Z całego dawnego przepychu zamku krakowskiego utrzymał się tylko bez uszkodzenia kościół katedralny, świątynia najwspanialsza z kościołów krajowych, pobożnością monarchów wzniesiona i ozdobiona. Obejmuje ona ośmnaście kaplic, w których się mieszczą wspaniałe grobowce i pomniki królów. Dwie wieże wznoszą się przy wielkich drzwiach kościelnych, a trzecia obok zakrystyi. Na téj znajduje się dzwon największy w Polsce, zwany Zygmuntem. Ma on dwanaście łokci w obwodzie, a do poruszenia jego ośmiu silnych ludzi potrzeba. Majestatyczne, donośne brzmienie jego rozlewa wdzięczną i dla słuchu wielce miłą harmonią nad miastem i dalszą okolicą.

Od zamku wiedzie ulica Grodzka do miasta. Joachim Bielski, pisarz z czternastego wieku, kształt miasta Krakowa tym sposobem opisuje:

„Gdy się na nie z wysokości spojrzy, jest coś podobne do lutni okrągłością swą. Ma téż coś podobnego do orła, którego głowę przedstawia zamek, Grodzka ulica szyję, przedmieścia zaś około niego są niejako skrzydła.“

Wielkością i regularnym kształtem rynku Kraków zaszczytne ma pierwszeństwo nie tylko przed wszystkiemi miastami polskiemi, ale nawet i przed wielu zagranicznemi. A jestto doskonały czworobok, do którego dwanaście głównych ulic wbiega; ściany zaś jego formują rzędy pięknych trzechpiętrowych gmachów. Postać jego zupełnie się zmieniła, gdy zeń liczne stragany usuniono.

Po zniesieniu kramów pozostała w rynku tylko jeszcze wysoka wieża ratuszowa, niemniéj mały kościółek św. Wojciecha, i gmach zwany „Sukiennice,“ który wystawił Kazimierz Wielki. Nie ma w Polsce drugiéj budowli, któraby długością téj wyrównała. Tworzy ona salę, 180 łokci długą, a 18 szeroką, która 7,000 ludzi pomieścić może.

Wspaniałe i liczne świątynie Krakowa stanowią niezaprzeczenie celną jego ozdobę. Liczba ich niegdyś daleko była znakomitszą, kiedy z tego względu Kraków drugim Rzymem nazywano.

W rzeczy saméj nie masz w północnéj Europie miasta, któreby tyle kościołów i klasztorów liczyło. Obecnie jest w mieście i na przedmieściach kościołów czterdzieści; ilość zaś świątyń rozebranych lub zamkniętych albo przerobionych na inne cele wynosi dwadzieścia sześć. Najpierwszy ze względu okazałéj budowy i dawności, a drugim po katedrze co do wewnętrznéj wspaniałości jest kościół archipresbyteryalny pod nazwaniem Wniebowzięcia Najświętszéj Maryi Panny, stojący we wschodnéj ścianie rynku. Nie małéj przydają świątyni téj okazałości dwie wieże, z których jedna miejską zwana, sto szesnaście łokci wysoka, najwyższą jest w Krakowie, a może i w całéj Polsce, i stąd dała początek miejscowemu przysłowiu; „wysoki jak Maryacka wieża.“ Z funduszów miasta utrzymuje się ciągle na niéj straż, czyli trębacz, mający wybijać w dzwony godziny i ostrzegać o pożarze. Z jego mieszkania wspaniały do koła roztacza się widok.

Dawniéj dzieliły miasto to od przedmieść szerokie i wysokie mury, w których ośm bram było. Po rozebraniu tychże założono na ich miejscu obszerne plantacye z drzew, służące za miejsce do przechadzki. Z bram zaś tylko jedna Floryańska stoi. Za plantami leży od strony południowéj przedmieście Stradom; daléj jeszcze ku południowi przedmieście Kazimierz, założone przez Kazimierza Wielkiego na wyspie, którą formuje kanał, starą Wisłą zwany, i koryto główne Wisły. Oba te przedmiescia niegdyś osobne miasta stanowiły. Za Kazimierzem, już na drugim, prawym brzegu Wisły, leży miasteczko Podgórze, zbudowane na poziomie Krzemionek, na których pasmie widzieć się daje starożytny pomnik, z ziemi usypany, zwany mogiłą Krakusa, mniemanego założyciela Krakowa.

Na zachodniéj stronie miasta leżą przedmieścia Rybaki, Nowy Świat, Smoleńsko, Zwierzyniec, Wygoda, Piasek inaczéj Garbarze, a od północy Pędzichów, Biskupie i Kleparz, stanowiący także niegdyś osobne miasto nazwiskiem Florencyi. Od wschodu wreszcie leży Lubicz i Wesoła.

I bliższe i dalsze okolice Krakowa obfitują w urocze widoki i w ciekawe pamiątki dziejowe. Wspomnę tylko wsi Łobzów i Prą-

dniki, Bielany z klasztorem Kamedułów, opactwo Benedyktynów w Tyńcu, zamki w Tenczynie i Lanckoronie, Kalwaryą Zebrzydowską, Krzeszowice, góry Ojcowa, Grodziska i Piaskowéj Skały, słusznie Szwajcaryą polską zwane, rozległe knieje Niepołomickiéj puszczy, w których królowie zwykli byli polować na grubą zwierzynę, a nareszcie sławne na cały świat kopalnie soli we Wieliczce.

(Ambr. Grabowski).

97. Ratusz w Poznaniu.

Ratusz poznański należy do najpiękniejszych budowli miasta i jest prawdziwą ozdobą Poznania. Stoi on już 600 lat. Zaraz po założeniu miasta na lewym brzegu Warty i po nadaniu mieszkańcom prawa magdeburskiego potrzebnym był ratusz dla magistratu, dla sądów miejskich, na więzienie złoczyńców, na skarbiec wybieranych podatków i na archiwum, czyli księgi do zapisywania wydarzeń i spraw miejskich. Postawiono go więc wtedy.

Pierwotny ten ratusz stał aż do panowania Zygmunta I. który go rozrzucić i na tém samém miejscu nowy postawić kazał. Zaczęto nową budowę roku 1508; rok ten stoi do dziś złotemi cyframi wyryty nad jednemi małemi drzwiami w ratuszu na dole.

W kilkadziesiąt lat potém uderzył piorun w wieżę i spalił ją; wybudowano więc w roku 1698 za panowania Augusta II nową, która niezmierne sumy kosztowała, ale téż była arcydziełem, godném podziwienia wszystkich. Naoczny świadek tak o téj wieży pisze:

„Wieża cała pobita miedzią, a sztukami pozłocistemi przyozdobiona, tak się ważnie i misternie przez rzemieślnika budującego zdarzyła, że monarchowie, ile podczas wojny szwedzkiéj i moskiewskiéj, dziwowali się jéj udatności i ozdobie i abrysować ją dawali. Nawet z państw i królestw architektowie przyjeżdżali i abrysy sobie brali. — Na wieży był dzwon, czyli cymbał do bicia godzin, który 157 centnarów ważył.“

Ale ta tak piękna i wspaniała wieża niedługo była ozdobą Poznania. W roku 1725, to jest przed stu kilkudziesięciu laty burza okropna, która domy wywracała, wieże kościelne zrywała, obaliła téż wieżę ratuszową. Spadła ona ku ulicy Wronieckiéj i zgniotła swoim ciężarem kamienicę kupca Efraima Klinberga, ale z ludzi nie zabiła nikogo.

Naprawiono potém jak można było ratusz. Dzisiajszy jego kształt tak jak i zamku książęcego pozostał się z czasów Stanisława Augusta. W roku bowiem 1783 począwszy od drugiego piętra zmieniono postać gmachu i wybudowano wieżę. Na jéj wierzchołku, gdzie dawniéj znajdowały się figury Lecha, Czecha i Rusa, postawił

i umocnił cieśla Nerger orła z miedzi. W środek orła włożono wtenczas wszystkiego gatunku pieniądze, jakie roku 1783 w Polsce wybito, to jest: jeden czerwony złoty czyli dukat, jeden talar, jeden półtalar, dwuzłotówkę, złotówkę, półzłotek, grosz srebrny, trzygroszówkę miedzianą, jeden grosz, jeden półgrosz, jeden szeląg; wszystkie z odpowiednimi herbami i stemplami. Prócz tego włożono cztery ewanielie, różne relikwie i na pargaminie dokument, w którym wypisano, kiedy, przez kogo i w czyjéj przytomności orła na wieżę wciągniono.

Kiedy zaciągano orła, grała kapela, rozłożona na galeryach ratusza, i ciągle z armat strzelano. Po ustawieniu orła Jakób Brang, rodem Szwajcar, podmistrz ciesielski, pił na wierzchołku wieży rozmaite zdrowia i według obyczaju każdy kieliszek zrzucał na ziemię. Dziwić się trzeba, że trzy z tych kieliszków padły z takiéj wysokości na bruk, a nie stłukły się.

Dawnymi czasy na zewnętrznych ścianach ratusza były wizerunki rozmaite; za Stanisława Augusta malarz Cielecki wymalował postaci kilku królów, które jeszcze dzisiaj, chociaż mocno zatarte, widzieć można.

W jednéj ze sali ratuszowych, w któréj teraz rada gminna posiedzenia swoje odbywa, wisi obraz książęcia Przemysława, a pod nim stoi posąg króla Augusta II.

Przed ratuszem dawnymi czasy ścinano także zbrodniarzy, których sąd miejski na śmierć wskazał. Blisko ratusza stoi kamienny pręgierz, a na nim kat, trzymający miecz w ręku. Pręgierz ten przed trzystu laty tam postawiono, to jest roku 1535. Stawiono pod nim na widok publiczny złoczyńców, skaranych na śmierć haniebną, a częściéj jeszcze smagano kobiety nieczne albo dopuszczające się małych kradzieży.

Obok ratusza znajdują się jeszcze inne gmachy publiczne z dawnych czasów. Takim dowodem jest giełda, albo waga miejska, która z pewnością w tym samym czasie była postawiona, kiedy ratusz pobudowano. Poznań dawnymi czasy prowadził wielki handel z dalekimi krajami, bo nawet aż ze Szkocyą; tutaj więc kupcy na skład dawali swoje towary do giełdy. Dzisiajsza postać giełdy nie sięga czasów Przemysława; jest ona z czasów Zygmuntów z XVI wieku, co szczególniéj widać po kamiennych ramach u okien.

Przed dwustu laty postawiono naprzeciwko giełdy zbrojownię, w któréj się znajdowało dużo armat, broni ręcznéj i wszelkiego rodzaju amunicyi; ale szwedzkie wojsko za Augusta II ogołociło zbrojownię poznańską z wszystkiego, i od tego czasu już nigdy nie była, jak się należy, w broń zaopatrzoną. Za Stanisława Augusta był

w niéj skład soli rządowéj, późniéj urządzono w niéj więzienie, a potém stała się prywatną własnością.

Z drugiéj strony zabudowań ratuszowych znajduje się ozdobny odwach wojskowy. Miasto Poznań utrzymywało sobie dawniéj garstkę własnéj milicyi, a często miało na załodze wojsko koronne; miało więc od początku przeszłego wieku dla niego odwach. Za czasów Stanisława Augusta Kazimierz Raczyński, generał wielkopolski, kazał dawny odwach rozrzucić, a na jego miejsce postawił w roku 1787 odwach nowy, gustowny, będący do dziś dnia ozdobą rynku.

(Ulkowski w wyjątkach).

98. Wynalazek sztuki drukarskiéj.

Codzienne doświadczenie przekonywa nas dostatecznie, jak użytecznem, jak zbawiennem dla rodzaju ludzkiego stało się wynalezienie sztuki drukarskiéj.

Umiejętność czytania i pisania za tak wielką zaletę w XIItym wieku uchodziła, że winowajców, którzy ją posiadali, od śmierci uwalniała; nie dziw tedy, że księgi, ręką ludzką przepisywane (rękopisy), nader były naówczas kosztowne. Dla tego też monarchowie tylko i zamożni obywatele posiadać je mogli. Lecz po wynalezieniu sztuki drukarskiéj rozmnożyły się pisma wszelkiego rodzaju: już wtedy i mniéj majętni kupować dzieła i oświecać się mogli. Szczęśliwym trafem wynalazek ten przypadł w czasach odradzających się nauk, do których rozszerzenia i szybkiego wzrostu znacznie się także przyłożył.

Około połowy XV wieku w Niemczech ludziom, skądinąd mniéj znanym, winniśmy wynalazek, mający w czasie potężniéj na losy ludzkie wpływać, niżeli wojny lub inne najważniejsze zdarzenia.

Jan Guttenberg, rodem z Moguncyi, porzuciwszy w roku 1430 rodzinne miasto, udał się był do Strasburga, gdzie zajmował się wyrzynaniem szkła i pieczątek. Wkrótce dobrał trzech robotników, którym miał tajemnicy swoich w drukarstwie wynalazków udzielić. Roku 1445 wrócił do Moguncyi, gdzie, przybrawszy sobie za wspólnika bogatego mieszczanina Jana Fausta, za udzieloną sobie pomoc w pieniędzach odkrył mu swój wynalazek i na swojéj drukarni pożyczone od niego pieniądze zabezpieczył. Poczem jeszcze jakiś czas na drewnianych tablicach książki odbijał, lecz wkrótce porozcinał tablice na czcionki czyli litery, i tym sposobem ruchome czcionki wynalazł. Takiemi drewnianemi czcionkami odbijane książki bardzo niezgrabny miały pozór; dla tego Guttenberg i Faust oblewali je ołowiem i tak otrzymali pierwsze stemple, które nalewając ołowiem

albo cyną, robili metalowe czcionki tém od drewnianych lepsze, iż się łacniéj rozmnażać dawały. Późniéj przyjęli do spółki Piotra Szeffera, kalligrafa, który zważając, iż litery, powyższym otrzymane sposobem, były tępe i nieodbitne, wpadł na myśl robienia wyskakujących liter na stali, z którychby otrzymał stemple. Z tych stemplów Szeffera wychodziły piękne, wybitne i jednostajne czcionki, Gdy prócz tego Szeffer lepsze czernidło wymyślił, sprawiedliwie należy mu chwała, że się najwięcéj do udoskonalenia kunsztu drukarskiego przyczynił.

Takim sposobem w połowie XV wieku wynaleziono druk w Niemczech nadreńskich. Faust i Guttenberg książki drukowane, a mianowicie biblie, chcąc swój wynalazek ukryć, przedawali za rękopisy, ale za dziesiątą część ceny zwyczajnéj. Taka niesłychana taniość wznieciła podziwienie tém więcéj, gdy zamówionych rękopisów w kilka dni dostarczano. Późniéj, gdy jeszcze bardziéj cenę zniżyli, zaczęto ich posądzać o czary i zaskarżono obydwóch do sądu. Przeszukano więc ich mieszkania i znaleziono wielką liczbę tych mniemanych odpisów.

Tego wynalazku użyli Guttenberg, Faust i Szeffer do wydawania książek szkólnych i kalendarzy, co wszelako nie przynosiło jeszcze stósownych do wielkiego nakładu przychodów. Guttenberg nie miał czem opłacić procentu od pożyczonéj od Fausta sumy. Gdy dla tego sprawa do sądu wytoczyła się, a Faustowi cały warsztat drukarski przysądzono, odłączył się Guttenberg roku 1455 od Fausta i Szeffera, a wsparty przez mogunckiego doktora Haemery, sporządził sobie nową drukarnię i tu sam różne wydawał książki. Nakoniec roku 1468 życie kłopotliwe zakończył.

Tymczasem Faust i Szeffer coraz bardziéj doskonalili swoję drukarnię i przybrali sobie pomocników, z którymi wielkie dzieła drukowali, między innemi psałterz w roku 1457. Jestto pierwsza księga, na któréj jest oznaczony drukarz i rok wydania.

Gdy w roku 1462 Adolf nassawski, wtargnąwszy nocą do Moguncyi, to miasto opanował, rozproszyła się czeladź Fausta i Szeffera po różnych stronach Niemiec, i trzymany dotąd w tajemnicy kunszt drukarski rozniosła po całych Niemczech, Włoszech, Francyi i Polsce. W Bambergu Pfister już był 1461 roku począł drukować. W roku 1465 Ulrich Zell zaprowadził kunszt drukarski w Kolonii, a Günther Zainer w roku 1465 przybył do Krakowa, dokąd go kwitnąca bardzo na ów czas akademia zwabiła.

Tak wynaleziony druk podał nowy, nieznany starożytnym ludom środek udzielania i rozkrzewiania myśli i wiadomości. Naukowe księgi, wydobyte z pyłu klasztornego i z zaciszy bibliotek dostawały się łacniéj w ręce ludzi, którzy wrodzoną do światła

nauk mieli skłonność i ochotę. Wielka mnogość wiadomości i wyobrażeń, dotąd w kosztownych rękopisach ukryta, dla niebogatych uczonych i artystów niedostępna, stała się własnością powszechną. Odtąd już nauki cofać się, ani w rozwijaniu wstrzymać nie mogły; każdy nowy postęp w świecie duchowym natychmiast ogłoszony, rozchodzi się po najrozleglejszych zakątkach świata, występuje w coraz nowych kształtach i na zawsze własnością ludzi zostaje. Wieki ciemnoty już się wrócić nie mogą; jeźli jedne narody z gnuśności nie uprawiają u siebie nauk, pochodnia oświecenia nie zgaśnie dla tego; inne bowiem narody w bardziéj sprzyjającém dla nauk położeniu krzewią i rozsypują promienie dobroczynnego światła, i światło to utrzymując z troskliwością, zgasnąć mu nie dają. Stąd sprawiedliwie wynalazek druku za epokę przedzielającą dwa światy w historyi oświecenia ludzi uważać można i należy.

(Michał Wiszniewski.)

99. Słoń.

Słoń jest największém ze zwierząt lądowych. Wysokość starego słonia wynosi dwanaście do piętnastu, długość do szesnastu stóp. Jest więc tak wielki, jak mały budynek i waży około ośmdziesiąt centnarów. Żyje dziko gromadami w Azyi i Afryce, lubo afrykańskie mniejsze są od azyatyckich. Ciało słonia jest niezgrabne, skóra gdzieniegdzie pokryta czarną siercią, podobna do grubéj kory drzewa. Nogi jego, równające się odziemkowi, wyglądają jak filary. Oczy ma bardzo małe, uszy klapiaste. Chociaż niezgrabny, wielki i ciężki, może jednak biedz bardzo szybko. Ponieważ mu trudno powstać z ziemi, przeto sypia, stojąc oparty o drzewo.

Najbardziéj podziwienia godną rzeczą jest u słonia nos do czterech łokci długi, który trąbą się nazywa. Mając kark bardzo gruby, zgiąć go nie może do ziemi, tak więc trąba służy mu do wszystkiego. Za jéj pomocą bierze napój i pożywienie.

Kiedy np. jest spragniony, nabiera wodę trąbą, którą skrzywia, i tak napój w gębę wlewa. Trąbą tą zrywa téż trawę, liście i inne rośliny; posiada zaś w niéj taką siłę, że tygrysa o ziemię powala, duże drzewa wyrywa i do dwóch centnarów udźwignąć może. Koniec trąby téj tak jest delikatny, że za pomocą n rozwięzuje pęczki, podnosi z ziemi pieniądze, dzwoni i wykonywa rozmaite sztuki.

Po obu stronach trąby ma dwa wielkie, wystające kły do półtrzecia łokcia długie, z których każdy przeszło sto funtów waży. Ze zębów tych wyrabiają wiele pięknych i drogich rzeczy.

Słoń nie jest drapieżném zwierzęciem; nie napada na ludzi i liczy

się do zwierząt wielokopytowych. Dawniéj używano go do wojny i stawiano na nim wieże, w których ukrywało się wojsko. Rozdrażniony jest wielce niebezpieczny, mściwy i pamięta długo sobie wyrządzoną krzywdę, jak tego następujący dowodzi przypadek.

Około domu pewnego krawca pędzono często oswojone słonie do wody, a krawiec zwykł był zawsze jednemu z nich dawać kawałek chleba. Jednego razu wszakże, gdy słoń, jak zwykle, włożył trąbę w okno, krawiec zamiast dać chleba, ukłuł go w trąbę igłą. Słoń się oddalił; lecz mając wracać, nabrał tyle wody, ile się w trąbę zmieściło, a przyszedłszy do okna krawca, wszystkę wodę tak gwałtownie na twarz mu wylał, że ten o mało się nie udusił.

100. Wielbłąd.

W krajach gorących, gdzie trudno jest o wodę i przez wielkie piaski i puszcze trzeba przejeżdżać tak, że kilka dni jadąc, ani studni, ani nawet kawałka ziemi murawą pokrytéj spotkać nie może, inne zwierzęta są ludziom na usługi; są to wielbłądy i dromedary. Zwierzęta te zdają się być jednego gatunku; te tylko jedyną postrzegamy w nich różnicę, że wielbłąd ma dwa garby na grzbiecie, a dromedar jeden. Obadwa pierwiastkowie pochodzą z Arabii i dosyć są pospolite w Azyi i Afryce. Codziennie dwanaście lub piętnaście mil naszych uchodzą, dźwigając po tysiąc funtów każdy. W kosze zawieszone na garbach ładują na nie ciężary; w podobneż kosze na nie siadają, założywszy na krzyż nogi obyczajem wschodnich narodów. W czwartym roku zaczynają służyć człowiekowi.

Wielbłąd jest zwierzęciem łagodném i pojętném; z młodości przyzwyczajają go, żeby przyklękał na wszystkie cztery nogi, gdy go chcą ładować lub siadać na niego. Łatwo idzie po piasku, lecz na gruncie tłustym i śliskim nie może się utrzymać z przyczyny kłębu, który ma pod nogami. Gdy się nadarzą jakie przeprawy na drodze, muszą rozpościerać kobierce dla przeprowadzenia wielbłądów albo też czekać, aż droga wyschnie.

Wielbłądy bardzo mało jedzą; żują sitowie, pokrzywy, liście z drzew opadłe, siano, słomę, jęczmień i owies; jeżeli utracą apetyt, oset, głóg, jałowiec, przywraca im chęć do jadła. Rzadko piją, ale gdy mają pragnienie, dużo w siebie biorą wody od razu. Aby je przyzwyczaić do obejścia się bez wody, i aby wcześnie nabrały nałogu rzadkiego napawania się, gdy są młode, nie dają im ssać przez czas niejaki. Wreszcie ta łatwość wstrzymywania się od picia nie jest skutkiem samego nałogu, ale raczéj pochodzi z szczególnego ich ukształcenia. Mają wewnątrz coś na kształt torby,

która im służy za naczynie do zachowania wody. Ta torba jest znacznéj objętości i może wiele zmieścić wody, która w niéj się nie psuje, ani mięsza z innymi pokarmami. Zwierzę przyciśnione pragnieniem, wyrzuca część téj wody do gardzieli za pomocą prostego ściągania muszkułów.

Mleko wielbłąda jest zwyczajnym pokarmem Arabów, osobliwie z młodych, które dla nich przedziwną jest potrawą. Sierć tych zwierząt cienka i miękkawa, corocznie odnawia się na wiosnę; służy im do robienia materyi na szaty i obicia. Z niéj także robią kamloty i kapelusze.

W Turcyi, Persyi, Arabii, Egipcie i Barbarii samymi wielbłądami przewożą towary; ten przewóz jest najprędszy i najtańszy ze wszystkich. Kupcy i inni podróżujący kupią się w karawany i jednoczą, aby uniknąć rozbojów arabskich. Karawany te bywają częstokroć bardzo liczne, a zawsze w nich jest więcéj wielbłądów niż ludzi. Każdy wielbłąd bywa wyładowany podług siły swojéj; każdy z nich tak dokładne ma uczucie swéj mocy, że gdy go przeładują, nie chce dźwigać i powstać z ziemi.

Czasem trąca głową tego, co go ładuje zbytecznie, lub żałosnymi uskarza się krzykami. Gdy karawana pilny ma pochód, zdarza się niekiedy, że na noc nie zdejmują ciężarów, którymi są obładowane; wielbłądy na ówczas zakładają nogi pod brzuch i wspierając na nich całe ciało, w takim spoczynku noc przepędzają.

(F. S. Dmochowski).

101. Bóbr.

Pomiędzy zwierzętami gryzącemi bóbr zajmuje znakomite miejsce już dla znacznych wymiarów ciała, już z powodu wielkiéj wartości swego futra. Dorosły bóbr od końca pyska do końca ogona mierzy trzy i pół do czterech stóp, z czego jedna stopa na ogon przypada. Cała postać bobra wyraża pewną niezgrabność, ciało ma mocne i grube, mianowicie tylne nogi; przednie nogi są krótkie, lecz opatrzone bardzo mocnymi pazurami; palce spięte błonami, nie mało przyczyniają się do ułatwienia pływania, jak również ogon, którym bóbr steruje niejako w swoich rybackich wyprawach. Ogon ten jest nieco spłaszczony, gładki i po bokach w ostrą krawędź przechodzi, na całéj zaś powierzchni małemi łuszczkami jest pokryty. Sierć na bobrze jest dwojakiéj barwy: krótsza, miękka, wełnista, jest szara, często białosrebrna, dłuższa zaś bardzo gładka i lśniąca, żywo-czerwono-brunatnego koloru. Zdarzają się jednak znaczne odmiany. I tak w umiarkowanych klimatach jest

jaśniejsza, a daleko na północy prawie cała czarna. Jako osobliwość zdarzają się bobry białe, żółte, oliwkowe lub pstre. Obydwa te gatunki włosów są tak tłuste, iż wcale nie przepuszczają wody.

Bóbr niegdyś był mieszkańcem większéj części Europy i pospolicie przebywał nad brzegami znaczniejszych rzek; nieumiarkowane atoli wyniszczenie uczyniło go coraz rzadszym, a jeżeli opiekuńcza władza nie weźmie bobrów, tak jak żubry w białowiejskiéj puszczy, pod swoję opiekę, wkrótce zostaną wyniszczone do szczętu tak, iż tylko ślady historyczne przekonają nas, że kiedyś liczyły się do zwierząt europejskich.

W północnéj Azyi, a szczególniéj nad brzegami rzek syberyjskich, częściéj już spotykamy te zwierzęta; lecz Ameryka północna ze swemi odwiecznemi puszczami jest właściwą ojczyzną bobra. Tam to nad brzegami Makenzie i innych wielkich rzek, do Północnego morza toczących swe nurty, żyją dość często całe stada albo familie bobrów, stanowiąc utrzymanie wielu tysięcy ludzi, polujących na ich drogocenne futra.

Północna Kanada, Labrador i okolice zatoki Hudzońskiéj są miejscami, gdzie lasy wiecznie odbijają huk strzelby łowca, polującego na bobry tak latem, jak i jesienią, tak wiosną, jak i zimą, w którym to czasie futro zwierzęcia tego bywa najprzedniejsze.

Mądrość i naturalny instynkt bobrów były pilnie rozważane, lecz bardzo często i przesadzane. Cała bowiem sztuka, jaka w bobrze na uwagę zasługuje, odnosi się tylko do budowy mieszkań; w innych zaś kierunkach zmyślność jego ustępuje zmyślności lisa lub innych dobrze nam znajomych zwierząt. Trudno nawet powiedzieć, aby bóbr pokazywał jakąkolwiek skłonność do towarzyskiego życia w tém znaczeniu, w jakiém je rozumiemy n. p. u pszczół i mrówek. Łączy się on wprawdzie w stada, wykonywa pewne wspólne roboty, lecz wtedy tylko, gdy te tyczą się dobra ogólnego; dla siebie zaś pracuje sam, a nawet żyć może pojedyńczo, nie czując żadnéj tęsknoty. Nad brzegami rzek europejskich żyją bobry pojedyńczo we wykopanych przez siebie jamach, do których prowadzi wchód z pod wody; przytém wygrzebują sobie długie i przestronne chodniki.

Bobry żywią się korą topoli, osiny, brzozy, jesionu, klonu i t. p. i zgromadzają także zapasy jéj na zimę; jedzą również korzonki wodnych roślin. Siedząc na tylnych nogach, podobnie jak wiewiórki, podają sobie jadło do gęby przedniemi łapami. Na jesień bobry tyją; w zimie pomimo całego zapasu kory i innych materyałów pokarmowych znacznie chudną, na wiosnę znowu do pierwotnego wracają stanu.

Bóbr pływa i nurza się wybornie, ale chód ma niebardzo rączy, i, można powiedzieć, niezgrabny. Głos jego jest to pewne klaskanie

lub skrzypanie, albo też krzyk mocny, podobny do płaczu dziecka. Smak bobrowego mięsa jest bardzo zbliżony do smaku mięsa borsuka, wyjąwszy uda i ogon, które smakiem i zapachem do ryby są podobniejsze; ogon ważący niekiedy trzy do czterech funtów, również jak tylne łapy, już to pieczone, już to gotowane, uważane są za przysmak osobliwszy.

Skóra bobra kosztowne daje futra; z długich włosów robią pończochy, chustki, rękawiczki i. t. p., krótszych zaś używają kapeluśnicy na kapelusze, które stąd kastrowymi nazywają. Dorosły bóbr daje około półtora funta włosów. Samę także skórę przerabiają na różny sposób; przednie zęby służą do polerowania, gładzenia i. t. p.

Wytopionego tłuszczu używają na lekarstwo; lecz pod względem lekarskim na szczególną uwagę zasługuje tak nazwany, „strój bobrowy," będący materyą tłustą, wonną, zbierającą się w osobnych woreczkach pod ogonem. Tyle i tak znacznych korzyści naturalnie stało się powodem nieustannego na bobry polowania, co sprawiło, że i na amerykańskich nawet rzekach zdarzają się pojedyńczo żyjące, które już nie budują sobie domów, ale przemieszkują we wygrzebanych przez siebie jamach i uciekają do nich, gdy we właściwych sobie mieszkaniach są napastowane.

Pospolicie polują na bobry w zimie; w téj bowiem porze największą ma wartość ich futro. Wtedy to amerykański myśliwy, uzbrojony lancą, u spodu żelazem okutą, idzie brzegiem po nad rzekę i uderzając w lód, poznaje po odgłosie gdzie są bobrowe jamy; potém przebija ową lancą otwór w lodzie tak wielki, iżby się weń bóbr mógł zmieścić. Tymczasem znajdujące się na lądzie kobiety biją w ziemię nad jamą lub chatą, chcąc je niby pokruszyć. Przestraszony bóbr ucieka pod lód; lecz niedługo pod nim wytrzymać może; musi bowiem zbliżyć się do przerębli dla nabrania świeżego powietrza, a wtedy myśliwiec strzałem zabija to cenne zwierzę. Tym sposobem wielką liczbę bobrów zabijają.

Indyanie zaś, nad brzegami Missouri i Missisipi mieszkający, najczęściéj łowią bobra w samołówki, a strój ich jako łakotkę mają zjadać, co przecież nie jest rzeczą dostatecznie potwierdzoną.

W Europie łowią go w żelaza lub mocne sieci, które na noc przy wejściu do jamy i wyjściu z niéj zastawiają.

W Europie zdarza się dzisiaj zwierzę to tak kosztowne, a przytém tak zmyślnie mądre nad Rodanem we Francyi, nad Dunajem we Węgrzech, a w północnéj Europie nad Labą, Wisłą, Bugiem, Narwią, Prosną, Odrą i niektórémi innemi rzekami, lecz pojedyńczo tylko.

U nas miano litewskie bobry za najprzedniejsze dla czarnego,

gęstego i miękkiego włosa, jako też dla smacznego i tłustego mięsa, dla którego więcéj niż dla futra go łowiono; tłuste bowiem mięso bobrowe i ogon liczono do przysmaków i jadano w posty, utrzymując, że zwierz ten należy do ryb, ponieważ ma ogon łuskami pokryty. Ale i skóry bobrów były u nas dla miękkiéj i pięknéj sierci kosztownym przedmiotem handlu; za czapki bobrowe płacono drogo; często za jednę trzysta złr. Również i strój bobrowy liczono do najskuteczniejszych środków lekarskich. O tym stroju mamy nawet przysłowie: „Okupić się jak bóbr strojami," gdyż bóbr uciekając, jak myśliwi utrzymywali, sam je sobie odgryzał, żeby zaspokoiwszy łowców tą zdobyczą, mógł uciec swobodnie. Powszechnie także mniemano, że bóbr napadnięty lub ścigany, płacze, skąd miał w języku naszém przydomek „bóbr płaczliwy," i skąd urosło przysłowie, dawniéj i teraz jeszcze używane: „Płacze jak bóbr."

(K. Wł. Wojcicki.)

102. Wieloryb.

Zadziwiający swoim ogromem wieloryb jest największém na kuli ziemskiéj stworzeniem. Żyje on we wodzie i podobny jest do ryby, jak samo nazwisko okazuje; że jednak oddycha płucami, ma krew ciepłą, a pierwszém jego pożywieniem jest mleko, słusznie policzyć go można do zwierząt ssących.

Ogon wieloryba jest na trzy lub cztery sążnie szeroki i pomaga do sterowania ogromnéj masy jego ciała; a gdy nim uderzy o powierzchnią wody, huk stąd powstający podobny jest do wystrzału armaty.

Wieloryb dla ogromu swego mało ma podobieństwa do zwierzęcia. Jestto raczéj pływająca wyspa, po któréj jak po ziemi chodzić można. Mnóstwo ślimaków, koralów, porostów morskich, do skóry jego, najczęściéj czarnéj, czasem przyczepionych, czynią go jeszcze więcéj do wyspy podobnym. Żyjące te istoty mnożą się na nim jak na skale. Pod zewnętrzną jego skórą znajduje się słonina koloru żółtego, kilka stóp grubości mająca, a stanowiąca największą wartość tego olbrzyma morskiego. Z niéj to wysmarzają tłustość, tranem zwaną, któréj we wielkiéj ilości rzemieślnicy używają. I język wieloryba dostarcza tranu na kilka beczek.

Właściwém siedliskiem wielorybów są wody bliskie północnego bieguna, a mianowicie o[illegible] Grenlandyi, Szpicberga i Nowéj Zemlii; dają się jednak widzieć i [illegible]południowych okolicach oceanu Atlantyckiego i na oceanie Sp[illegible]m. Pływają wolno i wspaniale; połową swéj grubości zanur[illegible] są we wodzie, a połową wzniesione nad jéj powierzchnią. Odd[illegible]c płucami, długo pod wodą zosta-

wać nie mogą, a lubo zanurzają się w głębi morza, wkrótce wydobywają się znowu na powierzchnię wody. Na ląd nigdy nie wychodzą, a nawet nie mogłyby tego uczynić. Głos wydają ze siebie bardzo rzadko; konając, kilkakrotnym i przeraźliwym rykiem zgon swój zapowiadają.

Przemysł i żądza zysku doprowadziła człowieka do nader śmiałego przedsięwzięcia, aby z tego straszliwego potworu korzyść odnosić. Od trzech set przeszło lat wieloryb jest głośnym przedmiotem połowu morskiego. Anglicy, Holendrzy, Duńczycy, Szwedzi wysełają corocznie wielką liczbę okrętów na połów wielorybów. Najlepszy połów jest około Szpicberga; zwyczajnie odbywa się w czerwcu i lipcu. W przeciągu tych dwóch miesięcy poławiają czasem do 2000 wielorybów.

Do takiego połowu używają ciężkich haków, krzywe ostrza mających, które przebijają skórę wieloryba i o nią zaczepiają. Haki te, harpunami zwane, mają na jednym brzegu mocne uszko, do którego przywięzują długą linę i okręcają ją na kołowrocie, przy jednym brzegu statku wzniesionym i łatwo się obracającym. Gdy żeglarze spostrzegą wieloryba, natychmiast wysełają na takim statku kilku odważnych ludzi, którzy z ostrożnością zwierzę podchodzą. Nareszcie ciskają na nie harpun, a ugodzony pociskiem wieloryb albo się na dno morskie zanurza, albo też szybko po powierzchni morza ucieka i za sobą statek pociąga. Lina odwijając się z kołowrota, ochrania statek od gwałtownego wstrząśnienia, a ludzie na nim będący, pilnie dają baczność na siłę poruszeń wieloryba, a razem i na ilość okręconéj liny. Jeżeli się lina skończy, a wieloryb jeszcze wiele pokazuje siły, odcinają ją i przywięzują do niéj beczkę, która unosząc się na powierzchni wody, służy za wskazówkę miejsca, gdzie wieloryb się znajduje. Tymczasem baczni rybacy coraz nowymi pociskami go uderzają, aż nareszcie osłabiony grzbietem na dół się przewraca, czyli umiera. Wtedy zarzucają mu na ogon liny, przyciągają go do okrętu i linami przywięzują; poczem płatają wielkimi pasami słoninę i do beczek pakują. Wreszcie wydobywają błony rogowe z paszczy i odejmują język, resztę mięsa i szkielet zostawiają ptakom i niedźwiedziom morskim na pokarm.

Tran wysmarzają albo zaraz w wielkich kotłach na okręcie, albo też spieszą ze słoniną do najbliższego portu. Najlepszy jest ten tran, który zaraz na okręcie sam przez się spływa; odznacza się kolorem czystym, bladożółtawym, mało ma nieprzyjemnego zapachu i może być jak oliwa do jedzenia użytym.

Złowione w teraźniejszych czasach wieloryby rzadko bywają dłuższe nad sześćdziesiąt lub siedmdziesiąt stóp; dawniéj sto stóp

długie i tyleż w obwodzie mające nie były jeszcze osobliwością. Jeden wieloryb waży do stu tysięcy funtów, a więc tysiąc centnarów.

103. Szarańcza.

Od dawna zaliczono szarańczę między nieprzeliczone plagi, jakie Stwórca na rodzaj ludzki chwilowo zsyła. W siedmiu egipskich plagach odegrała i ona swą rolę zniszczenia. W przysłowiach narodu naszego ma dosyć ważne stanowisko; wspomnieć szarańczę to znaczy przywieść sobie i drugim na pamięć zniweczoną pracę rólnika, głód i pomór dla bydła i ludzi.

Prawda, że w krajach wschodnich człowiek wetuje na szarańczy krzywd swoich. Ona mu zjada jeszcze na pniu chleb jego całoroczny; on za to zjada ją samę ze smakiem, piekąc na patyczkach, synowie puszczy i stepów nie są wybredni co do pożywienia, a nawet Chińczycy mimo obfitości nie gardzą owadami na przyprawę do sutych obiadów swoich. Zwyczajnie: co kraj, to obyczaj.

Z krain naszych Ukraina i Podole nie są wolne od téj klęski. Już temu lat dwieście, jak naoczny świadek opisał nam szarańczę na Ukrainie, i zapewne owad ten dotąd obyczajów swoich nie odmienił.

Szarańcza — mówi Beauplan — przylatuje od Czerkiesów z Kaukazu. Leci chmarami, rozciągającemi się na pięć i sześć mil wzdłuż, w szerz na dwie lub trzy mile.

Wiatr wschodni i wschodnio-południowy przynosi ją na wiosnę, kiedy jest sucho. Pada ona na pola i łąki, pożera wszystko, sprawia głód lub drożyznę niesłychaną. Jeżeli szarańcza do jesieni zostanie na Ukrainie, wtenczas każda samica w październiku składa w ziemię 300 jaj, z których gdy wiosna sucha, wykluwa się młoda szarańcza w niepojętém mnóstwie.

Powietrze całe napełnia się wówczas tymi owadami; lecą one jak gęsty śnieg, tu i owdzie unoszone wiatrem. Gdy się spuszczą, całe pola są niemi okryte. Słychać, jak gryzą rośliny, i w godzinę zjedzą wszystko, co było na polu.

Kiedy się podniosą do lotu, tak zaciemniają widok słońca, jak gruba chmura. Beauplan twierdzi, że kiedy w roku 1646 przez miasteczko Nowogród szarańcza przechodziła, musiał w biały dzień kazać zapalić świecę, bo nic widzieć nie mógł. Domy, stajnie, stodoły były jéj pełne; nie można było spożyć żadnego kąska; albowiem szarańcza leciała do ust, obijając się o twarz i głowy ludzi. Pola, na których szarańcza spoczęła, pokryte nią były na cztery

cale grubości. Konie po tym żywym kobiercu ze wstrętem i parskaniem postępowały. Woń zaś roztratowanéj szarańczy tak była nieznośną, że tylko wąchając ocet, można się było od bólu głowy ochronić. Wprawdzie wieprze chciwie pożerały szarańczę i bardzo się nią tuczyły, ale nikt z ludzi nie chciał tak utuczonych wieprzów używać na pokarm.

Gdy szarańcza złoży w ziemię swe jaja, zdycha pod jesień, kończąc swe kilkomiesięczne życie. Za to młode pokolenie bezpiecznie zimuje w ziemi. Słońce kwietniowe widzi już wykluwającą się szarańczę, która przez sześć tygodni zostaje na miejscu. Po tym przeciągu czasu nabiera sił i latać zaczyna. Jeżeli deszcze nadejdą młoda szarańcza przebywszy tygodniową ulewę, zdycha; lecz jeżeli wiosna jest sucha, nic wtedy okolicy, gdzie szarańcza się wykluła, od téj klęski nie uchroni.

Szarańcza na swych skrzydłach ma mieć literami hebrajskiemi wypisane wyraźnie: „Gniew Boży," jak twierdzi podanie, które przyszło do nas ze wschodu.

Co innego jest znowu szarańcza zielona; tę znaleść można w całéj Europie. Nie sprawia ona klęsk tak wielkich jak wymieniona szarańcza wędrowna, ani się w takiéj liczbie pojawia; przecież w niektórych latach znaczne się mnóstwo jéj pokazuje. Zielona szarańcza zjawia się w stanie dojrzałym ku końcowi lata lub w jesieni. Samce wydają skrzyp, podobny do odgłosu świerszcza; obsiadłszy liście drzew i krzaki, bezustannie powtarzają owo świerszczenie. Niktby nie uwierzył, iż ta osobliwsza muzyka powstaje z pocierania skrzydeł jednego o drugie; trwa zaś całe dni i noce w czasie pogody.

Nie łatwo jest schwytać takiego śpiewaka, gdyż zielona barwa nie różni go wcale od listka, na którym siada. Za pokarm zielonéj szarańczy służą liście drzew i rozmaitych roślin. Rogowemi szczękami ten owad je obgryza; w szczękach tyle ma siły, iż gdy mu się zdarzy uchwycić niemi za palec, ukąszenie lubo nie do krwi, przecież będzie bardzo bolesne. Gdy raz ujmie łup w swe szczęki, z taką go trzyma zaciętością, iż prędzéj głowę da sobie oderwać, niźli łup swój puści.

Samica składa w ziemię jaja; szuka na to rozpadlin, a gdy takowych nie ma, ryje żądłem pulchną ziemię i tam jaja znosi. Zimę przebywają w tém schronieniu bez żadnéj przemiany; dopiero w maju następnego roku wyłażą na wierzch młode szarańcze. Poznać je łatwo po długich mackach i wysokich tylnych nogach. Zanim dostaną skrzydła, kilka wprzód przemian przebyć muszą.

(K. Wł. Wojcicki).

104. Pożar w Rumianéj.

Gdy się tak w gościnie bawili, syn pana Graby wstał i wejrzał od niechcenia przez okno, zastanowił się w niém chwilę i zbliżył ku ojcu ze źle pokrywaną niespokojnością; lecz widząc, że na niego nie uważa, powrócił do okna raz jeszcze, począł coraz pilniéj wpatrywać się, zakręcił się, udając obojętnego, przeszedł po pokoju i nic nie mówiąc, wymknął się. Graba zwrócił się magnetycznym jakimś ruchem do okna, spojrzał w nie, wstrząsnął się, zerwał i pobiegł bliżéj. Za nim wszyscy z miejsc swoich ruszyli, nie wiedząc, o co chodzi, ale wnosząc z poruszenia, że żywe podejście do okna nie było bez powodu.

„Cóż to jest?“ spytano.

Graba spoglądał w milczeniu, blady i w myśli zdawał się coś rachować. Słup gęstego dymu, krwawe od spodu przybierający barwy, wznosił się na północnéj widnokręgu stronie ponad lasy, otaczające zewsząd okolicę.

„Gore! pożar! pożar!“ powtorzył Graba, „i zdaje mi się, że u mnie. — Ale gdyby i tak nie było, zarówno obowiązkiem jest każdego, co ma ręce zdrowe, spieszyć na pomoc nieszczęśliwym.“ To mówiąc, chwycił za czapkę i rzucił się ku drzwiom.

„Pozwól pan!“ rzekł ktoś, „i mnie towarzyszyć: mam ręce zdrowe, choć dotąd do pracy nieprzywykłe; nie pogardzaj niemi! Dadzą mi konia, pojadę z wami; sam nie trafiłbym może, nie znając okolicy.“

„Chodźmy, spieszmy!“ rzekł poglądając to ku stajni, to na pożar coraz się rozszerzający. Nareszcie rozległ się tentent koni, które kłusem prowadzono ze stajni. Graba stary i młody mieli swoje, na których przyjechali, a wszyscy dworscy ludzie wedle wprowadzonego obyczaju dosiedli każdy, jakiego kto pochwycił konia, i gotowi byli towarzyszyć.

Ze wsi téż widać było w polu mnóstwo konnych, na wyścigi biegających w stronę pożaru; każdy rzucał robotę, dosiadł konia i gnał na łunę.

W orszaku dworskich Grabowie puścili się cwałem ulicą. Wszyscy milczeli; konie gnały zasapane. Po drodze coraz się zwiększał orszak łączącymi się ludźmi, spieszącymi od wsi do pożaru.

Oczy wszystkich w ogromną łunę wlepione były. Ogień rozdęty jesiennym wiatrem, który, jak zwykle nad wieczorem, nie wiedzieć skąd się zerwał, szerzył się widocznie. Słup czarnego dymu, wśród którego wyskakujące iskry świeciły gwiazdkami, leniwo posuwał się w górę, rozsiadając szeroko na prawo i lewo. Niekiedy przypadł nieco, lecz jakby tylko dla tego, żeby po chwili buchnął potężniéj jeszcze i roztoczył się po widnokręgu.

Wioska pana Graby leżała za lasem, a droga do przebycia kręta i wyboista dla spieszących, a niepewnych nóg koni, których dosiedli, byłaby prawie niebezpieczna. Wielu też zmuszonych było zwolnić w biegu. Grabowie tylko spieszyli po manowcach pędem, dowodzącym odwagi i zapału, z jakim lecieli na ratunek. Niekiedy wśród mroku mignęła tylko kałuża, rozprysło się błoto z pod stóp koni, zachrzęszczała gałąź, zaszeleściały liście, i który z wierzchowców parsknął ustraszony.

Gdy się las rozrzedzać począł, a mrok padł coraz gęściejszy przez poplątane drzew gałęzie, krwawo przeświecającą się ujrzeli łunę pożaru. Wioska za łąką i groblą leżała jeszcze o małe pół mili, a już ogień oświecał kraj cały i drogę, którą przebywać mieli spieszący na ratunek. Wyjechawszy z lasu, postrzegł stary Graba, że to, czego się dotąd domyślał, było na nieszczęście prawdą: wioska jego paliła się, a wicher gnał płomienie ze stodół na stodoły, i rząd gumien włościańskich, napełnionych zbiorem jesiennym, cały prawie wystawiony był na pastwę ognia.

„O wolałbym sto razy, żeby moje stodoły i toki zginęły!“ zawołał z uczuciem Graba. „Biedni ludzie! biedni ludzie!“ i wyprzedzając drugich, zaciął silnie konia, który sił ostatnich dobywszy, poskoczył naprzód i posunął się, parskając, znajomą sobie groblą.

Straszny, lecz majestatycznéj piękności widok pożaru! Czarne już niebo rozświecało się kłębami krwawego dymu, lasy pobliskie, wieżyczka cerkwi, biały front kaplicy jaśniały oblane jaskrawym blaskiem. Gumna jak stosy pogrzebowe pałały to żółtym, to czerwonym, to sinym płomieniem i dymem. Czerwone jego kłęby, jak wielka zasłona, wahały się nad wioską, rozdzierane wiatrami, posuwane na różne strony. Trzask upadających budowli, po którym płomień z nową gwałtownością wybuchał, krzyk ludzi, żałobny dźwięk odzywających się dzwonów i głuchy szum wichru jesiennego towarzyszyły chórem téj klęsce. Im bardziéj zbliżali się jadący, tém jaskrawiéj ich oblewało złowrogie światło, tém wyraźniéj dochodziły uszu krzyki, na które serce się poruszało w piersi. Te z daleka dochodzące jęki, których przyczynę każdy zgadywał, a może od rzeczywistéj wystawiał sobie straszniejszą, przejmowały niepojętém uczuciem trwogi i boleści.

Już byli pod wsią; ciepły wyziew ognia obejmował ich do koła, dym duszący zalewał piersi, wszystkie głosy wielkiéj sceny zjednoczyły i zlały się w jeden wtór żałobny, którego dźwięków czyjeż nie słyszało ucho, czyje nie zapamiętało serce?

Dla pospiechu ojciec i syn ostatkiem sił koni swoich goniąc, przesadzili niskie płoty i puścili się wpoprzek ogrodowych zagonów. Wiatr pędził im w oczy dym i iskry, a konie rzucały się, przera-

żone ognistymi pociski, które leciały jak zapalone żagwie, roznosząc daleko zniszczenie. Ziemia posypana była dogorywającymi snopkami i skwarzącym się węglem. Doścignęli już stodół, a że z téj strony pożar ich jeszcze nie był objął, właśnie tu żwawy ratunek stawał się najpotrzebniejszy. Koń pana Graby puszczony wolno, bo jeździec stanął u celu, pędził, parskając, znajomą sobie drożyną ku dworowi i stajniom.

„Pan! pan!“ ozwały się głosy prawie radosne.

„Dzieci! na dachy!“ zakrzyczał Graba, podnosząc rękę. „Rozrzucić stodołę Wasyla! przerwiemy ogień!“ I w mgnieniu oka lud miejscowy i przybyły drapał się już na budowlę, ale w téjże chwili dał się słyszeć jęk bolesny:

„Chaty się palą! chaty goreją!

Graba wyrwał się, przelatując ciasnym zaułkiem między dwiema walącemi się stodołami i przesunął szybko w ulicę ku domostwom. W istocie rząd chat, stojących wedle zwyczaju naprzeciw stodół, w szerokiéj budowany ulicy, chociaż nie tak niewolniczym sznurem jak gdzieindziéj, poczynał płonąć już także.

Jedna chata, cała objęta płomieniem, paliła się nad inne silniéj i prędzéj. Ludzie w podwórku zrzucali uratowane sprzęty, kiedy w tém przeraźliwy, wszelki głos tłumiący krzyk kobiety dał się słyszeć, która ku domostwu, nad głową wzniesione i załamane ręce trzymając, leciała.

„Dziecię moje! moje dziecię! gdzie dziecko?“

Mąż ze spuszczoną głową stał milczący; ona wiła się w rozpaczy. Płomień przez sień rozpaloną już sięgał do wnętrza pełnego dymu.

Posłyszeć krzyk ten, obejrzeć się, spytać i w mgnieniu oka poskoczyć do drzwi chaty, nie kosztowało chwili namysłu staremu Grabie. Syn, który za nim spieszył, ujrzawszy to, osłupiał na moment, zastanowił się i zdrętwiał w miejscu. Ale gdy ojca powracającego nie widział, pędem rzucił się we drzwi domostwa, które coraz rozpalało się bardziéj, i zniknął w kłębach dymu.

Ludzie, kochający pana jak ojca, z krzykiem przerażenia otaczać poczęli chatę, rzucając ratunek budowli.

W tém syn i ojciec z dziecięciem na ręku ukazali się we drzwiach i wyskoczyli z nich osmaleni, okopceni, ale zdrowi. Ogromny odgłos radości, jakby z jednych ust, razem się wyrwał.

A matka? — matka padła przed zbawcą dziecięcia na kolana, załamała dłonie i chwytając jedynaka, a tuląc go do piersi, omdlała.

Graba już był daleko i biegł na drugie podwórko, ustawiając ludzi rzędem od studni do ogniska, sam podając wiadra, zachęcając,

prosząc, rozkazując. — Przykład Graby ożywił ludzi i odwagi im dodał przeciwko przesądowi, który zastrasza, że ogień mścić się będzie na tych, co go zalewają. Młodzi i starzy z zapałem rzucili się rozrywać zagrożone domostwa, aby przeciąć drogę dalszym klęski postępkom. Ojciec i syn przodkowali wszędzie.

Pożar, któremu teraz silna wola i rozum, a przytomność kilku przewodników ratunku postawiła mocne zapory na drodze, osiadywać poczynał widocznie. Na dachach, obmokłych od zlewania wodą, siedzieli parobcy i dworscy ludzie, łańcuchem zas podających wiadra w dwóch kierunkach rozrządzał sam młody Graba, pracując zarówno z drugimi. Zmniejszał się blask krwawy, dym przerzedzać poczynał, i te tylko budowle, które wprzódy rozgorzały, dojadał jeszcze płomień. Rozstawiwszy straże u ognia, rozporządziwszy wszystkiém Graba, przeprowadzony przez błogosławiących mu ludzi, okryty żużlami, popiołem, sadzą, osmolony, czarny od dymu, ale nie znużony, widząc, że nie ma niebezpieczeństwa, pospieszył do swoich gości, których dla spoczynku i pokrzepienia się zapraszał do dworu.

(J. I. Kraszewski).

V.

105. Zdania moralne.

Sprawiedliwość jedyną jest cnotą, która nigdy zbytkiem nie grzeszy; bądź sprawiedliwym, a wszystkie cnoty mieć będziesz.

Każdemu, skoro można, w potrzebie pomagać, a nigdy nie szkodzić nikomu, oto jest, co winien braciom.

Miłość porządku cnót wszystkich jest zasadą.

Nie tyle patrz, co tobie, ale co drugiemu jest pożyteczne.

Mądry przyjmuje radę, głupi nią pogardza, i po tém poznać go można.

Kto znalazł dobrego i uprzejmego towarzysza, skarb znalazł; szalony, jeźli go nie szanuje.

Młodość i wiosna są prawdziwie porą do pracy; czego w nich nie zasiejesz, nie będziesz zbierał w jesieni.

Nie znalazłeś skarbu i nigdy go nie znajdziesz, jeżeli z założonemi rękami siedząc, nic pożytecznego robić nie będziesz.

Zatrudniaj się zawsze użyteczną pracą, bądź umysłową, bądź ręczną, a próżnowanie ciężką karą wydawać ci się będzie.

Umiarkowanie pierwsza recepta, zbytek aptek filarem.

Zazdrośnik nigdy dosyć nie ma, zawsze u sąsiada coś upatrzy, na czem jemu zbywa. —

Kto majątku nie trwoni, owszem go przymnaża, ten ma pociechę, że i drugim udzielić może. Jest on jak pszczoła, która i sobie wystarcza i drugim udziela.

Litość nad nędzą ludzką niech cię także pociąga do oszczędności. Jak miło jest mieć co dać bratu w potrzebie! a jakże co dać potrafisz jeźli sam mieć nie będziesz?

Kto ma litość nad ubogimi, żyć będzie wiecznie. Kto zatyka uszy swoje na prawdziwe ubogiego wołanie, ten będzie sam wołał, a nikt go nie usłucha.

Kto z młodu stara się o cnotę, naukę, dobre imię, majątek przyjaciół, ten ich w dojrzałym wieku używa.

Dobrze to jest, że doznajemy niekiedy przeciwności; budzą one w nas czułość, dwoją baczność i ostrzegają człowieka, że jest wędrownikiem i ciągle czuwać powinien.

Bądź cierpliwym w znoszeniu wad przyjaciół swoich; masz i ty swoje, które oni znosić muszą.

Miejmy dla ludzi tę miłość i to pobłażanie, którychbyśmy radzi od nich doznawali.

Nie umiesz wiele, czytaj, to się nauczysz; umiesz, czytaj jeszcze, bo zapomnisz.

Wydoskonalenie rozumu nie ma dla siebie granic; nie ma pory i wieku, w którymby człowiek mógł powiedzieć: Już dosyć umiem.

Rozum to wielki skarb, rozum najpierwszy majątek.

Nie szczyćmy się nigdy, że mamy wielu przyjaciół; w nieszczęściu tylko poznamy prawdziwą ich liczbę.

Herb dowodzi wysokości i szlachetności imienia; ale szlachetność tylko serca czyni nas godnymi naszego rodu.

Człowiek roztrzepany i człowiek trwożliwy do niczego nie są przydatni; pierwszy bowiem zawsze działa bez zastanowienia, drugi wtedy rozmyśla i zastanawia się, kiedy działać potrzeba.

Męstwo jest jedyną cnotą, której fałszować nie można.

Zarozumiałość towarzyszy zawsze miernym umysłom, tak jak skromność zasłudze.

Wielu jest takich, którzy mówiąc, dopiero myślą, ale nie równie więcéj takich, co mówią, nie myśląc wcale.

Cieszyć się, a nie śmiać należy, widząc na urzędach ludzi, którzy mniéj od nas warci.

Szczery i otwarty człowiek może dać się oszukać; lepsze to jednak, niż żeby sam zdolny był oszukiwać innych.

Często z niezgody, między dwoma zachodzącéj, trzeci korzysta.

Mała jest różnica między ubogim, co nic nie ma, a skąpcem, który sobie wszystkiego ujmuje.

Rozumni zawsze nudzą głupców i wzajemnie sami się nudzą w ich towarzystwie.

Zwykle ludzie to gonią, czego naśladować nie są zdolni.

Chceszli z pewnością dokazać tego, żeby gaduła milczał? przestań go słuchać.

Za cnotliwe sprawy sama cnota hojną jest zapłatą.

Nic nie sprawi. kto serca nie ma.

Z jednego błędu wiele ich urośnie.

Nauka na złe nie radzi.

Każdy wiek człowieczy inne myśli przynosi z sobą.

Kto w młodości powściągliwie żyje, ten miewa starość niezemdlałą.

Wszystko niechcącemu trudno.

Nie kto siła umie, ale kto umie, co potrzeba, dość mądry.

Bardziéj się bój jednego, kogo urazisz, niżeli się posiłku spodziewaj od dziesięciu, którym dobrze uczynisz; bo tamten bardziéj myśli o zemście, niż ci o pomocy.

Chcesz być tak szczęśliwy, jak ten, co najwięcéj ma? Nic nie pragnij, jakbyś wszystko miał, kiedy więcéj nie potrzebujesz.

Mieć dosyć, nie od szczęścia, ale od nas zależy.

Nie śmierci złych nam potrzeba, ale poprawy.

Gdy siła czynisz, mów o tém mało: twoje sprawy niech kto inszy widzi.

Najpierwszy wstęp do niecnoty — nieprawda.

Długo myśl, prędko czyń.

Nie dopuszczaj wkorzeniać się złemu; co dzisiaj łatwo wyrwać możesz, jutro siłą nie wyważysz.

Zła fortuna to przynajmniéj ma dobrego, że rozumu nauczy, a przyjaciela pokaże.

Dość ze siebie czyni, kto wykonywa, co może.

Kto się nie douczy, albo przeuczy, szkodliwszy bywa od prostaka.

Małe dobro wielkiego złego nie przykrasi: małe złe wielkie dobro zepsuje. Dosyć garści piołunu na zepsowanie beczki napoju.

Porada albo przestroga jak ziarno: taki owoc wydaje, na jaką ziemię padnie.

Oszczędzaj swoje, żebyś cudzego nie pragnął.

I największy wydatek nie jest żałosny, kiedy na to wydajesz, co właśnie potrzeba. Miéj za stracone, co na to łożysz, bez czego się obejść możesz.

Nie to chwal, co kochasz; ale to chwal, co chwały jest godne.

W jednéj sprawie dwoma nie puszczaj się gościńcami, bo żadnym nie dojdziesz.

Nim co zaczniesz, uważaj, jaki tego ma być koniec.

106. Zdania filozofów.

Bion. Najnieszczęśliwszy z ludzi zazdrosny, którego i własna dolegliwość i cudze szczęście dręczy.

Arystoteles. Światło zmysłowe oświeca ciało, nauka duszę.

Pytany, co kłamca zyskuje: to, rzekł, iż choć, prawdę mówi, nikt mu nie wierzy.

Razu jednego wyrzucano mu, iż niegodnemu usłużył; odpowiedział na to: Ja nie złym obyczajom człowieka, ale człowiekowi dogodzić chciałem.

Antystenes. Lepiéj wpaść w szpony krucze, bo te ptaki tylko umarłych szarpią, niż w ręce pochlebców, którzy żywych pożerają.

Najlepsze takie zbiory, których ogień pożreć nie zdoła, woda zalać nie może, a człowiek wydrzeć nie potrafi.

Demetryusz z Falery. Prawdziwy przyjaciel ten jest, który, gdyśmy w szczęściu, do nas się zaprasza, a w nieszczęściu nieproszony przychodzi.

Zenon. Dla tego przyroda nadała człowiekowi jedne usta, a uszu dwoje, iżby więcéj słuchał, niż mówił.

Metrokles mawiał: wszystkich innych rzeczy za pieniądze dostać można, nauk zaś z czasem się nabywa, gdyż te potrzebują długiego ćwiczenia.

107. Przestrogi.

Udzielaj majątku potrzebnym; szafarzami jesteśmy tego, co nam Bóg użyczył.

Kochaj się w nauce, bo ta się w każdym czasie przyda, a nigdy nie odstąpi; cokolwiek inne rzeczy zdatności mają, w niéj się to wszystko zamyka. Nauka jest matką wszelkiéj pociechy, ale córką cierpliwości i pracy.

Złoto nasycić nie może i owszem pragnienie zwiększa; pocóż to gromadzić, czego nigdy dosyć mieć nie można?

Siéj pieniądz, nie zejdzie jak zboże, ani nakarmi: lepiéj się więc do pożytecznego w rólnictwie rzemiosła udać, niż złotem frymarczyć; towar ten z istoty na nic się nie zda, a utracie co moment podległy.

W obietnicach nie trzeba być skorym; słowo rzeczone nie wraca się, a niedotrzymane zawstydza.

Jeżeli cię gniew uwiedzie, zastanów się i zważ, czy jest słuszny? jeżeli nie jest, po co się gniewać? jeżeli jest, wspaniałéj przebaczyć, niż się mścić.

Pochlebca wzgardy godzien; kto się podłego tego rodzaju ludzi nie strzeże, źle o sobie tuszyć każe. Pochlebstwem zysk zawsze włada: nie daj im nic, pójdą od ciebie i znajdą takiego, kto im da, bo głupich pełno.

Jeżeli mówić masz, mów tak, abyś nie żałował, żeś usta otworzył.

Nic bardziéj nie upadla nad kłamstwo; kto ma ten nałóg, na zawsze, choćby się i poprawił, wiarę traci.

108. Dziesięć prawideł życia.

Jefferson, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, w liście do swego przyjaciela pisanym podaje mu następujące prawidła życia, których sam, jak powiada, najściślej zawsze trzymać się usiłuje:

1) Nie odkładaj na jutro, co możesz zrobić dzisiaj.

2) Nie proś o to drugich, co sam zrobić potrafisz.

3) Nie wydawaj pieniędzy pierwéj, nim je mieć będzie sz.

4) Nie kupuj nic, czego nie potrzebujesz, dla tego tylko, że tanio.

5) Duma kosztuje nas więcéj, niż głód, pragnienie i zimno.

6) Nikt nigdy nie żałował, że mało jadł i mało mówił; ale obżarstwo i wielomówstwo jak wielu!

7) Nic nie jest przykrém, co z chęcią czynimy.

8) Najwięcéj cierpień naszych pochodzi z obawy nieszczęść, które się nigdy nie zdarzą.

9) Wszystkie rzeczy bierz z gładkiego końca, ludzi z dobréj strony.

10) Gdy się czujesz w gniewie, przelicz w myśli wprzód dziesięć, nim mówić zaczniesz; jeźliś w złości, sto przelicz.

Poezya.

Bajki.

109. Lis i osieł.

Lis stary, wielki oszust, sławny swém rzemiosłem,
Że nie miał przyjaciela, narzekał przed osłem.
„Sameś sobie w tém winien“ — rzekł mu osieł na to —
„Jakąś sobie zgotował, obchódź się zapłatą.
Głupi ten, co wnijść w przyjaźń z łotrem się ośmiela;
Umiéj być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela.“

(Ign. Krasicki).

110. Gęsi.

Ni stąd ni z owąd nagłą zdjęte trwogą,
Gęsi pod bliskim zerwały się lasem
I wielką przez wieś uciekając drogą,
Z strasznym leciały hałasem.
„Cóż to za głupstwo z takim wrzaskiem wpadać!“ —
Tak zlękły kogut z wzniosłéj woła tyki, —
„Nikt was nie myśli ni gonić, ni zjadać,
Po co więc, po co te krzyki?“
„Alboż my wiemy, co się dzieje z nami?“ —
Tak rzecze jedna pędząca w obwodzie, —
„My tylko lecim za temi gęsiami,
Które tam krzyczą na przodzie.“

(Fr. Morawski).

111. Dudek.

Źle ten czyni, kto cudzą rzecz sobie przyswoił.
W pióra się pawie dudek ustroił
I w téj postawie
Wszedł między pawie.

Poznały zdrajcy świeże rozboje;
Postradał cudze, stracił i swoje.
Z téj więc pobudki
Wrócił, gdzie dudki,
A te w śmiech z niego:
„Chciałeś cudzego?
Dobrze ci tak, i nikt cię żałować nie może;
Kiedyś stworzon na dudka, bądź dudkiem nieboże!“

(Ign. Krasicki).

112. Mysz i kot.

Mysz dla tego, że niegdyś całą książkę zjadła,
Rozumiała, iż wszystkie rozumy posiadła.
Rzekła więc towarzyszkom: „nędzę waszę skrócę;
Spuśćcie się tylko na mnie, ja kota nawrócę.“
Posłano więc po kota. Kot zawzdy gotowy,
Nie uchybił minuty, stanął do rozmowy.
Zaczęła mysz exortę: kot jéj pilnie słuchał,
Wzdychał, płakał!... Ta widząc, iż się udobruchał,
Jeszcze bardziéj wpadała w kaznodziejski zapał,
Wysunęła się z dziury; — a w tém ją kot złapał.

(Ign. Krasicki).

113. Młody dąb.

W pośród dębów zwalonych przez wicher straszliwy
Wznosił się młody dąbek, rosły, ale krzywy.
Zaledwie kilka nędznych gałęzi rozwodził
I cudem chyba kiedy jaką żołądź zrodził;
Lecz że to nie nowiną na tym świecie bywa,
Że i w klocu niezgrabnym duma się odzywa,
Gromom więc czoło swoje stawiał z urąganiem,
Orła nawet przyzywał, aby zasiadł na niém.
Lecz orzeł tak mu rzecze: „Nędzny szczątku lasów!
Duma twoja pochodzi z smutnéj zmiany czasów;
Upadły pierwsze dęby, stąd się pierwszym mniemasz,
I dla tegoś jest wielkim, że już wielkich nie masz!“

(Fr. Morawski).

114. Lis.

Był to raz lisek, chytry nielada;
Bywało, kury po kojcach zjada;
Dusi kurczątka, jajka wypija,
Ale sidełka zręcznie wymija.
Kiedy go chciano złapać żelazem,
Poradził sobie: uciekł z niém razem;
Chcieli zastrzelić, zemknął im żwawo,
Psy za nim w lewo, to on na prawo.
Raz więc zrobili chłopcy naradę,
Jakby przed jamą uknować zdradę;

Postanowili środków nie szczędzić,
Żeby go tylko z jamy wypędzić.
To go długiemi kłuli dzidami,
Krzykiem straszyli i szczuli psami;
Ale nasz lisek nie w ciemię bity,
Siedział w kąciku dobrze ukryty.
Kiedy się sztuka tak nie udała —
Niby wyprawa skończona cała;
Pieskom swym hasło milczenia dali,
Tylko mu kurkę przygotowali.
Wychodzi lisek i w dobréj wierze
Kurkę za gardło jak swoję bierze;
Dzieci, co dawno miały nań chrapkę,
Biednego lisa złapały w łapkę.

(St. Jachowicz.)

115. Lis i kozieł.

Już był w ogródku, już witał się z gąską: —
Kiedy skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano.
Ani pomyśleć o wyskoczeniu.
Chociaż wody nie było, i nawet nie grząsko,
— Studnia na półczwarta łokcia! —
Za wysokie progi
Na lisie nogi;
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznokcia.
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, aby go dobił.
Nasz lis takich głupstw nie robił: —
Wie, że rozpaczać, jest to złe przydawać do zła.
Zawsze maca w koło zębem
A patrzy w górę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije:
Cmoka mocno, głośno chłepce
I tak sam do siebie szepce:
„Oto mi woda! takiéj nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu spłukać,
Ale mi ją szkoda zbrukać;
Szkoda,
Bo co też to za woda!“
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
— „Ej!“ krzyknął z góry, „ej, ty ryży kudła,
Wara od źródła!“
I hop w dół! — Lis mu na kark, z karku na rogi,
Z rogów na drąg i — w nogi.

(Ad. Mickiewicz.)

116. Żółw i zając.

Chyży, wysmukły i zwrotny zając
Napotkał żółwia, jakoś przebiegając.
„Jak się masz, moja ty skorupko?“ — rzecze —
„Gdzie to się waszmość tak pomału wlecze?
Mój Boże! cóżto za układ natury!
Mnie w biegu i sam wiatr nie upędzi!
Żółw na godzinę w swym chodzie ponury
Ledwie upełznie trzy piędzie.“ —
— „Hola!“ — odpowie — „mój ty wiatronogi!
Umiem ja chodzić i odbywam drogi;
Mogę i ciebie ubiedz do celu.“
Rozśmiał się zając: „Ha! mój przyjacielu,
Jeźli jest wola, ot cel téj ochocie
Niech będzie przy owym płocie!“
To rzekł i rącze posunąwszy skoki,
Stanął w pół drogi, obejrzy się, a tam
Żółw ledwo ruszył trzy kroki.
„I na cóż“ — rzecze — „ja wiatry zamiatam?
Nim on dopełznie, tak sobie suwając,
Sto razy wyśpi się zając.“
Tu swoje słuchy przymusnął,
Legnie pod miedzą i usnął.
Żółw gdy powoli krok za krokiem niesie,
Stawa na koniec w zamierzonym kresie.
Ocknie się zając, — w czas właśnie!
Darmo się rzucił do prędkiego lotu,
Bo ten, co idąc, w pół drogi nie zaśnie:
„A kto z nas“ — mówi — pierwszy u płotu?“

(Fr. Dyon. Kniaźnin).

117. Czapla, ryby i rak.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła.
Rzekła rybom: „Wy nie wiecie,
A tu o was idzie przecie!“
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały
„Wczora
Z wieczora
Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: „„„Wiele pracy
Łowić wędką lub więcierzem,
Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem;
Nie będą miały otuchy,
Skoro staw będzie suchy.“““
Ryby w płacz, a czapla na to:

„Boleję nad waszą stratą;
Lecz można złemu zaradzić
I gdzieindziéj was osadzić.
Jest tu drugi staw blisko:
Tam obierzcie siedlisko.
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą.“
„Więc nas przenieś!“ — rzekły ryby.
Wzdrygała się czapla niby,
Dała się nakoniec użyć
I zaczęła służyć:
Brała jednę po drugiéj w pysk, niby nieść mając,
I tak pomału zjadając.
Zachciało się nakoniec skosztować i raki.
Jeden z nich widząc, iż go czapla niesie w krzaki,
Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił;
Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.
Padła nieżywa:
Tak zdrajcom bywa!

(Ign. Krasicki).

118. Kanarki.

Pewien gospodarz, pan licznych folwarków.
Miał w swym pokoju dwóch białych kanarków:
Oba z nich miały dziane paciorkami klatki,
Maku, cukru, konopi, niezmierne dostatki,
Wodę zawsze z krynicy, jako kryształ czystą;
Słowem: wszystkiego rzęsisto;
Z tym tylko obowiązkiem, aby się uczyli,
Co im piszczałka zakwili,
A pana swego, jak z pola przyjedzie,
Czy przy śniadaniu, czy to przy obiedzie,
Gdy zacznie pić smaczne piwko,
Słodką bawili rozrywką.
Ledwie kilka miesięcy upłynęło, alić
Nie mógł się z nich jednego, kto słyszał, odchwalić;
Tak wszystko śliczne pojął co zagrał organek.
Czy to menuecik, czy to skoczny tanek,
Czy mazurka, czy kozaczka;
Nic nie było trudnego dla cudnego ptaszka.
Mało na tém, że śpiewał. Kiedy mu na linie
Kazano w orzechowéj do góry łupinie
Ciągnąć wodę lub obrok makowy ze żłobem,
Póty się silił to nóżką, to dziobem,
Aż do klatki zawindował.
Pan go też zawsze na ręku piastował,
Pozwalał mu z dłoni jadać
I czasem na wąsach siadać.
Nie tak się drugi udał, choć równą wygodę
Miał jak kolega: mak, cukier i wodę,
I z kilku drążkami klatkę,
I świeżą zawsze sałatkę.

Nie chciało mu się uczyć, biegał w kątek z kątka.
Każdego ostrym pyszczkiem dotykając prątka,
Aby mógł tylko przez jakową dziurę
Przykrą pożegnać klauzurę.
Darmo chłopiec nadymał organowe miechy:
Lepiéj wróbel świergotał, siedząc koło strzechy,
Niżeli on nieuk śpiewał;
Skakał tylko, psuł klatkę, albo brzuch nadziewał.
Aż też pan rozgniewany, nie widząc poprawy,
Cisnął go kotu buremu do strawy,
Mówiąc: „Kiedyś niewdzięczny za me łaski, ptaku,
Znajdziesz lepsze mieszkanie u burego w saku.“
Niechaj ten raczéj na świecie nie żyje,
Kto tylko na nim je darmo i pije.
Mości panowie studenci!
Życzę większéj do nauk wam przykładać chęci:
Nie traćcie marnie czasu! Często się to przyda,
Że szlachcic głupi umrze za piecem u żyda.

(Z Poplińskiego).

119. Pies i pszczoły.

Jest to cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami!
Stare, prawda, przysłowie;
Wszyscy jednakże smakujem w obmowie;
O cudzych grzechach rozmowa tak słodka!
Raz pewien wyżeł i zgrabny i śmiały,
Wielki bajarz, wielki plotka,
Przytém lizuś doskonały,
Proszony, czy nieproszony,
Latał na wszystkie strony;
Wiedział wszystkich zwady, sprzeczki,
Wszystkich skrytości dociekał,
Słowem; u wszystkich obgryzał kosteczki,
A potém wszystkich oszczekał.
Zdarzyło się kilkakrotnie,
Że niecierpiący obłudy,
Niejeden brytan sromotnie
Wypędził go z budy
I jeszcze na drogę
Dał mu przestrogę.
Lecz i tém się nie poprawił:
Raz wraz plotki prawił.
Suczki z suczkami,
Psiarnie z psiarniami
Zwaśnił, zniechęcił i skłócił,
Cały porządek przewrócił.
W tém raz szczególna ciekawość go wzięła,
Jakaś pokusa go bodzie,
Zajrzeć do ula, który stał w ogrodzie.
Najprzód ostrożnie bierze się do dzieła:
Obcho i, wącha, skrada się, przymyka,

Ale zaledwie nos wtyka,
Cała pszczół gromada
Z straszliwym brzękiem wypada.
Wyżeł w nogi; lecz te w złości
Tak go cięły bez litości,
Ta po brzuchu,
Ta po uchu,
Ta po pysku, ta po grzbiecie,
Że już nie wiedział o świecie.
W tém mu jedna w nozdrze wpadła
I tém mu najsroższéj dojadła.
Szarpie się, rzuca i wyje,
Nosem ziemię ryje;
Jęcząc, na wszystkie strony
Wykręca się i wywija,
Wreszcie leci jak szalony
I łeb o kamień rozbija.
I dobrze mu to było. — Kto nadto ciekawy,
Kto nos niepotrzebnie w cudze wtyka sprawy,
I wszystkich czerni szkaradnie,
Prędzéj lub późniéj w taką łapkę wpadnie,
Że będzie wzgardą i pośmiechem świata.
Taka to wścibskich zapłata.

(Ign. Krasicki).

120. Dwa szczury i małpa.

Raz za piecem blisko dziury
Była zwada
I nielada.
Skarb znalazły gdzieś dwa szczury:
Skarb arcyznaczny,
Ser bardzo smaczny.
Kiedy przyszło do podziału,
Spór się zaczął nader żywy;
Bo nietylko człowiek chciwy.
Z kłótni wkrótce do zapału,
A w zapale [illegible]oru
Któryś tam [illegible] honoru;
I daléj do po[illegible]
A wtém na bi[illegible]ominku
Siedząca małpa [illegible]a
Odezwała się w [illegible]va:
— Ej! mości pa[illegible]zczury!
Żadenże z was ni[illegible]ha
Praw narodów, pr[illegible]ry,
By dla śmiechu zł[illegible]cha
Brat na bratnią kre[illegible]awał?
O cóż? o ten sera k[illegible]
Czyż go podzielić nie[illegible]? —
„Ach! podziel więc“ - [illegible]y oba —
„O! małpo jaśnie wiel[illegible]“ —

Ta, jakby ważna osoba,
Idzie wspaniale,
Przynosi szale,
Ser na pół łamie.
Szczury się dziwią
I nie przeciwią
Poważnéj damie.
W tém jedna szala na dół opada.
Z nadętą miną Temis kosmata
Bierze większą część sera i trochę go zjada.
Waży: aż szala w górę podlata.
Więc dla zrównania i z drugą połową
Toż samo robi i waży na nowo.
Lecz trudno trafić; znów szale się krzywią.
Małpa znów równa, a szczury się dziwią:
Sędzia ser zjada i prawa tłómaczy.
— „Gwałtu!“ — krzyknęły szczury niespodzianie, —
„Wszak z tego działu nic nam nie zostanie!“ —
— „Cicho!“ — zawoła małpa — „cicho! cóż to znaczy?
Takaż to wasza wdzięczność! Nie wiecież zuchwali,
Jak się karzą rozruchy na sądowéj sali?“ —
To rzekła i ostanią zjadła cząstkę sera;
A nieboraki z niczem wróciły do dziury.
Ej! bracia, kto się z sprawą do sądu zabiera,
Niechaj sobie przypomni, jak wygrały szczury.

Powiastki, przypowieści i powieści.

121. Jedno nakrycie.

Godzina posiłku nadeszła szczęśliwa,
Drzwi otwarł służący, do stołu przyzywa.
I goście zasiedli, gospodarz w ich kole,
A jedno nakrycie zbywało na stole.
Chciał sprzątnąć służący. Pan rzekł: „Niechaj będzie;
Kto trafi na obiad, to tutaj usiądzie.“
Niedługo czekano! Przychodzi sierota,
Nieśmiałość na licu, a w oku tęsknota,
Ubogie łachmany zwieszone na grzbiecie;
Nieznane uczucia budziło to dziecię.
Pan domu siąść kazał do stołu sierocie,
A wszyscy zdziwieni oddali hołd cnocie.
„I cóż tak wielkiego?“ — rzekł bogacz do gości, —
„Raz przyjąć sierotę do stołu z litości?

Bóg, dobry bez granic, codziennie pospołu
Pozwala pożywać u swojego stołu
I daje nam przykład. — Tak czynić potrzeba,
Kto chce być szczęśliwym i mieć łaskę nieba."

(Stan. Jachowicz).

122. Trzy życzenia.

Był to sobie dziad i baba, bardzo starzy, bardzo biedni,
Nie mieli dzieci, przyjaciół, żyli sobie sami jedni:
Dziad drwa rąbał, wodę woził — baba patrzyła kądzieli,
I tak o chłodzie i głodzie pchali biedę jak umieli.
Zła rzecz starość, gorsza nędza, lecz gdy z bieda niemoc idzie,
To już nie wiesz w czem frasunek: czy w starości, czy też w biedzie.
Więc oboje narzekali, siedząc wieczór przed ogniskiem,
Nad okropnym swoim stanem i nad złych losów igrzyskiem.
„Ach!" — zawoła dziad ze smutkiem, — „miałem w życiu zachceń tyle,
Ale wszystkie me zachcenia zmarniały jak życia chwile."
„Ach!" — zaszlocha, płacząc baba, — „gdyby chociaż z życzeń jedno,
Spełniając się w méj starości, mogło mnie pocieszyć biedną!"
W tém wiatr świsnie, drzwi wywali, — a na progu nędznéj chatki
Stoi wróżka, która wszystkie losów ludzkich zna wypadki:
„Słuchaj babo! słuchaj dziadzie! trzy życzenia waszéj woli,
Trzy życzenia, lecz nie więcéj, los wypełnić mi pozwoli;
Z zechceń waszych wybierajcie to, co lepsze dla korzyści,
Lecz pomnijcie, że życzenie wyrażone wnet się ziści."

Znikła wróżka, wiatr drzwi zaparł i zaszumiał za jéj śladem,
Tylko bledzi, wystraszeni, patrzą na się baba z dziadem.
Wreszcie rzecze stary z cicha: „Trzeba dobrze obrachować,
Co nam trzeba, by z pospiechu swéj prędkości nie żałować."
A więc myśla. Na kominku drzewo trzaska, ogień płonie,
Lecz myśl ciężka, odrętwiała, w błogiém zapomnieniu tonie.
Babie widok ognia pędzi w głowę żarłoczne wspomnienia:
Raz wątróbka miga złudnie, znów stoi w oczach pieczenia;
Wszystko to się w jéj dumaniu smaży, praży, swędzi, piecze.
Że aż babie wygłodniałéj z ust po brodzie ślinka ciecze.
„Ach!" — zawoła mimowolnie, — „jakże by to dobrze było,
Gdyby się tu tak od razu kółko kiełbasy zjawiło!"
Ledwie baba w zapomnieniu wyrzekła niebaczne słowa,
Gdy kiełbasa buch z komina, leci na nią stułokciowa.
Dziad się porwie, drżący z gniewu: „O przeklęte nasze losy!
Otóż to mieć babę w domu: krótki rozum, długie włosy;
Z trzech darów przez wróżkę danych już dwa tylko pozostało.
A dla czego? bo łakomej kiełbasy się jeść zachciało.
Oby za twoje życzenie, któreś tak szalenie wzniosła,
Ta kiełbasa, ot ta sama, do nosa ci wnet przyrosła!"
Ledwie wyrzekł, wnet kiełbasa hyc z podłogi podskoczyła
I babie jak trąba słonia u nosa się uwiesiła.
Straszny widok! spojrzeć smutno, boć na świecie różne nosy,
Ale takich stułokciowych najgorsze nie dadzą losy.
Cóż więc czynić, gdy niebacznie dwa życzenia zmarnowali,
A w dodatku dziwowiskiem między ludźmi pozostali?

Nic innego, tylko życzyć, aby niefortunne brzemię
Rozstało się z babim nosem i odpadło znów na ziemię.
Po namyśle, po wyrzutach spełniło się to życzenie;
A z trzech darów dobréj wróżki zostało tylko wspomnienie.

(Lud. Niemojowski).

123. Wolnoć Tomku w swoim domku.

Paweł i Gaweł w jednym stali domu;
Paweł na górze, a Gaweł na dole.
Paweł spokojny nie wadził nikomu,
Gaweł najdziksze wymyślał swawole:
Ciągle polował po swoim pokóju;
To pies, to zając — między stoły, stołki,
Gonił, uciekał, wywracał koziołki,
Strzelał i trąbił i krzyczał do znoju.
Znosił to Paweł, nareszcie nie może;
Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:
„Zmiłuj się waćpan, poluj ciszéj nieco,
Bo mi na górze szyby z okien lecą.“
A na to Gaweł: „Wolnoć Tomku
W swoim domku.“
Cóż było mówić? — Paweł ani pisnął,
Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.
Nazajutrz Gaweł jeszcze smacznie chrapie,
A tu z powały coś mu na nos kapie!
Zerwał się z łóżka i pędzi na górę:
Stuk! stuk! — zamknięto! — Spogląda przez dziurę
I widzi — cóż tam? — Cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie.
— „Cóż waćpan robisz?“
— „Ryby sobie łowię.“
— „Ależ Mospanie, mnie kapie po głowie!“
A Paweł na to: „Wolnoć Tomku
W swoim domku.“
Z téj powiastki morał w tym sposobie:
„Jak ty komu, tak on tobie.“

(Alex. hr. Fredro).

124. Skarb ukryty.

Umierając pan winnicy,
Rzekł do synów w tajemnicy:
„Moje dzieci ukochane!
Zanim z wami się rozstanę,
Tajemnicę wam wyjawię:
Skarb po sobie wam zostawię.
Mam w winnicy skarb ukryty;
Każdy więc z was pracowity
Niechaj kopie wciąż z ochotą,
A wykopie z ziemi złoto....“
— „A gdzie, ojcze ukochany,

Skarb twój w ziemi zakopany?“
Wszyscy razem jakby w zmowie
Odezwali się synowie.
„Kopcie tylko pracowicie!“
Rzekł i skończył starzec życie.
Ledwo starca pochowano,
Do motyki się zabrano.
Wciąż synowie bez pomocy
Kopią we dnie, kopią w nocy.
Choć strudzeni, nie ustają,
Bo się skarbu spodziewają.
Tak wytrwali i cierpliwi
Pracują coraz gorliwiéj;
Lecz skarbu, co miał grunt wydać,
Jak nie widać, tak nie widać.
Jednakże w pracy wytrwali,
Wnet winnicę rozkopali;
Prawie każdą grudkę ziemi
Przesiewali dłońmi swemi,
Ale chociaż się spocili,
Nigdzie skarbu nie odkryli.
Tu każdy wreszcie się zgodził,
Że ich ojciec próżno zwodził.
Tymczasem piękna, radosna,
Nastąpiła znowu wiosna;
A winnica znowu miła
Trzykroć piękniéj obrodziła
I obfity plon wydała,
Bo uprawę lepszą miała.
Tak młodzieńcy wczas poznali,
Że skarb z ziemi wygrzebali,
Że im ojciec prawdę prawił,
Że w winnicy skarb zostawił.

125. Chłopczyk wśród drogi.

Szedł chłopczyk z książkami, bardzo mu ciężyły,
Ten ciężar nie wszystkim zarówno jest miły.
Kazali, cóż robić? iść musiał do szkoły. —
„Stój!“ — z płaczem przemówił do lecącéj pszczoły, —
„Stój, pszczółko, na chwilę i pomów z dzieciną:
Tyś sobie wesoła, mnie z oczu łzy płyną;
Ja idę do szkoły, tam człowiek surowy,
Ni tam się uśmiechnąć, ni tam z kim rozmowy.
Wstrzymaj się pszczółko, przychylne wskaż oko,
Nauczysz mnie może tak latać wysoko!“ —
A pszczółka mu rzekła: „Wstrzymać się nie mogę,
Powinność mnie wzywa, spiesze w dalszą drogę.
O! muszę dokończyć mego plastru miodu,
Gdy zima nadejdzie, zginęłabym z głodu.
Jak piękną pogodę zesłały nam nieba!
Bądź zdrów, mój chłopczyku, korzystać z niéj trzeba!“ —

Wtém leci jaskóła, a chłopczyk ją goni
I znowu ze łzami przemawia tak do niéj:
„Wstrzymaj się, jaskółko, i zabaw się zemną,
Ja ciebie tak lubię, trzeba być wzajemną.“ —
„Nie, dziecię kochane, wstrzymać się nie mogę,
Powinność mnie woła, spieszę w dalszą drogę;
Mam wiele przyjaciół i wieść im przynoszę,
Że się już wiośniane zbliżają rozkosze;
Niech się téj pociechy dowiedzą odemnie!
Nie, nie mogę chwili tracić nadaremnie.“ —
I stanął jak wryty ów chłopczyk zdumiały,
I znowu mu z oczu łez krople padały,
I znowu szedł zwolna.... Wtém brytan wypada. —
„Mój ty psie kochany!“ — chłopczyna powiada, —
„Czy się téż pozwolisz przybliżyć dziecinie?
Ja w tobie pociechę pokładam jedynie;
Nie cierpię tych książek..... już ręce zdrętwiały,
Bodaj — to się bawić! swawolić dzień cały!
O! jakże to wasze przyjemne jest życie!
Biegacie swobodnie i nic nie robicie.“ —
„O! bardzo się mylisz!“ — rzekł bryś do chłopczyka, —
„Czy widzisz opodal na polu rólnika?“
„No widzę!“ — „To pan mój! pracuje on w pocie,
Ale i ja mu ulgę przynoszę w robocie.
Tak, wielkiéj odemnie doznaje pomocy:
On wstaje ze świtem, ja nie śpię i w nocy;
Ja czuwam, by jego nie zmarniał majątek
I każdy troskliwie obejrzę zakątek,
I wołu przebudzam, co ziemię tę orze,
By plenne dla ludzi zrodziło się zboże.
Tak, pracą się wszystko na świecie ustala;
Gdy głód nam zagraża, praca go oddala,
A każdy przy pracy tak czerstwy, wesoły,
O! porzuć lenistwo, idź, dziecię, do szkoły!“

(Stan. Jachowicz).

126. Skoczek na linie.

W maleńkiéj wiosce pod samą Weroną
Mieszkał rolnik jeden z żoną,
Człek poczciwy, rozsądny jako na wieśniaka.
Miał on syna jedynaka,
Który zamiast pociechy przy ubogim bycie
Smutkiem zaprawiał ich życie.
Był to frant wielki, wielkie niedobrego,
Słowem mówiąc: do niczego.
Lat piętnaście kończył blisko,
Furbo było mu nazwisko.
Ojciec go naprzód chciał widzieć rolnikiem,
Potém żołnierzem, potém rzemieślnikiem;
Odrzucił wszystkie te stany.
Rzekł mu nakoniec: „Ależ mój kochany!
Co z ciebie będzie? ubogiegoś rodu,

Pracuj, jeżeli nie chcesz umrzeć z głodu!“
Niepodejrzana jest ojcowska rada:
„Tato!“ — nakoniec Furbo odpowiada
W ułożonéj sztucznie minie, —
„Ja chcę tańcować na linie
I pokazywać rozmaite sztuki;
Racz kuglarzowi dać mnie do nauki.“
Zmartwiony dziwną ochotą syna,
Długo ojciec upomina,
Przekłada, że to stan nieszacowany
I na przypadki wydany.
Próżno, bo synek trwał w swoim wyroku.
„Wielu to“ — rzecze — „urodzonych w nędzy,
Skacząc po linie, przyszło do pieniędzy.“
Jął się więc uczyć, i nie wyszło roku,
Wszystkich współuczniów celował.
Właśnie jarmark następował,
I po ulicach ogłosiły druki,
Że Furbo będzie pokazywał sztuki.
Lud się na rynek gromadzi,
Gdzie już zawieszona lina;
Wszyscy zręczność widzieć radzi.
Furbo tańcować zaczyna:
Zadziwia wszystkich swą giętką postawą,
Waży się raz na lewą, drugi raz na prawą,
Łamie się w rozmaite strony
I kręci się i wywija...
Ojciec krzyczy przelękniony:
„Synu! chódź prosto, bo w strachu szyja!“
Drudzy wołają przeciwnie:
„Ach! jak wybornie, przedziwnie,
Jak się wykręca, jak śmiały!
To djabeł cały!“
Buja wzruszona raz linka:
Furbo poklaskiem pyszniejszy,
Chcąc już zrobić skok trudniejszy
I ostatniego wywinąć kominka;
Gdy najbardziéj oczy nęcił
Spadł na ziemię i kark skręcił.

(Z Poplińskiego).

127. Złe sumienie.

Zagrano w trąby, i naród ciekawie
Na zamek słucki ciśnie się jak woda:
Oto zasiada na sędziowskiéj ławie
Dziedzic na Słucku, książe wojewoda,
I wedle mocy swoich przywilei,
Zbrojny prawami i łaski i miecza,
Kmieci i szlachtę sądząc po kolei,
Broni, uwalnia, karze, zabezpiecza.
Książę daleko od natłoku gości
Siedzi za stołem oddzielonym kratą;

Tam krzyż i statut oprawny bogato,
Opodal pisarz i pan podstarości,
A w izbie gwarno. —
Wtém wpośród hałasu
Pomimo ciżby i oporu warty
Wszedł jakiś starzec, znędzniały, odarty,
Z kijem sękatym jak rozbójnik z lasu.
Strach było patrzeć: pod wielkiemi brwiami
Oczy się dziko iskrzyły dziadowi.
Włosy jak mleko splątane kudłami,
Rysy kościste, ramiona garbate. —
Starzec jak błędny wcisnął się za kratę,
Padł; ciężko dycha, ale nic nie mówi.
Książę się cofnął, pisarz się przestrasza,
Krzyknął i rozsiał strach w całéj drużynie.
Pan podstarości jął się do pałasza
I szepce jakiś pacierz po łacinie;
A starzec leży skulony na ziemi,
Głucho coś jęczy i szepce grobowo,
Dycha, jak gdyby piersmi chrzypiącemi
Chciał nabrać siły, by wyrzec choć słowo.
Odetchnął wreszcie, spoczął bez przeszkody,
Nabiera głosu, sili się widocznie,
Pełznie do kolan księcia wojewody
I płacząc, tak mówić pocznie:
„Nie bój się, jaśnie oświecony książę!
Ja z twojéj wioski, ja tu z niedaleka,
Ja zbójca jestem, ja zabiłem człeka! —
Wiem, że mą głowę miecz katowski czeka;
Niech się przynajmniéj sumienie rozwiąże!
O! bo to ciężko, tak ciężko — nie wiecie —
Nosić na rękach krew darem rozlaną!
O! tak to dręczy, tak pali, tak gniecie,
Jak gdyby w piersi żaru nasypano.
Zdaje się dawno — przed trzydziestu laty —
Ale sumienia nie przedawnić marnie:
Zdejmijcie tylko z méj duszy męczarnie.
A głowę sobie oddajcie na katy!
Może toporem odbita od szyje,
Przestanie płonąć od gorących myśli,
Może krew moja krew niewinną zmyje!
Każcie mnie skować, uwięzić najściśléj,
Tylko z sumienia rozwiążcie pęta!“

(Wład. Syrokomla alias Ludw. Kondratowicz).

128. Kopiec.

Pod niegminną i niepodłą
Urodziliśmy się gwiazdą;
Herb Dęboróg nasze godło,
Stary Poleś nasze gniazdo.
Z dziadów, z ojców, w naszym rodzie
Zawsze były łaski Boże;

Szlachta drobna, lecz zasobna,
Krzywo pisze, prosto orze,
Procesuje, strzeże kopców,
Lasy pali, Boga chwali
I hoduje wałnych chłopców.
W naszym rodzie, jak w ogrodzie,
Pełno główek, jak makówek.
Znają ludzie każdą głowę,
I urzędów mamy dosyć;
Ale cóż się z nich wynosić,
Kiedy wszystko powiatowe?

Protoplasta,
Od którego my pochodzim,
Za Chrobrego, czy za Wazy,
Deputatem był dwa razy
I wileńskim podwojwodzim.
Za to w rodzie naszym słynie
Ów pancerny rotmistrz stary,
Który walczył w Ukrainie
Z hajdamaki i Tatary,
A ugodzon kulą w głowę,
Jak bohater zginął śmiało.
O nim podanie domowe
Taką powieść zachowało:
Że ostatnią czyniąc wolę,
Kazał przewieść swoje kości
Do ojczystéj posiadłości,
Na wioskową naszę rolę;
Że pogrzebu kościom życzy
Ni we sklepie, lub w kościele,
Lecz gdzie żytni łan się ściele,
Gdzie z sąsiadem grunt graniczy,
Aby kurhan nad mogiłą
Niby kopiec stał ochroniczy,
A na wieki znaczno było,
Gdzie poletek nasz się kończy.
Jego wola uroczysta
Wypełniona jak należy.
Przeminęło lat ze trzysta,
A od starca do młodzieży,
Każdy jeszcze dziś pamięta
Grób rotmistrza — kopiec z darni;
A sąsiedzi gospodarni
Znali, że to miedza święta,
Że przywłaszczyć stąd nie wolno
Choćby jednę skibę rolną.
Tuż za kopcem stał dwór cudzy,
Ale gruntów nam nie spaszą:
Bo panowie i ich słudzy
Szanowali własność naszą,
Bo wiedziano, że wybrzeże
Stary dziedzic z grobu strzeże.

(Syrokomla z Urodzony Jan Dęboróg)

129. Domejko i Dowejko.

Pamiętam za mych czasów żyło dwóch sąsiadów.
Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów.
Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką,
Jeden zwał się Domejko, a drugi Dowejko.
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili:
Kto zabił, trudno dociec; strasznie się kłócili
I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.
Pojedynek ten wiele narobił hałasu:
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.
Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,
Opowiem od początku historyą całą.
Domejki i Dowejki wszystkie przeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo gdy w czas sejmików
Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica: daj kreskę Dowejce;
A ten, nie dosłyszawszy, dał kreskę Domejce.
Gdy na uczcie wzniósł zdrowie marszałek Rupejko:
„Wiwat Dowejko!“, drudzy krzyknęli: „Domejko!“
A kto siedział wpośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnéj mowie w czas obiadu. —
Gorzéj było. Raz w Wilnie jakiś szlachcic pjany
Bił się w szable z Domejką i dostał dwie rany;
Potém ów szlachcic z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Dowejką zjechał się u promu.
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada, kto on? — odpowie: „Dowejko“.
Nie czekając, dobywa rapier z pod kirejki,
Czach, czach, i za Domejkę podciął was Dowejki.
Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blisko siebie oba imienniey
I do jednéj strzelili razem niedźwiedzicy.
Prawda, że po ich strzale upadła bez duchu,
Ale już pierwéj niesła z dziesiątek kul w brzuchu;
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób:
Kto zabił niedźwiedzicę? dojdźże! w jaki sposób?
Tu już krzyknęli: „Dosyć! trzeba raz rzecz skończyć
Bóg nas czy djabeł złączył, trzeba się rozłączyć;
Dwóch nas jak dwóch słońc pono zanadto na świecie!“
A więc do szerpentynek i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiéj godzą.
Zmienili broń: od szabel szło na pistolety;
Stają. Krzyczym, że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się. Śmierć niechybna! prawie rura w rurę!
Obaj te[illegible] rzelali. — „Sekunduj Hreczecha!“ —
„Zgo[illegible]zekłem — „niech zaraz grób wykopie klecha,
Bo [illegible] nie może skończyć się na niczem;

Lecz bijcie się szlachęckim trybem, nie rzeźniczym.
Dosyć już mety zbliżać: widzę żeście zuchy.
Chcecie strzelać się, rury oparłszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę. Zgoda, że na pistolety;
Lecz strzelać się nie zdaleka, ani z bliższéj mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią. Ja rękami mojemi
Jako sekundant skórę rozciągnę na ziemi
I ja sam was ustawię: Waść po jednéj stronie
Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie.“ —
„Zgoda!“ — wrzaśli; — „czas?“ — „Karczma Usza.“ — „miejsce?“ — „Karczma Usza.“
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza.
Tu Wojskiemu przerwał krzyk: „Wyczha!“ Tuż z pod kobi
Smyknął szarak.
Wojski ledwie raz okiem za zającem rzucił;
Widząc, że uciekł, głowę obojętnie zwrócił
I kończył rzecz przerwaną. „Na czem więc stanęło?
Ach, na tém, że obu za słowo ująłem,
Iż będą strzelali się przez niedźwiedzią skórę...“
Szlachta w krzyk: „„to śmierć pewna! prawie rura w rurę!““
A ja w śmiech, bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,
Że skóra zwierza nie jest ladajaka miara.
Wszak wiecie waćpanowie, jak królowa Dido
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biedą
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał:
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.
Ledwie dniało, już z jednéj strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiéj na koniu Domejko.
Patrzą, aż tu przez rzekę leży most kosmaty:
Pas ze skóry niedźwiedziéj, porżniętej na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednéj strony, Domejkę zaś po drugiéj stronie.
„Pukajcie teraz“ — rzekłem — „choć przez całe życie,
Lecz póty was nie puszczę, aż się pogodzicie...“
Oni w złość, a tu szlachta kładzie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi
Nuż im z ewanielii, z statutów dowodzić;
Nie ma rady: śmiali się i musieli zgodzić.
Spór ich potém w dozgonną przyjaźń się zamienił,
I Dowejko się z siostrą Domejki ożenił,
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę,
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek.
Pobudowawszy karczmę, nazwali „Niedźwiadek.“

(z Pana Tadeusza p. Ad. Mickiewicza).

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna w Kielcach

E 332235

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI DOM
E 332235

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
091259

Biblioteka WSP Kielce
0166612